

**RIDLEY
PEARSON**



**TWARDE
LADOWANIE**

RIDLEY PEARSON

**TWARDE
LĄDOWANIE**

Przełożył TOMASZ LEM



Tytuł oryginału HARD FALL

Projekt okładki

PIOTR KANN jr

Redaktor

GRAŻYNA KUNICKA

Redaktor techniczny

ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1992 by Ridley Pearson

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-611-3

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1994. Wydanie I

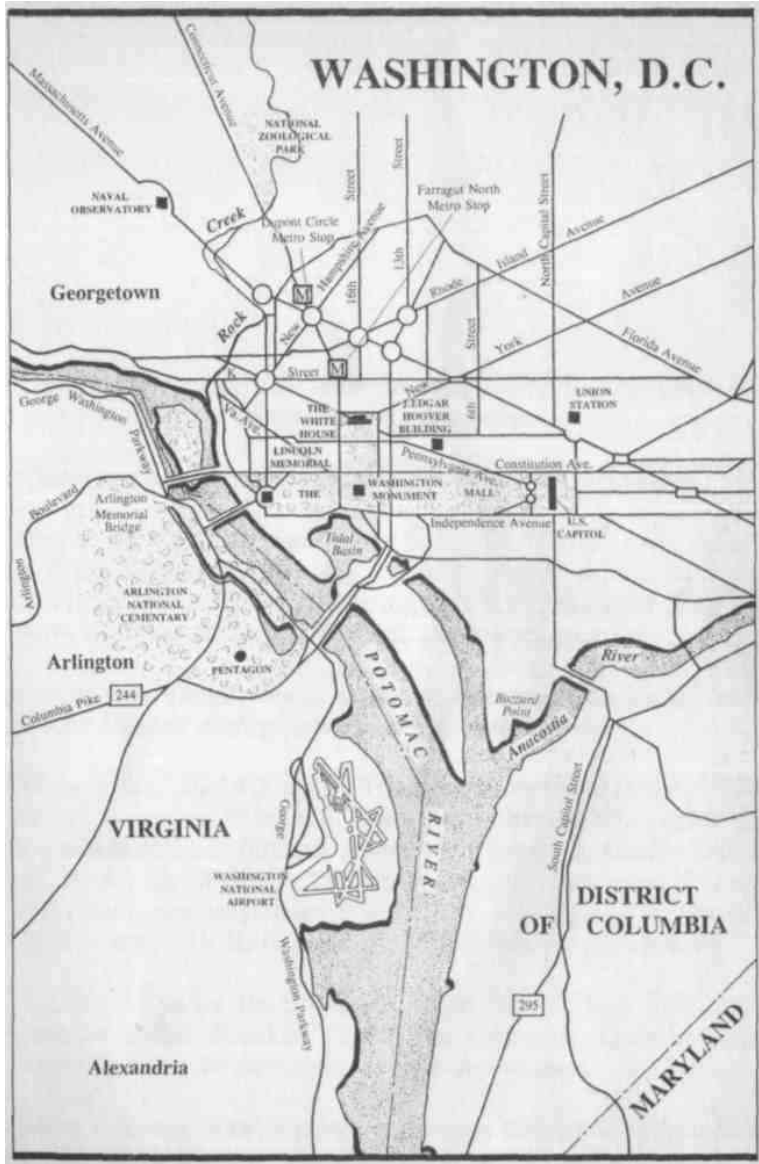
Druk: Drukarnia Dziełowa w Łodzi

Dla Colleen

Objaśnienia

ATM	Bankomat
CAM	Mikrofon kabiny
CNN	Kablowa sieć informatyczna
CVR	Magnetofon kabiny
DFDR	Czarna skrzynka
DOJ	Ministerstwo Sprawiedliwości
FAA	Federalna Administracja Lotnicza
LAFO	Wydział FBI, Biuro Terenowe
LAX	Międzynarodowe Lotnisko w LA
O.O.	Wydział FBI, Urząd Imigracyjny
SA	Agent specjalny FBI
SAC	Szef Biura Terenowego FBI
WMFO	Waszyngtońskie Biuro Terenowe FBI

WASHINGTON, D.C.



Oto osoby i instytucje, bez pomocy których powstanie tej książki byłoby niemożliwe:

Cameron Daggett, szef policji w Sun Valley, w stanie Idaho.

Seattle: Dr Christian Harris, psychiatra; Dr Donald Reay, lekarz w King County; pracownicy Wydziału Policji w Seattle; John E. Hope, specjalista d/s szkolenia pilotów w Zakładach Boeinga; Jerry Fleming, szef ochrony w Zakładach Boeinga.

Los Angeles: Dennis Payne, detektyw; pracownicy Wydziału Policji w Los Angeles; obsługa lotniska w Los Angeles.

Waszyngton: David Dogdge Thompson, National Gallery; FBI (Biuro Terenowe): Thomas E. Duhadway i James E. Muli, agenci do zadań specjalnych; (Gmach Hoovera): Stephen D. Gladis; David W. Wade, szef Wydziału Telekomunikacji; J. Christopher Ronay, szef pionu d/s antyterroryzmu; I. Ray McElhaney, Jr; Robert B. Davenport; Dr Rose Anne Fedorko i wielu innych agentów...

Richard i Lynette Hart, Ollie Cossman, Louisa Jane Modisette, Jacques Bailhe, Franklin Heller, Ian Cumming, Darwin Ridd, Leucadia Film, Bruce Kaufman, Carolyn Johansen.

Mary Peterson (sprawy biurowe), Colleen Daly, Maida Spauding (opracowanie tekstu).

Al Zuckerman (Dom Pisarzy), Warden and Fellows of Wadham College, Oxford, Anglia, oraz Komisja Fulbrighta.

Wszystkim wyżej wymienionym osobom i instytucjom składam gorące podziękowania — autor.

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne, a zatem wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych — żyjących bądź zmarłych — jest czysto przypadkowe.

Niektóre wydarzenia i szczegóły techniczne opisane w książce zostały celowo zmienione.

Mieszkańców Seattle, Los Angeles i Waszyngtonu przepraszam za wszelkie uogólnienia, które mogą odebrać jako krzywdzące.

1

Cam Daggett potrzęsął z niedowierzaniem zegarkiem, powątpiewając w jego dokładność i spojrzął na oddalony o ćwierć mili brudny znak drogowy, wskazujący zjazd do National Airport. Powietrze falowało nad rozgrzanym chodnikiem, zniekształcając pograżony w smogu świat. Przy takim natężeniu ruchu nigdy nie zdążą na czas.

Radio podało, że korek jest wynikiem zderzenia trzech samochodów; było kilku rannych. Daggett spojrzął w lusterko, by przekonać się, czy ma szansę na pokaz szybkiej jazdy. Obawiał się, że nie da rady, a wtedy skończy się to jeszcze większą ilością rannych. I nie będzie to tylko kilka samochodów na autostradzie, ale płonący wrak samolotu, którego szczątki zostaną rozrzucone na wielu hektarach.

— A może helikopterem? Moglibyśmy wezwać helikopter.

Siedzący obok niego wysoki mężczyzna milczał i tylko otarł pot z czoła. Daggett poczuł strach, był w potrzasku. Z powodu korka na drodze, z powodu tego grubasa obok. Wydawało mu się, że czuje, jak siwieją mu włosy.

Żółty papier, pozostałość po hamburgerze, zatrzepotał jak ptak ze złamanym skrzydłem, osiadł na mercedesie i rozmazał na drzwiach ke-tchup, co wyglądało jak krew płynąca z otwartej rany.

Daggett także krwawił, o ile może krwawić zraniona duma. Sześć dni temu w Los Angeles Marcel Bernard uciekł śledzącym go agentom FBI.

Teraz, zupełnie przypadkiem, znów natrafili na jego ślad i Daggett nie miał najmniejszej ochoty ponownie go zgubić. Bernard żył z konstruowania bomb i w swoim fachu był jednym z najlepszych lub najgorszych; wszystko zależało od tego, po której stronie biurka siedziało się podczas przesłuchania. Niecierpliwość popędzała Daggetta, jak pies wczepiony w nogę listonosza. W grubym pliku akt w jego biurze przy Buzzard Point znajdowała się czarno-biała fotografia czegoś, co zostało uznane za fragment odcisku kciuka Bernarda. Dowód laboratoryjny — strzyżek na szyję. Może uda się zamienić szubienicę na informację niezbędną do kontynuowania śledztwa w sprawie katastrofy lotu 1023 EuroTours. Człowiek, który robił bomby — to jedno. Ale dopiero ten, który je zakładał w samolotach, był prawdziwym zbrodniarzem.

Z jednego z samochodów przed nimi wysiadł kierowca, otworzył maskę i pochylił się nad silnikiem. Kolejna ofiara lipcowego upału.

— Za dwadzieścia dwie minuty — mruknął przez zaciśnięte zęby do grubego Boba Backmana, rozwalonego na siedzeniu obok.

Z powodu ogromnego brzucha, za jego plecami mówiono o nim Falstaff. Pomimo że zdjął marynarkę, był spocony jak mysz i dyszał niczym astmatyk. — Samolot odlatuje za dwadzieścia dwie minuty — powtórzył Daggett.

Backman usiłował zachować spokój, ale nie był dobrym aktorem. Możliwe, że pragnął dokonać cudu godnego Mojżesza: aby ruch na George Washington Memorial Parkway rozstał się niczym Morze Czerwone.

Daggett wyglądał jak typowy sportowiec. Miał wysokie czoło, ciemne przenikliwe oczy i duży nos. Gdy mówił, jego wargi prawie wcale się nie poruszały. Efekt po aparacie ortodontycznym noszonym w dzieciństwie. Mówił cicho — cecha genetyczna — choć widząc go, można by się spodziewać raczej warczenia.

— A właściwie czemu zdecydowałeś się jechać? — Daggett spytał Backmana.

— Zastanawiałem się, kiedy wreszcie się za to zabierzemy — nadął się Backman, ocierając z drugiego podbródka krople potu.

Był typowym policyjnym urzędnikiem; łysiejący, z popękkanymi wargami. Koszule nosił przeważnie o numer za duże, a garnitury za małe.

— To ja będę go przesłuchiwał.

Backman miałby kogoś przesłuchiwać? To zupełnie niemożliwe. Zde-nerwowany Daggett mocniej ścisnął kierownicę. Jego zegarek Casio wskazywał: poniedziałek, 13 sierpnia.

— Pewnie myślisz, że chcę ci tę sprawę sprzątnąć sprzed nosa. Ty odwalasz czarną robotę, a ja go przesłuchuję i dostaję za to pochwały. Ale tak nie jest — powiedział Backman, bezskutecznie usiłując udawać twardziela.

Tyle osiągnąć, być o milę od ostatecznego przesłuchania Bernarda i znów dać się wykiwać temu grubasowi? — myślał Daggett.

Już od dawna nie współpracował z Backmanem. Zaufanie jest podstawą każdego związku, zwłaszcza agentów FBI pracujących nad tą samą sprawą, ale Daggett już nigdy nie zaufa Backmanowi. Przed rokiem Backman zwędził akta z jego biurka, zaniósł je przełożonym i przedstawił jako wyniki własnej pracy. Akta dotyczyły organizacji „Der Grund”, mało znanej grupy terrorystycznej w Niemczech Zachodnich. Tym jednym posunięciem Backman ukradł Daggettowi osiemnaście miesięcy pracy. Daggett nie usiłował sprostować, kto jest autorem raportu, wiedząc, że udowodnienie przynależności takich dokumentów jest praktycznie niemożliwe.

Dzięki ukradzionym aktom, Backman dostał awans na szefa komórki zajmującej się międzynarodowym terroryzmem. Był leniwym, pozbawionym wyobraźni pasożytem, żyjącym z ciężkiej pracy innych. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy doprowadził swoje postępowanie na wyżyny sztuki. Prowadzący śledztwa w C-3 przyzwyczaili się już, że wszystkie akta muszą zabierać do domu.

Gdy trzydzieści minut wcześniej szef C-3 wgramolił się do samochodu, Daggett natychmiast doznał uczucia *déjà vu*. Ileż razy jeździli już w ten sposób? Pomimo to, że Backman twierdził coś przeciwnego, był tu wyłącznie z jednego powodu: aby móc sobie przypisać zasługę za złapanie i przesłuchanie Bernarda. Daggett zastanawiał się, jak mu w tym przeszkodzić, a Backman ciężkim sapaniem dowodził, że słusznie nazywano go wieprzem.

Backman prawie nic nie wiedział o Bernardzie i w ciągu ostatniego roku chyba nikogo nie przesłuchiwał.

— Dziewiętnaście minut — mruknął szorstko zniecierpliwiony Daggett. — Żaden z nas go nie przesłucha, jeżeli nie wyciągniemy go z samolotu.

Otworzył drzwi. Był w stanie przebiec milę w siedem czy osiem minut. Nie chciał tkwić w korku i, wdychając woń potu Backmana, przyglądać się, jak odlatuje samolot z Bernardem.

— Chyba nie chcesz przegapić szansy złapania Korta? — zapytał grubas. — Daggett z powrotem wsadził nogę do samochodu i zamknął drzwi. — Tobie zawdzięczamy Bernarda. Zaslugujesz, by o tym wiedzieć — powiedział, patrząc na Daggetta z czymś, co wyglądało na uznanie.

Najwyraźniej miał dość upału, ludzie otyli źle znoszą wysokie temperatury.

— Wczoraj Niemcy urządzili obławę na „Der Grund”.

Daggett poczuł się dotknięty; miał nadzieję, że sprawa przyjmie inny obrót. To było przecież jego śledztwo, a teraz zupełnie stracił nad nim kontrolę.

— Nie złapali Korta — dodał Backman głosem, w którym wyczuwalna była nuta smutku, ale i coś w rodzaju przeprosin.

Daggett skinął głową i zakrzuszył się nerwowym śmiechem, czując jednocześnie gorzki smak w ustach. Zawsze to samo. Teraz nie już nie mogło mu sprawić przykrości. Pociągnął za kołnierz koszuli. Urwany guzik ześliznął się na podłogę. Wyciągnął po niego rękę, ale nie mógł go odnaleźć i pomyślał, że to zły znak.

Śledzenie Bernarda przez ostatnie dwa lata i przekazywanie Niemcom informacji na temat „Der Grund” miało tylko jeden cel: złapanie Antony'ego Korta. Kort był narkotykiem, dzięki któremu Daggett funkcjonował. A teraz...

— Czy zajmowałeś się tym, Michigan? — Backman wyrwał go z zamyslenia. Zawsze to robił.

Daggett skinął głową zły, że Backman zwraca się do niego w ten sposób. Nazywali go tak z powodu kurtki z college'u. Nigdy się z nią nie rozstawał, przynosiła mu szczęście. Gdy z bliska patrzyło się na prawą kieszeń, można było na niej dostrzec kępkę poszarpanych nieco nitek, układających się w literę „M”. W dniu, gdy strzelano do niego, Daggett zamiast Biblii miał w kieszeni piłkę baseballową z autografem, którą zamierzał dać synowi na piąte urodziny. Piłka, z pociskiem w środku, spoczywała teraz na półce Duncana. Tylko przyjaciele Daggetta mogli mówić na niego Michigan, a nie tacy faceci jak Backman.

— Jeżeli myślisz, że Bernard zaprowadzi cię do Korta, to się mylisz — powiedział Daggett. — Niemcy nie powinni byli urządzać obławy. Kort

zjawiłby się prędzej czy później... Mielibyśmy wtedy jakąś nić. A tak gówno z tego będzie, nigdy go nie złapiemy.

— Bernard...

— On nic nie wie o Korcie. My nic o nim nie wiemy. Nawet nazwiska nie możemy być w stu procentach pewni. Czego jeszcze o nim nie wiemy? Nie wiemy, jak wygląda; nie mamy o nim żadnych informacji. Pokładamy w nim zbyt dużo nadziei; kto wie, czy Anthony Kort w ogóle istnieje? — Czuł się przybity. W samochodzie zrobiło się nieznośnie duszno.

— Oczywiście, że Kort istnieje, wiesz to równie dobrze, jak ja — powiedział Backman ze złością, ale po jego głosie można było poznać, że wcale nie był tego pewien. — Od niego się wszystko zaczęło — dodał. — Jest wysoce prawdopodobne, że Bernard zbudował detonator w hotelu w Los Angeles, prawda? A teraz, dzięki tobie, nie wiemy, gdzie jest detonator. Gdybyśmy wiedzieli, byłaby szansa na odnalezienie Korta.

To nie Daggett, ale ludzie z Terenowego Biura w Los Angeles zgubili Bernarda. Sam Daggett nie był za to bezpośrednio odpowiedzialny i Backman dobrze o tym wiedział.

— Nie wiemy, czy to Bernard skonstruował detonator. Gówno wiemy! I jeżeli myślisz, że on nam wszystko powie...

— To będzie moje przesłuchanie, Michigan. Tylko moje. Zrozumiałeś?

Bernard był ostatnią szansą Daggetta. Za wszelką cenę należało nie dopuścić do tego, aby Backman prowadził przesłuchanie. Daggett znów otworzył drzwi i znów poczuł intensywny smród spalin. Szesnaście minut — pomyślał. — Wciąż jeszcze mam szansę.

— Policja na lotnisku jest już zawiadomiona. Wiedzą, że samolot nie może wystartować. Pasażerom powie się, że opóźnienie nastąpiło z przyczyn technicznych. Możesz się tym nie przejmować.

— Myślisz, że taki cwaniak jak Bernard na to pójdzie? Wierzysz, że gliny z lotniska dadzą sobie z nim radę? — Wcisnęła kluczyki do samochodu w tłustą, lepką rękę Backmana. — Idę.

— Co?!

Wysiadł, zanim Backman zdążył zaprotestować. Po chwili ze zdumieniem usłyszał, że ktoś mocno zatrzasnął drzwi samochodu; nie musiał się oglądać, wiedział, że to Backman.

A więc będą się ścigać? Wyprostował się, wyciągnął krok i ruszył w stronę zjazdu na lotnisko.

Bieg był czymś oczyszczającym, nawet w upalnym waszyngtońskim sierpniowym smogu. Daggett wpadł w dobrze znany rytm i opuściła go cała złość. Biec na lotnisko, żeby zdążyć na przesłuchanie, czy nie jest to dowód poświęcenia? Gdyby ci zza biurka dowiedzieli się o tym, zniszczyliby go. Na swoją obronę mógłby powiedzieć, że uciekał od Backmana.

Broń objęła mu się o biodro. Kilka mew przeleciało nad jego głową w kierunku wysypiska śmieci. Może jedna z nich narobi na Backmana?

Daggett, spocony, wbiegł do brudnego posterunku policji przy pierwszym terminalu na parterze. Dwóch mężczyzn w garniturach przedstawiło mu się jako detektywi. Airport Police była prywatną firmą, bez żadnych powiązań z miejskimi siłami policji. Tacy ludzie nie mogli być detektywami.

Na każdym lotnisku ochroniarze to zbiór typów, z których każdy ma inne uprawnienia, ale tylko w gestii „prawdziwej” policji jest aresztowanie podejrzanego; takich prawdziwych policjantów jest zresztą na lotnisku niewielu: sześć radiowozów i około dwunastu funkcjonariuszy. Budżety miast nie pozwalają na utrzymanie dużej liczby policjantów na lotniskach. Ich kontrolą miała zajmować się Airport Police — prywatna firma, zatrudniająca około stu osób. Wprawdzie funkcjonariusze Airport Police mieli prawo nosić przy sobie broń, ale osoby przez nich zatrzymane musiały być przekazywane „prawdziwej” policji. Ochroniarze, ci z wykrywaczami metalu, którzy prześwietlają bagaże, byli jeszcze mniej władni: mogli jedynie przeszukiwać bagaż. Podejrzanych pasażerów zobowiązani byli przekazywać w ręce Airport Police, która z kolei przekazywała ich policji. Współpraca i wymiana informacji pomiędzy tymi prywatnymi i państwowymi instytucjami wyglądała tak, jak można się było tego spodziewać — bardzo źle.

FBI, Federalna Administracja Lotnictwa i kilka innych organizacji śledczych świetnie pasowało do tej trudnej do przeniknięcia struktury, tak że prywatne firmy patrzyły na to podejrzliwie i ze szczerą pogardą. Daggett odczuł to w pełni, gdy wyciągnął rękę, którą dwaj mężczyźni uścisnęli z wyraźną niechęcią.

Po niemiłej prezentacji wszyscy trzej szybkim krokiem ruszyli

w stronę rękawa prowadzącego do samolotu. Sądząc po brzmieniu głosu i kolorze zębów, wyższy mężczyzna był palaczem. Nie przedstawił się. Daggett od razu wyczuł, że obydwaj byli podnieceni. Nerwowość nadrabiali przesadną pewnością siebie. Palacz miał chrapliwy głos i spierzchniętą skórę na twarzy; poruszał się niezgrabnie i przesadnie gestykutował. Prawdopodobnie zgrzytał zębami przez sen.

Jego towarzysz — Daggettowi wydawało się, że przedstawił się jako Henderson — wyglądał jak ogolona małpa. Rysy miał wyraziste, buty sfatygowane. Włosy tak przerzedzone, że Daggett w myślach nazwał go „Łysy”. Wyglądał na agenta-weterana, który zadaje pytania, a sam na żadne nie odpowiada.

Lotnisko było stare. Korytarz łączący terminale wyłożono czerwonym linoleum, a sufit żółknącym, dźwiękochłonnym materiałem. Kilka nowych, jasno oświetlonych sklepów kontrastowało z podupadłym otoczeniem.

Po zepsutych ruchomych schodach dostali się na górę, do miejsca, w którym ochroniarze sprawdzali bagaże.

— Gnata trzeba zostawić. Żeby go wziąć do samolotu, musiałbyś wypełnić górę formularzy — powiedział Palacz, wskazując na stojącego z boku funkcjonariusza Airport Police, świadomie zachowującego dystans wobec pracowników prześwietlających bagaże.

— On jest z nami — powiedział Palacz, tak jak gdyby Daggettowi na tym zależało. Myślał tylko o Bernardzie w samolocie. — Ci w niebieskich to ochroniarze — dodał z niesmakiem.

Daggett oddał broń i wszyscy trzej pośpiesznie ruszyli dalej.

— Zarówno samolot, jak i cały terminal są pod obserwacją.

Mamy tu sześciu ludzi: pasażera na 19 miejscu, dwóch ludzi z obsługi, bagażowego i dwie stewardessy — wyjaśniał dalej Palacz.

I gruszki na wierzbie — pomyślał Daggett. Palacz był bardzo pewny siebie.

— Bernard siedzi na miejscu 18 B przy oknie, po jego lewej stronie jest wyjście awaryjne. Wykupił obydwie fotele. Myślę, że będzie się chciał tamtędy wydostać — urwał. — Nie bój się, wyjście jest chronione — dodał uspokajająco.

Zbliżali się do rękawa. Daggett czuł suchość w gardle, a serce wciąż

waliło mu po biegu. Z tyłu powstało zamieszanie. To był Backman. Wyglądał, jak gdyby pływał w ubraniu. Nie chciał oddać broni.

— On jest z nami — powiedział Daggett, naśladując Palacza, ale tonem nieprzychylnym Backmanowi.

Palacz wrócił do ochroniarzy, żeby to wyjaśnić.

— Ci z ochrony nas nie lubią. Z wzajemnością — po raz pierwszy odezwał się Łysy.

Backman niechętnie oddał broń. Łysy pierwszy zwrócił uwagę na jego buty. Wskazując na nie, porozumiewawczo trącił Palacza. Tylko ludzie siedzący za biurkiem mogli takie nosić. Daggett miał zdarte rockporty.

— Chodźmy — powiedział niepewnie Backman i ruszył pierwszy. Gruba kaczka w przemoczonym garniturze.

Przy wejściu do rękawa Palacz pokazał swój identyfikator. Szybko zeszli do samolotu; Backman głośno sapał.

Daggett wszedł jako czwarty, za Łysym. Minęli zdenerwowanego stewarda.

— Zaraz zostawimy was w spokoju — powiedział Backman, starając się, aby zabrzmiało to uspokajająco, ale z pewnością czuł się nieswojo.

Szybko posuwali się do przodu. Pasażerowie patrzyli na nich pytająco. Niektórzy z zaciekawieniem, inni z przestraszaniem.

Daggett pomyślał, że są to twarze niewinnych ludzi, takich jak jego rodzice i syn.

Z dwiętnastego rzędu wyszedł mężczyzna i zablokował przejście. Siwiejąca stewardesa o twardym spojrzeniu stanęła tuż za nim. To jedna z tych pracujących dla Palacza — pomyślał Daggett. Bernard znajdował się w potrzasku. Wyjście awaryjne było skutecznie zablokowane przez dwóch „mechaników”. Daggett uwielbiał takie sytuacje.

Spokój Palacza był godny podziwu. Daggett usłyszał czyjś cichy głos i zobaczył, jak ujmują Bernarda pod ręce i radzą mu, „żeby z nimi współpracował”. Łysy szybko odebrał mu walizeczkę. Wszyscy wykręcali szyje, żeby zobaczyć tę scenę.

Bernard zauważył Daggetta i ich spojrzenia się skrzyżowały. Daggett pomyślał, że uczucie, którego doznał, musi przeżywać każdy myśliwy, gdy zwierzę, zauważając go, podnosi głowę.

Daggett znalazł tę twarz aż za dobrze; od miesięcy widywał ją nawet w snach. Bernard był ciemnowłosym, szarookim mężczyzną. Nie był przy stojny. Miał w sobie jednak ledwo dostrzegalną pewność siebie. Dlatego tak łatwo umykał nawet uważnym obserwatorom.

Sporo kosztował go zawód, jaki sobie wybrał. U lewej ręki zostały mu tylko trzy palce. Ale to nie jego twarz czy palce były tym, co Daggett najlepiej zapamiętał. W pamięć zapadły mu czarno-białe fotografie jego dzieł: zniszczonych restauracji, wysadzonych w powietrze samolotów i samochodów. Setki ofiar.

Zapadła cisza. Daggettowi i Backmanowi zwrócono broń, którą uprzednio oddali ochroniarzom.

Pięciu mężczyzn odjechało mikrobusem Marriota w kierunku opuszczonego, ponurego, zielonkawego budynku. Wąski, cuchnący korytarz prowadził do pozbawionego okien pomieszczenia, które Palacz wybrał na przesłuchanie. Daggett przeczuwał, że stanie się coś bardzo złego.

Zniszczone metalowe biurka, ułożone po trzy, jedno na drugim, zajmowały większą część pokoju. Otwór klimatyzacyjny ociekał czarną, oleistą mazią. Powietrze było zatęchłe, kurz unosił się przy każdym kroku. Daggett znów poczuł suchość w gardle. Upał i kurz powodowały pieczenie skóry i wiele dałby za to, żeby być teraz gdzie indziej.

Skutego Bernarda posadzono na krześle na środku pokoju. Łysy, Palacz i Daggett przyciągnęli biurko i usiedli na nim. Backman zatarł spoczone ręce, popatrzył na Bernarda spode łba i stanął przed nim. Był jak aktor grający pierwszy raz główną rolę. W tej chwili bardziej przypominał kelnera niż glinę.

— Wiesz już, jakie masz prawa. Twoje szczęście, że w ogóle je masz. Oficjalnie zostałeś zatrzymany na podstawie Aktu o Terroryzmie z 1988 roku, które daje nam szerokie uprawnienia. Wiesz jakie? — zawiesił głos. — Wyglądasz na rozsądnego człowieka.

Daggett pokornie siedział wraz z innymi. Palacz zapalił papierosa i wypuścił dym w kierunku kraty. Dym przyjął kształt stożka i wydawało się, że zawisł w powietrzu. Łysy ostrzem noża czyścił swoje już i tak czyste paznokcie.

Backman spróbował jeszcze raz.

— Wiem, co myślisz. Myślisz, że to może nawet lepiej, że zostałeś złapany na terytorium Stanów Zjednoczonych. Przecież nawet terrorystom zapewniamy uczciwe procesy; od lat na szczeblu federalnym nie stosuje się kary śmierci, więc jeżeli będziesz milczał, jakiś cwany adwokat cię stąd wyciągnie. Mam rację? A może liczysz na to, że ktoś zrobi o tobie serial telewizyjny?

Rzeczywiście. Bernard był niepokojąco pewny siebie. Skąd biorą się tacy skurwiele? Należała mu się kula w łeb. Bez sądu, bez procesu. Dwa, trzy strzały i wytłumaczenie, że była to próba ucieczki.

— Nie rób tego — syknął Łysy i znów zajął się swoimi paznokciami.

Daggett zorientował się, że nieświadomie dotknął ręką kabury. Podniósł ją, nie wyjmując broni i pokiwał głową, jak gdyby rozumiał. Ale nie rozumiał. Co się z nim stało podczas tego śledztwa?

— Myślę, że nie wiesz, że dwa lata temu Scotland Yard ze szczątków 1023 EuroTours zdobył kawałek odcisku kciuka. Twojego kciuka. To była twoja robota.

Daggett się skulił. Tej informacji nie należało zdradzać pod żadnym pozorem. Bernard mógł przekazać ją ludziom z „Der Grund”, którzy już nigdy nie popełniliby tego samego błędu. Zdobycie odcisku palca wymagało czterech tygodni poszukiwań wśród szczątków samolotu i dziesięciu miesięcy poświęconych na jego identyfikację. Ponieważ odcisk nie był cały, żaden sąd nie uznałby go za dowód. W swojej głupocie Backman przekazał tę informację Bernardowi.

— Sir — zaczął Daggett i urwał, bo Backman skarcił go wzrokiem.

— Wiemy, co robiłeś w hotelu w Los Angeles — ciągnął Backman.

Bernard zaczął tracić pewność siebie. Zamrugał oczami.

— O jednej rzeczy nie wiesz na pewno — Backman zawiesił głos. — Nie wiesz, że rodzice i dzieciak Daggetta byli na pokładzie tego samolotu.

Palacz i Łysy z niedowierzaniem spojrzeli na Daggetta. Bernard także popatrzył na niego, ale na jego twarzy nie można było dostrzec nawet śladu wyrzutów sumienia.

— Mógłbym cię z nim zostawić na kilka minut — powiedział

znacząco Backman. Bernard nie zareagował. Nie dojdzie do strzelaniny na lotnisku National Airport. Tego nie robi się w ten sposób.

— Chcecie mi coś zaproponować? — z nadzieją w głosie spytał Bernard.

— A jeżeli nie? — Backman odpowiedział pytaniem. — A jeżeli czekamy tylko na twoje dokumenty, żeby cię deportować? Przecież wiesz, że 1023 był samolotem brytyjskim.

Ryk odrzutowca sprawił, że powietrze wydało się Daggettowi jeszcze bardziej gorące. Ponownie poluzował krawat.

— Chcesz, żeby znów tak się stało? — powiedział Backman z pewnością, której dotychczas mu brakowało.

Daggett zrozumiał, że Backman nie był słaby, lecz miękki. Z braku praktyki. Dobrze zagrał, prosząc Palacza o papierosa. Nie palił, ale Bernard nie mógł o tym wiedzieć.

— Chcecie mi coś zaproponować, czy nie? — Bernard powtórzył pytanie.

Backman nie odpowiedział. Ciszę przerwało nagłe pukanie do drzwi. Palacz wstał i je otworzył. Przez chwilę stłumionym głosem rozmawiał z kimś stojącym za drzwiami i odebrał od niego walizeczkę, potem postawił ją przy nogach Bernarda, a Daggett odsunął się od biurka.

— To twoje. Zobaczmy co jest w środku — powiedział Backman.

Wiedzieli, co było w środku: marki niemieckie. Zapłata? Za co? Ta walizeczka mogła być ważnym dowodem w śledztwie. Co Backman zamierzał z nią zrobić?

— Nie otwieraj — rzekł Daggett. — Zapomniałeś, czym ten człowiek się zajmuje?

— To zostało prześwietlone rentgenem — powiedział Palacz. — Dwukrotnie. Nie ma tam żadnych drutów ani środków wybuchowych. Nie ma się czego bać.

— A wachaliście to? Sprawdzaliście ultradźwiękami? Tym powinni zająć się faceci od rozbrajania bomb. Ta walizeczka jest śledzona już od... — Daggett urwał, nie chcąc powtórzyć błędu Backmana.

Palacz wytarł ręce o spodnie. Był przerażony i rzucał nerwowe spojrzenia to na walizeczkę, to na Backmana.

— A jeżeli w środku jest ładunek? Postaw się w jego sytuacji. Jeśli nie dobieje z nami targu, to w najlepszym razie czeka go dożywocie. A tak za jednym posunięciem pozbędzie się szefa C-3 i prowadzącego śledztwo w sprawie lotu 1023. Czy to nie uczyni z niego bohatera? — spytał Daggett.

— Martwego bohatera — powiedział Backman, na którym słowa Daggetta nie zrobiły żadnego wrażenia. — Nikt już nie umiera za sprawę, Michigan. To nie te czasy. — Schylił się do walizki i otworzył jeden z zamków.

Daggett skoczył do przodu, próbując go odsunąć. Backman pośliznął się i upadł na brudną podłogę. Daggett podał mu rękę ale Backman nie przyjął pomocy. Z powodu nadwagi miał trudności ze wstawaniem; zajęło mu to kilka długich, zawstydzających sekund.

— Wynoście się stąd! — Daggett krzyknął do Łysego i Palacza.

Palacz nie ruszył się z miejsca.

— Natychmiast! — wrzasnął Daggett, którego wzrok wciąż spoczywał na walizce. Łysy popchnął swojego towarzysza w kierunku drzwi.

Backman wytarł twarz chustką.

— To było głupie, Michigan. Cholernie głupie. Zapłacisz mi za to.

Bernard milczał i także wpatrywał się w walizeczkę. Jeden z jej zamków był już otwarty.

— Możesz rozkazać mi opuścić pokój, prawda? Możesz złożyć na mnie raport. Możesz nawet wyrzucić mnie z pracy!

— A żebyś wiedział, że mogę.

— Więc zrób to! Jedyńi świadkowie właśnie stąd wyszli.

Backman wyduł wargi.

— Dobrze, chyba masz rację — skinął głową i zrobił krok w kierunku drzwi. Zrezygnował jednak z podstępu, rzucił się na Daggetta i przewrócił go na ziemię. Potem zabrał się za otwieranie drugiego zamka.

Bernard z napięciem wpatrywał się w walizeczkę. Potem podniósł wzrok i spojrzał Daggettowi prosto w oczy. Daggett zrozumiał.

— Nie! — krzyknął, łapiąc za klamkę i wybiegając na korytarz.

Drzwi wyleciały razem z futryną i przez sąsiednią ścianę przebiły się na zewnątrz budynku. Przez korytarz przetoczyła się pomarańczowa

kula płonącego gazu. Podmuch przewrócił Palacza, Łysego i ochroniarzy. Płomienie sięgały sufitu.

W zupełnej ciszy Daggett zaczął czołgać się w kierunku drzwi wysadzonych wybuchem. Pośród kłębow dymu ukazał się Łysy; posuwał się na czworakach. Był oślepiiony eksplozją i wlaźł na Daggetta. Obydwaj schronili się za hałdą żużlu. Gliniarzowi w mundurze paliły się spodnie; uciekał przez trawnik, a Palacz usiłował go dogonić. Widok był surrealistyczny; na dodatek w tle powoli kołował odrzutowiec.

Daggett nic nie słyszał — czyżby ogłuchł? Nieważne, właściwie nie chciał słyszeć ani widzieć. Bernard wygrał, choć za cenę własnego życia. Daggett był zrozpaczony porażką, śmiercią, wszystkim. Próbował krzyzczeć, ale bez rezultatu. Nic. Cisza. Dopiero przerażone spojrzenie Łysego uświadomiło mu, że nie stracił głosu. Zastanawiał się, czy całkiem zwaśniował, czy też ma tylko omamy wzrokowe. W sierpniu nie powinien padać śnieg, ale padał.

Wyciągnął przed siebie ręce — zauważył przy tym, że nie ma na nich włosów — i niezgrabnie łapał wirujące płatki, jak mały chłopiec, uradowany pierwszymi śnieżynkami.

Dłonie miał pełne konfetti.

To były marki niemieckie.

2

Anthony Kort siedział za kierownicą wynajętego samochodu i obierał ziemniak. Przypomnił sobie, że jego babka mieszkająca w Bawarii także obierała ziemniaki. Nosiła długą spódnicę z grubej bawełny i fartuch. Siadywała w ciemnym, bujanym fotelu na werandzie i obierała ziemniaki. Później dodawała do nich masła, bekonu i przyprawiała pieprzem. Ale Kort nie zamierzał zjeść swojego ziemniaka.

Był wtorek, 21 sierpnia. Od kilku miesięcy czekał na ten dzień. Potrzebował dokładnych informacji na temat osiągow samolotu Skybus Dunning 959. Kilkadziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie przeszklonych ścian, doktor Roger Ward — człowiek, dzięki któremu miał szansę uzyskać te informacje — oddawał się rozpuście.

Kilka świec za oknem trzypiętrowego budynku na rogu East Olive Street i Bellevue Avenue migotało żółtawym światłem. Kobiety lubią takie oświetlenie, sprzyja czułym szeptom i pocałunkom o smaku wina, które nie jest w stanie zaćmić uderzającego do głowy podniecenia. Budynek nie rzucał się w oczy. Składał się z dwóch brył; balkony miały niebieskie, metalowe poręcze. W podziemiach znajdowały się dwa garaże, wjazd do nich strzegły solidne bramy. Znak przy chodniku informował, że w budynku były jeszcze wolne mieszkania. Pośrednicy w wynajmie jako znaku firmowego używali czegoś, co skojarzyło mu się ze znaczkiem NASA.

Kort dalej pracował nad swoim ziemniakiem, dzieląc uwagę

po między okno a taurusa Warda, stojącego na płatnym parkingu. Jednocześnie przysłuchiwał się radiowej transmisji kolejnej rozgrywki ligowej.

Miał na sobie ciemne spodnie, brązowe, włoskie buty na gumowych podszewkach, oliwkową koszulę noniron z krótkim rękawem i granatową wiatrówkę. Miał także szkła kontaktowe zmieniające kolor oczu, perukę i doklejone brwi. Nie był specem od charakteryzacji, ale pewną wprawę już w tym osiągnął.

Sarah Pritchett była najwidoczniej dobrą kochanką: Ward siedział u niej od kilku godzin. Kort nie mógł nie myśleć o tym, co wyczyniali. Wiele dałby za to, by być teraz w objęciach kobiety, zamiast na przednim siedzeniu wynajętego samochodu obierać ziemniak. Mimo to był bardzo skupiony. Pamiętał o tym, co musiał zrobić: porwać Warda i dostać się do symulatorów w zakładach Duhninga. Szczegóły porwania nie dawały się do końca przewidzieć, ale Kort był gotów na szybkie działanie w każdej sytuacji.

Gra transmitowana przez radio toczyła się dalej, a czerwone słońce znalazło schronienie w Pacyfiku. Kort wysiadł z samochodu i zdecydowanym ruchem ręki wsadził ziemniak do rury wydechowej szarego forda taurusa. Ruszył w najdalszy kąt płatnego parkingu i stanął za przyczepą firmy zajmującej się naprawą dróg. Zapalił papierosa i czekał.

Z pobliskiego sklepu wyszła grupa młodych ludzi, także palili papierosy. Wideo za 99 centów — głosił neon. Kort chciał, żeby jak najprędzej odeszli i wkrótce jego życzenie zostało spełnione.

Gra w radiu toczyła się dalej — kolejne trzy papierosy. Kort nie miał nic przeciwko temu, bo zrobiło się już tak ciemno, że wszystkie przedmioty stały się niewyraźne i nie można było trafnie ocenić odległości.

Roger Ward pojawił się za kratą strzegącą wstępu do budynku. Przy stanął i rozejrzał się ostrożnie, aby upewnić się, że nie ma świadka jego niewierności.

Kort obserwował go jak lew swój łup. Zgasił papierosa. Teraz wszystko zależało od niego: Michael i inni ludzie z „Der Grund” siedzieli w zimnych celach w Bonn. Wielu z organizacji mogło pójść na współpracę z amerykańską policją i należało się liczyć z możliwością pułapki. Musiał zaufać młodej kobiecie, chociaż od dwóch lat z nią nie współpracował; kobiecie, z którą widział się niecałe 24 godziny temu. Odgrywała teraz

w sprawie dużo poważniejszą rolę, niż początkowo planowano. Było to najbardziej ambitne zadanie, jakiego kiedykolwiek podjęła się organizacja „Der Grund” — czternaście miesięcy przygotowań.

Delikatnie strząsał popiół z granatowej kurtki i stanął w cieniu przyczepy, wiedząc, że samochód Warda odmówi posłuszeństwa.

Rozrusznik obracał silnikiem, ale taurus nie chciał zapalić. Kort cierpliwie czekał, aż otworzą się drzwi kierowcy. Ruszył w jego stronę, gdy usłyszał, że Ward wysiadł i klnie pod nosem. Postarał się o to, aby zauważył go możliwie wcześniej. Chciał, by czuł się bezpiecznie, przekonany, że Kort przychodzi mu z pomocą.

Z daleka Roger Ward wydawał się niższy, niż był w rzeczywistości. Miał włosy koloru uschniętego bambusa, wydatną szczękę i nierówno przystrzyżone bokobrody. Ubrany był w zieloną sportową koszulę z krótkim rękawem i spodnie koloru khaki. Spod podwiniętych nogawek wystawały mokasyny; lewy miał nową podeszwę. Pochylony nad maską Ward sprawiał wrażenie człowieka silnego, o dużej żywotności. Kilka godzin spędzonych z kochanką wymaga energii — pomyślał Kort.

Ward był tak przejęty swoim kłopotem, że prawie nie dostrzegł Korta. Tyle że powiedział „cholera jasna”, gdy ten go mijał.

— Ma pan kłopoty? — spytał Kort.

— Zna się pan na wtrysku paliwa?

— Nie bardzo. To wszystko jest teraz skomputeryzowane, prawda? — odparł Kort.

Powinien był pójść dalej, ale nie mógł sobie na to pozwolić. To on miał pomóc Wardowi, a nie śliczna Sarah Pritchett. Gdyby włączyła się w to dziewczyna, po cichu wyjąłby z rury wydechowej ziemniak i do konfrontacji z Wardem doszłoby dopiero potem. Wszystko zaplanował wcześniej...

— Jest pan pewien, że silnik nie jest zalany? — spytał Kort.

— Wątpię, ma wtrysk.

Jeżeli raport o nim był rzetelny, to Ward powinien zacząć się denerwować. Niebawem musi pokazać się na stadionie Kingdome i „przypadkowo” spotkać sąsiada. Potrzebne mu było alibi. Gdyby żona okazała zainteresowanie, gdzie był, sąsiad potwierdziłby, że na meczu. Ward i Sarah Pritchett wykupili bilety na wszystkie mecze drużyn Mariners, Seahawks i Sonics, i dzięki temu tylko przez kilka tygodni

w roku musieli wymyślać bardziej wyszukane alibi. Według raportu, przewidywanie działań Warda było łatwe, dzięki czemu praca z nim nie powinna sprawiać kłopotów. Był pragmatyczny i bardzo bał się żony: te cechy osobowości zdecydowały o jego atrakcyjności dla Anthony'ego Korta.

— Jadę w kierunku Denny Way — rzucił, łamiąc reguły, chociaż nie była to bezpośrednia propozycja podwiezienia.

— Tak? — okazał zainteresowanie Ward.

— Właśnie idę do samochodu.

Kort uważnie patrzył na Warda, który mimowolnie zerknął w kierunku mieszkania. Liczył się z tym, że Ward będzie chciał skorzystać z pomocy Sary Pritchett, a nawet wolał, aby tak się stało; przy drugim spotkaniu Ward miałby do niego większe zaufanie.

— Czy mógłby mnie pan podwieźć do stacji benzynowej?

Korta przeszedł dreszcz.

— Oczywiście.

Kort uruchomił silnik i ruszył, prosząc, aby Ward zapiął pas. Uprzednio go uszkodził.

Mechanizm nie pozwalał na odpięcie pasa. Ward mógł próbować uciec.

Kort wiedział, do czego jest zdolny człowiek pod wpływem paniki, bo sam doświadczył tego uczucia. Dodał gazu, mając świadomość, że nie_łatwo jest wyskoczyć z auta jadącego z dużą prędkością. Spojrzał na Warda, zauważając jego rosnące zdziwienie.

— Myślałem, że jedzie pan do Denny Way?

Kort celowo odwrócił wzrok. — Pana żona wcale nie musi wiedzieć o istnieniu Sary Pritchett, doktorze Ward.

Miał wielką ochotę zobaczyć, jak Ward blednie, a ręce zaczynają mu dygotać, ale się powstrzymał.

— Co?! — zdołał wykrztusić Ward. — Pan jest prywatnym detektywem? — spytał po chwili namysłu. — O, Boże, od jak dawna mnie podejrzewa? — A potem: — O, Boże — jeszcze kilka razy. — Nie mogę w to uwierzyć — zakończył niemal histerycznie.

— Popełniliście kilka błędów. Nie będę wchodził w szczegóły. Wspomnę tylko o waszym zainteresowaniu meblami... pozycjami... i że wielokrotnie zapominaliście... z nadmiaru namiętności?... o zasłonach... Cóż, jedno zdjęcie może wystarczyć za tysiąc słów.

Wskazał na brązową kopertę leżącą pomiędzy nimi na siedzeniu. Kątem oka zobaczył, że koperta pochłaniała teraz całą uwagę Warda.

Zatrzymał się na czerwonym świetle. Ward wziął kopertę, nacisnął guzik zwalniający pas, otworzył drzwi, wystawił na zewnątrz jedną nogę i zorientował się, że w dalszym ciągu trzyma go pas bezpieczeństwa. Kort ciężko położył rękę na jego lewym ramieniu, czekając, aż Ward spojrzy mu w oczy. Ward wciąż mocował się z pasem.

— Niech pan zamknie drzwi — powiedział ostro Kort.

Ward jęknął zrezygnowany i posłuchał go. Spojrzał pytająco na Korta.

— Powinniśmy porozmawiać, zanim pana puszcze — wycedził Kort.

Światło zmieniło się na zielone i Kort ruszył tak gwałtownie, że Ward uderzył głową o zagłówek. Dezorientacja daje dobre efekty.

— Jeżeli mi pan ucieknie, to będę zmuszony o wszystkim poinformować pańską żonę, niestety. A co pana szef z Duhninga pomyślałby sobie o uwodzeniu asystentki? Hmm? Wiem z własnego doświadczenia, że firmy nie lubią takich historii. Życie jest okrutne, za wszystko każe płacić, prawda, Roger? — odczekał sekundę i dodał: — Pozwolisz, że tak będę zwracał się do ciebie?

Ward wyjął z koperty czarno-białe zdjęcie, które nie otrzymałoby nagród za oświetlenie czy kompozycję, ale kochankowie zostali uchwyceni w jednoznacznej sytuacji: naga Sarah Pritchett, wygięta w tył, siedziała Wardowi na kolanach i namiętnie obejmowała go nogami. Ich twarze widać było bardzo wyraźnie.

— Sam to zrobiłem — pochwalił się Kort. Tę odbitkę możesz sobie wziąć na pamiątkę.

Ward ciężko westchnął, jak gdyby miał zamiar płakać.

— Pracuje pan dla Karen? — spytał.

— Nie pracuję dla nikogo — odparł Kort. — Muszę się dostać do symulatora 959-600. Tylko na trzydzieści, czterdzieści minut. Chcę sprawdzić zachowanie samolotu w kilku sytuacjach. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin dostaniesz negatywy.

— Symulator? — w głosie Warda słychać było wyraźną ulgę.

— Na pół godziny. Model 959-600. Zrobisz dla mnie kilka próbnych lotów.

— Szpiegostwo gospodarcze? Szantażuje mnie pan?

Kort zawahał się. Nie wiedział, jak Ward zareaguje na szpiegostwo, ale wydawało mu się, że jest w stanie przewidzieć reakcję na szantaż.

— Tak, szantażuję. — Ward milczał, więc Kort dodał: — Chcę, żebyś kilka razy wystartował 959. To wszystko.

Zamilkł, dając Wardowi chwilę do namysłu. Wiedział, co działo się z ludźmi w takich sytuacjach: tracili głowę. Wszystkie szufladki w głowie otwierały się naraz i powstawał straszliwy chaos; logiczne rozumowanie przychodziło z wielkim trudem. Kort przypuszczał, że Ward myśli o tym, co przedstawiała czarno-biała fotografia. Poza tym chciał, żeby do Warda dotarło, jak bardzo jest od niego uzależniony. Im bardziej Ward czuł się osaczony, tym większa pewność powodzenia całej operacji.

— Wrócimy po twojego taurusa. Jeżeli się pospieszymy, to zdążysz jeszcze na stadion, do sąsiada — zaproponował włączając radio. — Mecz się jeszcze nie skończył. — Przerażony Ward usiłował zebrać myśli. — Nadal są w pierwszej ósemce. Miejmy nadzieję, że uda im się wygrać — dodał Kort z nutą optymizmu w głosie.

W głębi duszy napawał się posłuszeństwem Warda, który całkowicie mu się podporządkował. Jak ojciec i syn: żadnego sprzeciwu, żadnych pytań. Kort stworzył scenariusz, a Ward, nie umiejąc improwizować, został pokonany przez własne słabości. Dwukrotnie spoglądał na Kortą, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale widocznie zmienił zamiar lub doszedł do wniosku, że jeszcze bardziej się pograży, bo zrezygnowany zapadł w fotelu. Kort musiał się uśmiechnąć.

— To piękne miasto — powiedział, wdychając chłodne, wieczorne powietrze i wskazując na domy i drzewa widoczne w światłach samochodów. — Chciałbym tu mieszkać.

Ward nie słuchał. W ciągu kilku minut obrabowano go z prywatności. Nigdy nie przypuszczał, aby ktokolwiek mógł śledzić jego wyprawy do Sary Pritchett i na stadion Kingdome, i pozbawić go alibi, poświęcając na to zaledwie kilka wieczorów. Ale czy ktokolwiek może się przed czymś takim ustrzec? — zastanawiał się Kort. W jego profesji istniało się wyłącznie dzięki prywatności i anonimowości. Cena za to była wysoka. Niczego nie robiło się dwukrotnie, nawet nie pozostawało się zbyt długo

w jednym miejscu, z nikim nie wolno się było spotykać. Zawsze wyprzedzać tych, którzy cię ścigają. Żyć samotnie, w świecie samodyscypliny i milczenia.

Kort nie chciał, żeby zauważono ich razem, więc szybko przesiedli się do taurusa Warda. Na szczęście płatny parking był nieoświetlony. Kort kazał Wardowi zająć miejsce kierowcy. Wyjął z rury wydechowej ziemniak i wyrzucił go w pobliskie krzaki.

— Stwarza wystarczająco duże naciski, żeby silnik nie zapalił. Niektórzy tak wymuszają pieniądze. Zawsze sprawdzaj rurę wydechową, zanim wsiądziesz do samochodu. Ocalisz w ten sposób portfel — wyjaśnił Kort, siadając na miejscu obok kierowcy. — Albo życie — dodał.

Kort był zadowolony ze swoich osiągnięć. To, co miało teraz nastąpić, wymagało pełnej koncentracji. Wjechali na Aurora Avenue i skierowali się na południe, w stronę East Marginal Way. Kilka mil dalej znajdowała się siedziba międzynarodowej firmy lotniczej Dunning. Tam, na miejscu, Kort złoży wszystkie elementy układanki. Teraz przygotowywał się do tego psychicznie.

— Zwolnij — powiedział do Warda — jedziesz zbyt szybko. Jeżeli celowo, to głupota. Jeżeli nie, jesteś zdenerwowany. Nie możemy pozwolić sobie ani na jedno, ani na drugie, rozumiesz, Roger? Po prostu jedziesz do pracy. Robiłeś to już tysiące razy. Jestem twoim gościem z Europy, który interesuje się samolotem 959-600. Nic więcej nie musisz mówić. Weź się w garść, przyjacielu, na wypadek, gdybyśmy musieli z kimś rozmawiać.

Ward spojrzął na Kortę zza kierownicy bardziej przerażony, niż Kort by sobie tego życzył. Ale skinął głową, odetchnął i wydał się Kortowi nieco spokojniejszy.

— Znakomicie — powiedział Kort w chwilę później. — A teraz do roboty.

Przez kilka kolejnych minut jechali wzdłuż nabrzeża. Kort otworzył okno i zaciągnął się słonym powietrzem znad przystani. Zastanawiał się, jak by wyglądało jego życie, gdyby był operatorem dźwigu, rybakiem, kapitanem czy majtkiem. Myślał o tych wszystkich dziwnych wydarzeniach, które sprowadziły go teraz tutaj. Burza wisiała w powietrzu. W idealnym świecie deszcz nie padałby jeszcze przez kilka godzin.

Gdy Ward włączył prawy migacz, Kort zdobył się na uśmiech.

— Gdzież ty jedziesz? Nie tutaj, jeszcze nie. Najpierw do biura przepustek.

— W symulatorach nie ma ochroniarzy — zaprotestował Ward.

— To prawda, w środku ich nie ma — sprostował Kort. — Wiem coś o tym.

To właśnie całkowity brak zabezpieczeń sprawił, że jego celem stał się Dunning. Najlepsze są rozwiązania proste i był pewien, że będzie tak i tym razem. Z niewytłumaczalnych przyczyn ludzki umysł poszukuje zwykle rozwiązań skomplikowanych, stawiając chaos nad porządkiem. Kort był niczym matematyk zawsze wyszukujący najmniejszy wspólny mianownik; wszystkie zadania rozbierał na czynniki pierwsze i starał się uprościć każdy element stanowiący potencjalne zagrożenie.

— Jeżeli się nie zarejestrujemy, to strażnicy mogliby pytać, dlaczego tu zaparkowałeś. Poza tym gościom zawsze wydaje się przepustki.

Ward z przestrachem spojrział na niego; wiedza Korta po raz kolejny okazała się najbardziej przekonującym argumentem. Ward pojechał dalej i skręcił w lewo, obok posterunku ochroniarzy. Ponieważ samochód miał na szybie naklejkę Duhninga, pozwolono im jechać dalej. Minęli szereg niewielkich parkingów i zatrzymali się przed dobrze oświetlonym, przeszklonym budynkiem.

— Możesz się nie denerwować — powiedział Kort, zanim wysiedli z samochodu. Powiedział to zarówno do Warda, jak i do siebie.

— Będą żądali dowodu tożsamości — niepokoił się Ward.

— Pokażę im dowód tożsamości — rzekł uspokajająco Kort. — Doktorze, nie jest wykluczone, że wiem o ich pracy więcej niż oni sami, prawda? Więc po co się tak denerwować? Nie będzie żadnych niespodzianek. — Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej pióro. — Jako dziecko z pewnością bawiłeś się atramentem sympatycznym — chcąc uspokoić Warda udał, że się uśmiecha. — Moją wizytę wpiszę tym piórem — powiedział, podając je Wardowi.

Za barierą siedziało dwóch mężczyzn w ciemnoniebieskich kombinezonach; naszywki na ramionach przedstawiały sylwetkę samolotu na tle księżycy. Kort usłyszał ciche odgłosy dochodzące z telewizora. Jeden

z mężczyzn wydał im przepustkę, a Ward wpisał Korta na listę gości.

— Ma pan prawo jazdy? — spytał wyższy mężczyzna.

Kort wyjął swój nowiutki portfel i pokazał niemieckie prawo jazdy. Strażnik był najwidoczniej zadowolony z podobieństwa Korta do osoby na zdjęciu, bo powiedział:

— W porządku, dziękuję.

Zostawili strażników, aby dalej mogli w spokoju oglądać program. Gdy dochodzili do samochodu, Kort poprosił Warda o zwrot pióra i schował je do kieszeni. Wszystko znów było na swoim miejscu.

Ward włączył migacz i skręcił w prawo na Marginal Way, a zaraz potem w lewo w wąską drogę, o jedną przecznicę przed główną kwaterą Duhninga. Samochód podskoczył na starych torach kolejowych. Z ciemności wynurzyły się ogromne budynki. W środku paliło się ostre światło; pracowała nocna zmiana. Ward dwukrotnie skręcił w lewo i zatrzymał samochód przy budynku z niewielkimi okienkami, które skojarzyły się Kortowi z akwariem. Na ścianie widniały wielkie litery: E-17.

Wnętrze okazało się nieciekawe. Środek brązowego chodnika zupełnie wytarty, na ścianach obowiązkowe kolorowe zdjęcia, ilustrujące historię i osiągnięcia Duhninga. Oświetlenie dobre, ale było trochę duszno. Wnętrzu dobrze zrobiłaby niewielka zmiana wyglądu.

Ward szedł zbyt szybko.

— Nie musimy się spieszyć — powiedział cicho Kort. Obydwie ręce wsadził w kieszenie, aby nie było widać rękawiczek. — Wpadniemy do twojego biura, dobrze?

Kort zamknął drzwi. Na biurku leżały sterty papierów, było ich także pełno na tablicy informacyjnej. Na biurku przy oknie wychodzącym na południowy parking stał komputer. Na dłuższej ścianie wisiało sporo kolorowych fotografii przedstawiających Warda w różnych samolotach. Teraz wyglądał dużo starzej: był przygarbiony i miał podkrążone oczy. Ward sprawdził rozkład zajęć na symulatorze. Potwierdził informację Korta: 959-600 był wolny. Mechanicy mieli rozpocząć prace konserwacyjne dopiero o drugiej nad ranem.

— Czy na pewno nikogo nie spotkamy? — spytał Kort.

— Nie o tej porze.
— Jeżeli się na kogoś natkniemy, jestem po prostu gościem. To chyba nie powinno wzbudzić podejrzeń.

— Jest tak, jak pan powiedział w samochodzie: symulator oglądają rocznie setki gości, którzy przychodzą o najróżniejszych porach.

Kort zauważył, że Ward przez chwilę patrzył na fotografię zaniedbanej kobiety w średnim wieku. Obok niej stała sześć- czy siedmioletnia dziewczynka w stroju kąpielowym, z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Nie dowiedzą się o tym. Zawsze dotrzymuję słowa — powiedział Kort.

— Oczywiście, że nie.

— Nie wierzysz mi...

— A czy to ma jakieś znaczenie? — spytał Ward. — Nie wiem, do czego pan zmierza, ale jeżeli chce mnie pan nakłonić do jakiejś współpracy, to z góry mówię, że się na to nie zgadzam. Rozumiemy się? — Ward zaczął odzyskiwać równowagę, prawdopodobnie dlatego, że znalazł się na swoim terytorium. Kort chciał, żeby Ward był pewny siebie, ale nie na tyle, żeby zaczął się stawiać. — Wszystko, co pan uzyska, to dzisiejszy wieczór.

Kort nie mógł pozwolić zbytnio mu ochłonać.

— Jeżeli znajdzie taka potrzeba, przedstawisz mnie jako Davida Anthony'ego, przedstawiciela belgijskich linii lotniczych. Przerwaliśmy negocjacje z firmą AirBus i zastanawiamy się nad odkupieniem od linii Continental czterech maszyn typu 959, zamówionych na 1996 rok. Jeżeli się dogadamy, będzie nam potrzebny kurs pilotażu i symulator. Zgoda?

— Pan to wszystko wcześniej zaplanował, prawda? — gorzko spytał Ward.

— Inaczej by mnie tutaj nie było — odparł Kort.

Przeszli przez długi korytarz i wspięli się po metalowych schodach. Staęli przed stalowymi drzwiami, otwieranymi kodem cyfrowym. Ward zawahał się; być może zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze może uniknąć tego, co miało się stać.

— Wiem, że wejście na parter nie jest strzeżone — powiedział Kort. Tylko wejście na piętro wymagało znajomości szyfru.

Ward posłusznie wprowadził kod i otworzył drzwi do ogromnego, jasnego pomieszczenia z przeszklonym sufitem, przypominającego salę gimnastyczną.

Ruszyli chodnikiem. Po prawej stronie, wsparte na dźwigarach, stały cztery białe symulatory. Wyglądały jak statki kosmiczne. Hydraulika doskonale imitowała wrażenia prawdziwego lotu, podczas gdy za sterami siedzieli niewidoczni piloci. Na każdym symulatorze wyróżniały się metalowe płaszczyzny; były to ekrany, dzięki którym piloci widzieli komputerowy świat. Aby wrażenie rzeczywistości było zupełne, ekrany pokazywały także obraz z bocznych okien samolotu. Były to jedne z najnowocześniejszych symulatorów na świecie.

— To są parametry lotniska — powiedział Kort, podając Wardowi złożoną kartkę papieru.

Ward niechętnie wziął ją do ręki i wyjął okulary.

— Niech pan tu na mnie zaczeka — powiedział, wchodząc na aluminiową drabinkę prowadzącą do symulatora. Wszedł do środka, zostawiając otwarte drzwi i po chwili wyszedł z powrotem. Spojrzeniem dał Kortowi znak, żeby za nim poszedł.

Za drzwiami z napisem „Simulator Computers” powietrze miało temperaturę siedemnastu stopni i było wtłaczane z takim ciśnieniem, że otwarcie drzwi wymagało użycia siły. Kort poczuł podmuch chłodnego powietrza. Zdziwił go opór stawiany przez drzwi. Przeszedł przez próg i ruszył za Wardem; drzwi zamknęły się same. Pomieszczenie miało podwyższoną podłogę, pod którą znajdowały się kable prowadzące do komputerów. Z okien widać było salę z czterema symulatorami. Minęli szumiące komputery mainframe, przetwarzające osiemdziesiąt milionów bajtów trzydzieści razy w ciągu sekundy. Wprowadzenie parametrów lotniska zajęło Wardowi niecałe pięć minut.

— Lotnisko LAX mamy w bazie danych. Wystarczyło powiedzieć, że o to chodzi — cicho zauważył Ward, gdy wracali do symulatorów.

Słowa Warda przeraziły Kortą, pomimo chłodnego powietrza zrobiło mu się gorąco. Wiedza Warda i jego pewność siebie mogły stać się kłopotliwe. Kort nie przypuszczał, że Ward będzie w stanie rozpoznać

lotnisko w Los Angeles na podstawie jakichś liczb i doszedł do wniosku, że przekazał mu zbyt wiele informacji. Czy tak doświadczony oblatywacz samolotów nie domyśli się, dlaczego Kort przeprowadza testy? Czy nie przejrzy jego zamiarów? Zaczął narastać w nim strach.

Gdy Kort wszedł do symulatora, Ward elektronicznie uniósł drabinę, aby symulator mógł bez przeszkód poruszać się na ogromnych hydraulicznych dźwigarach. W środku królowała elektronika. Ward zamknął właz. Obydwaj mężczyźni skuleni dotarli do sterów, Kort czuł się trochę zagubiony. Na pulpicie mrużyły setki wskaźników. Okna wychodziły na lotnisko — symulowane lotnisko, ale tak znakomicie naśladujące rzeczywistość, że Kort czuł się tak, jakby istotnie byli na pasie startowym. — To wspaniałe... — szepnął mimowolnie.

Ward z kwaśną miną przez chwilę zajmował się komputerem przy stanowisku instruktora, po czym zajął miejsce pilota.

Kort siadł tuż za nim, na miejscu przeznaczonym dla instruktora. Czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Nie chciał, żeby Ward zobaczył go w takim stanie.

Anthony Kort cierpiał na agorafobię — lęk wysokości. Sama myśl o locie samolotem, nie mówiąc już o siedzeniu w kabinie nawigacyjnej, wywoływała u niego mdłości. Pierwotnie zadanie miało zostać wykonane przez innego człowieka. Ale teraz spadło na jego barki: za wszelką cenę musi przeprowadzić je do końca.

— Powiem ci, co masz zrobić: wystartujesz z pełnym obciążeniem i zaczniesz się wznosić. Na mój znak puścisz stery.

— Przecież samolot się rozbije — zaoponował Ward, który spodziewał się innego zadania. — I nie będzie to jego winą — dodał, broniąc swojego dziecka. — Bez odrzutu spadnie na ziemię jak kamień.

— Rób, co każe — powiedział szorstko Kort.

— Mam rozbić samolot? Ależ to absurd!

— Zrób to. — Kort odwrócił wzrok od migających wskaźników, koncentrując uwagę na zegarku. Nie mógł patrzeć w ekrany; nie mógł sobie pozwolić na okazanie jakichkolwiek oznak słabości. Poza tym i tak musiał dokładnie zmierzyć czas.

Inżynierowie pracujący dla „Der Grund” spędzili miesiące, studiując szczegóły techniczne samolotu 959, aby ich teoretyczne obliczenia

okazały się jak najbliższe rzeczywistości. Teraz, dzięki symulatorowi, Kort miał się przekonać, czy tak było.

Samolot zaczął sunąć po pasie startowym, a Kort odmierzał czas. Gdy zegarek wskazywał pięćdziesiąt cztery sekundy, krzyknął:

— Teraz!

Ward puścił ster i głębiej usiadł w fotelu; przez głośniki słyszeli narastający gwizd, a samolot spadał coraz szybciej. Obraz na ekranach w połączeniu z dźwiękiem z głośników dostarczał przerażająco realistycznych odczuć. Samolot uderzył w ziemię i nagle wszystko ucichło.

Pomimo to, że Kort nie patrzył w ekrany, i tak potrzebował kilku chwil, żeby dojść do siebie. Sprawdził wskazania niektórych przyrządów. Wyniki pierwszego testu nie były zadowalające; Ward będzie musiał ponownie wystartować, puszczając stery w innym momencie. Tym razem po pięćdziesięciu dwóch sekundach.

Ward ponownie nastawił parametry lotu. Kabina uniosła się do normalnej wysokości, ekran zamrugał i znów pojawił się na nim pas startowy lotniska w Los Angeles.

Pilot-Ward startował jeszcze sześciokrotnie, krócej lub dłużej pozostając w powietrzu. Za szóstym razem osiągnął już prawie to, o co chodziło Kortowi. Podniecony sukcesem, odczuwając zawroty głowy z powodu lęku wysokości, Kort kazał Wardowi puścić ster po czterdziestu siedmiu sekundach.

Stereofoniczny odtwarzacz, mający sześćdziesiąt cztery ścieżki, reprodukuje basy silników i wszystkie możliwe jęki hydrauliki, towarzyszące chowaniu podwozia. Przód samolotu uniósł się w górę, silniki zawyły jeszcze głośniej. Na znak Korty Ward puścił ster. Samolot runął w dół jak kamień i po chwili się roztrzaskał. Kort pochylił się do przodu, by sprawdzić wskazania zegarów. Uśmiechnął się triumfalnie i wokół liczby 47 zakreślił kółko. Jeszcze raz. Potrzebował jeszcze jednej próby.

— Nie lubi pan latać — stwierdził Ward. — Ani razu nie spojrzął pan w ekrany.

Spostrzeżenie Warda przeraziło Korty. Ostatnia próba udała się znakomicie. Rozpierała go duma i gdyby był sam, z pewnością dałby temu wyraz. Perfekcja była dla niego wszystkim. Dokładnie 47 sekund. Ale potrzebował ostatecznego potwierdzenia testu, musiał mieć pewność, że sukces można powtórzyć. O to przecież chodziło.

— Zróbmy to jeszcze raz — rozkazał.
— Czterdzieści siedem sekund?
— Dokładnie tak samo jak poprzednim razem.
— Co pan właściwie chce zrobić? Kim pan jest? To nie jest szpiegostwo przemysłowe, prawda? Chodzi o coś innego — Ward odwrócił się do Korta.

— Niech pan pilotuje — warknął Kort.

Ward był najwyraźniej wściekły; jego strach przeszedł w gniew. Rozumiał już sens testów. Kort pomyślał, że osiągnął to, czego chciał. Zachowanie Warda budziło obawy i już zamierzał zrezygnować z kolejnej próby, gdy Ward otworzył przepustnice i zaczął kołować na start. Po krótkiej chwili amortyzatory jęknęły i samolot uniósł się w powietrze. Szedł pełnym ciągiem na dopalaczach; wznosił się pod zbyt ostrym kątem. To nie tak miało być! Kort chciał rzucić się w kierunku Warda, ale popełnił fatalny błąd: podniósł wzrok. Ekran zahipnotyzował go i nie był w stanie odwrócić od niego wzroku. Dziób samolotu wciąż celował w niebo. Ward gwałtownie skręcił w lewo, a potem w prawo. Kabina posłusznie wykonywała wszystkie zygzaki. Kort nie miał zapiętego pasa i wypadł z fotela.

— Przestań! — powiedział słabym głosem.

Symulator w dalszym ciągu posłusznie wykonywał zygzaki i skoki, do których zmuszał go Ward.

— Przestań! — spróbował jeszcze raz, ale tym razem wymiotował.

— Może uda ci się zniszczyć moje małżeństwo, które i tak nie jest do uratowania — Ward starał się przekrzywić ryk silników — ale nie pozwolę na sabotaż jednego z moich samolotów. Nie przyłożę do tego ręki.

— Przestań! — krzyczał Kort, czując niewielką ulgę.

Samolot przeszedł w ostre nurkowanie, gdy Ward opuścił fotel pilota.

Kort rzucił się do przodu i złapał go za kostkę.

Samolot spadał, wydając coraz wyższe tony. Mężczyźni siłowali się. Ward krzyczał, Kort zaczął go dusić.

Spadający samolot kontynuował szaleńczy lot ku zniszczeniu. I choć Kort wiedział, że musi rozluźnić uścisk, nie był w stanie tego zrobić. Cały swój strach wylał na szyi Warda. Powoli zaczął odzyskiwać

panowanie nad sobą. Ward bezwładnie osunął się na podłogę, jego twarz była szara. Już nie żył.

Dopiero w ciszy, która zapadła po katastrofie dotarło do Korta, co się stało. Zamordował Warda. Będzie śledztwo. Zabójstwo zostanie połączone ze sprawą symulatora 959. Stanie się wszystko to, czego tak bardzo chciał uniknąć.

Nigdy nie wpadał w panikę, ale teraz właśnie to zrobił. Mówił do siebie, próbując się usprawiedliwić. Przecież musiał odzyskać nad nim kontrolę; chciał go tylko zmusić do posłuszeństwa. Uderzając jeszcze ciepłego trupa w twarz usiłował go wskrziesić. Potrzasał nim.

Żyj, skurwysynu! — krzyczał. Głowa bezwładnie przechylała się na boki, jak gdyby chciała powiedzieć: nie!

Powoli dochodził do siebie. Zabijanie nie było dla niego nowością. Puścił Warda, który ciężko upadł na podłogę. Kort miał to, czego chciał: spełnił swoją powinność. Uruchomił schodki i z napięciem wsłuchał się w odgłos poruszającego nimi silnika. Otworzył włącznik, wystawiwszy głowę, rozejrzał się dookoła. Pozostałe trzy symulatory miały wciągnięte schodki, co oznaczało, że ktoś z nich korzystał. Spojrzał na zegarek: do końca czterogodzinnej zmiany zostały jeszcze prawie dwie godziny.

To dawało mu szansę.

Nie mógł zostawić ciała w symulatorze, bo zbyt szybko zostałyby odnalezione, a to skróciłoby czas potrzebny na ucieczkę.

Podniósł Warda, przerzucając sobie jego rękę przez głowę. Rozejrzał się jeszcze raz i zsunął się z drabinki. Nogi Warda bezwładnie obijały się o stopnie. Wydawało mu się, że droga nie ma końca, ale wreszcie dotarł do pomieszczenia z komputerami. Ciężko oparł się o drzwi. Gdy był już po ich drugiej stronie, natychmiast puścił Warda. Ciało bezwładnie się osunęło. Początkowo zamierzał je ukryć między komputerami, ale zmienił zamiar, słysząc pusty dźwięk, który rozległ się w chwili, gdy zwłoki Warda upadły na podłogę. Zaciągnął je do kąta, mijając po drodze sześć rzędów dużych komputerów. Otworzył jedną z klap w podłodze; jego oczom ukazała się płatanina drutów. Podniósł cztery pozostałe klapy i rozsunął przewody.

Nagle zorientował się, że ktoś uruchomił schodki trzeciego symulatora. Jedna z załóg zrobiła sobie przerwę! Kort był przerażony;

błyskawicznie upchnął ciało Warda pod podłogą. W wielkim pośpiechu pozamykał wszystkie klapy, przypominając sobie w ostatnim momencie o kluczach do samochodu w kieszeni Warda. Zdenerwowany, dopiero po chwili uporął się z ostatnią klapą.

Przystanął przy drzwiach, pragnąc odzyskać kontrolę nad biegiem wypadków. Zadzwoeni do niej; będzie musiała zmienić swoje plany. Mógł tylko to. Zaufać jej. Bezgranicznie.

Schodki były już prawie opuszczone. Czy powinien biec od razu, czy czekać, aż piloci go miną? Nie miał chwili do stracenia, musiał działać szybko.

Otworzył drzwi i zaczął biec najszybciej, jak potrafił.

Wiedział, że musi wrócić do hotelu, aby zabrać swoje rzeczy, posprzątać pokój i usunąć wszelkie ślady świadczące o jego pobycie. Miał bogate doświadczenie w takich nagłych odwrotach, były częścią jego pracy. Pokój opłacił do piątku rano i do tego czasu mógł się czuć bezpiecznie. Po tem pojedzie do Los Angeles, gdzie spędzi kilka dni na przygotowaniach. Wciąż jeszcze dałoby się odwołać całą operację.

Ale musi wysadzić samolot.

Odszukanie samochodu zaparkowanego na bocznej ulicy zajmie policji kilka dni, a może nawet tygodni.

Kort zabrał swój samochód z płatnego parkingu.

Nie zamierzał zabić Warda. Teraz płacił wysoką cenę za brak opanowania i musiał jak najszybciej wyjechać.

W hotelowym holu zwrócił uwagę na kobietę, która od dłuższego czasu odkurzała ten sam kawałek olbrzymiego, czerwonego dywanu. Wydawało mu się, że zasnęła. W recepcji siedział smutny, młody człowiek. Jego włosy wyglądały na wiecznie mokre, a błyszczące oczy świadczyły o zmęczeniu; obłoczki pary zdradzały, że za ladą była ukryta filiżanka z kawą.

Kort nie zatrzymał się przy recepcji. Nie chciał, aby zapamiętano jego twarz. Pojechał windą na swoje piętro i zadzwonił do recepcji z pokoju.

— Tu recepcja — odezwał się zaspianym głosem młody człowiek. — Czym mogę panu służyć?

— Potrzebne mi są obcegi — powiedział Kort.

— Obcegi? — zdziwił się recepcjonista. — Czy w pańskim pokoju coś się zepsuło?

- Nie. Po prostu potrzebne mi są obcegi.
- Ludzie z obsługi technicznej powinni mieć coś takiego. Zobaczę, co się da zrobić, sir. Czy mam je panu dostarczyć do pokoju?
- Bardzo proszę. Byłbym wdzięczny za wiadomość, gdyby okazało się to niemożliwe.
- Oczywiście, sir.

Kort czekał przy telefonie przygotowany na porażkę. Z doświadczenia wiedział, że kłopoty zawsze chodzą parami. Pojedynczo żaden z nich nie stanowił zagrożenia, ale ich połączenie mogło go kosztować życie. Kłopoty przeważnie zaczynały się wtedy, kiedy człowiek wcale się ich nie spodziewał. Dlatego Kort zawsze starał się być czujny.

Ze zdziwieniem przyjął fakt, że już po kilku minutach dostarczono mu to, o co prosił. To był dobry znak. Obcegi były aluminiowe i miały zielone uchwyty. Kort wysterylizował je wrzącą wodą w maszynie do kawy, należącej do wyposażenia pokoju.

Musiał wyrwać zepsuty ząb. Nie było innego wyjścia. Zamierzał go usunąć nazajutrz, ale teraz musiał wyjechać natychmiast. Nie miał wyboru. Przez kilka długich minut Kort patrzył na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i na trzymane w ręce obcegi.

Zmuszała go do tego sytuacja. Organizacja „Der Grund” została zdzięsiątkowana; z szesnastu ludzi tylko jemu i dwóm czy trzem członkom udało się uniknąć obławy. Gdy dowiedział się, co się stało, wysiadł właśnie z transatlantyckiego statku w Nowym Jorku. Zdał sobie wtedy sprawę zarówno z zagrożenia, jak i smaku wolności, która nie była dana innym członkom organizacji. Zgodnie z planem, sypialnym pociągiem dotarł przez Chicago do Seattle. Jeżeli swoje zadanie wykona bezbłędnie, cała operacja się powiedzie.

Oznaczało to, że ząb należy usunąć. Dwukrotnie brał do ręki obcegi i dwukrotnie je odkładał. Pomyślał, że w czasie wrywania mógłby zemdleć i rozejrział się wokół, szukając kanciastych przedmiotów. Nie było to dobre miejsce na upadek.

Nie obędzie się bez krwi. Może jej być nawet dużo — Kort nie był tego pewien. Z trzaskiem zerwał zabezpieczenie na zakrętce wody utlenionej, zastanawiając się, czy będzie miał dość siły, by przepłukać nią usta. Infekcja mogła stać się jego najgorszym wrogiem. Dlatego konieczna była

woda utleniona. Na samą myśl o operacji zrobiło mu się niedobrze. Po raz kolejny odłożył obcęgi.

Położył je na brzegu wanny, obok chusteczek i butelki z wodą utlenioną. Wszedł do wanny i wsunął pod głowę ręcznik. Teraz mógł krwawić. Jego uwagę zwróciła brzydota zasłony w pomarańczowe i trupiofioletowe pasy. Wydało mu się, że fioletowych pasków było więcej. Takie rzeczy istniały po to, żeby szefowie wydziałów skarg i wniosków zbytnio się nie nudzili. Zastanawiał się, czy ktoś w ogóle czyta te skargi. Wątpił, aby szefowie sieci hoteli mieli na to czas. Pozwolił sobie na myślenie o takich rzeczach dla uspokojenia. Przez kilka minut zastanawiał się, jak murarz kładł tynk, a potem przyglądał się zlewowi i rurom odprowadzającym wodę.

Należało usunąć ząb. Teraz.

Podniósł obcęgi do ust i zastygł. Przypomniawszy sobie, do czego potrzebne było lustro: musiał widzieć, co robi. Wyszedł z wanny, wszystkie sprzęty położył na zlewie i znów spojrzał na swoje odbicie. Po prostu nie mógł zemdleć: musiał zachować pełną kontrolę.

Otworzył szeroko usta, ustawiając głowę tak, aby tylne zęby były jak najlepiej oświetlone. Brązowawy, zepsuty ząb, przysparzający mu bólu od dwóch tygodni, znajdował się z tyłu. Należało z tym skończyć.

Na wszelki wypadek kupił Anbesol i pomyślał teraz, że mógłby go zażyć od razu. Chodziło przecież o uśmierzanie bólu.

Otworzył fiolkę z Anbesolem. Wszystko starannie przewidział: Anbesol, wyrwanie zęba, woda utleniona, Anbesol. Powtórzył to sobie głośno, bojąc się, że potem nie będzie mógł logicznie myśleć. Dotknął obcęgi językiem i poczuł, że wciąż jeszcze są ciepłe. Gdy włożył je do ust, przestał widzieć ząb. Zastosował metodę prób i błędów; każda pomyłka oznaczała ból. Otworzył usta jeszcze szerzej i zacisnął obcęgi. Nogi się pod nim ugięły i nie miał już wątpliwości: złapał właściwy ząb. Nie było mowy o pomyłce. Policzywszy w myślach do trzech, mocno szarpnął.

Krzyk, zanim zdołał zabrzmieć, został zduszony ręką, którą przycisnął sobie do twarzy. Obcęgi wraz z zębem upadły na podłogę, a Kort sięgnął po wodę utlenioną. Wziął spory łyk; drugi krzyk był znacznie głośniejszy, bo w płucach miał teraz więcej powietrza.

Wypluł krew do zlewu. Anbesol.

Nie chciał myśleć o bólu.

Czy szef firmy rzeczywiście czyta te wszystkie zażalenia?

3

Rozpadające się bloki murzyńskiego getta w Waszyngtonie straszyły nad zanieczyszczoną rzeką Anacostia. Po jej drugiej stronie wznosił się dwunastopiętrowy budynek, wyglądający z daleka na mieszkalny. Była to siedziba głównej kwatery FBI. Tu właśnie Cam Daggett codziennie przychodził do pracy. Pracownicy nazywali ten gmach Buzzard Point, bo tak nazywała się ziemia, na której stał budynek.

Gmach Hoovera przy Pennsylvania Avenue, powszechnie uważany za kwaterę FBI, był w rzeczywistości siedzibą administracji kontrolującej pracę 55 terenowych biur. Z wyjątkiem kilku chemików, pracowali tam sami urzędnicy.

Buzzard Point był biurem terenowym. Ponieważ strefa jego działania obejmowała cały okręg waszyngtoński, zdarzało się, że śledztwa nabierały charakteru ogólnopaństwowego.

Pomieszczenia biurowe oddzielone były od siebie dwumetrowymi ściankami działowymi. Sekcja C-3 miała dziewięć biurek, nie licząc biurka sekretarki, Glorii DeAngelo. Stało tu także puste biurko. Kiedyś należało do Boba Backmana.

Gloria była pięćdziesięciodwuletnią kobietą. Długie, ciemne włosy spadały jej na ramiona. Bystre spojrzenie ciemnych oczu i wyprostowana sylwetka sprawiały, że wyglądała znacznie młodziej. Odruchowo poprawiła fryzurę. O tak wczesnej godzinie byli z Daggettem sami.

Podeszła do niego z kawą.

— Mogę ci pomóc w przeprowadzce.

Daggett usłyszał, że Gloria mówi do niego, ale uszkodzony bębenek zniekształcił wszystkie zgłoski. Szybko nauczył się przykładać słuchawkę telefonu do lewego ucha i odruchowo stawał bokiem do rozmówców. Powstrzymywał się także od zbyt głośnego mówienia. Głuchota była powodem wielu przykrych nieporozumień i stanowiła przedmiot troski Daggetta. Świat dźwięków po jego prawej stronie przestał istnieć.

— Nie przeprowadzam się, Glorio. Odmówiłem. Nie mam zamiaru przyjmować awansu z powodu głupoty Backmana — dodał, zanim Gloria zdążyła cokolwiek powiedzieć. — Teraz Pullman będzie naszym zwierzchnikiem. On musi dostać kopa w górę, a ja nie chcę. — Przeglądał stertę różowych formularzy. — Po południu lecę do Seattle. Tamtejsze biuro terenowe ma coś dla mnie.

— Bądź rozsądny.

— Rozsądny? Jeżeli zgodzę się na awans, to stracę i status agenta, i śledztwo. Odstawią mnie gdzieś za biurko, Glorio. Będę musiał wysiadywać na trzygodzinnych konferencjach. To nie dla mnie.

— Jesteś samolubny.

— Owszem. Słyszę to dość często i nie musisz mi tego powtarzać — powiedział gniewnie i od razu pożałował swojego tonu. Ale Gloria nie wydawała się być urażona.

— Nie możesz zmienić tego, co się stało.

— Jeżeli uda ci się ułożyć do tego melodyjkę, to razem z Carrie możecie śpiewać w duecie — powiedział rozgoryczony. Był zły. Odłożył kartki z powrotem na biurko. Nie potrzebował porad domorosłych psychologów. Tym bardziej nie chciał słyszeć prawdy. — Będziesz porządkować rzeczy po Backmanie. Ten skurwiel lubił ukrywać różne rzeczy. Gdybyś coś znalazła, mógłbym...

— Jeszcze go nie pochowali, a już mówisz o nim źle.

— O nikim nie mówię źle. Po prostu usiłuję znaleźć detonator Bernarda. — Rzucił okiem na pocztę i przejrzał swoje notatki. — A co z raportem Meechama? — zmienił temat.

— Zostawił dla ciebie wiadomość. Masz się z nim spotkać w biurze.

— Dzisiaj?

— Tak, zaraz. Powiedział, że chciałby to już mieć z głowy.

- Nie tylko on.
- Ale jesteśmy dziś grzeczni!
- Grzeczni? Przychodzę do pracy i od razu mam uczucie *déjà vu*. — Miał nadzieję, że zjedna ją odrobiną humoru, ale nie wyszło.
- Za biurkiem jest bezpieczniej.
- Czy wymyślacie te dialogi razem z Carrie, czy też mam uwierzyć, że to zbieg okoliczności?
- Cóż mogę poradzić na to, że jesteś taki uparty? Powinieneś wreszcie wyciągnąć wnioski, i to nie tylko z własnych błędów, ale z cudzych. Backman niczego się nie nauczył. Żyłby dalej, gdyby został za biurkiem.
- Backman był idiotą — wtrącił przytomnie Daggett i posmutniał.
- Twój syn jest na wózku, chyba nie muszę ci o tym przypominać — Gloria była czerwona ze zdenerwowania. Zamilkła. Wiedziała, że powiedziała za dużo, ale nie mogła już cofnąć słów.
- Nie, nie musisz... — powiedział cicho. Chciało mu się płakać i starał się powstrzymać łzy.

To nie był sen. Nie mógł się uwolnić od tego widoku. Ten obraz wywoływały nie tylko zapach i dźwięk; przez jakiś czas wystarczyło dotknąć wełny. I nie było sposobu, żeby się od tego wyzwolić.

Stoi na samym środku sali gimnastycznej w Niemczech. Władze wyznaczyły ją na identyfikację bagaży. Większość z nich znajduje się w plastikowych workach z karteczkami, na których zapisano w jakiej odległości od miejsca katastrofy je znaleziono. Po kilkunastu minutach zaczyna ją go piec oczy. Sama ilość ubrań, toreb, aparatów fotograficznych, portfeli, papierów, lasek, wózków dziecięcych, kijów golfowych i komputerów przerasta jego wytrzymałość. Zaczyna płakać. Płakał przez ostatnie trzy dni. Czasem wystarcza mu widok rodziny; czasem coś, co usłyszy na naradach. Poprzedniego dnia zobaczył na polach jelenia i też płakał. Nie wie, czy wytrzyma. Boi się, że zacznie płakać i nie będzie mógł przestać.

Przekłada torbę po torbie, żeby lepiej widzieć, co jest w środku. Lalka bez głowy. Jadąc na miejsce katastrofy zobaczył na drzewie trupa kobiety. Wisiała za nogi, głową w dół. Miała zdarte ubranie, ramiona zwisały w dół, jak gdyby skakała do wody. Bez kropli krwi.

Był to jego pierwszy kontakt z katastrofą, która wydarzyła się w sielskiej atmosferze niemieckiej wsi. Zastanawiał się, czy dziecko, do którego należała lalka, było córką tej kobiety.

Liczba osób, które przeżyły: cztery. Wyłącznie dzieci. Jedno z nich, jego syn, zostało sparaliżowane. Podobnie jak pozostałe 327 osób, które już nie istniały, dzieci także spadły z wysokości pięciu kilometrów. Wszystkie wylądowały na mokradłach, na zachód od wioski. Nikt nie był w stanie wytłumaczyć, jak to się stało, że ocalały. Jedno dziecko z powodu infekcji, której nabawiło się w szpitalu, było w stanie krytycznym. To nim najbardziej interesowała się telewizja: przeżyć upadek z pięciu kilometrów po to, żeby umrzeć z powodu infekcji...

Zostawia lalkę, wymija torby i walizeczki. Idzie dalej wśród przyborów toaletowych i rozsadzonych pojemników z pianą do golenia, kaset magnetofonowych i gazet. Przypomina to wysypisko śmieci.

Zatrzymuje się. Wyciąga rękę, ale dłoń trzęsie się tak bardzo, że z powrotem chowa ją do kieszeni. To nie jest torba plastikowa. Jeszcze nie. Będzie nią dopiero wtedy, gdy się zidentyfikuje i opisz ten przedmiot, gdy zostanie wciągnięty na listę, którą wprowadzi się do komputera. W końcu wszystkie, pozornie chaotyczne informacje z bazy danych pozwolą krok po kroku prześledzić, co się stało.

To but Duncana. Cały w błocie i trawie z mokradeł. Tylko jeden. But, który Duncanowi już nigdy nie będzie potrzebny. Znaleziony pomiędzy rzeczami należącymi do kogoś innego. Między spodniami i zakrwawioną koszulą but jego syna.

Daje znak jednemu z ludzi w mundurze. Mężczyzna wygląda na śmiertelnie zmęczonego. Niektórzy z nich nie zmrużyli oka od siedemdziesięciu dwóch godzin. Jest przejęty wysiłkiem tych ludzi, tego wycieńczonego chłopca w mundurze, ludzi z wioski, którzy już nigdy nie będą tacy sami jak kiedyś.

Laboratorium terenowego biura FBI zajmujące się środkami wybuchowymi znajdowało się w gmachu Hoovera. Było tu pełno tekturowych pudeł, mikroskopów i przeszklonych szafek, w których zgromadzono najróżniejsze środki wybuchowe. Daggett nie lubił tego miejsca.

Dwaj technicy w białych fartuchach nawet na niego nie spojrzeli, gdy przeszedł przez ich pracownię, kierując się do biura Meechama.

Chaz Meecham, ciemnowłosy mężczyzna o przenikliwych niebieskich oczach, zawsze mówił szybko, a na jego twarzy przeważnie igrał lekki uśmiešek.

— Słuchaj, wreszcie udało nam się czegoś dowiedzieć o tym, co Bernard robił w hotelu. Ale przez Backmana sprawa Bernarda będzie musiała trochę poczekać. Może chciałbyś się tym zająć, zanim go zakopiemy do ziemi? Nie patrz tak na mnie, Michigan. Takie jest życie...

Daggett przygryzł dolną wargę.

— Prawie wszystko wylapały filtry próżniowe, co znaczy, że te cząsteczki są tak małe, że trzeba je oglądać pod mikroskopem. Większość z nich była w dywanie. Bernard posprzątał po sobie bardzo starannie. Mamy je właśnie dlatego, że były takie małe. Nikt nie jest w stanie usunąć po sobie wszystkiego, nawet Bernard. Znaleźliśmy kawałki cyny z domieszką srebra. To materiał wysokiej jakości. Znaczy to, że budował jakieś skomplikowane urządzenie albo urządzenia. Największe były kawałki plastiku — ciągnął, podsuwając Daggettowi fotografię, na której widniały obok skali, dzięki temu można było się zorientować jakiej są wielkości. Daggettowi nic się nie wyjaśniło, spojrzął pytająco. — Często mam z tym do czynienia. Ludzie, którzy śledzili Bernarda widzieli, jak wchodził do sklepu z częściami samochodowymi. Nie wiedzieli, co kupił, ale ja wiem na pewno: wysokościomierz. Taki, jaki można sobie zamontować w samochodzie. Barometryczny. Dwa wysokościomierze, sądząc po tym, że mamy sześć grudek plastiku. — Podał Daggettowi jakieś wykresy.

— Dwa? — Spojrzął na nie, nic nie rozumiejąc. Ten człowiek żył w innym świecie.

Meecham z entuzjazmem skinął głową.

— O to właśnie chodzi, że dwa. To bardzo ważne. — Meecham mówił dalej, a Daggett wyobrażał sobie Bernarda z lutownicą, jak pochyla się

nad hotelowym biurkiem i montuje detonator. — Znaleźliśmy także srebrny drut pokryty platyną. To niedobrze. Znaczy to, że ma miniaturowe detonatory. Mają niecałe dwa centymetry długości i dają dużego kopa. Nie łapie ich wykrywacz metalu, nie widać ich nawet na rentgenie — to szczyt marzeń każdego terrorysty. Są dość gorące, żeby odpalić wszystkie rodzaje plastiku. Mogą nawet stopić aluminium, brąz i wszystkie miękkie metale. Zwykle detonatory są o wiele większe i nie osiągną takich temperatur. To wszystko świadczy o tym, że jego urządzenia są bardzo małe i bardzo skomplikowane. Miniaturowy detonator jest o wiele bardziej uniwersalny niż zwykły. Niełatwo je zdobyć, myślę, że robił go w określonym celu.

— Więc co to właściwie znaczy? — Pokój nie miał okien i Daggett czuł się jak w potrzasku.

— Słuchaj uważnie. Czasem potrzebne są dwa włączniki barometryczne. Każdy z nich nastawia się na inną wysokość, co daje podwójne zabezpieczenie. Pierwszy włącza się, gdy ładują się zbiorniki z powietrzem. Samolot startuje i nabiera wysokości, uruchamiając drugi włącznik. Dzięki temu można być pewnym, że wybuch nastąpi w powietrzu. Wszystko zależy od tego, jaki cel chce się osiągnąć.

— Ale... — Daggett wiedział, że to nie koniec wyjaśnień.

— Ale intuicja mówi mi coś innego. Jak człowiek w tym siedzi, to po jakimś czasie zaczyna mieć intuicję, Michigan. Ty pewnie też ją masz. Co właściwie wiemy? Z pewnością to, że Bernard jest profesjonalistą, że jest ostrożny. Niewiele po sobie zostawił, ale na mój gust i tak zbyt dużo jak na jedno urządzenie. — Meecham przejrzał kilka fotografii zrobionych pod mikroskopem. — Za dużo jak na takiego faceta — powtórzył. — Gdybym miał zgadywać, a muszę zgadywać, to zrobił dwa detonatory, Michigan. Miał dość materiału i, jak sam mi powiedziałeś, kupił dwa zegarki Casio. Myślę, że obydwa detonatory są identyczne — przerwał, dając Daggettowi czas do namysłu.

— A może pierwszy mu nie wyszedł i musiał zacząć od początku? — zasugerował Daggett z nadzieją w głosie.

— Może. Ale w takim razie, dlaczego od razu kupił materiał na dwa detonatory?

— Więc zrobił dwie bomby, tak?

- Dwa identyczne detonatory. Tak przynajmniej wynika z tego, co tu mamy.
- A te włączniki barometryczne...
- Świadczą o tym, że chodzi o samoloty — przerwał mu Meecham.
- Obawiam się, że jest to prawie pewne. Kimkolwiek jest człowiek, którego szukasz, może wysadzić dwa samoloty.

Daggett czekał w ogródku na Duncana. Chłopiec bezgłośnie zjechał z podjazdu i zahamował tuż przy nim. Na pobliskim drzewie zakrakała wrona. Należałoby ściąć trawę i umyć okna. Pani Kiyak wystawiła głowę przez okno i uśmiechnęła się, widząc ich obu. Odeszła od okna, najprawdopodobniej po to, żeby przygotować chłopcu kolację. Daggett marzył się, że syn nie ma kontaktu z rówieśnikami. Należało z tym coś zrobić.

Duncan był obrażony. Daggett obiecał, że najbliższy weekend spędzą razem z Carrie w wynajętym domku na wybrzeżu, w stanie Maryland. A teraz musiał złamać dane słowo, żeby zdążyć na samolot do Seattle, który odlatywał za niecałe dwie godziny.

Za chwilę miała przyjechać Carrie. Na samą myśl o tym Daggett się skurczył. Chciał ją zobaczyć, kochał ją, ale nie miał najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie kazań. Jego zaangażowanie w śledztwo — ona nazywała to inaczej — prowokowało ostatnio wiele burzliwych dyskusji.

Carrie zupełnie niespodziewanie pojawiła się w jego życiu. Pracowała w firmie pośredniczącej w wynajmie nieruchomości i pomogła Daggettowi i Duncanowi zacząć wszystko od początku. Miała w sobie niewyczerpaną energię i od razu zabrała się za Duncana. Już od dłuższego czasu zajmowała się domem i Duncanem, pomagając mu na każdym kroku, nim zaczęła sypiać z Daggettem. Było jasne, że będą kochankami, choć czasem wydawało mu się, że zrobili to tylko dlatego, żeby zapłacić pustkę. Z każdym tygodniem Carrie coraz bardziej kontrolowała ich życie. Jej temperament i chęć rządzenia umożliwiły im trudny początek, teraz jednak groziły trwałości ich związku.

Stanął za fotelem, chcąc popchnąć Duncana, ale ten nie przyjął Jego pomocy i szybko sam ruszył do przodu. Obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy dostatecznie oddalił się od ojca. Wyciągnął rękę do

drabinki skonstruowanej przez Daggetta, z wysiłkiem usiłując podnieść bezwładne ciało.

— Pomogę ci — powiedział Daggett, przyspieszając kroku.

— Dam sobie radę — odparł chłopiec. Ale nie miał dość sił. Podciągnął się na rękach, jego twarz poczerwieniała z wysiłku. Potrząsnął gwałtownie głową, widząc zbliżającego się ojca. — Nie — krzyknął — ja chcę sam! — Spróbował jeszcze raz i znów bezwładnie osunął się na wózek.

Duncan pragnął wziąć udział w kajakowej wycieczce, organizowanej przez związek niepełnosprawnych, ale jednym z warunków uczestnictwa była sprawność mięśni rąk. Trzeba było przynajmniej pięciokrotnie podciągnąć się na rękach. Duncan mógł zrobić to najwyżej dwa razy. Daggettowi zależało na wycieczce nie mniej niż jego synowi.

— Co jest w Seattle? — spytał Duncan.

— Ciało. Znaleźli ciało.

— Nie rozumiem. Myślałem, że szukasz faceta od bomby.

— Szukam. To się łączy z tamtą sprawą. Ciało znaleźli w fabryce samolotów, a facet wysadza właśnie samoloty. Muszę to sprawdzić.

— Myślisz, że to się łączy z tamtą sprawą?

— To możliwe. Nie jechałbym, gdybym nie uważał tego za bardzo ważne.

— Wiem...

— Naprawdę?

— Tak. — Duncan znów sięgnął do drabinki.

— Spróbuj jeszcze raz — Daggett wziął go pod rękę.

Duncanowi udało się podciągnąć.

— Jeszcze raz — poprosił ojca.

Z pomocą Daggetta pięciokrotnie podciągnął się na rękach.

— Nigdy się nie poddawaj — rzekł Daggett. Sam zawsze słyszał to od ojca. Z czasem doszedł do wniosku, że samo nastawienie psychiczne to już połowa sukcesu.

Zza domu wyszła Carrie. Kasztanowe włosy z powodu upału miała spięte w kok. Biała bawełniana bluzka podkreślała brązową opaleniznę. Na nogach miała sandały. Niepokoiło go, gdy ubierała się w ten sposób, bo bardzo dobrze wyglądała. Za dobrze. Ona również zdawała sobie

z tego sprawę i Daggett zastanawiał się, czy dziś zrobiła to celowo. Carrie miała określone plany, a Daggett FBI. Zwłaszcza śledztwo w sprawie 1023 budziło jej sprzeciw. Chciała, żeby Daggett przeszedł do sektora prywatnego, gdzie jako szef ochrony zarabiałby trzykrotnie więcej. Pragnęła, żeby się pobrali, mieli dzieci i wyjechali z Waszyngtonu. Dowiedział się o tym niecałe trzy tygodnie temu, podczas upalnej, wspólnie spędzonej nocy. Gdy napotkała na sprzeciw, zmanifestowała swe niezadowolenie. W ciągu ostatnich sześciu dni tylko jedną noc spędziła w domu. Od czasu sprzeczki nie kochali się ani razu.

Daggett uzmysłowił sobie, że wcale nie podnieca go jej lekki chód. Jej władza nad nim słabła z każdą, osobno spędzoną nocą. Daggett ani myślał o opuszczeniu FBI.

Duncan podniósł głowę i popatrzył mu w oczy.

— Bądź dla niej dobry, tato — powiedział.

Daggett wietrzył spisek.

— Jak się macie — powitała ich Carrie. — O co chodzi z tym Seattle? Myślałam, że jedziemy na wybrzeże — dodała, zwracając się do Daggetta.

— Ja też — włączył się Duncan.

To był spisek. Wykorzystywała syna przeciwko niemu.

— Mam swoje obowiązki — odparł Daggett, tłumiąc gniew.

— Nie, nie masz — powiedziała twardo — każde biuro terenowe odpowiada za śledztwa na swoim terenie. Jedziesz tam na własną prośbę?

— No no no — mruknął Duncan.

— Obiecałeś, że ten weekend spędzimy razem. Czy dane słowo nic dla ciebie nie znaczy?

— Co mam odpowiedzieć? Zrobiła się czerwona na twarzy.

— Jak możesz to robić Duncanowi? Czy...

— Chwileczkę — przerwał. — Chcesz mówić o moich obowiązkach wobec syna?

— Ktoś musi. Za towarzysza zabaw ma siedemdziesięcioletnią kobietę. Myślisz, że tak jest dobrze?

— To przejściowe.

— Gówno prawda! Prowizorki są najtrwalsze!

— Chodzi o morderstwo, to naprawdę ważne.

— Nie potrzebują cię tam, to ty chcesz tam jechać.

I chcę, i potrzebują. — Nienawidził, gdy przyłapywała go na łamaniu danego słowa. Nie mógł znieść jej zachowania ani tonu jej głosu. Najbardziej drażniło go to, że miała rację.

— Ależ Cam, weź Duncana i pojedź z nim nad wodę.

— Spędzałem z nim sporo czasu, zanim tu się pojawiłaś...

Dopiął swego. Odwróciła się na pięcie i pobiegła przed siebie.

Chciał ją gonić, ale nie ruszył się z miejsca.

— Nieźle, tato — powiedział Duncan, wisząc na drabince.

— Chodzi o morderstwo, Duncan, to naprawdę ważne — powiedział.

— No to jedź.

Już po chwili Daggett był w drodze.

4

W sobotę rano, 25 sierpnia, prawie dwa tygodnie po tym, jak Bernard wysadził samolot na lotnisku National Airport, Daggett stał w hali przylotów w Seattle. Zauważył mężczyznę, zanim tamten zdążył się przedstawić. Porucznik Phil Shoswitz miał ciemne oczy i bladą twarz, najwidoczniej całą noc przesiedział za biurkiem. Krawat miał pomięty, buty zniszczone i niezbyt czyste. Spojrzał na Daggetta — on także rozpoznał w nim agenta FBI. Podali sobie ręce.

Shoswitz miał kształtną twarz i krzaczaste brwi. Daggett pomyślał, że kiedyś musiał być wesołym człowiekiem.

— Pojedziemy od razu do Duhninga. Na zewnątrz czeka samochód — powiedział tonem świadczącym, że nie nawykł do sprzeciwu.

Daggetta owiało chłodne powietrze Seattle. Z przyjemnością wdychał je pełną piersią. Przejechała nad nimi jednoszynowa kolejka, w oknach mignęły twarze turystów. Jakiś żebrak szedł chwiejnym krokiem, trzymając w ręce plastikowy kubek z kawą.

— Był pan tu już kiedyś? — spytał Shoswitz.

— Tak, bardzo dawno temu. Poznałem tu żonę. Spotkałem ją w barze. Pamiętam nawet, jaki zespół wtedy grał: Zepsuty Biskup. Pamiętam takie drobne szczegóły.

Shoswitz skinął głową. Posmutniał.

— Dalej jest pan żonaty?

Muszę to mieć wypisane na twarzy, pomyślał Daggett.

— Nie.

— Ja też nie. Myślę, że to częste w naszym zawodzie.

— Zbyt częste.

— A teraz wziął pan ślub z wywiadem, co?

— Jest w tym więcej prawdy, niż bym sobie tego życzył. Jestem teraz w wydziale antyterrorystycznym. Trzeci rok w międzynarodowym zespole.

— Ma pan dzieci?

— Syna.

— Ja mam dwie córki. Nawet nie wiem, gdzie. Chłopca przyznali żonie?

— Nie, mnie.

— Ma pan szczęście. Dla mnie to właśnie jest najgorsze.

— Ile lat w służbie? — spytał Daggett. Czuł pewne skrępowanie, dzieląc się swoją prywatnością z człowiekiem, którego wcale nie znał. Chociaż może tak jest łatwiej? Istniała między nimi jakaś więź.

— Dłużej niż trzeba, nie widać? — odparł Shoswitz.

Gdy wyszli, podjechał do nich czarny, odrapany samochód, z dziurą po kuli w rogu przedniej szyby. Kierowca, sierżant LaMoia, był ubrany lepiej niż przeciętny glina. Miał dość długie, kręcone włosy i zachowywał się z wyzywającą pewnością siebie. Daggett i Shoswitz usiedli z tyłu. Daggett zdziwiony był zmianami, jakie zaszły w mieście.

— Niektóre rzeczy zmieniły się na lepsze, inne na gorsze — mruknął Shoswitz.

Skreśli w lewo, wyjechali na autostradę i skierowali się na południe. Rozmawiali o morderstwie i o tym, co stwierdził doktor Ronald Dixon, który badał zwłoki.

— Na wszelki wypadek powiem panu, jak to jest z Duhningiem — zaczął Shoswitz. — Chcąc rozmawiać z którymkolwiek z pracowników, robimy to albo poza terenem firmy, albo w pokoju, który wyznacza nam ich ochrona. To oni określają czas i miejsce spotkania, więc nie ma potem skarg, że kogoś odrywamy od roboty. Zabójstwo to w zasadzie sprawa szeryfa, ale jego biuro wystąpiło do nas z prośbą o pomoc. Zajmuje się tym LaMoia, a ja kontroluję całą sprawę i dlatego wyciągnęli mnie zza biurka — przerwał, sądząc, że LaMoia coś powie. — Krótko mówiąc,

Dunning nie lubi, gdy kręcimy się po firmie, to wszystko — ciągnął. — Ale jeżeli w grę wchodzi zabójstwo, nie mają wyboru. Należy tylko pamiętać, że zależy nam na dobrych stosunkach z nimi. Naszym przewodnikiem będzie Ross Fleming. Facet jest w porządku, to jeden z waszych ludzi z FBI; przeszedł na przymusową emeryturę i wtedy zatrudnił go Dunning. Oprowadzi nas bez zbędnego zamieszania. Zresztą symulatory nie należą do stref chronionych.

— Dlaczego? — zdziwił się Daggett.

— Fleming dostaje teraz za to w dupę — wtrącił LaMoia.

— Nie wątpię.

— Będzie pan z nim rozmawiać. Sprawuje nadzór nad stu pięćdziesięcioma tysiącami pracowników Duhninga na całym świecie, oni mają ponad sto zakładów. Fleming ma z góry ustalony budżet i kontrakty wojskowe są dla niego priorytetem. Potem idą kwestie technologii, a symulatory są na samym końcu, to przecież tylko szkolenie pilotów linii lotniczych. Zanim to się stało, Fleming uważał, że zabezpieczenia są wystarczające. Na włazach zainstalowano szyfry. Rozumiem faceta, gdzie indziej to szczyt bezpieczeństwa. Ktoś podstawił mu nogę, a teraz wszyscy wytykają go palcami. Wie pan przecież, że jeżeli komuś zależy na tym, żeby gdzieś wleźć, to i tak mu się to uda. — Shoswitz westchnął. — Fleming nie jest tym wszystkim zachwycony. Moim zdaniem to był zawodowiec.

— Macie jakieś podejrzenia co do tego Warda? Jakies lewe pieniądze?

— Nie, nic. Żadnych zmian w standardzie życia, żadnych kont na hasło. Jego żona twierdzi, że między nimi wszystko było w zupełnym porządku. Ale ja w to nie wierzę. On miał kogoś na boku — odparł LaMoia.

— Skąd pan to wie?

— John widzi świat z perspektywy rozporka — wtrącił Shoswitz. — Ja bym nie przywiązywał do tego wagi.

— Uważaj, bo prowadzę — powiedział LaMoia i przez chwilę jechał slalomem. Mężczyźni roześmieli się.

— O, tam stoi cizia i schyla się nad fontanną... — podpuścił go Shoswitz.

— Stajemy?

— Widzi pan, jaki on jest? U niego wszystko sprowadza się do seksu.

— Dlatego tak powiedziałem o Wardzie — wyjaśnił LaMoia — bo wykupił bilety na wszystkie mecze tym w sezonie.

— Co, jak rozumiem, ma dowodzić braku inteligencji — wtrącił Shoswitz. — Ja także popełniam tę zbrodnię. Mam bilety na cały sezon.

— Ale Ward pojawiał się na meczach dopiero przed ich zakończeniem — powiedział LaMoia. — Sprawdziliśmy informacje, żeby stwierdzić, czy jego żona mówiła prawdę. Owszem, był na wszystkich meczach; potwierdził to ich sąsiad, który go tam widywał, ale powiedział również, że Ward zawsze przychodził na mecze tuż przed ich zakończeniem, a na ostatni w ogóle nie przyszedł. — Spojrzał na Daggetta, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na nim jego relacja. — Wynika z tego — przynajmniej dla osoby myślącej rozporkiem, tak jak ja — że żonie wciskał kit, a sam jeździł do jakiejś cizi.

— Wiemy, kim może być? — spytał Daggett.

— Chyba pan nie mówi serio? — zaprotestował Shoswitz.

Daggett nie wiedział, co powiedzieć. Uratował go LaMoia.

— Myślę, że to babka z zakładów. Facet pracował po dwanaście godzin dziennie, rozumie pan? Nic poza tą robotą go nie interesowało. Więc najbardziej prawdopodobne jest, że to osoba pracująca przy symulatorach.

— O, Boże — jęknął Shoswitz.

— Ale nie wiadomo kto?

— Gdyby Fleming nie był taki twardy i nie wymagał przedstawienia dowodów, zanim będziemy mogli kogoś przesłuchać, wiedzielibyśmy więcej: która z kobiet założyła nogę na nogę, która się zaczerwieniła... Ale tak...

— Może będę mógł coś z tym zrobić. Jeżeli Fleming był jednym z nas, to...

— Nie liczyłbym na to — powiedział Shoswitz. — Procedura przesłuchań jest u nich ustalana przez wewnętrzne przepisy i przychodzi z góry. Fleming nie ma na to żadnego wpływu. Współpracują z nami — zgoda. Ale tylko wtedy, gdy chodzi o zabójstwa. Innymi sprawami wolą zająć się sami, „żeby wszystko zostało w rodzinie”.

— Więc trzeba będzie wymyślić coś innego — rzekł Daggett.

— Na przykład?

— Jeżeli Warda nie było na meczach, to był gdzie indziej. I myślę

— powiedział, zwracając się do LaMoi — że jeździł samochodem.

— Chyba tak.

— No to sprawdzimy godziny wjazdów i wyjazdów z parkingu Duhninga i porównamy je z rozkładem meczów. Może jednak był w pracy. Potem sprawdzimy bazę danych parkingów w wydziale komunikacji, powiedzmy za ostatnie pół roku. Zwrócimy uwagę na daty i godziny meczów. Jeżeli to też nic nie da, zajmiemy się jego kartą kredytową i sprawdzimy, czy wynajmował pokoje hotelowe i czy korzystał z „rozrywek”. Nie lubię tego robić, ale w ostateczności można go wykopać i dłużyć przy nim tak długo, aż się czegoś dowiemy.

— Cholera — LaMoia pokręcił głową. — Jak na gościa z FBI jesteś naprawdę w porządku — powiedział z szacunkiem.

Daggett spojrział w okno. Zabójca Warda mógł być teraz w każdym kraju. Ale mógł być także w jakimś hotelu w Seattle, pić szampana i zażerać się kawiozem.

— A co z samochodem? — spytał Daggett.

— Na razie nic — odparł Shoswitz. — Zakładamy, że morderca nim odjechał.

— To znaczy, że nie planował tego zabójstwa — powiedział Daggett. — Jeżeli to był zawodowiec, nie ryzykowałby w ten sposób. Chyba, że musiał.

— To prawda — mruknął Shoswitz.

Wielkie portowe dźwigi łądowały na statki kontenery. Środkiem kanału płynął prom. Morderca mógł być na jego pokładzie. Mógł być na jednym ze statków. Mógł być wszędzie. Czy LaMoia musi się tak wlec? A może nie należało jechać do symulatora, tylko od razu zająć się poszukiwaniem samochodu Warda?

Shoswitz czytał w jego myślach.

— Pokażemy panu symulator i miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, a potem porozmawia pan z F lemingiem. Oddział FBI z Seattle już przez to wszystko przeszedł, ale prosili, żeby pan to zrobił jeszcze raz.

— Jest pan w takim razie nie lada ekspertem — wtrącił LaMoia.

Daggett milczał, nie będąc pewnym, czy LaMoia nie kpi sobie z niego.

— Jeden z nich zwymiotował w symulatorze — powiedział Shoswitz.

— W laboratorium sprawdzają, czy nie było to spowodowane jakimiś prochami czy mikroorganizmami — dodał LaMoia. — Możliwe, że jeden z nich po prostu nie lubił latania.

— Poza tym nie wiem, od czego zacząć. Fleming uważa, że zabójca działał według planu i miał w firmie jakiegoś informatora.

Daggett opuścił szybę. W twarz uderzył go orzeźwiający powiew powietrza, którego zapach przypomniał mu restaurację na przystani. Był wtedy szczęśliwy. Pomyślał, że było to sto lat temu.

Daggett, Shoswitz i Ross Fleming, szef ochrony Duhninga, wzięli udział w długim i nudnym zwiedzaniu zakładów. Fleming był niebieskookim, energicznym, pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Ostrożnie dobierał słowa i widać było, że są rzeczy, o których nie chce mówić. Daggett obejrzał miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, przez chwilę „leciał” symulatorem 959-600 i w towarzystwie innego wysoko postawionego pracownika firmy przeglądał notatki w biurze Warda. Fleming zaproponował przejście do biura przepustek; Daggett miał wrażenie, że chcą go delikatnie wyprosić.

LaMoia wrócił w towarzystwie ładnej Murzynki, pracownicy symulatorów.

— Zrobione — powiedział.

— Tak szybko? — zdziwił się Shoswitz. Najwyraźniej zaskoczyła go skuteczność działania podwładnego.

— O co chodzi? — spytał Daggett, ale nie zwrócono na niego uwagi.

— Dzwoniłem do wydziału komunikacji. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Ward zapłacił trzy mandaty za nieprawidłowe parkowanie. Sześć miesięcy temu zastawił swoim taurusem hydrant. Wszystkie te miejsca były oddalone od siebie nie więcej niż o jedną przecznicę — powiedział LaMoia i zwrócił się do Fleminga: — Bardzo nam pomogło, że pańscy pracownicy wszystkie dane mają skomputeryzowane. Mają taką fajną bazę danych i...

— Czego się pan dowiedział? — przerwał mu Daggett.

Shoswitz podał mu zielono-biały wydruk komputera.

— Sprawdziliśmy adresy pracowników symulatorów i od razu ją znaleźliśmy, była piąta na liście. Mieszka w bloku, pod którym Ward zastawił samochodem hydrant. Ma trzydzieści jeden lat, jest ruda i mieszka sama.

- Sarah? — pracownica symulatorów usiłowała ukryć zaskoczenie.
- Widzicie? — powiedział LaMoia, wkładając do ust gumę do żucia.
- Wszyscy ją tu znają.

Stół w sali konferencyjnej otaczało osiem skórzanych foteli. Na ścianach wisiały tablice informacyjne i ekran. Obok telefonu stała maszynka do kawy. Wszyscy nalali sobie po kubku. Daggett zauważył, że nie było tu ani zegara, ani okien. Liście sztucznego fikusa pokrywała dość gruba warstwa kurzu. Do telefonu podłączone było urządzenie, które przypominało dekoder szyfrów. Daggett pomyślał, że tak wyglądałoby wojsko, gdyby było instytucja prywatna.

W olbrzymich, zielonych oczach Sarah Pritchett czaił się strach. Daggett uściśnił jej drżącą dłoń. Ubrana była w spódnicę w kolorze khaki i białą bluzkę z krótkim rękawem. Włosy miała rude i była piegowata. Stała z założonymi rękami w samym kącie sali.

Ubranie nie pozwalało dokładnie przyjrzeć się jej wdziękowi, ale dla LaMoia najwidoczniej nie stanowiło ono żadnej przeszkody.

Do takich ludzi jak ona trzeba podchodzić brutalnie, pomyślał Daggett.

- Doktor Ward nie pojawił się na czwartkowym meczu — zaczął.

Sarah wciąż stała, ale on nie chciał zaprosić jej do stołu, żeby nie czuła się zbyt pewnie. Wyjaśnił, że zarówno Shoswitz, jak i LaMoia byli z wydziału zabójstw. Wiedział, że to podniesie temperaturę o kilka stopni. Tracąc szansę złapania zabójcy Warda, Daggett potrzebował jakiegoś zwycięstwa. Rozluźnił krawat. Pomyślał o Backmanie; tamtego dnia był w tej samej koszuli.

- Pierwotnie myśleliśmy, że zabójca dotarł do doktora Warda podczas meczu, ale teraz wiemy już, że było inaczej. Doktora Warda nie było na stadionie, panno Pritchett.

Znęcanie się nad kobietą, której kochanka zamordowano, nie sprawiało Daggettowi przyjemności. Wyciąganie sekretów zamordowanego było równie niemiłe. Mieli ze sobą romans i co z tego? Gdyby Ward zginął w wypadku samochodowym, nie byłoby śledztwa i nikt nie wywlekałby tych spraw. Ale teraz należało to zrobić: im brutalniejsze będą jego pytania, tym więcej się dowie i tym szybciej będzie po wszystkim.

— Moglibyśmy wziąć panią do miasta. Policjantka wyczesalaby pani kosmyk włosów. Moglibyśmy także szukać innych, bardziej intymnych dowodów i laboratorium potwierdziłoby, czy jest pani osobą, o którą nam chodzi. Ale szukamy mordercy, panno Pritchett. Ma nad nami przewagę. Szczerze mówiąc, nie mamy czasu na ten cały kram z laboratorium. I dlatego liczymy na pani współpracę.

Liczymy na cud, dodał w myślach.

— Jeżeli nie będzie pani z nami współpracować, wszyscy się o tym dowiedzą: sąd, prasa, pracownicy Duhninga.

— Nikt tego nie chce — wtrącił Fleming.

Sarah Pritchett spojrzała na niego jak mała dziewczynka na ojca.

— Czy mogę usiąść? — spytała.

Daggett musiał zachować nad nią przewagę. Nie odpowiedział.

— Czy doktor Ward był z panią w dniu, kiedy go zamordowano? Tak czy nie? — spytał.

W jej oczach pojawił się gniew.

— Tak, był! Byliśmy razem w moim mieszkaniu. Wyszedł, żeby zdążyć na koniec meczu.

— Proszę usiąść, panno Pritchett. — Daggetta przeszedł dreszcz zadowolenia. Po raz pierwszy poczuł, że w pomieszczeniu jest klimatyzacja.

LaMoia wyjął z kieszeni niewielki magnetofon, położył go na stole, nagrał na nim datę, godzinę i wymienił nazwiska wszystkich obecnych w sali. Spojrzał na Daggetta, dając mu znak, że może rozpocząć przesłuchanie.

Sarah Pritchett przez dwadzieścia minut opowiadała o romansie z Wardem i ich ostatnim spotkaniu. Później pozwolono jej odejść i przez kolejne półtorej godziny Daggett, Shoswitz i LaMoia odtwarzali nagranie i przygotowywali się do bardziej formalnego przesłuchania, które miało nastąpić podczas zbliżającego się lunchu. Od czasu do czasu zaglądał do nich Fleming, który obecny był także podczas drugiego przesłuchania.

Pierwsza rewizja mieszkania Sary Pritchett, przeprowadzona przez LaMoię i Daggetta, niewiele przyniosła. Daggett sprawdził rachunki telefoniczne i czeki. LaMoia przeszukał rzeczy osobiste. Jeżeli Pritchett kłamała co do ich wzajemnego zaangażowania w związek, udowodnienie jej tego wymagałoby setki ekspertów. Nic, co znaleźli, nie poddawało w wątpliwość jej zeznań.

Przenieśli się na parking; Pritchett powiedziała, że, o ile było to możliwe, Ward zawsze zostawiał tam samochód. Najprawdopodobniej tak właśnie stało się w dniu morderstwa. Daggett pomyślał jak by to było, gdyby to on był doktorem Rogerem Wardem. Zjechał na sam dół windą i wyszedł przed bramę. Dwa wieżowce po drugiej stronie autostrady 1-5 skutecznie zasłaniały widok na zatokę. Na niebie pojawiło się kilka mew. Nieco dalej unosił się odrzutowiec. Jego widok przypominał Daggettowi, dlaczego tu przyjechał. Nie mógł wykluczyć, że detonator Bernarda przeznaczony był dla maszyny 959-600. A może to tylko zbieg okoliczności? Bernard nie żyje. Daggett miał tylko kilka punktów zaczepienia i lada dzień mogli mu odebrać tę sprawę. Chyba, że połączy ją z Bernardem. Samolot na niebie był coraz mniejszy. Daggett tracił nadzieję, że Sarah Pritchett jest kluczem do znalezienia mordercy.

Rozejrzał się po parkingu. Przyglądał się plamom po oleju, samochodom, krzakom. Gdzie najlepiej się schować, jeżeli jest się zabójcą? Obrócił się i popatrzył w okna mieszkania Sary. Skąd było je dobrze widać? Podzieliwszy w myślach teren na kwadraty, ruszył tyłem w kierunku starej przyczepy. Dokładnie przeszukał teren.

— Co chcesz znaleźć? — spytał LaMoia, który przyłączył się do niego.

— Kto wie? Może wypluł gumę? Albo z kieszeni wyleciały mu drobne?

LaMoia podrapał się po głowie.

Daggett znalazł puszkę po piwie, ale musiała tu leżeć już dość długo. Trafił też na puszkę po oleju silnikowym i rozszarpanego przez kota wróbla. Jego uwagę zwróciły czarne ślady na błotniku zardzewiałej przyczepy. Dotknął jednego z nich. Popiół z papierosa?

— Kiedy ostatnio padał u was deszcz? — krzyknął do LaMoi, który przed chwilą zniknął w krzakach.

— Musiałbym sprawdzić, ale chyba w poniedziałek w nocy. Może w niedzielę.

Daggett przyklęknął na jedno kolano. Za przedziurawioną oponą znalazł dwa niedopałki papierosa. Jeden był w piórkach wróbla, drugi wciśnięty w bieżnik opony. Nie wyglądały na stare. Czy wypalił je człowiek czekający na Warda? Bibułka na ustniku była czarna, filtr złoty. Papieros wyglądał na drogi. To raczej niezwykle. Zagraniczny papieros?

Europejski? Zaczynało go ogarniać podniecenie.

Szukał dalej. Natrafił na pomięte pudełko. Czy to już dowód? Jeżeli w niedzielę padał deszcz, jak mówił LaMoia, oznaczałoby to, że pudełko wyrzucono niedawno. We wtorek wieczorem? Czy zrobił to morderca Warda, czy też zwykły przechodzień, który dla zabicia czasu wypalił kilka papierosów? Szukaj śladów, pomyślał, potem będziesz się zastanawiał, o czym świadczą.

Odwrócił długopisem pudełko i przeczytał: „Anbesol — środek usmierzający ból zębów”. Rysunek przedstawiał ząb, z którego promieniście rozchodziły się błyskawice.

— Nasz chłopiec chyba ma zepsuty ząb — krzyknął do LaMoi.

— No to trzeba zadzwonić do dentysty.

— Do wszystkich w mieście.

— Tak myślisz?

— Jeżeli nam to zostawił, nie mamy wyboru. To może być dowód.

— Albo nie.

— To prawda.

— Porucznikowi się to nie spodoba. Za dużo w tym spekulacji. To coś dla ciebie i waszych ludzi.

Tak jak Daggett przewidywał, LaMoia miał przy sobie zarówno papierowe, jak i plastikowe woreczki. Włożyli do nich niedopałki i pudełko, i szukali dalej.

— Czy to nie dziwne? — krzyknął LaMoia, wychodząc z krzaków z częściowo obranym ziemniakiem w ręku. — Wygląda jak olbrzymi penis. Ona takie lubi... — zanucił, naśladując piosenkarzy śpiewających blues. Wykonał nim kilka ruchów, które nie pozostawiły żadnych wątpliwości, co miał na myśli, po czym rzucił ziemniak Daggettowi.

Daggett złapał go w locie i zaczął obracać w dłoni. Ziemniak szerniał od kontaktu z powietrzem.

— Ktoś dość długo się tym bawił — powiedział zdziwiony.

— Wielkość nie gra roli. Ważna jest technika.

Daggett już chciał odrzucić ziemniak, gdy spostrzegł, że na palcach został mu czarny osad. Powąchał je i poczuł kolejny przyływ emocji.

— Czy to prawda, że jeżeli straci się słuch, to wyostrza się węch?

— Nie — odparł LaMoia. — Ja nie lubię się bawić w takie romantyczne kawałki.

— Mówię o medycynie.

— W szkole nigdy nie miałem dobrych stopni. Tylko z anatomii — dodał szybko. — Ale to były zajęcia pozalekcyjne.

— Czy ty w ogóle potrafisz przestać? — spytał Daggett.

— Tylko wtedy, gdy ona mnie o to poprosi — wyjaśnił LaMoia. — I tylko wtedy, gdy jestem pewien, że naprawdę tego chce.

— Powąchaj to — powiedział Daggett, zbliżając się do niego z wyciągniętą ręką.

LaMoia odsunął się.

— Powąchaj — powtórzył Daggett. Podstawił mu palce pod sam nos. LaMoia poruszył wąsami. Wyglądał na zaskoczonego.

— Spaliny?

— Możliwe, że to nie ma nic wspólnego z moim słuchem... — odparł Daggett.

Po południu sporo czasu zajęło mu wydzwanianie do waszyngtońskiego biura i do Carrie. Potem pojechał w okolice Green Lake, żeby trochę pobiegać. Kolację zjadł w towarzystwie przyjaciela, który ściągnął go tu z Waszyngtonu. Pili piwo i mówili o starych, dobrych czasach. Mówili też o Bernardzie i o obławie na „Der Grund”.

— Myślisz, że morderstwo u Duhninga to sprawa Korta? — spytał przyjaciel. — Sądysz, że on tu jest?

Po raz pierwszy ktoś odważył się to głośno powiedzieć, choć zarówno Backman, jak i Pullman dopuszczali taką możliwość. Daggett nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Wydaje mi się to dość prawdopodobne — powiedział Przyjaciel — i dlatego cię tutaj zaprosiłem. Bernard to „Der Grund” i Kort to „Der Grund”. Bernard zrobił detonator, Kortą nigdzie nie ma. Ktoś musi to wszystko organizować. A to już nadanie Korta, prawda?

— Przypuszczamy, że zrobił to Kort — powiedział Daggett. W rzeczywistości był pewien, że morderstwo było dziełem Anthony'ego Korta. Bo kogóż innego? Ale jako prowadzący śledztwo nie miał prawa tego stwierdzić, nie przedstawiając dowodów.

— To właśnie powiedziałem.

— Czasem mam nadzieję, że tak jest, a czasem wolałbym, żeby było inaczej.

— Rozumiem.

Nikt tego nie może zrozumieć, pomyślał Daggett. Ale po co klócić się z przyjacielem? Po co w ogóle się klócić?

— Może w coś zagramy? — spytał przyjaciel.

— Wolałbym zagrać z maszyną rzucającą piłki.

— Nie znam miejsca, w którym byłyby takie maszyny, ale wiem, gdzie moglibyśmy zagrać. Zamykają dopiero o północy i mają dobre piwo.

— To brzmi interesująco.

— Wciąż grasz?

— Nie, nie gram już od dłuższego czasu. To zbyt kosztowne. Grałem kiedyś z drużyną baseballową i równocześnie byłem trenerem syna. Dobrze nam było... — Daggett znalazł się w przeszłości. Patrzył w pianę na piwie i miał w oczach coraz więcej wspomnień.

— No — powiedział po dłuższej chwili przyjaciel — może już pójdziemy?

Daggett właśnie pisał raport, gdy do pokoju wszedł Shoswitz. Było kilka minut po dwunastej. LaMoia i pięciu innych sierżantów od kilku godzin dzwoniło do wszystkich dentystów. Daggett zaczął już tracić nadzieję, że Anbesol miał cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Przeważnie tak było; trzeba było się poddać, żeby szczęście ponownie się uśmiechnęło.

— Możliwe, że trafiłeś z tym Anbesolem — rzekł Shoswitz. — We wtorek czterech dentystów odebrało telefon od jakiegoś cudzoziemca, który natychmiast potrzebował pomocy.

— Jeżeli lekarz miał rację z tym duszeniem, to jest prawdopodobne, że morderca wcale nie zamierzał udusić Warda. Może chciał zostać w mieście jeszcze kilka dni i pójść do dentysty?

Shoswitz skinął głową.

— Możliwe, że chciał zostać nawet do piątku. Kimkolwiek był ten człowiek, u wszystkich lekarzy zamówił sobie wizytę pomiędzy środą a piątkiem. Za każdym razem podawał ten sam numer telefonu.

Dzwoniono do niego dwukrotnie, ale nie podnosił słuchawki.

— Telefon? — spytał podniecony Daggett. — Mamy telefon?

— Hotel Mayflower Park. To taki przyjemny, stary hotelik przy Olive Way.

— Czy możemy tam wejść? — spytał Daggett. — To znaczy, czy nam wolno?

— Musiałbyś to skonsultować ze swoimi ludźmi. Ja się nie znam na tych papierkowych sprawach, ale jestem pewien, że oni na pewno coś wymyślą. — Shoswitz podał Daggettowi kartkę z nazwiskami dentystów. Na dole zapisany był adres: Mayflower Park Hotel, pokój 311.

— Mieliśmy szczęście — powiedział agent Frank Macalister, witając się z Daggettem w holu hotelu Mayflower. Zwykle szczęście nie jest zbyt łaskawe. W nadmiarze bywa tylko pech.

Macalister był wysokim Murzynem, miał gładko ogoloną twarz i wyglądał na poważnego człowieka. Chodził szybko, nie zważając, czy Daggett za nim nadąży. Idąc za nim, Daggett dostrzegł, że mężczyzna lekko siwieje.

— Facet z 311 prosił, żeby nie sprzątać pokoju do czasu, aż się wyprowadzi. Mówił, że będzie pracował w najdziwniejszych godzinach i że nie potrzebuje czystych ręczników. To polecenie zostawił w recepcji w środe rano, a właściwie we wtorek w nocy.

— Czas się zgadza — mruknął Daggett. — Chciał wyjechać incognito, tak?

— Właśnie.

— Więc to ten facet, którego szukamy.

— Jeżeli tak jest, to sam na siebie zastawił pułapkę. Nikt nie sprzątał w 311 aż do dziś — powiedział Macalister, spoglądając na Daggetta przez ramię.

Wsiadli do windy. Macalister pachniał wodą po goleniu.

— Nieczystości nie wywozi się z hotelu aż do południa. Wszystko, co było w jego pokoju, jest w kontenerach na śmieci. Prosiłem, żeby wstrzymali się z wywózką, zanim nasi ludzie się przez to nie przekopią. Z rachunku wynika, że podejrzany korzystał z różnych usług. Na jego miejscu posprzątałbym po sobie bardzo dokładnie. Jeżeli wyrzucał rachunki

do kosza, to będziemy go w stanie zidentyfikować po numerze pokoju. To może potrwać, ale w końcu znajdziemy „jego” śmieci.

Daggett nie przypuszczał, żeby to miało długo trwać. zaproponował kilka innych sposobów identyfikacji śmieci: czarno-złote niedopałki papierosów, opakowanie po Anbesolu, torba na zakupy i rachunek ze sklepu z warzywami, na którym figuruje ziemniak. Macalister popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Wsadził ziemniak do rury wydechowej Warda — wyjaśnił Daggett.

— Rozumiem.

— A co z samochodem? Po mieście nie można poruszać się bez samochodu. Hotel musi mieć jakiś parking dla gości. Na tej podstawie powinniśmy uzyskać numer rejestracyjny jego samochodu.

— To dobry pomysł, zajmę się tym. Znając numer, dotrzemy do firmy wynajmującej samochody.

— Trzeba także przesłuchać pokojówkę.

Macalister skinął głową.

— Mówiłem już o tym z recepcjonistą. Przyślą ją do nas na górę. — Macalister wsunął kawałek plastiku do dziurki od klucza i otworzył drzwi. — Elektroniczne zamki — mruknął z obrzydzeniem. — Kiedy to się wreszcie skończy?

Pokój był mały, ale wygodny. Było w nim jednak stanowczo zbyt dużo mebli: kanapa, biurko, łóżko i jeszcze małe biureczko. Dla ludzi nie było już miejsca. Daggett i Macalister włożyli plastikowe rękawiczki. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Klaustrofobiczna przestrzeń działała na Daggetta mobilizująco. Zabójca jeszcze niedawno spał w tym łóżku. Byli od niego o krok.

Daggett podszedł do okna i spojrzął na samochody, autobusy i ciężarówki.

— Potrzebujemy jak najwięcej szczegółów — powiedział. — Co jadał, jakie palił papierosy, czy brał prysznic, czy wolał się kąpać. Wszystko, co pomoże nam go lepiej poznać.

Macalister skinął głową, żądanie Daggetta nie było dla niego nowością.

W skupieniu przeszukiwali pokój. Chłopcy z laboratorium zawsze coś znajdują, ale nigdy nie wiadomo, czy przyda się to w śledztwie.

Rozległo się pukanie. Macalister powiedział: „Proszę” i do pokoju

weszła nieśmiała Wietnamka. Powiedziała, że nazywa się Karen Xi. Była drobną kobietą o spracowanych dłoniach. Włosy miała spięte plastikową spinką w niebieskie kwiatki. Zdawało się, że jej przerażone oczy zajmują co najmniej połowę twarzy.

— Nic pani nie grozi, może się pani nie obawiać — powiedział Macalister.

— Tak...

— Możliwe, że okaże się nam pani bardzo pomocna.

— Tak — powtórzyła z niedowierzaniem, zerkając na niego kątem oka.

— Sprzątała pani tu dziś rano?

— Tak. Po wyjeździe gościa.

— Po wyjeździe sprzątanie jest bardziej gruntowne?

— Tak.

Daggett zastanawiał się czy żądanie, aby przypomniała sobie właśnie ten pokój, nie przerastało jej możliwości.

— Sprząta pani w wielu pokojach — powiedział Macalister, czytając w jego myślach.

— Tak.

— Więc chyba nie zwraca pani na nie szczególnej uwagi, prawda?

Skinęła głową i nerwowo wzruszyła ramionami. Wciąż była przestraszona.

— Ja nie zwracałbym szczególnej uwagi na pokoje, które sprzątam — zachęcił ją Macalister.

Uśmiechnęła się, ale szybko zakryła usta, żeby nie widać było jej brzydkich zębów.

— Więc nie pamięta pani nic szczególnego?

— Pamiętam.

— Coś, co ma związek z gościem?! — nie wytrzymał Daggett.

Macalister spojrzał na niego ze złością.

— Widziała go pani? — spytał Macalister. — Pamięta go pani?

— Jego nie. Ale pokój... Czysty pokój. Bardzo czysty i schludny. Nie było co sprzątać.

— Czysty? — spytał Daggett. Tego rodzaju informacji pragnął. Wiele mówiła o charakterze podejrzanego.

— Kiedy się sprząta, zwraca się uwagę na takie rzeczy...

— Z pewnością — powiedział Macalister. Wzrokiem usiłował zmusić Daggetta do milczenia, ale tamten nie mógł się powstrzymać.

— Czy on palił? — spytał Daggett.

— Tak.

Macalister skarcił go ostrym spojrzeniem, Daggett jednak nie zamierzał przestać.

— Czy pamięta pani, jak wyglądały jego papierosy? Jaki miały kolor? — spytał.

— Nie. Ale wiem, że palił. Nawet zostawił otwarte okno.

Daggett podszedł do okna i przyjrzał się schodkom przeciwpożarowym. Czy można się było tędy wydostać? Tak. Wystarczyło szerzej otworzyć okno i spuścić się w dół. Okno zostawił otwarte, żeby ułatwić sobie ewentualną ucieczkę.

— Daktyloskop powinien zwrócić na nie szczególną uwagę — mruknął.

— Może widziała pani u niego pistolet, nóż lub coś takiego? — spytał Daggett.

— Nie. Jego też nigdy nie widziałam. Czy zrobił coś złego?

Nieuchwytność zabójcy denerwowała Daggetta. Najpierw u Duhnin-ga, a teraz tutaj.

— Nic niezwykłego? W ogóle nic pani nie zauważyła?! — znów go poniosło, co jeszcze bardziej rozgniewało Macalistera.

— O, tak! — powiedziała. W jej oczach zamigotało przerażenie. — Ząb! Przecież bardzo rzadko znajduje się ząb!

5

Anthony Kort skurczył się pod wpływem bólu. Szczoteczka do zębów dotknęła obolałego dziąsła. Nie wyglądało ładnie. Było tak spuchnięte, że w drugi policzek musiał włożyć sporo ligniny, aby jego twarz wyglądała w miarę normalnie. Nie przejmował się tym specjalnie, bo dzięki wyduętym policzkom wyglądał inaczej, teraz miało to swoje dobre strony.

Był wyczerpany długą jazdą pociągiem; nie mógł spać, bezustannie myślał o konsekwencjach wynikających z zabicia Rogera Warda. W głowie układał sobie plan. Ostatnie dni były zbyt nerwowe. Kort nie lubił Los Angeles.

Zegarek wskazywał datę: 27 sierpnia. Dwa tygodnie temu Bernard zginął w wybuchu. Kort miał nadzieję, że dziś po południu ta strata zostanie wynagrodzona. Bernard kupił sobie krótką nieśmiertelność: pozostawił po sobie detonatory.

Dokładnie o wpół do dziesiątej Monique Cheysson podeszła do drzwi jego hotelowego pokoju w Los Angeles. Nie widzieli się prawie dwa lata. Kort natychmiast ją rozpoznał, choć jej twarz zniekształcił zamontowany w drzwiach wizjer.

Otworzył drzwi.

Dziewczyna weszła do środka. W ręce trzymała czarną walizeczkę. Pokój wypełnił zapach drogich perfum.

Kort zawiesił na klamce karteczkę: „Nie przeszkadzać” i zamknął drzwi. Zablokował zamek, dzięki czemu mogli czuć się bezpiecznie.

Dziewczyna obróciła się niczym modelka prezentująca suknię. Monique zawsze była na scenie.

Ciemne włosy opadały jej na ramiona, a grzywka sprawiała, że czoło wydawało się niższe. Miała brązowe oczy i czerwone usta. Wyglądała, jak gdyby była pogrążona w półśnie albo gotowa do łóżka. Jej pewność siebie graniczyła z arogancją. Miała kształtne piersi i talię tak wąską, że chyba można by ją było objąć dłońmi.

Marzył o niej od tygodni.

— Wszystko jest tutaj — powiedziała, wskazując na walizeczkę. Nie mówiła z tak silnym akcentem jak kiedyś. Gdyby się postarała, mogłaby nawet uchodzić za Amerykankę.

— Były jakieś kłopoty? — spytał.

— Chodzi ci o to, czy coś się stało? — spytała sarkastycznie. Jego nadzieje legły w gruzach. Marzył, że znów będzie tak, jak we Frankfurcie.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Miał wtedy katar. Było mroźno i jej twarz majaczyła tylko niewyraźnie za zamarznąłą szybą. Srebrny mercedes, oczywiście kradziony, z fałszywymi tablicami rejestracyjnymi. Paszport też nie należał do niego. Wszystko było oszustwem. Drzwi przymarzły i nawet nie drgnęły. Ona przechyliła się na bok i otworzyła je zdecydowanym ruchem. Po raz pierwszy zobaczył jej twarz, róż na policzkach, jedwabny szalik, ciemne okulary. To typowe dla tego rodzaju operacji, że do tej chwili nigdy wcześniej się nie spotkali. Jak Michael to robił? Rutyna, perfekcja... Wokół niego kręciło się z dziesięciu ludzi, którzy nie zostawiali za sobą nawet cienia...

— Ten cholerny grat nie chciał zapalić — powiedziała ze złością.

Od razu poczuł do niej sympatię.

— A walizka? — spytał.

— W bagażniku.

Spojrzeniem poddał w wątpliwość jej inteligencję. Zareagowała, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć:

— Jest tam, gdzie powinna być walizka. Zwłaszcza ta walizka. Może miałam ją położyć na siedzeniu?

Tak, lubił ją. I pomimo że była bardzo ładna, wcale go nie pociągała. Dwa lata minęły, odkąd jego żona odebrała sobie życie. Od tego czasu

nie miał ochoty na żadną kobietę. Desperacja była jedynym motywem jego działania. Dlatego żył. Z wdowca w żałobie stał się mordercą. Nie wiele wiedział o sobie jako zabójcy, ale nie znał też człowieka, którym był dawniej; tego, który z żoną prowadził spokojne życie... Nie chciał nic pamiętać... Miał w życiu cel...

— Jestem Monique — powiedziała.

Złapał się na tym, że wpatruje się w jej twarz.

— Czy coś się stało?

— Nie, nic.

— Jesteś Francuzką — powiedział.

— Nie wiem, dlaczego tak bardzo się tym wszystkim denerwuję. To przecież nie będzie takie trudne?

— Czy walizeczka jest dobra?

— Tak, ale ostrzegam cię, że hotel jest straszny. Nigdy nie widziałam tylu ludzi.

— A godziny?

— Sprawdziłam dwa razy.

— No to możesz się nie przejmować.

— Mam złe przeczucia.

Stanęli na czerwonym świetle. Silnik zgasł. Rozrusznik obracał nim powoli, bo akumulator był wyladowany.

— Czekać — powiedział Kort, wyłączając radio i dmuchawę. — Spróbuj teraz.

Ktoś z tyłu zaczął trąbić.

— Odpierdol się — warknęła Monique, patrząc we wsteczne lustro.

— Spokojnie.

W końcu silnik zaskoczył.

— Cholerny samochód! — mruknęła — i cholerne zimno. Nienawidzę Frankfurtu!

— Stań za autobusem — powiedział.

— O Boże, to my już tutaj jesteśmy! Zobacz, autobus przyjechał za wcześniej! — Powiedziała to z wyrzutem, jak gdyby to była jego wina i spojrziała na niego z przerażeniem.

— Wszystko w porządku. Zatrzymaj się.

Monique odjechała nieco dalej, a Kort wszedł z walizką do holu. Dziewczyna dobrze się spisała. Kort postawił swoją walizeczkę wśród wielu jej podobnych. Stojąc tyłem do recepcji, przy której kłębił się

tłum gości opuszczających hotel, zdjął z jednej z walizek karteczkę z nazwiskiem i przywiązał do swojej. Gotowe. Trwało to niecałe dziesięć sekund. Wszystkie zostaną załadowane do autobusu. Na lotnisku po jego walizeczkę zgłosi się pasażer. Ta, po którą nikt się nie zgłosi, zostanie — tak nakazują przepisy. W przypadku dużych wycieczek pomyłki zdarzają się bardzo często i nie wzbudzi to niczyjzego zainteresowania. Bezpańską walizeczkę odwiozą do hotelu lub zniszczą ją ochroniarze na lotnisku. Jego walizka z bombą Bernarda dostanie się na pokład samolotu...

Owinął się szalikiem i włożył rękawiczki. Widać było tylko jego oczy.

Mercedes czekał. Monique usiłowała zdrapać lód z szyby. Pomyślał, że ma na nią ochotę. Było to tak dziwne uczucie, że dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, co właściwie znaczy. Wsiadli do samochodu.

Ruszyli w stronę hoteliku, w którym mieli spędzić najbliższe trzy dni. Dziewczyna przez całą drogę mówiła, ale jemu nawet to odpowiadało. Od roku z nikim tak długo nie przebywał.

— Nastąpiła zmiana planów. Będziemy mieszkać razem — powiedziała, parkując samochód.

— Co?

— Tak chciał Michael.

— To niemożliwe. Zapłacimy za dwa pokoje.

— Mamy dwa pokoje, to dwuosobowy apartament. Oficjalnie jesteśmy małżeństwem. Nie podoba ci się to?

— Nie o to chodzi.

— A o co?

— O dwa pokoje.

— W paszporcie mam to samo nazwisko, co ty. Pomieszkamy trochę razem i tyle.

— Przez trzy dni. Będziemy tutaj trzy dni, nie mając nic do roboty.

— Michael miał rację.

— Że co?

— Powiedział, że jesteś jak nakręcona sprężyna. Przyda ci się trochę odpoczynku.

— Cóż on o mnie wie.
— Bardzo dużo. A ty się mylisz co do tych trzech dni.
— Mianowicie?
— To będą trzy noce i tylko dwa dni. I nie będziesz się nudził, mogę cię trochę rozerwać.

— To sprawka Michaela — mruknął Kort, wyczuwając w tym znowę.
— Oczywiście. Wszystko jest sprawką Michaela. No to co? Rozluźnij się, jesteś w dobrych rękach — uśmiechnęła się. — W bardzo dobrych rękach.

Poszedł za nią do recepcji jak posłuszny pies. Wzięli klucz.

— Macie państwo tylko jedną walizkę? — spytała recepcjonistka, blondynka z ogromnym biustem. Na zębach miała rozmazaną czerwoną szminkę.

— Tak, tylko jedną — odparła Monique, zanim Kort zdążył cokolwiek powiedzieć. — Nie potrzebujemy dużej ilości ubrań. To nasza rocznica... — dodała, mrugając znacząco. Wzięła go pod rękę i ruszyli w stronę windy. Czuł, że pałą go policzki. Uczucie wstydu było dla niego czymś zupełnie nowym.

Już po chwili do pokoju przyniesiono im szampana.

— Nie zamawialiśmy tego — zaprotestował Kort.

— Z wyrazami szacunku od szefa, proszę pana — powiedział hotelowy boy, wymijając Korta. Kręcił się po pokoju, czekając na napiwek. Kort dał mu markę i chłopiec odszedł zadowolony.

Monique poruszała się jak baletnica. W ręce trzymała karteczkę, którą znalazła przy kieliszkach.

— Jak to miło! — powiedziała.

Podawała mu karteczkę i zabrała się do otwierania szampana. Korek wystrzelił z tak głośnym hukiem, że Kort odruchowo sięgnął po broń.

Stał przez chwilę z ręką w kieszeni płaszcza, a ona z dezaprobatą kręciła głową. Może miała rację?

— Co tam jest napisane?

„Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy. Życzymy miłego pobytu” — przeczytał głośno.

Podeszła do telewizora i włączyła CNN. Przez chwilę oglądali telewizję. Jeszcze nic się nie działo...

Kort popatrzył na zegarek.

— Uspokój się — powiedziała, podając mu kieliszek. — Mamy mnóstwo czasu.

Podeszła do niego, trzymając w dłoni kieliszek, a na jej ustach znów pojawił się ten uśmiech. Wiedział, czego chciała. I był pewien, że jemu też będzie się to podobało...

Nic nie zdarza się dwa razy, pomyślał.

— Jakies kłopoty? — powtórzyła jego pytanie. — Mamy same kłopoty! Nie rozumiesz? Wszystko skończone! Aresztowali go. Wsadzili do więzienia! Boże, ta ulga, gdy się o tym dowiedziałam!

Zrobił się czerwony z oburzenia.

— Ulga!? Jak możesz coś takiego powiedzieć! Michaela aresztowano, prawdopodobnie resztę życia spędzi w więzieniu. A ty... ty zachowujesz się tak, jak gdyby to było święto!

— To jest święto. Jesteśmy wolni. On nas wykorzystywał. Mnie — przez trzy lata. A ciebie? Pięć lat? Jak długo to trwało? A może zbyt długo?

— A „Der Grand”? — zobaczył w jej oczach cień poczucia winy i wiedział już, że wygra. — Stałaś się taka jak inni! Poddajesz się, zanim spróbujesz coś zrobić!

Krzyczał. Podeszedł do telewizora i nastawił go tak, żeby zagłuszyć ich rozmowę.

— Zrobili ci pranie mózgu? Zapomniałeś już, że on nas szantażował? Jak możesz mu to wybaczyć? Ja nie mogę. Nie chcę. Zapłaci za wszystko. Zasługuje na to. Dlaczego miałabym zmarnować te dwa ostatnie lata? Wymień choć jeden powód!

Myślał przez chwilę, dobierając słowa, żeby musiała mu przyznać rację.

— Jeżeli zrezygnujemy z operacji, Michael dopilnuje, żeby nas sprzątnęli. Nawet z więzienia. — Zamilkł, zostawiając jej chwilę czasu do namysłu. — Jedynym sposobem uwolnienia się, jeżeli tego chcesz, jest przeprowadzenie akcji do końca. Dopiero wtedy możesz pożegnać się z „Der Grund”. Musisz kupić swoją wolność, Monique. Oboje musimy to zrobić. Zastanów się nad tym.

Chodził po pokoju z rękami w kieszeniach. Sprawa była ważniejsza dla niego niż dla niej. Jeden z ludzi, których chciał zabić, obecny szef EisherWorks Chemicals, był odpowiedzialny za uszkodzenie płodu

jego dziecka i rozpad rodziny. Potrzebował Monique do wykonania tego zadania, bo sam nie byłby w stanie tego zrobić.

— Operacja? Chyba zwariowałeś? Jesteśmy jak kulawy pies na trzech nogach! — Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Może i jesteśmy psem na trzech nogach, ale wciąż możemy gryźć!
— Zabębnił palcami po walizce z detonatorem i podszedł do Monique. Czuł w sobie cudowny przypływ energii i władzy. Czy to z powodu bomby w walizce, czy dziewczyny? Chciał wziąć Monique. Teraz, tutaj. To nie miało nic wspólnego z miłością, chodziło o władzę. Chciał, żeby mu się poddała i podporządkowała. W chwili orgazmu zawsze wyglądała jak mała dziewczynka, jak gdyby jej rozkoszą był ból. Pamiętał to dokładnie i tak bardzo jej teraz pragnął.

— Pies na dwóch nogach — poprawiła go. — Zostaliśmy tylko ty i ja, prawda? — usiadła na brzegu łóżka.

Kort usiadł obok.

— Dwunogi pies może się jeszcze czułgać. Jednonogi może najwyżej czekać, aż zdechnie. Nie chcę tego.

Oparła się o niego.

— No to co robić?

Opanowało go uczucie triumfu.

— Mamy trochę czasu do zabicia. — Wyciągnął rękę i rozpiął górny guzik jej bluzki.

Odsunęła jego dłoń, ale wiedział, że ma na niego ochotę.

— Co, robić? — powtórzyła.

Rozpiął następny guzik.

— Wyszczymy kilka samolotów. Najpierw tutaj, a potem jeden w Waszyngtonie. Wykończymy EisherWorks.

— To samo mówiłeś we Frankfurcie.

— To prawda.

— Jak właściwie chcesz to zrobić? Zabiłeś Eishera. Na jego miejsce przyszedł ktoś inny...

— Hans Mosner — przerwał jej. To nazwisko wiele dla niego znaczyło, ale nie dla niej. Mosner był dyrektorem fabryki w Duisbergu w czasie, gdy dopuszczono do skażenia środowiska, co spowodowało uszkodzenie płodu dziecka Korta, a teraz był dyrektorem EisherWorks. — Mosner będzie w Waszyngtonie. Jest jednym z naszych głównych celów.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Celów? Jest ich więcej?

Na oknie usiadł gołąb. Z powodu zanieczyszczonego powietrza jego skrzydła miały dziwaczne kolory. Miasto spowite było smogiem, a widoczność ograniczona do pół mili. Miał ochotę zwrócić jej na to uwagę. Tak postąpiłby Michael.

— Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie.

— Czego się dowiem?

Im mniej wiedziała, tym lepiej. Plan był skomplikowany. Jego złożoność dawała Kortowi poczucie władzy. Bał się z kimkolwiek o nim rozmawiać.

— Wszystko w swoim czasie — powtórzył i dodał: — Powiem ci tylko, że samolot, który dziś wysadzimy, przewozi chemikalia służące do produkcji pestycydów. Nie wolno ich wytwarzać w USA, bo są szkodliwe dla zdrowia. Więc, aby obejść prawo, amerykańska filia EisherWorks wytwarza tylko chemikalia, a pestycydy robi się w Meksyku. Wyhodowane na nich plony wracają z Meksyku do USA. Ale dzisiaj się to skończy. Na dobry początek.

— Jak to?

Nie miał zamiaru jej tego mówić, ale i tak powiedział zbyt dużo.

— W Waszyngtonie odbędzie się spotkanie: Mosner, William Sandhurst z BiGeneer, Matthew Grady z ChemTronics, Douglas Fitzmaurice, Elizabeth Savile, Howard Goldenbaum. Dyrektorzy największych firm. Mam dość zajmowania się plotkami, czas na rekiny. — Wiedział, że zna te nazwiska.

— Chcesz ich wszystkich zabić? Czy... czy będą lecieć tym samym samolotem? — Była bardzo podekscytowana.

— Wszystko jest możliwe, jeżeli zostanie dobrze zaplanowane. Rodzice nigdy ci tego nie mówili?

Rozpiął trzeci guzik jej bluzki, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Dotknął jej piersi. Poczul w dłoni ciepło, które rozeszło się po jego całym ciele.

— Możemy się nie spieszyć.

— Naśmiewasz się ze mnie. Nienawidzę cię.

— Kocham się z tobą.

— Najpierw musisz mi powiedzieć, co zrobimy.

— Nie mogę. I tak powiedziałem za dużo.

— Nieprawda! — spojrzała na niego gniewnie. — Ale znam inne sposoby, żeby cię zmusić do mówienia... — Uśmiechnęła się.

Gładząc jej piersi poczuł, że przeszedł ją lekki dreszcz. Zastanawiał się, czy jego erekcja była spowodowana ich bliskością, czy władzą, którą nad nią miał. Wskazał na telewizor.

— Jedynie telewizja przemawia do ludzi. Tylko tego słuchają. Więc dla odmiany wypełnimy ich ekrany odrobiną prawdy. Trochę płomieni na pasie startowym zawsze dobrze robi wiadomościom. Ludzie z CNN powinni nas uwielbiać.

Uśmiechała się. Miała piękny uśmiech, zarazem tajemniczy i przebiegły. Kobieta pełna seksualnych sekretów. Znał już jeden: wystarczyło zacząć wodzić palcem po jej wargach. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety tak uzależnionej od seksu...

— Tęskniłem za tobą.

— Kłamczuch.

Palec Korta wędrował po jej wargach, dopóki go nie pocałowała. Potem wzięła go do ust i zaczęła ssać.

Nie rozmawiali już. Jego ręka dotarła do piersi. Czuł się panem sytuacji tak jak wtedy, gdy nastawiał czas na detonatorze. Następnym razem będzie to 47 sekund.

Pociągnęła za pasek jego spodni, ale to on miał być górą. Ręką dotarł pomiędzy jej rozchylone uda.

Było tak, jak być powinno. Było nawet lepiej, niż się spodziewał. Pomimo gwałtownego bicia serca, pomimo bólu dziaśła, czuł się odprężony.

Pół godziny później prześcieradło znajdowało się w samym kącie łóżka, a powietrze przesycone było jej zapachem. Kochali się jak ludzie w schronie przeciwatomowym. Jak gdyby jutro miało nie nadejść.

— Jak możesz pamiętać takie rzeczy? — spytała rozmarzonym głosem. — Czy wszystkie kobiety są do siebie tak podobne?

Miał jej powiedzieć, że pomiędzy Frankfurtem a dzisiejszym popołudniem spał tylko z jedną kobietą i że była to kompletna katastrofa? Uświadomić, jak ogromną miała nad nim władzę? Doszedł do wniosku, że nie. Jeżeli osiągnie się nad kimś przewagę, nie należy z niej dobrowolnie rezygnować.

— Ani razu mnie nie pocałowałaś — powiedziała, dotykając jego spuchniętego policzka.

— Ciesz się, ze tego nie zrobiłem. Muszę iść do dentysty. To poważna sprawa. Infekcja. Ale teraz nie ma na to czasu.

— Boli?

— Jakoś to przeżyję.

— Nie możesz być tego pewien — powiedziała.

Przez chwilę panowała cisza.

— Przeżyliśmy Frankfurt — przypomniał.

— To było co innego.

— Nie aż tak bardzo.

— Stanowiliśmy wtedy część zespołu, mogliśmy liczyć na wsparcie.

A teraz... To już nie to samo.

— Prawie to samo — powiedział. Czuł się dobrze. Dziewczyna wprawiła go w dobry nastrój.

— Dokąd pojedziesz potem?

— Wszystko zostało zaplanowane, dla nas obojga.

— Chcę zostać tam, gdzie teraz mieszkam — powiedziała. — Czy będę musiała wyjechać?

— Może nie — skłamał. — Zobaczymy.

Nie miał już czasu na prysznic. Wytarł się ręcznikiem i spryskał wodą kolońską.

— Lepiej się ubierz — powiedział, patrząc na zegarek. W dziurę po zębie wsadził Anbesol i skrzywił się. Gdy poczuł, że znieczulenie zaczęło działać, powiedział: — Możemy zaczynać.

Podmiejskie osiedla Los Angeles wyglądały prawie identycznie: rzędy takich samych domków, przy każdym garaż. Z powodu suszy trawniki były wypalone przez słońce.

Dwóch opalonych młodych ludzi, bez koszul, ścigało się na wrotkach. Kort był zadowolony z klimatyzacji w mikrobusie.

— Dobrze wybrałaś — powiedział.

— Mówiłeś, żeby wynająć coś dużego.

Skinął głową. Nienawidził małych samochodów.

— Powiesz mi, co teraz zrobimy, czy liczysz na mój dar jasnowidzenia? Kim jest ten Dougherty?

— To mechanik z AmAirXpress. Należy do obsługi cargo. Ich samoloty startują z innego pasa; to jest dla mnie ważne.

— Ale ja nie mogę cię doprowadzić na pas. Przecież pracowaliśmy

nad tym od tygodni, byliśmy twoimi konsultantami. Dlaczego się tym zajmowaliśmy, skoro nie będzie to potrzebne?

- To będzie potrzebne.
- No to po co nam Dougherty? Nic nie rozumiem.
- Wprowadzili nowe zabezpieczenia.
- Liczenie głów? — spytała.

— Właśnie. Nawet jeżeli dostanę się na pasy, żeby wejść do serwisu AmAirXpress, i tak muszę mieć przepustkę z kodem. Nigdy nie przejdę przez wejście dla pracowników. Zwłaszcza z tym, co będę niósł. Poza tym ludzie z AmAirXpress znają Dougherty'ego. Więc muszę wejść od strony pasów. Tam są tylko maszyny, a wejście jest skomputeryzowane. Otworzy się dla mnie dzięki karcie Dougherty'ego.

— Zwiniemy mu przepustkę?

— O ile informacja od Greka jest prawdziwa, a była w przypadku Seattle, to Dougherty lubi wypić. Niedawno umarła mu żona; zabierzemy mu przepustkę, zostawiając go na kacu.

— Obawiam się, że nie doceniasz ich możliwości. Na lotnisku zawsze są tysiące ludzi. Nigdy nie wyglądałeś z samolotu przed startem? — spytała. — Ach, prawda, nie lubisz latać.

Milczał, a ona znów zaczęła mówić. To było męczące, a poza tym oznaczało, że jest zdenerwowana.

— Wiem, że zaczęli liczyć pasażerów, ale to nie ma żadnego znaczenia. Ci z Airport Police wiedzą, że ich słabą stroną jest wejście od strony lotniska, ale i tak najwięcej uwagi poświęcają kontroli pasażerów. Mój plan jest dobrze przemyślany.

— Co mam robić u Dougherty'ego?

— Będziesz moją asystentką. Mężczyzna w towarzystwie kobiety wzbudza więcej zaufania niż wtedy, gdy jest sam.

Kort zaczął przygotowywać strzykawkę, mając nadzieję, że dziewczyna przestanie mówić. Dwukrotnie musiał zwrócić jej uwagę, żeby patrzyła na drogę. Zbyt długo był sam i denerwowało go, że Monique nie potrafi się zamknąć.

— Co to jest? — spytała, gdy napełniał strzykawkę.

— Alkohol. Dziewięćdziesięcioprocentowy.

— Mocny.

— Nie powinno go to zabić, o ile dobrze ocenilem jego wagę.

— Umiesz zgadywać wagę? — spytała, obciążając bluzkę.

Popatrzył na nią.

— Czterdzieści osiem kilo — powiedział.

Zaczerwieniła się i z przesadną uwagą zaczęła patrzeć przed siebie.

— Nie zabijesz go — powiedziała i zamilkła.

Minęli grupkę dzieci, które w strojach kąpielowych bawiły się w fontannach wody tryskającej z hydrantu. Monique wyminęła je, a Kort zasłonił swoją twarz zły, że dziewczyna nie ma takich nawyków. Mikrobus podskoczył, bo przejechali przez miejsce, w którym kładziono rury kanalizacyjne.

Gdy minęli numer 11345, namalowany żółtą farbą na krawężniku, dał znak, żeby stanęła.

Domek wyglądał jak pudełko po butach, tyle że miał okna. Trawnikiem wielkości znaczka pocztowego od dawna nikt się nie zajmował. Na dachu dość krzywo sterczała zardzewiała antena.

Monique zawiązała pod szyją szyfonowy szal i włożyła ciemne okulary.

— No, to chodźmy — powiedział Kort, czując, że jest coraz bardziej podekscytowany.

Otworzył drzwi mikrobusu i wysiadł. W twarz uderzył go nieprawdopodobny żar. Nie było czym oddychać. Kolejny dowód na to, że organizacja „Der Grund” działała w słusznej sprawie. Politycy odnosili się do zanieczyszczenia środowiska tak, jak gdyby ten problem mógł czekać jeszcze co najmniej pół wieku, a należało działać już teraz.

Idąc obok siebie, zbliżyli się do frontowych drzwi. Na schodkach wiść było ślad, który pozostawił po sobie ślimak. Kort odszukał go i nadepnął. Gdy Dougherty otworzył drzwi, Monique wciąż wpatrywała się w to, co z niego zostało.

Dougherty miał szorstkie, mocne dłonie rybaka. Wyraz niebieskich oczu świadczył o tym, że albo pił, albo miał kaca. Jego koszulka reklamowała piwo Dos Equis. Miał na sobie dżinsy i Kort pomyślał, że tego dnia Dougherty w ogóle nie wychodził z domu.

— Kevin Dougherty? — spytał znudzonym, zniecierpliwionym głosem.

— O co chodzi?

— Jestem Bill Rembler, z międzynarodowej ochrony SCI. A to jest Linda Martin — powiedział, odwracając głowę w stronę Monique,

która sztucznie się uśmiechnęła. — Obawiam się, że będziemy musieli z panem porozmawiać. Możemy wejść? Tu jest straszliwy upał.

Dougherty wzruszył ramionami i wpuścił ich do domu. Było jasne, że czuł się niepewnie. Dokładnie tak, jak tego pragnął Kort. W środku było ponuro, okna zasłonięte. W pokoju unosiła się woń wilgoci, a na stole piętrzyły brudne talerze. Telewizor był nastawiony na kanał sportowy; były gwiazdy sportu właśnie całowały się z jakąś gospodynią, która wylosowała nagrodę; jej twarz pokryta była grubą warstwą szminki, mówiła piskliwym głosem. Dougherty wyłączył telewizor.

— O co chodzi? — spytał.

Kort sięgnął do kieszeni na piersiach i udał, że czyta z wyciągniętej kartki.

— Pracuje pan w serwisie Duhninga linii AmAirXpress?

— Tak — potwierdził Dougherty.

— Pan i, niestety, jeszcze wielu innych... — ciągnął Kort, coraz bardziej wczuwając się w swoją rolę. — Chodzi nam o niedopilnowanie przepisów bezpieczeństwa. Airport Police zawiadomiła naszą agencję, że dopuszczono się fałszerstwa identyfikatorów na lotnisku w Los Angeles. Naszym zadaniem, wskazał na siebie i Monique, jest zebranie wszystkich identyfikatorów od ludzi z serwisu. Musimy sprawdzić, czy któryś z nich nie został sfalszowany. Wystawią wam czasowe identyfikatory, gdy zgłosicie się do pracy.

— Nikt nie miał dostępu do mojej karty — powiedział Dougherty. — Możecie nie tracić czasu.

— Znowu to samo — mruknął Kort. — Taka jest procedura, nic na to nie poradzę. — Mocniej ujął schowaną w kieszeni strzykawkę.

— Proszę, żeby podał mi pan swoje nazwisko. Pani też — powiedział Dougherty, spoglądając na Monique. — A ja to sprawdzę telefonicznie. — Popatrzył Kortowi w oczy.

— Coś panu powiem, panie Dougherty. Może pan dzwonić, gdzie tylko pan chce, ale Rembler i ja nie mamy zbyt dużo czasu. I tak odda nam pan identyfikator — zaczęła Monique, stając przed nim. — Musimy sprawdzić jeszcze 27 osób, a na zewnątrz jest milion stopni — ciągnęła, obchodząc go dookoła i odwracając jego uwagę od Korta. Strzykawka

była gotowa, choć Kort nie planował tego w ten sposób. — Nie dość, że jest gorąco, to jeszcze ja akurat nie czuję się najlepiej, chyba rozumie pan, o czym mówię. Więc może by pan zadzwonił sobie kiedy indziej, a teraz oddał nam swój identyfikator, dobrze?

Kort wyciągnął rękę, żeby przyduśić Dougherty'ego; nie mógł sobie pozwolić na błąd w sztuce, tak jak z Wardem. Drugą ręką wyciągnął z kieszeni strzykawkę.

Dougherty wyczuł jego ruch. Z krzykiem przewrócił Korta na ziemię. Strzykawka upadła na dywan.

Dougherty pobiegł w kierunku drzwi. Kort rzucił się za nim. Kopnął go w nerki i przewrócił na ziemię. Monique podała Kortowi strzykawkę, który wbił ją Dougherty'emu w kark. Dougherty zamrugał oczami i otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Już po kilku minutach stracił przytomność. Dla Anthony'ego Korta były to bardzo długie minuty.

— Boże — szepnęła rozdygotana Monique.

Kort odetchnął z ulgą: dziewczyna dobrze się spisała. Podniósł bezwładnego mężczyznę za włosy i obrócił tak, aby upadł twarzą na ziemię.

— Gotowe — mruknął. — Wyjął z kieszeni dwie pary chirurgicznych rękawiczek. Jedną podał Monique. Dał jej także chusteczkę. — Drzwi — polecił — jego ubranie, skórę na karku. Wytrzymaj wszystko.

— Skórę też?

— Dotknąłem jego karku. Oni potrafią zdejmować odciski palców ze wszystkiego. Nie tak, musisz trzeć, jakbyś prała swoje rzeczy.

— Nie piorę swoich rzeczy — odcięła się.

Monique wyprowadziła mikrobus na San Diego Freeway i przy Century Boulevard zatrzymała się na czerwonym świetle.

— Opowiedz mi dokładnie o wszystkim — zażądał Kort.

— Nie martw się, Anthony — powiedziała uspokajająco. — Wejdziemy do środka, zostawię cię tam, a sama wyjdę bez problemu. Wiem, co robię. — Ruszyła, minęła kilka przecznic i skierowała mikrobus w stronę terminali przylotów i odlotów. Kilka przecznic dalej budynki nie

wyglądały już tak okazale. Mijali biura, magazyny i hangary będące własnością różnych firm. Niektóre z nich należały do dużych przewoźników. Od drogi oddzielone były wysokim ogrodzeniem z kolczastego drutu.

Monique zwolniła.

Serce Korta zabiło szybciej.

Dziewczyna skręciła na zatłoczony parking i wyłączyła silnik.

— Masz kombinezon? — spytała, patrząc na torbę Korta.

— Mam.

— Na sobie?

— Tak.

— To dobrze. Mnie się to wprawdzie nigdy nie zdarzyło, ale gdyby chcieli przeszukać twoją torbę, to coś wymyślę. Powiem, że w jednej z naszych ciężarówek brakuje gaśnicy; możesz nic nie mówić.

— Żadnych wykrywaczy metalu?

— Tutaj? Przeceniasz ochronę. Sprawdzamy tylko, czy wchodzący to nasi pracownicy. Nie zaglądamy im do drugiego śniadania. Pamiętaj, że jesteśmy prywatną firmą wynajętą przez AmAirXpress. Ci ludzie pracują dla mnie. Jestem tutaj grubą rybą.

Przedtem uczył się na pamięć rozkładu hangarów, teraz miał to wszystko zobaczyć na własne oczy. Z parkingu skierowali się do wejścia strzeżonego przez firmę Monique, przez które mieli dostać się na parking firmy kateringowej In-Flite Foods. Obok wejścia dla pieszych znajdował się wjazd dla ciężarówek. Był rzadko używany, toteż brama była zamknięta. Tankowanie i obsługa samochodów odbywały się na terenie lotniska, aby przy wjeździe nie trzeba było każdego z nich przeszukiwać. Ciężarówki z żywnością przejeżdżały przez jeden z trzech punktów strzeżonych przez Airport Police, gdzie losowo poddawano je skrupulatnej kontroli. Z tego powodu Kort i Monique zdecydowali się dotrzeć na lotnisko przez wejście Ialite.

Zgodnie z planem, pojawili się na parkingu tuż przed rozpoczęciem drugiej zmiany. Kort odetchnął, widząc, że prawie każdy z pracowników trzyma w ręce torbę lub jakieś zawiniątko. Zbliżyli się do długiej kolejki do wejścia, która przesuwiała się bardzo szybko. Sprawdzano jedynie identyfikatory. Kort odniósł wrażenie, że kontrolę przeprowadzano bardzo niedbale.

Zatrzymali się przed ochroniarzami.

— Monique Paine — powiedziała dziewczyna, wskazując na identyfikator przypięty do bluzki. — Jestem z biura waszyngtońskiego. Poproszę o identyfikator dla mojego gościa.

Ochroniarz sprawdził listę, zniknął i po chwili wrócił z białym identyfikatorem.

— To jest pan Anthony — powiedziała dziewczyna.

— W porządku — mruknął wściekły ochroniarz, widząc, że kolejka robi się coraz dłuższa.

Monique podała Kortowi identyfikator. Przypiął go sobie do koszuli. Nie zwracając niczyjej uwagi odłączyli się od grupy pracowników i ruszyli w kierunku samochodów zaparkowanych na wewnętrznym parkingu.

— To nie jest kontrola izraelskich linii lotniczych... — mruknął Kort. Dziewczyna uśmiechnęła się.

— To ten — powiedziała, wskazując na zielony samochód z wielkim napisem In-Flite na drzwiach kierowcy. — Wsiadaj. Pójdę po kluczyki.

Framugi okien w budynku, w którym zniknęła, były zardzewiałe. Sam budynek, długi, parterowy, przypominał pudełka, w jakie pakuje się ciastka. Sprawiał wrażenie, że wystarczyłby jeden kopniak, aby rozpadł się na kawałki.

Było nieznośnie gorąco. Kortowi najbardziej doskwierały peruka i makijaż.

— Wszystko w porządku — powiedziała Monique, siadając za kierownicą.

— Właśnie przypominałem sobie twój stary pseudonim.

— To miło — uśmiechnęła się. — Myślałam, że zapomniałeś.

— Nie, oczywiście, że nie.

Wewnętrznymi drogami jechała w kierunku hangarów. Aby dostrzec do obsługi technicznej AmAirXpress, musiała objechać prawie całe lotnisko.

— Wiesz, co masz zrobić? — spytał.

— Wiem. Skontaktujesz się ze mną, gdy dotrzesz do Waszyngtonu, prawda?

Odpiął swój identyfikator i zastąpił go identyfikatorem Dougherty'ego. Magnetyczny pasek na karcie pozwalał na otwarcie drzwi

do hangaru. Wziął do ręki torbę z gaśnicą i oddał dziewczynie przepustkę dla gości. W kombinezonie wyglądał jak każdy inny mechanik.

— Na pewno wiesz, co masz zrobić? — chciał się upewnić.

— Wszystko zrobię tak, jak trzeba, Anthony — uspokoiła go na pożegnanie. Jej oczy mówiły: „Powodzenia”.

6

Grupa dochodzeniowa znalazła ząb w niedzielę rano. Prawo Murphy'ego mówi, że jeżeli coś może się nie udać, to na pewno się nie uda. Zgodnie z tym prawem na torbę ze śmieciami, w której znajdował się ząb, trafili na samym końcu. Ale jej zawartość okazała się cennym znaleziskiem, istnym rogiem obfitości. Oprócz zęba były w niej zakrwawione chusteczki, opakowanie po Anbesolu i dwa kawałki hotelowego mydła. Wszystko to natychmiast przewieziono do waszyngtońskiego gmachu Hoovera.

Było poniedziałkowe popołudnie. Daggett przebywał w terenowym biurze FBI w Seattle i właśnie miał wysłać zaszyfrowany fax do Paula Pullmana, gdy zadzwonił telefon. Daggett miał nadzieję, że chodzi o wyniki z laboratorium. Za oknem po zatoce płynął olbrzymi, biały prom, za którym leciały mewy. Po wijącej się wzdłuż brzegu zatłoczonej autostradzie wolno sunęły samochody.

Gdy tylko usłyszał głos LaMoi, wiedział już, o co chodzi. Mayflower Hotel udostępnił numer rejestracyjny samochodu gościa z pokoju 311, a wydział komunikacji ustalił, skąd wypożyczono samochód. Była to mała firma, niemająca nawet własnego biura na lotnisku.

— Firma wynajmująca samochody zidentyfikowała faceta — powiedział LaMoia. — Pomyślałem, że chciałby pan z nimi porozmawiać.

— Już tam jadę.

Ciemnoskóra Lori Slaughter była zastępcą szefa firmy. Miała włosy spięte w kok, a jej srebrne kolczyki w kształcie lecących gęsi odbijały światło jarzeniówek. Ubrana była w luźną sukienkę i, oczywiście, zdenerwowana. Daggett liczył na to, że jego kurtka z college'u rozładuje napięcie, ale widocznie ludzie zawsze są zdenerwowani, gdy zjawia się u nich FBI.

Patrzyła w ekran komputera.

— Pan Antony — powiedziała, nie wymawiając „th” — wypożyczył samochód w naszej agencji w śródmieściu; mamy tam garaż. Zamówienie złożono siedemnastego lipca, a samochód wypożyczono dwudziestego pierwszego sierpnia. Samochód średniej klasy, czterodrzwiowy. Oddaliśmy do dyspozycji samochód większy, bo akurat był wolny. Klient odmówił podpisania nadobowiązkowej polisy ubezpieczeniowej. Za rezerwację zapłacił kartą kredytową VISA...

— Kartą kredytową!? — Daggett myślał, że się przesłyszał.

— Klient nie zwrócił samochodu w terminie, to jest dwudziestego drugiego, więc powiadomiliśmy policję. Zwykle, gdy ktoś ukradnie samochód, jego karta kredytowa okazuje się również kradziona. Ale tym razem tak nie było.

— Potrzebny mi będzie jej numer — powiedział Daggett.

— Proszę bardzo.

Daggett zapisał go w notesie.

— O ile to możliwe, chciałbym porozmawiać z osobą, która wypożyczała ten samochód.

— Chwileczkę. — Kobieta podniosła słuchawkę. Jej paznokcie, długie jak szpony, miały jaskrawoczerwony kolor.

— Człowiekiem, o którego panu chodzi, jest James Channig. Pracuje do czwartej. Zawiadomiłam go o pańskiej wizycie. Czeka na pana.

— Dziękuję.

— Muszę jednak pana uprzedzić, że chłopak w ciągu tygodnia rozmawia z dziesiątkami klientów. Jest mało prawdopodobne, żeby zapamiętał pana Antony'ego.

Nie spodobał mu się jej pesymizm.

— Zobaczmy — mruknął.

Dwie godziny później musiał przyznać jej rację: młody człowiek nie nie pamiętał. Daggett czuł się przygnębiony. Jego jedyną nadzieją był numer karty kredytowej.

Shoswitz zabrał Daggetta z hotelu pół godziny przed meczem. Daggett wciąż miał na sobie kurtkę z college'u.

— Lubię ją — wyjaśnił. — Przez dwa lata grałem na pierwszej bazie.

Przypomniawszy sobie tamte czasy: inni ludzie, inne sprawy, inne marzenia. Spojrzał w niebo. Pogoda nie była ani dobra, ani zła.

— Powinien pan być szczęśliwy — stwierdził Shoswitz. — Dużo się pan dziś dowiedział.

To zależy, jak na to spojrzeć, pomyślał Daggett.

— Tak pan sądzi?

— Mamy numer karty kredytowej tego faceta. Jeżeli będzie nią płacił, dowiemy się o tym w ciągu kilku minut, a to już coś! — entuzjazmował się Shoswitz. — Mamy punkt zaczepienia. W wielu wypadkach nie doszlibyśmy nawet tak daleko.

— Straciliśmy potencjalnego świadka i to mnie martwi.

Kiedy indziej, prowadząc inne śledztwo, Daggett nie miałby poczucia klęski. Pullman chciał jak najszybciej sporządzić raport w sprawie Backmana, co mogło potrwać tydzień czy dwa. Potem trafią do archiwów akta Bernarda. Sama myśl o tym wyprowadzała go z równowagi.

Stadion Kingdome przypominał olbrzymi, latający talerz. Do środka wlewała się rzeka tysięcy ludzi z balonikami, w czapkach, z chorągiewkami.

Tyłu ludzi... — myślał Daggett. Ilu z nich widziało tego człowieka, nie podejrzewając, do czego zmierzał? Ilu z nich mogłoby mu pomóc, gdyby zdawali sobie sprawę z tego, co widzieli?

— Zawsze jest pan w tak dobrym humorze? — spytał Shoswitz.

— Przepraszam. Chyba jestem zmęczony — usprawiedliwił się Daggett.

Shoswitz zaparkował samochód. Na stadion szli ponad dziesięć minut. Mecz się jeszcze nie zaczął, ale kibicom to nie przeszkadzało i zachowywali się tak, jak gdyby grano już od godziny.

— Wszystko w porządku? — spytał Shoswitz, gdy usiedli na miejscach oddalonych o milę od boiska.

— W porządku.

Najbardziej ze wszystkiego Daggett nie lubił kłamać.

Deszcz uderzał w szybę hotelowego okna. Przez telefon głos Macalistera, agenta do zadań specjalnych, brzmiał poważniej niż zwykle.

— Sieć komputerowa VISA przez kilka godzin miała awarię. W przeciwnym razie mielibyśmy tę informację wcześniej — zaczął z miejsca, najwidoczniej rozpoznając Daggetta po głosie i nie tracąc czasu na grzeczności. — David Anthony kupił bilet w jedną stronę z Portland do Los Angeles. Za bilet zapłacił gotówką, ale w ostatniej chwili dopłacił do wagonu sypialnego, w którym łóżka można rezerwować tylko kartą kredytową. Informację mamy tylko dzięki tej rezerwacji. Daggett, on jechał tym pociągiem. Przyjechał do Los Angeles wczoraj po południu. Jeżeli wynajął pokój w hotelu, to nie płacił kartą kredytową, bo już byśmy o tym wiedzieli.

Daggett poczuł, jak przyspieszyło mu tętno. Zaczął się pakować, w dalszym ciągu słuchając Macalistera.

Daggett myślał: to typowy Europejczyk; żaden z nich nie pojedzie kuszetką...

— ...a to znaczy, że mogliśmy go zgubić — podsumował Macalister.

— Zgubić? — spytał Daggett, zapinając guziki koszuli. — Musi pan ponownie wysłać ostrzeżenie do wszystkich linii na lotnisku LAX; Duhningi 959 mają być przynajmniej trzykrotnie sprawdzane przez ochronę. Bagaż podręczny i walizki muszą być kontrolowane tak, jak to się robi w izraelskich liniach lotniczych. Niech pan wyśle fax do naszego biura w Los Angeles i poinformuje ich o wszystkim, co wiemy, nie zapominając o zębie; ten człowiek wciąż może mieć z nim kłopoty. Jest pan tam jeszcze? — spytał Daggett, bo Macalister milczał.

- Jestem. Zapisuję to, co pan powiedział.
- I jeszcze coś — Daggett już wkładał marynarkę. — Zarezerwujcie mi miejsce w następnym samolocie do Los Angeles.

Z wysokości pięciu tysięcy stóp czarny słup dymu skojarzył się Daggettowi z kominem fabrycznym. A może palił się cały blok mieszkalny? Jedynie bliskość lotniska LAX i ciągnący w jego stronę sznur samochodów straży pożarnej wielkości zabawek, dowodziły, że było inaczej.

Wciąż jednak chciał się ludzić, dopóki przypięty do paska od spodni pager nie zaczął piszczeć. Umożliwiał natychmiastową łączność na terenie całych Stanów Zjednoczonych, Europy i części Azji, a jego szesnastomiejskowy alfanumeryczny ekran pozwalał biurom FBI na przekazywanie swoim agentom zaszyfrowanych informacji.

Daggett rozsunął płaszcz i wyłączył pager. Odczytał wiadomość:
t w a r d e l ą d o w a n i e .

Kryptonim „Twarde lądowanie” oznaczał katastrofę samolotu.

Daggett był pewien, że rozbił się Duhning 959 i nawet wiedział coś o człowieku, który podłożył bombę. Zaschło mu w gardle. Starsza kobieta na siedzeniu obok prosiła:

— Czy mógłby się pan odsunąć, ja też chcę popatrzeć. Nic nie widzę. Czy to aeroplan?

Ale Daggett milczał. Przypomnił sobie inną katastrofę.

Choinka jest bardzo ładna, wiszą na niej różnokolorowe zabawki. Nasuwa na myśl święta spędzane u dziadków w stanie Oregon, gdzie lód na rzece był tak przezroczysty, że widać było pod nim ryby. Pamięta wszystko. Czuje się głupio, bo właśnie zostawiła go Peggy, a Duncan przebywa z jego rodzicami za granicą. Daggett szuka towarzystwa ludzi, przyjaciół. Pogoda nie jest świąteczna, pada deszcz i wieje silny wiatr. Z radia słyhać kolędy, ale nastrój nie jest taki, jaki być powinien. Z wyjątkiem drzewka. Tylko drzewko jest w porządku.

Jego ubranie wciąż jeszcze jest wilgotne po deszczu. Zastanawia się, czy nie warto się upić? Ale dzisiejszego wieczora nie można spędzić

samotnie. To pierwsze święta bez Peggy. Jego ból jest tak wielki, jak miłość do niej.

Problem z tego typu uroczystościami w biurze FBI polega na tym, że wszyscy z zasady skrywają swoje uczucia. Nie ma tu miejsca na sentymentalizm. Nikt nie śpiewa kolęd, wszyscy mówią o niczym. Od czasu do czasu ktoś opowie sprośny żart.

Te żarty... Wiele z nich ma podtekst rasistowski. Uśmiechy przyklejone do twarzy, bezustanne poklepywanie po plecach... Już po kilku minutach chciałby być gdzie indziej, ale kości zostały rzucone: jest tu i teraz. Dostrzega go Clay Primrose i daje mu znaki, żeby porozmawiał z jakąś rudowłosą dziewczyną w mini. Nie zna jej i wcale nie ma na to ochoty.

Z sąsiedniego pokoju dobiegają wrzaski i krzyki: to dzieci oglądają w telewizji kreskówki. To też zupełnie nieodpowiednie jak na wigilijny wieczór, myśli Daggett. Clay przedstawia mu rudą dziewczynę, a on wyobraża sobie, jak by to było, gdyby poszedł z nią do łóżka.

Nie dosłyszał, jak ruda ma na imię. Głowę zaprzatają mu myśli o wilgotnych wargach i dziewczynie, która leży tuż obok niego. Naga.

Ale nagle traci ją z oczu. Automatycznie odwraca się w stronę pokoju z dziećmi. Ich program przerwano z powodu ważnej wiadomości.

Czuje zawrót głowy, chyba zaraz się przewróci.

— 1023 — gadająca głowa w telewizorze zimno, bez jakichkolwiek emocji cedzi słowa: — Lot 1023 EuroTours. — Szklanka z drinkiem wylatuje Daggettowi z ręki. Zdjęcia, które teraz pokazują, zrobiono w nocy. Pomarańczowe płomienie wypełniają cały ekran. — Samolot lecący z Frankfurtu do Heathrow — mówi spiker, powtarzając numer lotu. Daggett zna ten numer, ma go, zapisany, w kieszeni. Kamera pokazuje palące się szczątki samolotu rozrzucone na przestrzeni wielu mil. Duncan... Rodzice... — Prawdopodobnie zginęli wszyscy pasażerowie — mówi mężczyzna I porównuje liczbę ofiar do katastrofy w Lockerbie, jak gdyby to były jakieś zawody. — Jednym słowem, nie jest tak źle jak w przypadku Lockerbie — podsumowuje.

Przy fortepianie zbierają się amatorzy wódki, niezdający sobie sprawy z tego, co pokazują w telewizji. Suzie, dziewczyna z rachunkowości,

zaczyna śpiewać. Ma nawet dość dobry głos. Patrzy na Daggetta.

„Cicha noc, święta noc...”

To, co pokazują w telewizji, nie jest ani ciche, ani święte. Człowiek stojący na tle płomieni jest zdenerwowany. Ociera z czoła krople potu: musi być spokojny. Najważniejsze, aby to jego stacja nadała pierwsze sprawozdanie z katastrofy. W tle migają niebieskie światła straży pożarnej i karetek pogotowia.

Daggett przykłęka w miejscu, gdzie rozlał swój drink. Jedno z dzieci chce zmienić kanał, ale zamiast człowieka na tle płomieni pojawia się dziesięciu innych i wszyscy mówią o tym samym.

— To niewielka strata — pociesza go Primrose, myśląc o drinku Daggetta, ale on rozumie to inaczej.

Kamera pokazuje panoramę płonących szczątków. Daggett chwiejnym krokiem rusza w stronę telewizora. Suzie wciąż śpiewa.

Staje tuż przed telewizorem. Obraz w kolorze transmitowany jest przez satelitę. Wydaje mu się, że widzi własną szarą walizkę, którą pożyczyl Duncanowi. Mignęła gdzieś między szczątkami bagaży innych pasażerów.

Jego jedyne dziecko.

Jego rodzice.

Nie żyją, czy daremnie wzywają pomocy?

„Cicha noc, święta noc...” — Suzie zaczyna od początku.

Dwadzieścia dwie minuty później, po czterech telefonach i krótkiej jeździe taksówką, Daggett stał w pobliżu miejsca katastrofy.

Kilkadziesiąt metrów dalej wznosiły się słupy czarnego dymu, a dookoła wałały się szczątki odrzutowca. Katastrofa miała miejsce w parku Hollywood. Na jego terenie znajdował się klub jeździecki, hotel, a pod ziemią złoża ropy naftowej. Samolot rozbił szereg pomp wydobywających ropę i szyby zionęły kłębamii czarnego dymu. Widok ziemi wyrzucającej ogień skojarzył się Daggettowi z piekłem. Dym prawie całkowicie przysłonił słońce.

W dalszym ciągu z całej okolicy zjeżdżały radiowozy policyjne. Zablokowano wszystkie drogi prowadzące na lotnisko z San Diego Freeway. Wokół miejsca katastrofy stworzono strefę bezpieczeństwa, do której wjechać mogły jedynie karetki pogotowia i samochody policyjne.

Daggett zapłacił taksówkarzowi i ruszył przed siebie, przyczepiając do koszuli swój identyfikator. Na miejscu była już setka policjantów. Dziennikarzom wydzielono miejsce, z którego dobrze było widać wrak samolotu i ekipy ratunkowe w akcji. Technicy z telewizji już ustawiali tam światła.

— Sir — usiłował zwrócić uwagę Daggetta jeden z dziennikarzy, ale zajął się nim człowiek w garniturze, którego Daggett uznał za rzecznika prasowego policji.

Pomyślał, że gdy taka katastrofa zostanie zredukowana do obrazu telewizyjnego, straci wszelkie znamiona rzeczywistości. Dziesiątki wozów straży pożarnej przy płonącym kadłubie samolotu wyglądały jak zabawki. Z powietrza miejsce katastrofy wyglądało jak kropla wody, ale teraz miał wrażenie, że ciągnie się aż po horyzont.

Dopiero po chwili zarejestrował, że nie widzi walizek i toreb, tylko tekturowe pudła, których zawartość wałała się po okolicy. Cargo bez pasażerów? Daggett poczuł ulgę i pobiegł w kierunku szczątków. Ruszył za nim strażak, żeby go zatrzymać, i nie bardzo wiedział, co zrobić, gdy zobaczył identyfikator FBI.

— Są jakieś ofiary? — spytał Daggett.

— O ile mi wiadomo, tylko dwie. Ale dotychczas nie byliśmy w stanie podejść dostatecznie blisko, żeby to potwierdzić. — Wskazał na kilkadziesiąt pogietych, pięćdziesięciopięciogalonowych zbiorników. Z daleka wyglądały jak puszki po piwie. — Jeden z naszych ludzi podszedł do tego zbyt blisko i musieli go zabrać do szpitala. Tam są jakieś chemikalia. To świństwo jest wszędzie.

— Chemikalia? — Daggett nie mógł ukryć podniecenia. Związek katastrofy z „Der Grund” wydał mu się oczywisty.

Strażak spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Najpierw chcemy się dowiedzieć, co to jest.

Daggett podszedł do grupy mężczyzn stojących przy policyjnych samochodach. Właśnie podjechał do nich czterodrzwiowy chrysler z którego wysiadł Phil Huff. Teraz się zacznie, pomyślał Daggett.

Huff miał owalną twarz, przez co jego oczy wydawały się zbyt szeroko rozstawione. Wyglądał jak specjalista badający jakość mięsa w rzeźni. W ciągu ostatnich tygodni stracił trochę na wadze i nie poruszał się już jak niedźwiedź. Miał na sobie nowy garnitur i brązowy krawat w zielone kropki. W palcach trzymał niezapalonego papierosa.

Poznali się podczas przeszkolenia agentów FBI w Quantico w Wirginii. Przedtem Huff pracował w wydziale zabójstw w Baltimore.

Twarde spojrzenie i wyprostowana sylwetka świadczyły, że był to ten sam Huff: agresywny, bystry i szybki. Wiatr zmienił kierunek, niosąc ze sobą dym.

— Hej, Cameron — krzyknął Huff, wiedząc, że Daggett woli, by mówić do niego Cam.

Podali sobie ręce. Huff miał uścisk dłoni rzeźnika.

— Nie musieli nikogo przysyłać, a zwłaszcza ciebie, Daggett — powiedział uśmiechając się. Tak uśmiechają się agenci ubezpieczeniowi, gdy naciągają swoich klientów na dodatkowe ubezpieczenie.

— Widocznie Pullman jest innego zdania — odparł Daggett, choć w rzeczywistości Pullman dowiedział się o katastrofie dopiero kilka minut temu.

— Słyszałem, że dobrze ci szło z Bernardem. Masz zamiar posłać kwiaty wdowie po Backmannie?

— Czy musimy rozmawiać w ten sposób? Równie dobrze mógłbym spytać: jak to się stało, że twoi ludzie zgubili Bernarda?

Huff milczał, nie wiedząc jak odparować cios Daggetta.

— Wiesz, jakie chemikalia były na pokładzie? — spytał Daggett.

— Nie.

— Powiedział mi o nich jeden ze strażaków. Widzisz te zbiorniki?

— Nic mi o tym nie wiadomo — mruknął obojętnie Huff.

— A co na to komisja bezpieczeństwa środków transportu?

Komisja prowadziła śledztwa w sprawie wszystkich katastrof samolotów pasażerskich. Ale nie teraz. To, że Huff pojawił się tu z ramienia FBI, nie spodobało się Daggettowi. Huff nie umiał grać drugich skrzypiec, potrafił tylko wydawać rozkazy.

— Jeżeli udowodnimy, że to sprawa kryminalna, śledztwo będzie nasze — powiedział Huff wkładając do ust niezapalony papierosa. — A myślę, że dlatego przyjechałeś, prawda? Nie przyjeżdżałbyś tu z Buzzard Point i nie wsadzałbyś nosa w moje śledztwo, gdybyś nie miał ku temu powodów.

— Ilu z nas tu będzie? — spytał Daggett. Tylko raz przebywał w miejscu katastrofy i dotarł tam dopiero po 72 godzinach. Było to w obcym kraju i do tego Daggett występował jako cywil. Podczas szkoleń w

wydziale C-3 poznał jedynie najbardziej ogólne procedury postępowania w takich wypadkach, hierarchię i strukturę władzy, potrzebował więc szczegółów.

— Komisja bezpieczeństwa przywiezie swoje laboratorium na kółkach — wyjaśnił Huff. — Zostaną przez kilka dni. Teraz są wszystkie możliwe służby, od policji z Hollywood do szeryfa. Ci w mundurach głównie po to, żeby rozpędzać gapiów. Administracja lotnictwa i AmAirXpress sprowadzą swoje zespoły. Będzie także General Electric i Dunning, a Alcohol Tobacco przyśle specjalną grupę do wykrywania bomb. Na razie psy dostaniemy od Airport Police. Będziemy mieli na karku ze dwanaście firm, w których Dunning ubezpieczył samolot. W sumie jakieś sześćdziesiąt osób, naturalnie tylko wtedy, jeżeli to był wypadek. Jeżeli był, to stanę sobie z boku i będę ssał palec...

— Albo papierosa — mruknął Daggett.

— Ale jeżeli jest coś, co łączy tę sprawę z Bernardem albo z jego ludźmi, to sobie zatańczymy.

Akurat, pomyślał Daggett.

— Twoja obecność świadczy, że chodzi o terroryzm. Rozbił się samolot... ty spadasz z nieba w tej samej chwili... Nie jesteś tu przypadkiem, prawda?

— Muszę przyznać, że jesteś szybki, Phil.

Huff zaciągnął się niezapalonym papierosem.

— Więc podejrzewasz kogoś? Dlatego tak cię interesują te chemikalia?

Daggett odczekał chwilę.

— Wszystko, co mogę ci powiedzieć, to: „Nic”. Nic nie mogę powiedzieć — wycedził, po czym uśmiechnął się promiennie.

Policja z Los Angeles poradziła sobie z gapiami szybciej, niż można się było tego spodziewać. Zlikwidowano zator na drodze, dziennikarzy nie wypuszczano poza wydzielony dla nich teren, i dzięki temu strażakom pracowało się łatwiej.

— To taka okolica — mówił jeden z policjantów — że u nas muszą być najlepsi gliniarze. Dwa, trzy razy w tygodniu obstawiamy Jakiś budynek. Bez przerwy mamy strzelaniny albo gonimy handlarzy koką. Żyjemy tutaj jak w strefie wojennej, ale kilka przecznic stąd jest naprawdę źle. Może mi pan wierzyć: dzisiejszy dzień nie różni się niczym od innych. To przecież Los Angeles...

Za samochodem Huffa stanął następny i Daggett odruchowo spojrzął w tamtą stronę.

— To muszą być ludzie z administracji lotnictwa — mruknął Huff.

Daggett dojrzał w oknie znajomą twarz i miał ochotę się ukryć. Przypomniał sobie zapach perfum tej dziewczyny. Gdy znów na nią spojrzął, zorientował się, że ona także go zauważyła. Lynn Greene otworzyła drzwi samochodu. Najpierw ukazały się jej nogi. Zachowywała się niczym hollywoodzka aktorka na chwilę przed odebraniem Oscara.

— To ma być ekspert od środków wybuchowych? — nie wytrzymał Huff.

— Ona naprawdę się tym zajmuje — mruknął Daggett.

Siedzi w środkowym rzędzie, przy przejściu. Mężczyzna na podium ma wykład o plastiku i innych środkach wybuchowych. Jest chudy, mówi piskliwym głosem i zgromadzeni dość szybko przestają go słuchać.

Daggett dostrzega w trzecim rzędzie profil dziewczyny, który wydaje mu się bardziej interesujący niż rewelacje wykładowcy. Dziewczyna ma ciemne włosy, wysokie kości policzkowe, rzymski profil. Na jej ustach igra filuterny uśmiezek. Czerwieni się, słuchając tego, co koleżanka szepce jej na ucho: jak za dawnych lat w szkole. Dziewczyna odwraca się i patrzy na Daggetta, do którego powoli dociera, że to o nim mowa. Sam czuje się zawstydzony. Oboje odwracają wzrok.

Daggett zastanawia się, jak ją poznać. To ostatni wykład trzydniowego seminarium i nie może uwierzyć, że jej dotąd nie zauważył. Odczuwa coś na kształt poczucia winy; jest z Carrie dopiero pół roku i już chce poznać całkiem obcą kobietę? Rozbiera ją w myślach. Tłumaczy sobie, że to jedyna rada na nudny wykład. Nie patrzy na nią; nie potrzebuje dodatkowej pokusy.

Trzy miesiące później spotyka ją ponownie, tym razem na wybrzeżu Maryland. Jest to jeden z dni tak pięknych, kiedy myśli się: jeżeli w ogóle umierać, to teraz. Gorący piasek parzy go w stopy, więc stara się stąpać tam, gdzie piasek jest mokry. Przelatuje nad nim kilka mew.

Nie od razu rozpoznaje dziewczynę. Może dlatego, że nosi okulary przeciwsłoneczne, a może dlatego, że wpatruje się w to, co ukrywa jej jednocześnie kostium. Mija ją, ale po chwili zawraca i usiłuje się na nią nie gapić. Słyszy, jak dziewczyna woła za nim, nieudolnie naśladowując niemiecki akcent:

— Pofstanie plastikuff to nadzieja f środkach fibuchowich! Zdjęła okulary i patrzy na niego. — Pamięta pan?

Jak może nie pamiętać? Opuszcza chłodny piasek nad wodą i rusza w jej stronę.

— Trzeci rząd — mówi.

— To właśnie ja. Uciekał pan stamtąd, jakby się paliło.

— Nie chciałem się spóźnić.

— Taki pan punktualny?

Nie wie, co odpowiedzieć. Przedstawiają się sobie. Ona nazywa się Lynn Greene, pracuje w administracji lotnictwa; specjalizuje się w środkach wybuchowych. Carrie i Duncan są w domku kempingowym kilkaset metrów stąd. Nie potrzebuje tego rodzaju komplikacji, ale nie może odejść. Dziewczyna jest śliczna, nie można temu zaprzeczyć, choć tu nie chodzi o urodę. To coś ukryte jest w jej oczach, w jej uśmiechu.

Rozmawiają, Daggett wciąż stoi. Ona zasłania oczy przed słońcem. Jej ciemne włosy są jeszcze mokre. Z leżącej obok torby wystaje grzebień, płyn do opalania i książka z zakładką. Mówią o literaturze. Ona unika bestsellerów, on je pożera. Przechodzą do kina i zgadzają się, że „Annie Hall” Woody Allena to dobry film. Śmieją się.

Daggett pospiesznie mówi: „Do widzenia” i chce odejść.

— Znowu pan ucieka? — woła za nim dziewczyna.

Daggett zatrzymuje się i ogląda za siebie. Dziewczyna uśmiecha się do niego i leniwie rozciąga się na piasku.

Ma ochotę rzucić się na nią i zedrzeć z niej ten kostium. A ona o tym dobrze wie.

Dopiero kilka dni później zdobywa się na odwagę, by zapuścić się w okolice jej domku.

— Myślę, że przyływ w końcu wyrzuci pana na schodki — mówi dziewczyna i czeka, aż Daggett się zbliży. Ma na sobie płaszcz kąpielowy i Daggett domyśla się, że jest to jej całe ubranie.

Dziewczyna podchodzi do staroświeckiej łódki i wymienia mu jej

zawartość: mrożona herbata, piwo, Coca Cola, pomarańcza, jabłko. Ma śliczne nogi, opalone na ciemnobrązowy kolor. Zamyka lodówkę i podaje mu mrożoną herbatę. Sama pije piwo. Daggett nie przypomina sobie, żeby ją o coś poprosił.

Siada naprzeciwko niego. Kuchenny stół jest mały i pokryty wieloma warstwami farby. Ostatnia jest zielona. Czyste talerze stoją tuż przy zlewie, na oknie do słońca wygina się kantalupe. Pokój przepęlnia mieszanina zapachów: morskiej wody, płynu do opalania, mydła i kawy. Drzwi do łazienki są otwarte i Daggett widzi rzędy kosmetyków.

Wydaje mu się, jak gdyby mieszkał tu już od dawna.

Z pięciu minut robi się dziesięć, z dziesięciu dwadzieścia. Dziewczyna otwiera kolejne piwo i podaje je Daggettowi, który nie może odmówić. To najłatwiejsza rozmowa, jaką zdarzyło mu się prowadzić. Jego głowa jest pełna najróżniejszych myśli. Opowiada jej o Duncanie, nie wspominając jednak o kalectwie. Mówi, że jest rozwiedziony i tłumaczy, czym jest obecny związek z Carrie. Lynn zdaje się to nie przeszkadzać. Wciąż mają ze sobą świetny kontakt. Nie zaczyna budować wokół siebie muru: czyżby to nie był flirt, tylko jej sposób bycia? Najbardziej dosłowną zachętą do łóżka jest stwierdzenie, że „wszyscy ludzie czasem potrzebują odmiany”. Ale to on ma dokonać interpretacji tych słów. Decyduje, że powinien odejść.

Minęły dwie godziny. Daggett tłumaczy sobie, że to z powodu piwa.

— Nie uciekam tym razem — mówi i chce jej jeszcze coś powiedzieć, ale nie wie co.

— Mnie się podobało — mówi dziewczyna.

Jej słowa brzmią tak, jak gdyby się kochali. Po chwili zdaje sobie sprawę, że robili to przez ostatnie dwie godziny. Nie zdejmując ubrań.

Gdy już na schodkach żegna się po raz drugi, Lynn dostrzega Carrie, która stoi w wodzie i patrzy na nich. Nic nie rozumie. Jest wściekła. Odwraca się i zaczyna biec.

Daggett chce coś powiedzieć, przeprosić, ale nie wie kogo ani za co. Znowu jest na plaży, nie spieszy się. Myśli, że Lynn Greene jest kimś więcej niż jego znajomą, i że Carrie w zasadzie ma rację.

Lynn Greene stała na środku parkingu, w tle przejeżdżały samochody straży pożarnej.

— Cam Daggett! — krzyknęła i uśmiechnęła się do niego tak, jak robią to starzy znajomi.

Huff z niedowierzaniem przyglądał się tej scenie. Daggett poczuł, że robi mu się gorąco. Była coraz bliżej, a on nie wiedział, jak ją przywitać. Chciał ją objąć, ale nie na oczach Huffa.

Nagły wybuch spowodował, że wszyscy padli się na ziemię. Daggett i Lynn Greene znaleźli się tuż obok siebie.

— Gdzie tylko się pojawiaasz, zawsze chodzi o wybuchy — mruknęła. — Jak się masz?

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Wybuch wyrzucił w górę część skrzydła samolotu, które spadło na dach pobliskiej stajni. Budynek niemal natychmiast stanął w płomieniach. Usłyszeli rżenie przerażonych koni. Nie mogły się wydostać na wolność. Strażacy uciekali, biegnąc wprost na Daggetta i Lynn.

— A konie? — Lynn usiłowała ich zatrzymać.

— Psy je zjedzą — krzyknął jeden ze strażaków, nie zwalniając biegu.

— Skurwysyny jesteście! — krzyknęła za nim Lynn i rzuciła się w kierunku stajni. Daggett biegł tuż za nią, nie całkiem rozumiejąc dlaczego to robi.

— Lynn! — wołał. Ale dziewczyna udawała, że nie słyszy.

W stajni było czarno od dymu. Przerażone konie rżały i kopały w ściany boksów. Lynn odwróciła się do Daggetta, pewna że za nią biegł i krzyknęła:

— Idź z tamtej strony!

Otworzyła na oścież wrota stajni iomalże nie została stratowana przez uciekające konie. Daggett przygniótł ją do ziemi i końskie kopyta minęły jej głowę o centymetry.

— Lynn! — krzyczał ze złością.

Dach płonął, część ściany już się przewróciła, uwalniając wiele koni. Lynn odepchnęła go.

— Idź z tamtej strony!

Odwiązywali przerażone konie, które z miejsca zaczynały galopować. Spojrzał do góry; był pewien, że dach zaraz runie. Krzyknął ostrzegawczo i pokazał ręką do góry, ale ona pokręciła głową.

Odwiązała kolejne dwa konie. Daggett zrozumiał, że wyciągnie ją stąd dopiero wtedy, gdy uratują wszystkie.

Zaczął padać deszcz: to strażacy polewali budynek. Pośród kłębow dymu pojawili się dwaj mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach, z maskami tlenowymi na twarzach.

— Wynoście się stąd! — krzyczał jeden z nich, ale jego głos tłumiała maska.

Tam, gdzie nie było już koni, zawalił się dach. Lynn i Daggett dalej robili swoje. Ubrany w ciężki kombinezon strażak, potrącony przez konia, przewrócił się i nie mógł wstać. Lynn wyciągnęła do niego rękę, ale mężczyzna nie chciał przyjąć pomocy. Był wściekły.

Daggett i Lynn wybiegli na zewnątrz, za nimi wynurzyli się obaj strażacy. Z płonącej stajni uciekały ostatnie konie. Reszta dachu wpadła do środka, a w chwilę później runęły wszystkie ściany. Płomienie strzeliły w górę na dwadzieścia metrów.

— Mogłaś zginąć! — powiedział ze złością, zdając sobie jednocześnie sprawę z uczuć, jakie do niej żywi.

— Nie — powiedziała, kręcąc głową. — Mój czas jeszcze nie nadszedł.

— Twój czas?! — krzyknął, wyprowadzony z równowagi. Zaraz znacznie mówić o horoskopach, pomyślał.

Patrzyła przed siebie, gdzieś daleko.

— Takie rzeczy się wie, Michigan. — Wzięła go za rękę i mocno uściśnęła. — Po prostu się wie.

7

Daggett siedział na brzegu wanny pełnej niemal wrzącej wody.

— To nie jest w porządku — jego głos odbijał się rezonansem w małej, hotelowej łazience. — Powinniśmy dalej się tym zajmować.

Lynn Greene usiłowała przekrzyczeć telewizyjne reklamy.

— Ale jest już noc. Zabierzemy się za to, gdy tylko zrobi się jasno.

— Chodzi mi o raport, według którego na pokładzie były chemikalia. Widziałeś w telewizji tych facetów w strojach kosmonautów? Co za widok! To dlatego wszyscy stamtąd puciekali. Dziennikarze też.

— I dobrze zrobili. Może teren jest rzeczywiście skażony?

— Tym bardziej należałoby podejrzewać, że chodzi o sabotaż. Przecież chemikalia to wizytówka „Der Grund”. Ale to za mało, aby udowodnić...

— Czyja wizytówka?

— Mniejsza z tym. Chodzi o to, że...

— Chodzi o to, że mieliśmy szczęście — przerwała mu — bo ogień zneutralizował działanie tych środków. Wyczytałam to w ostatnim raporcie. Gdyby wszystko dookoła się tak nie paliło, to naprawdę mielibyśmy kłopot.

— Tym bardziej należy kontynuować śledztwo. A zamykanie terenu,

żeby ci kosmonauci mogli zbadać to świństwo jest głupie, bo...

— Jesteś okropny! Jedna noc niczego nie zmieni. Jutro zaczniemy od samego rana i jeżeli jest coś do znalezienia, znajdziemy to — Lynn stanęła w drzwiach i podała mu szklanę z wódką z pokojowej lodówki.

— Potrzebne mi są dowody przestępstwa. To musi być coś przekonującego, aby moje śledztwo nie powędrowało na półkę. — Daggett napił się i odstawił szklanę na brzeg wanny. Pracuję nad tym od ponad dwóch lat. Jeżeli czegoś nie wymyślę, to mnie też odstawią. Chcą, żebym przygotował raport dotyczący tej bomby na lotnisku National, rozumiesz? Odciągają mnie od tej sprawy, żebym pisał raport o człowieku, który już nie żyje. — Spojrzał na nią, szukając poparcia, ale go nie znalazł.

— To się nie nazywa „dowód przestępstwa”, chodzi o „przesłanki, że je popełniono” — poprawiła go. — Ale na razie nie mamy nic takiego. Poza tym nowe zadanie mogłoby ci pomóc, nie wyglądasz zbyt dobrze.

Puścił jej słowa mimo uszu.

— Rzecznik prasowy komisji bezpieczeństwa przedstawia całą sprawę jako wypadek. To samo mówią w CNN, to samo piszą gazety: wypadek. Konferencja prasowa była do dupy.

— Nieprawda, konferencja była dobra. Powiedzieli tylko tyle, ile chcieli. To przede wszystkim ich śledztwo, a dopiero potem wy możecie się tym zająć. Jestem gotowa zrobić, co tylko chcesz. Ale ty tego nie chcesz... — szepnęła i napiła się.

Dziewczyna nie mówiła o śledztwie. Daggett udał, że nie rozumie.

— Nie znaleźliśmy nic, co pozwoliłoby przypuszczać, że chodzi o sabotaż. Kontroler lotu zeznał, że jedna z załóg zgłosiła pożar w kabinie pilota. Samolot spadł w kilka sekund później. Żaden ze świadków nie widział wybuchu. Nic, co dotychczas znaleziono pośród szczątków, nie przypominało bomby. I dlatego komisja bezpieczeństwa mówi to, co mówi.

— Dunning 959-600, po brzegi załadowany chemikaliami, rozbił się na lotnisku LAX. Przedtem, w symulatorze 959, nastawionym na parametry lotniska LAX, znalazłem zwłoki. Wiem, że w hotelu w Los Angeles terrorysta zrobił dwa wysokościowe detonatory. Chcesz mi wmówić, że to przypadek? — urwał. Lynn chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił

jej do głosu. — Tylko nie lituj się nade mną, ktoś tu musi być obiektywny.

— Aha, chodzi ci o obiektywizm. To dlatego tak mędzisz?

— Ja mędzę?

— Tak.

Sięgnął po szklanę.

— Ty prowadzisz śledztwa w sprawie katastrof lotniczych. Jesteś ekspertem od środków wybuchowych — powiedział. — Jesteś jedną z osób prowadzących to śledztwo.

— Owszem — przytaknęła gniewnie — i nie zwalaj na mnie całej odpowiedzialności.

— Powinnaś mi pomóc.

— Próbuję.

— Naprawdę?

— Tak.

Patrzył, jak pila alkohol i doszedł do wniosku, że go prowokuje. Nie powinien był jej zapraszać do swojego pokoju.

— Łatwo poszło — mruknęła, patrząc na pustą szklanę. — Może się jeszcze napijemy?

Podał jej swoją szklanę.

— Jak twoje stopy? — spytała.

— Powiem ci, jak się napijemy.

Dziewczyna wyszła. Daggett wręcz widział, jak jego myśli bezładnie objają się o ściany łazienki.

— To musiał zrobić ten sam facet. Zbyt wiele rzeczy się zgadza — krzyknął, nie mogąc się doczekać powrotu Lynn. — Czy to się nie liczy?

— Nie — powiedziała, podając mu szklanę z drinkiem. — Nie, jeżeli to ja prowadzę śledztwo. Nie powinnam nawet zdawać sobie sprawy, że istnieje taka możliwość. Płacą mi za to, że jestem obiektywna. A przestałam taka być w chwili, gdy ty się pojawiłeś. — Usiadła na zamkniętej muszli klozetowej. — Wypijmy za wspólną pracę.

— Potrzebuję twojej pomocy.

— Pomimo to, że wolałbyś się bawić niż pracować?

— Proszę, pomóż mi.

— Nie tak szybko. Zajmuje się tym przecież cała instytucja. Daj jej trochę czasu.

- Nie mogę. A jeżeli Bernard zrobił więcej detonatorów?
- Kto to jest Bernard?

Nie odpowiedział. Drink był mocniejszy niż poprzedni. Specjalnie? Popatrzył na swoje stopy. W wodzie sprawiały wrażenie znacznie większych.

— Muszę być obiektywna. I nie martw się: nie pozwolę, żeby tę sprawę zatuszowano. Po co mielibyśmy to robić? Uwzględnimy wszystkie warianty, które mogły spowodować katastrofę. Uwierz mi.

— Nie mogę czekać pół roku — mruknął. — Te śledztwa zwykle tyle trwają.

— Rozumiem — powiedziała poprawiając się, co spowodowało, że znalazła się bardzo blisko Daggetta. — Zrobię wszystko, co tylko będzie możliwe. Obiecuję. — Była tuż za nim.

— Lynn! — powiedział ostrzegawczo. Posłyszał, jak bije jej serce. Głośno przełknął ślinę.

— Dobrze — w jej głosie nie było żalu. — W takim razie już pójdę, choć chciałam inaczej spędzić tę noc. — Pocałowała go w kark. Przeszedł go dreszcz. — Co z Duncanem? — spytała.

To go trochę uspokoiło. Milczał.

— Gdy rozmawialiście przez telefon brzmiało to jak rozmowa biznesmenów, a nie rozmowa ojca z synem.

— Czasem tak jest.

— Ale nie powinno.

— Wiem.

— Jesteś zły.

— Tak.

— Na mnie.

— Nie, na siebie. Prawda bywa bolesna.

— Czy ona się nim zajmuje? — spytała.

— Ta kobieta ma tyle lat, że mogłaby być jego babcią. Właściwie stała się członkiem rodziny.

— Czy Carrie także się nim opiekuje? — spytała Lynn i szybko dodała: — Dobrze, nie odpowiadaj. Nie umiem przegrywać.

— Kto powiedział, że przegrałaś? — spytał, podając jej pustą szklankę.

— Jesteś z nią, prawda? Miałam nadzieję, że poczucie humoru

i mój strój kąpielowy zmienia tę sytuację. Niektóre rzeczy można zaakceptować, innych nie...

Bardziej niż kiedykolwiek pragnął ją zatrzymać. Wyciągnął do niej rękę i musnął ją czubkami palców.

Wzięła torebkę i zatrzymała się na chwilę, żeby na niego popatrzeć. Uśmiechnęła się tak, że wiedział. Chciała zostać. Chciała, żeby ją o to poprosił. Odwzajemnił jej uśmiech. Dziewczyna skinęła głową, że rozumie. Po chwili Daggett usłyszał trzask zamykanych drzwi. Wskoczył z wanny i położył dłoń na klamce. Jego mokre stopy robiły coraz większą plamę na dywanie. Ale nie otworzył drzwi.

Właśnie jadł przyniesione do pokoju śniadanie, gdy zadzwonił telefon. Nie czuł się najlepiej po wódce, wypitej poprzedniego dnia.

— Mamy coś, co cię zainteresuje... — zaczął Phil Huff. — Za dziesięć, dwanaście minut będę czekał na ciebie w holu. Masz coś przeciwko temu?

— Zaraz tam będę — odparł Daggett.

Huff miał na sobie ten sam garnitur co poprzedniego dnia. Daggett złapał się na tym, że gapi się na jego podrapany nos. Zastanawiał się przy tym, czy takie zadrapania podniecają kobiety. Przednie siedzenia jego chryslera pokrywało coś, co zapewne kiedyś uchodziło za pokrowce; wykładzina przy pedale gazu była niemal zupełnie przetarta, a zakurzone radio przynajmniej kilkakrotnie zostało oblane kawą. Huff ruszył włączając policyjną syrenę; samochody przed nimi rozstępowały się powoli.

— Nasi ludzie otrzymali wiadomość od policji z tutejszego lotniska. Jeden z mechaników AmAirXpress twierdzi, że wczoraj napadł na niego mężczyzna w towarzystwie kobiety. Ukradli mu identyfikator i kombinezon. Ochrona lotniska posłała tam detektywa; jeżeli się pospieszymy, zdążymy na to przesłuchanie.

— Chyba w końcu przejmujemy to śledztwo... — powiedział Daggett niepewnie.

— Będzie lepiej, niż myślisz — mruknął Huff, zawieszając głos dla zwiększenia efektu. — To ci się naprawdę spodoba.

Daggett nie miał zamiaru o nic pytać. Czekał.

— Te chemikalia... — zaczął Huff, zmuszając Daggetta do powiedzenia: „Tak?”

— Chemikalia robi firma ChemTronics; rafinerie, czy jak to się nazywa, mają w dwudziestu kilku stanach. — Huff przerwał na chwilę udając, że jest zajęty prowadzeniem samochodu. — ChemTronics podpisała kontrakty z przemysłem obronnym, rozumiesz? Jest związana z EisherWorks Chemicals.

Tętno Daggetta wzrosło dwukrotnie. Z trudem opanował podniecenie i spytał:

— EisherWorks?

— Tak. EisherWorks ma kontrolny pakiet ChemTronics. Wychodzi więc na to, że ChemTronics to ich amerykańska filia.

— Więc ta sprawa ma związek z „Der Grund”.

— Wiedziałem, że ci się to spodoba.

Daggett zamilkł. Czy wzajemna finansowa zależność dwóch firm wystarczy, by przekonać Pullmana lub jego zwierzchników, że w sprawę może być zamieszana organizacja „Der Grund”? Wątpił w to. Nie miał dostatecznych dowodów. Nawet gdyby ChemTronics otrzymywała ostatnio jakieś pogrożki, to niechętnie przekazał te informacje FBI. Ignorowanie gróźb terrorystów drażni akcjonariuszy i przyciąga uwagę mediów. Jedno i drugie ma ujemny wpływ na cenę akcji. Duże firmy bez przerwy są obiektem zainteresowania terrorystów i mają własne wydziały ochrony. Ale nawet bez niezbitych dowodów Daggett poczuł się pewnie; coś mu mówiło, że znów trafił na ślad detonatorów Bernarda.

— Obok twojej nogi jest termos z kawą. Myślę, że kawa dobrze ci zrobi — mruknął Huff.

Jechali już ponad dwadzieścia minut i Daggett stracił orientację. Chodniki, drzewa, domy — wszystko wyglądało tak samo.

— Nie znam się na architekturze, ale te wszystkie domki są jednakowe. Gdzie my właściwie jesteśmy? — spytał.

— Zaraz będziemy pod domem Dougherty'ego.

Daggett zauważył czterodrzwiowy samochód z przyciemnionymi szybami. Takimi jeździli detektywi.

— Stój! — krzyknął Daggett. Huff zahamował z piskiem opon.

— Cholera! — zaklął Huff — myślałem, że pakuję się w kogoś.

— Nie w kogoś, tylko w coś. Tam są ślady opon. W błocie, przy chodniku, widzisz? Ale nie ma ich za tym czarnym samochodem — powiedział Daggett, popijając kawę. — Błoto jest z tych wykopów za nami.

Huff obejrzał się za siebie.

— A woda z hydrantu. Dzieciaki musiały się nim wczoraj bawić.

Huff cofnął samochód i zatrzymał go na chodniku.

— Pod siedzeniem jest aparat Polaroid. Wezmę kluczyki od tego durnia detektywa, żeby nie zatarł śladów — rzekł, podając Daggettowi aparat.

— Masz taśmę mierniczą? — spytał Daggett.

— Powinna być w bagażniku — odparł Huff, dając mu klucze. — Ten dupek detektyw w ogóle nie myśli.

— Nie, nie myśli. Więc poproś go, żeby przez jakiś czas niczego nie ruszał. Pogadaj z nim... to w końcu już nie jest sprawa policji Los Angeles. Została im tylko papierkowa robota z tym identyfikatorem. Powiedz, że mu pomożemy...

— Nie zgodzi się. Sama nasza obecność dowodzi powagi sprawy.

— I dlatego zrobimy to sami, prawda, Phil? — powiedział Daggett. — Nie potrzebujemy tutaj stu policjantów.

— Chrzanisz.

— I zadzwoń do swoich chłopców z laboratorium. Powiedz im, żeby przyjechali zabezpieczyć ślady.

— Laboratorium? Nie mogę tego zrobić — zaprotestował Huff — nie wygłupiajmy się.

— W dniu katastrofy ktoś kradnie identyfikator jednego z mechaników. Mówię ci, Phil, zadzwoń. Czuję, że się uda.

Gdy Daggett i Huff wrócili z prawie trzygodzinnego przesłuchania Kevina Dougherty'ego, miejsce katastrofy w parku Hollywood zmieniło się nie do poznania. W pobliskiej sali gimnastycznej zgromadzono pułki, listy i paczki, które teraz badało FBI i eksperci z Federal Aviation Administration. Ogień ugaszono. Miejsce katastrofy przypominało pole walki — już po bitwie. Oderwany ogon samolotu wystawał z ziemi niczym abstrakcyjna rzeźba. Tam właśnie, pośród innych ludzi, Daggett dojrzał Lynn Greene. Szczątki porządkowało około pięćdziesięciu osób. Wiele z nich coś pisało, inni robili zdjęcia. Do plastikowych toreb wkładano najróżniejsze przedmioty.

Daggett przypomniał sobie katastrofę lotu 1023 i pomyślał, jak

dobrze się stało, że wtedy przybył na miejsce dopiero po kilku dniach. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby w tej ponurej scenerii było jeszcze miejsce dla stu ludzkich ciał.

Podziwiał spokój i skrupulatność ekipy badającej szczątki.

Huff wyszedł z samochodu-laboratorium.

— Wygląda na to, że dostaniemy to śledztwo — oznajmił.

— Kiedy? — spytał Daggett.

— Mogą nam je przekazać, bo istnieją „przesłanki, że w grę wchodzi sabotaż”.

— A co z Doughertym? Czy to, że skradziono mu identyfikator, nie jest też „przesłanką”?

— Dla nas może i jest, ale nie dla facetów z bezpieczeństwa transportu. Chcą jednoznacznych dowodów. Czegoś, co można znaleźć w miejscu katastrofy. Podczas zebrania w południe wszystkie ekipy dowiedzą się, że szukanie dowodów sabotażu jest sprawą priorytetową. — Huff ciągnął entuzjastycznie: — Odwołaliśmy konferencję prasową. Łatwiej nam będzie mówić wieczorem. Sprowadzamy naszą ekipę, będziemy mieszkać w Marriotcie. Wynajęto dla nas salę konferencyjną i jeszcze jakieś pomieszczenia. Nie jest źle.

— Nie jest źle? Ależ Phil, jakie oni mogą znaleźć dowody?!

— Coś więcej niż ślady opon i zeznania mechanika. Mnie też się to nie podoba, ale nie jestem w stanie nic zmienić. Będą pracowali „tylko” w miejscu katastrofy. Nie mogą pozwolić sobie na brak „obiektywności”.

— Obiektywności?!

— Wysłuchaj mnie. Oni nas rozumieją. Powiedzieli mi, że gdy tylko coś znajdą, od razu się o tym dowiemy — powiedział, spoglądając w stronę ludzi przy ogonie samolotu. — Trzymaj za nich kciuki.

— To znaczy?

— Taśma z nagraniem wygląda jak spaghetti. Mają tego pół mili.

— A czarna skrzynka? — spytał Daggett.

— Mówią, że jest w porządku. Po południu zabrali ją specjalnym samolotem do Waszyngtonu. Jak poradzą sobie z taśmą, wszystko tutaj wróci, żeby zrobić synchronizację.

— Chciałbym tego posłuchać.
— Mówią, że to potrwa tydzień albo dwa.
— Trudno.
— Powiem im, że chcesz tego wysłuchać. Zwierzchnicy uczynili mojego szefa odpowiedzialnym za to śledztwo. Nie wiedzą, że tu jesteś. Powiedziałem, że poprosiłem cię o pomoc. Więc obaj znajdujemy się tu na rachunek Bernarda, przynajmniej teoretycznie. Nie są zachwyceni, ale teraz niewiele mogą zrobić. Jesteś moim gościem. To znaczy, że musimy ci powiedzieć wszystko, co wiemy o śledztwie.

Czyżby to był ten sam Phil Huff? — pomyślał Daggett, a głośno dodał:

— To miło.
— Niestety, nie chcieli ci dać żadnych ludzi.
— Mam działać sam?
— W naszym biurze FBI są trzy sekcje antyterrorystyczne. Dziesięć minut temu dowiedziałem się, że wszystkie pracują właśnie przy tym śledztwie; w sumie to około trzydziestu ludzi. Jeżeli będą ci potrzebni, załatwimy to bezpośrednio przeze mnie.

— Naprawdę?
— Jasne. Sprawa Bernarda zaczęła się w Waszyngtonie, ale to śledztwo należy do naszego biura.

— A Dougherty? — spytał Daggett. — Co z nim?

— Znajdź coś, dobrze? Mnie też podoba się ta sprawa. Jeżeli znajdziesz coś, co mój szef uzna za ważne, to po jednym telefonie przejmujemy śledztwo.

— Pomożesz mi?
— O ile będzie to możliwe.
— Skąd ta zmiana frontu?

Huff przez chwilę milczał.

— Nie spałem wczoraj w nocy. Nie z powodu katastrofy. To ja spieprzyłem obserwację Bernarda. Przyznaję się do tego. I ta sprawa z walizką: gdzie on ją zamienił? W toalecie? W szatni? Wiem tylko, że skończyło się najgorzej, jak mogło. Najpierw Backmann, a teraz to — powiedział, wpatrując się w niezapalony papierosa. — Gdzie będę mógł cię znaleźć?

Daggett nie mógł tego pojąć. Huff go przeproszał? Nadchodzi

moment, kiedy człowiek zmienia zdanie... Jego słowa wciąż brzmiały mu w uszach. Równie dobrze sam mógł je wypowiedzieć.

- Gdzie cię szukać? — Huff powtórzył pytanie.
- Tam, gdzie będą dowody... — nieprzytomnie odparł Daggett.

Ślady opon przed domem Kevina Dougherty'ego szybko zidentyfikowano. Rozstaw kół świadczył o tym, że samochodem był chrysler. Albo dodge caravan, albo plymouth voyager. Daggett założył, że wóz był wypożyczony, i zwrócił się o pomoc do lokalnych firm wynajmujących samochody. W Seattle samochód zaprowadził go do numeru karty kredytowej mordercy. Może uda się i tym razem?

W środę rano wiedział już, że firma Overland Car Rentals podpisała z chryslerem umowę na mikrobusy, z klauzulą wyłączności. Filia firmy znajdująca się na lotnisku miała tylko osiem takich samochodów. Dwa z nich zwrócono w dniu katastrofy. Jeden kilka godzin przed, a drugi w kilka minut po. Daggett, przyzwyczajony do tego, że w Waszyngtonie dojazd do pracy trwa przeciętnie 45 minut, był zadowolony z pokoju w Marriocie stojącym opodal lotniska. Do biura firmy dotarł w pięć minut.

Wjechał na parking. W kolejce do myjni stało morze samochodów firmy Overland. Osiemnastoletni Wietnamczyk wprowadzał do mini-komputera ich numery rejestracyjne.

Daggett odszukał szefa, Milтона Buttsa. W biurze pachniało płynem po goleniu, co przypominało mu Backmana. Butts był siwym Murzynem, z przodu brakowało mu zęba. Miał na sobie firmową kurtkę i koszulę. Był wyraźnie niezadowolony z wizyty Daggetta.

— Obydwa samochody zostały wypożyczone przez kobiety — powiedział, patrząc w ekran komputera.

— Ale jedna z nich zapłaciła gotówką. Zgadza się? — rzucił Daggett.

Milton Butts jeszcze raz spojrział w ekran.

— Skąd pan to wie? — spytał ze zdziwieniem.

— Zgadłem. — Daggett przymknął oczy i w duchu podziękował temu, który jest w niebie.

— Nazywa się Lyttle; Maryanne Lyttle — Butts niechętnie wymienił nazwisko kobiety. — Samochód wypożyczyła tylko na jeden dzień. Rezerwacji dokonała kartą kredytową, ale za wypożyczenie zapłaciła gotówką. Miała samochód przez sześć godzin; na tyle czasu wynajmują je przeważnie biznesmani. Nie widzę w tym nic niezwykłego — dodał, wciąż patrząc w ekran.

Daggett poprosił o kopię rezerwacji, którą tamten wydrukował.

— Czy mikrobus został już umyty?

— Oczywiście, że tak — powiedział ze złością Butts. — Ale zdaje się, że panu się to nie podoba?

— Czy w środku też był czyszczony?

— Mam odpowiedzieć szczerze? Nie o tej porze roku. Widział pan na parkingu, ile mamy samochodów w kolejce do mycia. A nasi pracownicy nie mają szczególnej motywacji do pracy.

Daggett zadzwonił do swojego biura, po czym poprosił, żeby mikrobus został odstawiony do garażu, gdzie będzie go mogła zbadać ekipa śledcza.

— To ma jakiś związek z katastrofą samolotu, prawda? — spytał Butts, gdy Daggett odłożył słuchawkę. — To cholerna sprawa. Żeby pan widział, ile osób dziś rano odwołało rezerwacje. — Nagle w jego oczach Daggett zauważył podniecenie. — Więc to nie był wypadek? To dlatego pan tu jest?

Daggett przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć.

— Oficjalnie nie wolno mi nic mówić. A nieoficjalnie, potrzebuję pańskiej pomocy.

— Cholera jasna — mruknął Butt — to na pewno byli ci Arabowie.

— Co znaczy ten skrót? Czy może mi pan powiedzieć? — spytał Daggett, wskazując na wydruk komputera.

Butts skinął głową.

— Wypożyczamy samochody tam, gdzie wydawane są bagaże, a odbieramy je tutaj. Ale pasażerowie linii Express zwracają samochody na samym lotnisku, to wszystko. Tam właśnie zwrócono mikrobus. Cholera! — dodał z entuzjazmem — wiem, co pana zainteresuje. Ale musielibyśmy się pospieszyć — powiedział, spoglądając na zegarek.

Daggettowi nie podobało się to „my”.

- O co chodzi, panie Butts? — spytał chłodno.
- Wszędzie zainstalowano monitory wideo, bo na wewnętrznych drogach tworzyły się zatory. Taśma kasuje się co 24 godziny. Działa to tak samo, jak wideo w terminalach.
- W terminalach?! — wrzasnął Daggett. Zrozumiał, że może złapać Maryanne Lyttle.

Był czwartek, 30 sierpnia. Daggett wszedł do budynku federalnego biura FBI w Los Angeles. Nieskazitelnie biały gmach otaczał zadbane trawnik. Widocznie nikt tutaj nie przejmował się suszą i apelami o oszczędzanie wody.

Audiowizualne laboratorium FBI znajdowało się na szóstym piętrze, w niewielkim pomieszczeniu pozbawionym okien. Daggett wiedział, że Los Angeles ma najlepszych fachowców w kraju i najlepszy sprzęt, używany głównie do tropienia handlarzy narkotyków.

W pokoju pełno było elektronicznych urządzeń, z których tylko niektóre wydały się Daggettowi znajome. Przypomniał sobie symulator Duhninga i poczuł dreszcz podniecenia. Czy to źle, że kurtkę z college'u zostawił w hotelu?

Cynthia Ramirez siedziała na wózku, nogi miała przykryte kocem. Zauważywszy Daggetta podjechała do niego, żeby się przywitać. Miała mocny uścisk dłoni. Jej palce były długie, cienkie i zimne. Wózek przypomniał Daggettowi o Duncanie.

Cynthia była bardzo chuda. Miała na sobie sweter zrobiony na drutach. Jej ciemne włosy były spięte brązową kłamrą.

— Mówią na mnie „Szczapa” — powiedziała, nie przestając się uśmiechać.

— A na mnie „Michigan” — odpowiedział Daggett, starając się nie zgnieść jej dłoni.

— Pasuje do ciebie. Nie pytaj dlaczego.

Nic nie odpowiedział.

— Co to jest? — wskazała na przyniesione przez Daggetta tekturowe pudło z kasetami.

— Słyszałem, że jesteś najlepszym fachowcem od poprawiania jakości taśm.

- No, dalej... takim gadaniem dużo osiągniesz.
 - Mam czarno-biały film, który kasuje się co 24 godziny. Jedna z taśm pochodzi z garażu na lotnisku, a piętnaście innych wypożyczyłem od prywatnej firmy, która ma kamery na terenie całego lotniska LAX.
 - To firma Berniego Shanksa. Był tu dzisiaj, wiesz o tym?
- Daggett skinął głową.
- Wiem. Właśnie dzięki niemu dostałem te materiały. Bez Shanksa sprawa trafiłaby do sądu i trwałoby to kilka tygodni.
- Daggett podał jej pudło z filmami.
- Jakość będzie kiepska — powiedziała. — Zawsze tak jest, gdy wielokrotnie nagrywa się na tę samą taśmę.
 - Dlatego cię proszę o poprawienie jakości.
- Ramirez podjechała wózkiem do jednego z urządzeń.
- Nie czynię cudów — mruknęła, oglądając się za siebie.
 - Słyszałem co innego...
 - Przydałby się tu ktoś taki jak ty — powiedziała, uśmiechając się do niego.

Daggett odpowiedział jej uśmiechem.

— Ta taśma jest już przewinięta do właściwego miejsca. Kobieta w ciemnych okularach zwraca wypożyczony samochód... Prawie nic nie widać... Gdyby dało się powiększyć jej twarz... Mam nadzieję, że po odnalezieniu auta od razu poszła do któregoś z terminali. Liczę na to, że będziemy w stanie prześledzić jej drogę. Każda z kamer rejestruje obraz innej części terminalu. Mimo że pola widzenia kamer zachodzą na siebie, wyszukanie jej w tłumie może być trudne... Ale gdybyś z bliska widziała katastrofę samolotu... Możliwe, że ta kobieta jest za to odpowiedzialna... Myślę, że warto spróbować.

Jej twarz stężała.

— Każdy ma swoją katastrofę, Michigan. Moja była w LaCienega. Jechałam volkswagenem garbusem i nie usłyszałam syreny karetki pogotowia. Wjechała we mnie na czerwonym świetle. To było sześć lat temu, a sprawa nadal jest w sądzie... — powiedziała, dotykając prawego boku, jak gdyby wciąż odczuwała ten ból. — Mógłbyś postarać się dla nas o kawę, bo naprawdę będziemy jej potrzebowali. Ja piję czarną.

W ciągu następnych dwóch godzin Daggett jeszcze kilkakrotnie przynosił kubki z kawą. Później przyniósł smażonego kurczaka i frytki.

Szczapa, która prosiła, żeby tak się do niej zwracać, przekształciła klatkę wideo w ziarnisty, lecz czytelny obraz na ekranie komputera. Był to portret kobiety. Z każdym kolejnym powiększeniem komputer starał się zrekompensować niską rozdzielczość. W kilka godzin później mieli przed sobą portret Maryanne Lyttle. Daggett uważał to za cud.

Szczapa zapisała obraz na dyskietce i wydrukowała go. Gdy zaczęła przeglądać taśmy z terminali, w pokoju pojawił się rysownik Willard. Z portretu Maryanne Lyttle wymazał okulary i dorysował oczy i brwi.

— Lepiej nie będzie — rzekł Willard, dumny ze swego dzieła.

— Będzie. Ona zdjęła okulary w terminalu — odparła Ramirez, wpatrując się w ekran.

Daggett przyglądał się temu, co robi dziewczyna. Serce biło mu coraz szybciej. Szczapa narysowała biały kwadracik wokół głowy, płynącej wśród tysiąca innych. Po powiększeniu obraz okazał się dużo lepszej jakości niż pierwszy. Z każdym powiększeniem komputer na nowo rysował twarz, a Szczapa dorysowywała to, co komputer pominął. Twarz kobiety stawała się coraz większa. Serce Daggetta waliło coraz mocniej. Byli już tak blisko celu!

Willard wziął ze stołu swój rysunek i przytrzymał go przy ekranie komputera.

— No i co o tym powiesz? — spytał z szerokim uśmiechem na twarzy.

Portrety były identyczne.

Daggett wstał i podał rysownikowi rękę, po czym schylił się i pocałował Szczapę w policzek.

— Jesteście czarodziejami — wyraził swoje uznanie.

— To dzięki kolczykom — powiedziała dziewczyna. — Poza nimi na pierwszym zdjęciu nie było ani ubrania, ani niczego, co dałoby się zidentyfikować.

Aż do tej chwili Daggett nie zauważył kolczyków. Miały owalny

kształt i były bardzo duże. Dzięki nim łatwo było rozpoznać dziewczynę, oczywiście pod warunkiem, że się je w ogóle dostrzegło.

Cynthia Ramirez wciąż rumieniła się po pocałunku Daggetta.

— Teraz będziemy mogli ją śledzić, Michigan. Od kamery do kamery. Jeżeli wsiadła do samolotu, dowiesz się, dokąd poleciała. Jeżeli opuściła teren lotniska, powiem ci, którędy wyszła. Dzięki tym kolczykom. Powinna się była dwa razy zastanowić, zanim je założyła...

— Tak, masz rację... — rzekł Daggett, zdając sobie sprawę, że o to właśnie chodziło: zawodowiec nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Czyżby miał do czynienia z amatorem?

Willard wyszedł z pokoju, Ramirez podniosła głowę i spojrzała na Daggetta.

— Jesteś bardzo blady, Michigan. Czy na pewno dobrze się czujesz?

Daggett skinął głową. Wpatrywał się w twarz na ekranie. W jego głowie zaczęły rodzić się wątpliwości. Czyżby nie chodziło o zawodowców? Jak to możliwe?

A może to nie jest ta kobieta, której szukał?

O dziewiątej rano Daggett wziął udział w konferencji w Marriotcie. Podziwiał szybkość działania służb badających katastrofę. W sali było ponad sto osób, z których każda należała do jakiejś grupy. W jednym miejscu stali ludzie z General Electric, tuż obok piloci ze związków zawodowych. Co chwilę inny ekspert wygłaszał swoje uwagi, a zebrani porównywali jego raport z własnymi danymi. Przy stole konferencyjnym siedział Huff. Był trzeci od środka, tuż obok niego siedziała Lynn Greene. W swoim wystąpieniu Huff podkreślił te elementy śledztwa, które nadawałyby mu charakter kryminalny. Mówił samymi ogólnikami, więc zasypano go pytaniami.

Po prawie dwugodzinnej konferencji Daggett był dobrze poinformowany o postępach w badaniu szczątków samolotu, ale przygnębiały go wyniki badań.

Czarną skrzynkę wysłano do Waszyngtonu. Taśmy z rozmowami pilotów były uszkodzone i wciąż trwały prace nad ich rekonstrukcją.

Szczątki samolotu przewożono do hangaru: gdyby pojawiły się jednoznaczne dowody sabotażu, można by dokonać rekonstrukcji samolotu. Jednak na razie nic na to nie wskazywało. Jedyłą nadzieją Daggetta było dokładne badanie szczątków.

Usiłował patrzeć na sprawę optymistycznie, równocześnie nie pomijając żadnego z wątków. Choć osoba Maryanne Lyttle wydawała mu się podejrzana, nie mógł dopuścić, żeby stała się jego obsesją. Wciąż wierzył, że szuka mężczyzny, który, posługując się identyfikatorem Dougherty'ego, dostał się do samolotu AmAirXpress. Kim była Maryanne Lyttle? Wspólniczką? Kierowcą?

Zadzwoił do swojego waszyngtońskiego biura i wysłuchał wiadomości nagranych na automatyczną sekretarkę. Dzwoniło do niego sześć osób i tylko ostatnia przekazała informacje związane ze śledztwem.

— Mamy grupę krwi i odcisk kciuka — mówił mężczyzna, który przedstawił się jako Barge Kolowski, ekspert waszyngtońskiego laboratorium FBI. — Grupę krwi mamy z zęba. Odcisk był na kawałku mydła, to bardzo dobry odcisk. Facet był na tyle sprytny, że wyrzucił mydło, ale dzięki zębowi mogliśmy zidentyfikować jego śmieci. Przesłaliśmy odcisk waszym ludziom, były tam też papierosy. Są chyba rosyjskie, nazywają się sobranie. Jeżeli ma pan jakieś pytania, proszę zadzwonić do mnie do biura lub do domu — zakończył, podając dwa numery telefonów.

Przygnębiony Daggett siedział w hotelowym pokoju, w ręce trzymał szklankę z wódką. Zadzwonił telefon. Daggett odstawił szklankę i spojrział na zegarek: 23.30. Późno, pomyślał.

— Poleciała do Waszyngtonu — usłyszał zmęczony kobiecy głos.

— Szczapa, to ty? — spytał.

— Ta tajemnicza kobieta, Maryanne Lyttle, pamiętasz? Właśnie oglądałam taśmę. Ona wsiadła do samolotu lecącego do Waszyngtonu.

— Do Waszyngtonu? — zająknął się. Człowiek, którego ścigał, wciąż był na wolności. Czy był nim Kort? I czy mógł znajdować się teraz w Waszyngtonie? To przecież jego podwórko! Strach mieszał się z podnieceniem.

Ciężko dyszał w słuchawkę. Czyżby w jego rodzinnym mieście Kort

upatrzył sobie jakiś cel? Spojrzał na kawałeczki lodu na dywanie. Przewód telefoniczny strącił szklankę na podłogę.

— Michigan? Zrozumiałeś, co powiedziałam? — spytała dziewczyna.

To by się zgadzało. Bernard zrobił detonatory w Los Angeles. Samolot wysadzono także w Los Angeles. Potem Bernard pojawił się w Waszyngtonie...

Noga w skarpetce szukała pod stołem szklanki. Po chwili ją znalazła.

— Zrozumiałem.

Carrie z daleka obserwowała, jak samolot z Los Angeles zwalnia i zatrzymuje się. Zaraz podjedzie do niego autobus i zabierze pasażerów do terminalu Dulles International. Miała nadzieję, że autobus ma klimatyzację. Dorastała w New Haven, gdzie latem bywało bardzo gorąco, ale upały, które pamiętała z dzieciństwa, nie mogły równać się z tym żarem. Była zła na Daggetta, jeszcze zanim go zobaczyła. Upał był przecież jego winą.

Miała ochotę zapalić papierosa.

Gdy szli do samochodu kilkakrotnie zwracała się do niego, ale on nie odpowiadał. Nic nowego. Niósł walizeczkę, z którą nigdy się nie rozstawał, a ona niosła torbę z jego rzeczami.

— Jesteś na mnie zła, prawda? — spytał wreszcie tonem, który dowodził, że z góry zakładał bezprzedmiotowość rozmowy. To ją rozzłościło.

— Po pierwsze mieliśmy jechać nad wodę w zeszłym tygodniu.. Potem obiecałeś, że to będzie w tym tygodniu. Wiem, że nie poleciałbyś do Seattle i Los Angeles, gdybyś tego nie chciał. Dokonałeś wyboru, który jest dla mnie zupełnie jasny.

Daggett zwlekał z odpowiedzią.

— Jeszcze przed wyjazdem mówiłem ci, że okoliczności są nadzwyczajne. Duncan mnie zrozumiał — stwierdził, sugerując, że ona tego nie potrafiła.

— Jestem dla ciebie tylko parą nóg i tym-tam — w jej głosie słychać było smutek. — Odchodzimy od siebie coraz dalej...

— Ale niczego jeszcze nie utraciliśmy, Carrie...

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Spojrzał na nią.

— Chcę z tobą poważnie porozmawiać, a ty ucinasz rozmowę?

— Ależ Carrie...

— O co tu naprawdę chodzi? — zapytała. Czuła się jak idiotka. Sta-
nęła i rzuciła torbę na ziemię. — Widziałeś się z nią, prawda?

To Lynn Greene była powodem jej obaw, jej największym zagrożeniem. Carrie wiedziała, że Cam o niej myśli; nie musiała go o to pytać.

Chciała, żeby ich związek dawał poczucie bezpieczeństwa i pragnęła miłości. Chciała do kogoś należeć i chciała, żeby ta osoba należała do niej. Z Duncanem i Camem zgrali się szybko, i Carrie zależało na tym związku. Lynn Greene przekreślała jej plany. Z każdą sprzeczką traciła nadzieję, że uda jej się zatrzymać Cama przy sobie.

— Owszem, była tam. Katastrofa rejsu numer 64 to jej śledztwo.

— Spałeś z nią? — w oczach Carrie stanęły łzy. Czuła się głupio. Zrobiła krok w tył. Przechodzący ludzie zaczęli na nich zwracać uwagę.

Kim była ta zazdrosna kobieta? Chyba nie urządzi sceny na lotnisku Dulles International?

— Nie mam zamiaru odpowiadać na tego rodzaju pytania — warknął Daggett, podnosząc z ziemi torbę. Wzrokiem zapytał, czy Carrie pójdzie z nim dalej.

— Ale myślałeś o tym — stwierdziła zrezygnowana.

Nie zaprzeczył. Wydawało mu się, że stoją tak już bardzo długo.

— To nie jest zbrodnia... — powiedziała, gdy już miał się odwrócić.

Spojrzał na nią. Czego chciała? Być matką jego syna? Myć talerze i wyrzucać śmieci? Spać z nim? A co się stało ze wspólną zabawą? Rozmowami? Nie ma ich. A kwiaty? Pieszczoty? Już nic nie zostało.

— Jeżeli myślenie o innych jest zbrodnią, to należałoby zamknąć wszystkich ludzi — powiedział niefrasobliwie.

Carrie myślała tylko o nim, ale nie miała zamiaru się do tego przyznać.

— Prosiłem cię, żebyś po mnie przyjechała, bo tęskniłem za tobą.

Spróbowała się uśmiechnąć. Miała nadzieję, że Cam nie wie, które uśmiechy są nieszczerze.

— Myślałam, że chcesz oszczędzić na taksówce.

— To też.

Podeszła do niego i przytuliła się. Chciała jej się płakać. Cam odstawił torbę i objął Carrie. Nie lubił takich scen w miejscach publicznych. Już po chwili szli dalej.

- Niezłe powitanie, prawda, Cam?
- Jakoś dam sobie radę.
- Dasz?
- Tak. Czy to cię martwi?
- Chyba tak. Czuję się zagrożona.
- W środku nie radzę sobie z tym aż tak dobrze.
- No to wpuść mnie. Byłam tam już kiedyś...

Daggett milczał. Zrozumiała, że nie potrafił okazać entuzjazmu i że go to martwi.

Ale ją martwiło o wiele bardziej.

8

Anthony Kort wysiadł z pociągu na stacji w Waszyngtonie. Powietrze pachniało rozgrzaną parą i było tak gorące, że od razu zaczął się pocić. Nawet mu się to spodobało.

Przyjechał pociągiem nie tylko dlatego, że bał się latania samolotem: na kolei nie przeszukiwano bagaży. Można było podróżować z bronią i mieć przy sobie dowolną ilość środków wybuchowych czy narkotyków. Poza tym w sytuacjach krytycznych z pociągu zawsze można wyskoczyć.

Pociągi miały też swoje złe strony. Jechały powoli, a w USA były szczególnie niewygodne. Obsługa, głównie Murzyni, niegrzeczna i leniwa. Wagony sypialne małe i bez dobrej klimatyzacji. Jedzenie smakowało jak ciepły, mokry karton.

Kort spędził w pociągu ostatnie trzy dni: miał czas spokojnie pomyśleć. Był coraz bardziej zmęczony i czuł się jak maratończyk.

Z dworca wziął taksówkę, wysiadł w pobliżu stacji metra. Przejechał dwa przystanki, potem zmienił kierunek. Był czujny, zakładał, że mogą go śledzić. Wynajął pokój w hoteliku pamiętającym jeszcze czasy kolonialne. Pokój zarezerwował na nazwisko Kevina Anthony'ego. David Anthony należał już do przeszłości. Z okna miał dobry widok na dwie przecznice, potencjalną drogę ucieczki. Żona właściciela, będąca jednocześnie recepcjonistką, była ładną, siwiejącą, pięćdziesięcioletnią kobietą. Mówiła grzecznie, ale stanowczo: śniadanie podaje się od siódmej do dziewiątej; od piątej do dziesiątej wieczorem za dodatkową opłatą można

zamawiać do pokoju alkohol; osoby nie zgłoszone w recepcji nie mogą nocować w pokojach; każdy gość dostaje dwa klucze, jeden do pokoju, drugi do drzwi wejściowych. Za zgubiony klucz płaci się 25 dolarów. Po dwudziestej drugiej obowiązuje cisza nocna. Z pokoju można telefonować, ale za połączenia płaci się kartą telefoniczną lub kredytową. Ręczniki zmieniane są codziennie, prześcieradła co drugi dzień; we wszystkich pokojach jest klimatyzacja.

— Cóż jeszcze... — zastanowiła się, zaglądając do notesu. — Dostaliśmy pański depozyt w formie przekazu. Dziękujemy. Za pobyt zapłaci pan kartą kredytową, czy...

— Gotówką — rzekł pan Kevin Anthony, wyjmując z portfela kilka banknotów studolarowych. To jedno z większych osiągnięć ludzkości, że za pomocą kawałka plastiku na całym świecie można podjąć gotówkę. Jego karta pozwalała pobrać do tysiąca dolarów dziennie. Każda z trzech kart VISA umożliwiała podjęcie do 20 tysięcy. W trzeciej fazie operacji David Anthony nie będzie używał swojej karty. Przed aresztowaniem Michael zatroszczył się o stan kont i pieniądze były jedyną rzeczą, o którą Kort mógł się nie martwić.

Weekend spędził na zaznajamianiu się z miastem i metrem. We wtorek w południe, bez przebrania, stał na skrzyżowaniu ulic K i 21 i czekał na dziewczynę. Może to zmęczenie, a może dźwięk syren policyjnych samochodów uzmysłowiły mu, że znów mogą go aresztować. Taki już był jego los. Wieczna czujność przemieniała się z wolna w paranoję. Miał poczucie, że znalazł się w pętli czasu.

Pięć lat temu...

Dopiero co pochowano jego żonę i dziecko.

Wraca do domu. Niczego nie czuje, jest jak ogłuszony. Nawet nie zapala światła. Czyżby miał na rękach krew? Myśli o lady Makbet. Rusza się powoli, jak we śnie. Mija stół, na którym stoi fotografia żony zrobiona kilka tygodni przed narodzinami dziecka.

Policja może pojawić się lada chwila. Jest tego pewien tak, jak pewien jest, że zamordował człowieka. Niczego nie żałuje. Miejsce przeznaczone w świadomości na wyrzuty sumienia wypełnia poczucie sprawiedliwości i pusty ból samotności. To prawdziwe piekło być samemu na świecie.

Nie czuje ani wstydu, ani dumy. Ma satysfakcję. Nalewa sobie wódki i myśli, że jest niczym zakapturzony kat, który godzi się z tym, co robi.

Po wielu godzinach i wielu kieliszkach wódki nadchodzi świt.

Przypomina sobie to, co się stało.

— Ależ to jakaś pomyłka! — śmiała powiedzieć jego ofiara. Gdy Kort pochylał się nad nim, oczy mężczyzny zdawały się prosić o przebaczenie. Kort zmusił go do wypicia tego, czym jego fabryka zanieczyszczała środowisko. Tyle że w stanie stężonym. Mężczyzna dwukrotnie zwymiotował, a potem w kącikach jego ust pojawiła się żółtawa piana. Zaczęło mu ciec z nosa, zupełnie jak małemu dziecku. Kort zmusił go do wypicia trzeciej szklanki. W ciągu niecałej minuty organy wewnętrzne zostały wypalone. Człowiek dusił się, zrobił się zielony na twarzy, oczy wyszły mu z orbit. Kort zostawił go> gdy był już pewien, że jego stan jest beznadziejny. Śmierć jest naprawdę straszna tylko wtedy, gdy istnieje szansa, by jej umknąć. Niech przyjadą lekarze. Niech wstąpi w niego nadzieja, gdy będzie jechał karetką. Niech wypompują mu żołądek, niech czeka na wyniki badań krwi. Niech ma nadzieję i niech ta nadzieja zostanie mu odebrana...

Radio potwierdziło jego przewidywania: przewodniczący rady nadzorczej i założyciel EisherWorks Chemicals zmarł, zanim Kort zdążył dojechać do domu.

W każdej chwili spodziewa się pukania do drzwi. Przyjdą po niego, aby zapłacił za swój czyn.

Promienie wschodzącego słońca wpadają przez okno i rozświetlają wnętrze na pomarańczowo. Słońce wznosi się, a cienie mebli stają się coraz krótsze. A może policja nie przyjdzie? Ta myśl szumi mu w głowie jak wino, zaczyna mieć nadzieję.

Nie ucieka przed odpowiedzialnością. Gdy w grę wchodzi działanie z premedytacją, nie można wymigać się od konsekwencji za popełnione morderstwo...

Ostatnie promienie słońca znikają za framugą okna. Minął cały dzień. Pokój znów spowija mrok. Wracają ponure myśli, butelka wódki jest już pusta. Przez cały dzień nic nie jadł. Czyżby ten jeden dzień był mu darowany? Rano z pewnością po niego przyjdą...

A może nie przyjdą? Spodziewa się tego, ale co będzie, jeżeli tak się nie stanie? Jeżeli nikt nie zajmie się tym morderstwem: co wtedy?

Pierwszy dzień płynnie przechodzi w drugi, drugi w trzeci. Czwartego dnia o świcie głód okazuje się silniejszy niż strach. Je w ciszy. Telefon nie zadzwonił ani razu. Nikt nie zapukał do drzwi. Już nie boi się izolacji, samotności. To go uspokaja. Je mało, ale przecież je. Żeby żyć.

Piątego dnia zaczyna sprzątać po jedzeniu. To, co zrobił kilka dni temu, wydaje mu się dalekie i nieprawdopodobne. To nie on zrobił; mógł najwyżej być świadkiem tego zdarzenia. W życie niepostrzeżenie wkrada się porządek. A był przekonany, że zostanie aresztowany! Woda w prysznicu robi się zimna, ale on tego nie zauważa. Myje się ponad godzinę. Woda pod ciśnieniem leje się prosto na głowę i uspokaja myśli. Przez następne dwa dni dużo czasu spędza pod prysznicem, nie przejmując się ilością zużytej wody i tym, że po jakimś czasie woda staje się zimna. Zmywa z siebie poczucie winy i wszelkie myśli.

Sen nie chce powrócić. Pije ciepłe mleko, wkłada sobie watę do uszu, słucha muzyki... Próbuje czytać, liczyć, modlić się, masturbować. Znów wraca pod prysznic. Zimna woda obmywa go ze strachu i wszelkich myśli. Uzasadnia swoją bezsenność. Rozkoszuje się wolnością. Jest nią każda chwila: nie może jej przespać.

Przestaje jeść, bo to wymaga przygotowań, a on nie potrafi tak daleko wybiec myślami w przyszłość. Istnieje tylko morderstwo i teraźniejszość. Nie zwraca uwagi na głód, męczy go tylko bezsenność; nie dostrzega między nimi związku. Energię czerpie z alkoholu, choć pomimo starań nie jest w stanie się upić. Boli go głowa, zbyt często oddaje mocz i cierpi na rozwolnienie. Przez jedną z zasłon dostrzega promień światła. Szpilekami przymocowuje do okien koce. Gdy brakuje mu szpilek, zastawia meblami drzwi do pokoju, żeby uniknąć widoku światła. Nie widząc światła, zatrzymuje czas, zatrzymuje świat. Ukrywa się tam, gdzie go nigdy nie znajdują.

Zarost na twarzy powoli zamienia się w brodę. Pomimo bezustannych pryszniców jego włosy są tłuste i brudne. Znalazł wykałaczkę i czyści nią paznokcie. Po ciemku. Prawie wcale ich nie widzi, ale mimo to je czyści. Do krwi.

Skończył się alkohol. Idzie do szafki z lekarstwami i znajduje tam skarby. Nigdy przedtem nie zaglądał do tego królestwa. Są tam środki

mające pomóc kobietom żyć ze świadomością, że ich dziecko jest kaleką, potworkiem. Wszystko z powodu fabryki EisherWorks, niecałe trzy mile stąd. Patrząc na rzędy opakowań z lekarstwami, myśli, że to one odebrały jej życie. Ona sama nigdy by tego nie zrobiła. Ale nie może zaprzeczyć: zabiła dziecko tymi środkami, a potem zabiła siebie. Żadne z nich nigdy już nie wróci. Kort zamierza złożyć im wizytę.

Połyka najróżniejsze pigułki. Zachwyca go suchość w gardle, drżenie kończyn i postępujące odrętwienie. Nie jest pewien, czy oślepl. Może to tylko sen? Tak głęboki, że nie może się z niego wydostać? Noworodek jest mały, bezkształtny, bezpłciowy. Z łona wyjmuje go lekarz. Ręce mu się trzęsą, ale udaje, że wszystko jest w porządku.

Nie może już przejść obok apteczki, nie biorąc do ręki garści pigułek. Albo trzęsąc się z zimna i majacząc siedzi w fotelu, albo stoi pod zimnym prysznicem.

Jedynie ciepło, jakie się w nim tli, to duma z tego, co zrobił.

Przez następne trzy doby śpi, budząc się tylko od czasu do czasu. Bierze dziesięciminutowy prysznic i wychodzi z łazienki, gdy woda staje się zimna. Powraca kontrola nad tym, co robi. Przygotowuje sobie gorące danie. Pierwszy posiłek krótko bawi w żołądku, ale z drugim już się udaje. Zdejmuje z okien koce. Odsuwa meble od drzwi. Goli się i prasuje spodnie. Wychodzi na zewnątrz, przynosi pocztę i gazety. Wraca i szybko zamyka drzwi na klucz, jak staruszka cierpiąca na urojenia.

Kończą się mrożonki, z których przyrządzał potrawy, ale nie jest w stanie wyjść z domu dalej niż na ganek. Jest wolny, ale obszar poza domem jest sprawdzianem tej wolności. Wciąż mogą po niego przyjść! Czy minął tydzień, dwa, czy trzy? Stracił rachubę czasu.

Wiele dni później ktoś puka do drzwi.

Przechodzi go fala gorąca. Nogi miękną w kolanach, ręce dygocą.

Po chwili myśli: a może to tylko jakiś domokrążca? Może to nic takiego? Ale gdzieś w głębi wie. Wie, kim jest ten człowiek.

— Policja, panie Kort. Proszę otworzyć drzwi. Pomoże pan zarówno sobie, jak i mnie. Nie chciałbym urządzić sceny z wyważaniem drzwi, nie chcę także, aby później musiał je pan naprawiać.

Kort rozgląda się. Musi tu być jakieś miejsce, gdzie zdoła się ukryć. Nie może jasno myśleć, nogi odmawiają posłuszeństwa.

Z kącika ust cieknie mu ślina. Wyciera ją rękawem, myśląc, że jest mordercą nieudacznikiem. Powinien obmyślać teraz plan ucieczki, a nie stać pod drzwiami, trzęsąc się ze strachu.

— Proszę otworzyć — znów słyszy ten głos.

I to wystarcza: Kort wyciąga rękę i otwiera drzwi.

Mężczyzna jest wysoki. Jest sam. Mówi coś do niego. Nawet pokazuje swoją legitymację, ale do Korta dochodzi tylko jedno słowo: „Inspektor”.

Zastanawia się, w jaki sposób mógłby go zabić. Ten człowiek przybył sam. Trzeba go zaprosić do środka. Zabić i uciec najdalej, jak tylko się da. To możliwe.

— Nie jest tak, jak pan myśli — mówi mężczyzna. — Proszę mi wierzyć. Każdy problem można jakoś rozwiązać, a każde rozwiązanie można wynegocjować. Przynajmniej w mojej branży... — Zbliży się do Korta, zamykając drzwi. — Proszę otworzyć okna. Tu śmierdzi. — Powtarza to dwa razy, ale Kort nie rusza się z miejsca i inspektor sam otwiera okna. Kort wciąż stoi przy drzwiach. Gdyby tak znaleźć się po ich drugiej stronie...

— Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Josepha Eishera. Pali pan? — Kort wyciąga rękę po papierosa, mężczyzna podaje mu ogień. Smak tego papierosa zapamięta na zawsze. — Moim zadaniem jest aresztować pana pod zarzutem morderstwa.

W myślach Kort słyszał te słowa setki razy. Są mu tak dobrze znane, że nie jest pewien, czy ten człowiek, papieros, ta cała sytuacja, to rzeczywistość. A może to sen, może wciąż jest pod wpływem alkoholu i proszków?

Papieros mu smakuje, jest naprawdę znakomity. To nie może być sen.

— Co nie znaczy, że musi się tak stać — mówi mężczyzna. Na jego twarzy pojawia się krzywy uśmiech. Skóra na policzkach jest szorstka. Pod nosem ma wąsy. Zaciął się w brodę podczas golenia. Ale uwagę Korta przyciągają niebieskie oczy: dowodzą błyskotliwości, poczucia humoru... Uśmiechają się do niego! — Nie zaaresztuję pana, panie Kort. Nie będzie to konieczne, jeśli mi pan pomoże. Nawzajem możemy sobie pomóc. Proszę do mnie mówić Michael. Niech pan usiądzie, panie Kort. Musi pan podjąć bardzo ważną decyzję...

Przyjechała po niego czerwonym BMW. W samochodzie był telefon komórkowy i odtwarzacz płyt kompaktowych. Kupili lunch na wynos. Croisanty z indykiem, serem i pomidorami. Kort zamówił kawę z ekspresu, a Monique bezkofeinową z mlekiem. Lunch zjedli nad brzegiem rzeki Potomac, skąd widzieli lotnisko National Airport. Od czasu do czasu mijali ich ludzie uprawiający jogging.

— Czytałam o tym — powiedziała.

Spojrzał na nią i przez głowę przeszły mu sprzeczne myśli. Uciec z nią? A może kochać się, tu i teraz?

— Nie przyznaliśmy się do zamachu. Nie rozumiem, jaki on ma sens, jeżeli potem milczymy. Przecież zależy nam, żeby było o nas głośno. Czy chodzi tylko o zabijanie, jak Arabom? Nie jesteśmy barbarzyńcami! Czy Michael na pewno tego chciał?

— Owszem, i nie przyznamy się. Właśnie tak ma być. Na tym polega istota planu. „Niech to będą wypadki” — zacytował Michaela, o czym jednak Monique nie mogła wiedzieć. — Gdyby mieli pewność, że to terroryzm, zajęliby się nami, a nie Mosnerem i EisherWorks. Niech opinia publiczna domyśli się sama. Będą prowadzili dziesiątki dochodzeń, począwszy od FBI, aż po komisje w kongresie. Już to robią. Jeżeli będzie to konieczne, kilku znanych dziennikarzy otrzyma dokumenty od „anoniimowych informatorów”. Z naszą pomocą odkryją prawdę o dwulicowości EisherWorks. Gazety będą miały o czym pisać przez parę miesięcy, a może nawet przez parę lat. Dwie poważne katastrofy lotnicze w odstępie kilku tygodni... to daje do myślenia. A co osiągniemy? — przerwał, aby podkreślić wagę swoich słów. — Mosner i inni zginą, zakłady EisherWorks zbankrutują. Na światło dzienne wyjdzie zmowa milczenia chemicznych gigantów z agendami amerykańskiego rządu.

— Czy teraz zajmiemy się tym spotkaniem? — spytała.

— Tak.

— Jak chcesz to zrobić? Wciąż nic mi nie powiedziałeś.

— Nie mogę powiedzieć wszystkiego. Musisz to zrozumieć — napił się kawy. — Za gorąco na kawę, powinienem był zamówić coś zimnego. Ten upał jest nie do wytrzymania — stwierdził i ugryzł kanapkę. — Nic dziwnego, że w lipcu wszyscy wyjeżdżają z Waszyngtonu.

— Powiedz — nalegała.

Przysunął się bliżej.

— Nic nie powiem, rozumiesz? Nic więcej, niż musisz wiedzieć. Dowiesz się tylko tego, o czym będę ci chciał powiedzieć. Istnieje coś takiego jak zaufanie.

— Czyżby?

— Czy byłbym teraz z tobą, gdybym ci nie ufał? Przecież nawet nie miałbym dokąd uciec. No?

Odwróciła głowę.

— Czasem cię nienawidzę — powiedziała, wpatrując się w ziemię.

Nie ty jedna, pomyślał.

Dziewczyna zawinęła swoją kanapkę w papier. Mały, szary ptaszek kąpał się przy brzegu rzeki, po której w postaci białej piany płynęły ścieki. Znów miał ochotę zwrócić jej na to uwagę, ale zamiast tego powiedział:

— Jesteś mi potrzebna.

— Nienawidzę cię.

— Nieprawda.

— Prawda. Nienawidzę.

— Dobrze: nienawidzisz.

— Nie.

— Nie wiesz, czego chcesz.

— Tak.

— Jesteś zła.

— Tak.

— Na mnie?

— Na wszystko — powiedziała i zamilkła na chwilę.

— Kiedy odbędzie się spotkanie?

— Musisz skontaktować się z Grekiem. Tylko on może nas o nim poinformować.

— I to wszystko? Nic więcej?

— Na razie wszystko.

— A potem?

Jego cierpliwość topniała. Wiedział, jak zachować spokój pod ogniem karabinów maszynowych; wiedział, co robić z bombami, ale nikt nie przygotował go na nią. Tej operacji nie mógł wykonać samotnie i Monique była tego świadoma.

— Skończ z pytaniami. Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, to by

było głupie. Uwierz mi: dowiesz się we właściwym czasie. Potrzebuję twojej pomocy — wyznał, myśląc, że to chciała usłyszeć. — Bez ciebie nic nie zrobię.

Jej oczy się zaświeciły.

Podniósł do ust kubek z kawą, aby ukryć uśmiech satysfakcji.

— Myślałam, że nie masz ochoty na kawę — zdziwiła się.

— Wcale nie jest taka zła.

— Nigdy cię nie zrozumiem — powiedziała ze smutkiem w głosie.

Nie, nie zrozumiesz, pomyślał.

Dotknął palcami jej ust. Dziewczyna zaczęła ssać jego palec.

— To jest słodkie — szepnęła.

— To ty jesteś słodka — odparł, czując, że i jemu udzielił się ten nastrój.

Zamknęła oczy. Jego palec wciąż wędrował po jej wargach.

— Chodźmy stąd — powiedziała prawie bez tchu.

— Chodźmy.

9

Gloria patrzyła na niego smutnymi, brązowymi oczami. Wciąż miała żal do Daggetta, że nie zgodził się na awans. Po raz pierwszy pomyślał, że mogła farbować sobie włosy. Miał ochotę zapytać ją o to; był to pewny sposób, aby ją uciszyć, zanim zdąży się odezwać.

Ciężko położył walizeczkę na biurku i skinieniem głowy pozdrowił siedzących dookoła kolegów, którzy od rana wisieli przy telefonach. W kącie stał telewizor nastawiony na wiadomości CNN, przez całą dobę. Pozostałe biurka były puste. Niektórzy mieli wolne, inni wykonywali zadania w terenie.

— Dzień dobry — powiedział Daggett.

— Dostajemy dziś nowego agenta. Za chwilę powinien się zjawić — odparła Gloria i podając mu fax, dodała: — To dla ciebie.

Była to lista pasażerów samolotu z Los Angeles do Waszyngtonu. Na jego pokład weszła tajemnicza Maryanne Lyttle zaraz po tym, jak zwróciła wynajęty mikrobus. Daggett próbował odszukać ją na liście, ale bezskutecznie. Sprytny przestępca przy każdej okazji zmienia nazwisko, wygląd, prawo jazdy i kartę kredytową, ale to nie był dowód tego rodzaju, jakiego pragnął Pullman. Podejrzenie to żaden konkret. Chciał, aby Lyttle, czy jak ta kobieta naprawdę się nazywała, miała związek ze sprawą...

Nowy agent nazywał się Bradley Levin. Miał trzydzieści dwa lata, był nieprzyzwoicie przystojny i wyższy od Daggetta o głowę. Miał dobrze

zbudowaną klatkę piersiową i wyglądał na atlete. W ciemnych, kręconych włosach można było zauważyć początki siwizny.

Daggett powitał go entuzjastycznie, lecz jego zachowanie nie było szczere: potrzebował pomocy, ale nie podobał mu się pomysł pracy z człowiekiem przeniesionym z innego regionu i wydziału.

Pracę w FBI Levin zaczął w biurze terenowym w Denver, gdzie zajmował się porwaniami.

— Potem byłem w wydziale do walki z narkotykami w Miami — mówił niskim, ciepłym głosem. — Robiliśmy też niezapowiedziane inspekcje samolotów.

— Brałeś udział w tym „skoku” na AirEast? — spytał Daggett.

— Tak — przyznał niechętnie i zaczerwienił się.

Daggettowi spodobała się jego skromność. W waszyngtońskim biurze terenowym niewielu było takich ludzi.

— A teraz będę z wami w antyterroryzmie. Mówię ci, już sama jazda samochodem po Waszyngtonie to jest coś! Zaczynam rozumieć, dlaczego wszystkie garaże są strzeżone jak więzienia...

— Poczekaj na nocną zmianę... — mruknął Daggett. — Mamy poważne kłopoty. Potrzebuję kogoś z głową, Brad, a nie potakiewicza. Chodzi o kogoś, z kim da się pracować. Kogoś, kto z uśmiechem na twarzy będzie ciężko harował. Twoje doświadczenie z liniami lotniczymi może się przydać. Ale, szczerze mówiąc, wybrałeś sobie najgorszy moment, żeby do nas przyjść. Ścigamy się z czasem, a stawką jest ludzkie życie. Wszystko, co powinieneś wiedzieć o sprawie, znajdziesz na swoim biurku. Uważaj, bo emocje naszych ludzi są bliskie wrzenia. Ja na przykład mam tydzień na udowodnienie, że morderstwo w Seattle i katastrofa rejsu 64 są powiązane z Bernardem. Więc rozumiesz... Godziny pracy to cały dzień, z wyjątkiem czasu spędzonego w kiblu.

— Tak jak w Miami.

— To dobrze — Daggett odetchnął z ulgą. — Przywykłeś już do tego.

— Tak.

— O ile dopisze nam szczęście, złapiemy tego faceta. A jeżeli nam nie dopisze... cóż, niema nic gorszego niż spacer wśród płonących ciał i szczątków samolotu. Zwłaszcza wtedy, gdy twoja praca polega na tym, żeby zapobiegać takim historiom... No, w każdym razie: witamy!

- Dzięki.
- Mówią na mnie Michigan. Nie musisz się tak do mnie zwracać, choć wszyscy inni to robią — powiedział Daggett, wskazując na kurtkę z college'u.
- Rozumiem — rzekł Levin.
- Czytałem trochę o tobie, zanim się tu pojawiłeś. Faceci z Miami wystawili ci dobre świadectwo. Podobno najpierw myślisz, a dopiero potem mówisz. Jesteś kawalerem. O inne rzeczy nie będę pytał.
- Świetnie, bo to nie twoja sprawa.
- Daggett zamilkł, przez chwilę patrzyli sobie w oczy.
- To jest moja sprawa. Każdy z nas jest jak otwarta książka. Każdy. To wydział antyterrorystyczny, u nas musi tak być. Nigdy nie zostaliśmy spenetrowani przez kogoś z zewnątrz. Co nie znaczy, że nie próbowano. Rozumiesz? To gorsze niż narkotyki w Miami.
- Chętnie wierzę.
- Powinieneś. Nie mam zwyczaju kłamać.
- Dzięki temu wiem, że jesteś bezczelny.
- Jestem. Popeye z kreskówki mówił: „Jestem, kim jestem”.
- Zapamiętam to sobie — uśmiechnął się Levin.
- Jeżeli jestem Michigan, to ty chyba Ohio. Może być?
- Niech będzie. Trzeba by tylko się zastanowić, co lepsze.
- Daggett nie miał zamiaru dopuścić, żeby ich współpraca zaczęła się od sprzeczki, która mogła potrwać kilka dni. Albo całe życie.
- W college'u zawsze miałeś dobre stopnie.
- Rodzice kazali mi się dobrze uczyć.
- A co myśłą o twojej pracy?
- Proszę o następne pytanie.
- Nie są zachwyceni — domyślił się Daggett.
- Ojciec chciał, żebym został prawnikiem. Namawiał mnie na to od dnia, w którym skończyłem sześć miesięcy.
- Więc zrezygnowałeś z kariery. To ma wyjaśnić twoje dobre wyniki w nauce. Czy to chciałeś dać do zrozumienia?
- Nie. Odpowiadam tylko na twoje pytania. Ty pytasz, a ja odpowiadam.
- Spodoba ci się tutaj. Myślę, że się dopasujesz. Jediną fajną rzeczą w antyterroryzmie jest fakt, że przeważnie pracujesz sam. Ale ta wolność kosztuje; musisz pisać więcej raportów.

— A jaki jest szef?
— Pullman? Jest nowy.
— To już słyszałem.
— Jest w porządku, ale jego poprzednik był okropny. Przypisywał sobie zasługi za wszystkie udane operacje. Trudno mi powiedzieć, jaki będzie Pullman. Ludzie się zmieniają, kiedy awansują.

— Podobno ty nie chciałeś awansować? Czy to prawda?

Daggett zastanawiał się czy to sprawka Glorii, czy plotek krążących po biurze.

— Mam swoje powody.

— Słyszałem, że każdy człowiek w tym biurze jest jak otwarta książka.

Ich oczy spotkały się i Daggett zrozumiał, że patrzy na przyjaciela.

— Masz tu jakichś znajomych?

— Na razie ciebie — powiedział Levin. Daggett skinął głową. — Powinni tu być także jacyś ludzie z Quantico.

— Pogadamy o zadaniach?

— Zaczynaj.

— Nie wiem, czy miałaś już okazję zapoznać się z aktami „Der Grund”...

— Miałem.

— To dobrze. Więc wiesz, że w Europie działa radykalna grupa Zielonych, którzy za cel obrali sobie przemysł petrochemiczny i farmaceutyczny.

— A co z katastrofą 1023?

— Te sprawy są ze sobą związane. Cargo samolotu stanowiły chemikalia. Organizacja „Der Grund” ostrzegła, że dokona zamachu, ale ich groźby zignorowano. Wiemy o nich jedno: mają coś w rodzaju kolektywnego sumienia, choć wiem, że brzmi to dziwnie. Każdy akt terroryzmu poprzedzały groźby. Zawsze tak było. Ich wizytówką jest to, że zabijają tym, co produkuje firma będąca celem ataku. Pochodna semtexu, którą wysadzono samolot 1023 pochodziła z firmy, której chemikalia stanowiły cargo tego samolotu. Ta niemiecka firma nazywa się EisherWorks. Otóż okazuje się, że cargo rejsu 64 zostało wyprodukowane przez filię EisherWorks. To nie jest dostateczny dowód dla ludzi siedzących za

biurkiem, takich jak Pullman, ale dla mnie jest... — Daggett przerwał na chwilę. — Jestem przekonany, że morderstwo u Duhninga i katastrofa 64 są ze sobą związane, choć jeszcze muszę to udowodnić. Na razie nawet nie potrafię udowodnić, że sprawa 64 to sabotaż. Pullmann i jego zwierzchnik, Mumford, chcą dowodów, a nie zbiegów okoliczności. Co gorsza, żądają, żebym napisał długi raport o śmierci Backmana. Na razie oddałem im jedną kartkę papieru. Sporządzenie takiego raportu zajmie mi kilka tygodni; trzeba zrobić wizję lokalną, potrzebne będą zeznania. Bierzesz się za coś takiego i nagle okazuje się, że minęło kilka miesięcy.

— Możesz dalej nie mówić. Znam to z Miami.

— Bernardem zajmuję się już dość długo. To jedyny sposób, żeby do czegoś dojść. Są dwie możliwości: albo uda mi się zdobyć dowody na związek Bernarda z 64, albo uda mi się połączyć groźby pod adresem firmy chemicznej z podejrzeniem, że człowiek, którego szukam, jest teraz w Waszyngtonie.

— Którą z tych spraw mam się zająć?

— Drugą — Daggett obrócił się do Levina lewym bokiem. Mówili ci cho i niezbyt dobrze słyszał. — Twoim zadaniem jest odnalezienie kolejnego celu.

— Tylko tyle? — Levin zmarszczył brwi. — A skąd wiemy, że w ogóle istnieje jakiś kolejny cel?

— Z raportu laboratorium. Bernard najprawdopodobniej zrobił dwa detonatory. Wiem, że jeden z nich był na pokładzie 64, choć muszę to jeszcze udowodnić. Obydwa barometryczne, więc przeznaczone dla samolotów. Pasażerskich? Cargo? Nie wiadomo. Czytałeś akta: jedyny ślad to kobieta, która wypożyczyła mikrobus. Ten sam, który wcześniej stał przed domem mechanika AmAirXpress w Los Angeles. Potem kobieta wsiadła do samolotu i przyleciała tutaj. Tyle możemy udowodnić. Bernard zrobił detonatory w Los Angeles i 64 spadł w Los Angeles. Następnym razem trafiliśmy na ślad Bernarda w Waszyngtonie. Ta kobieta także poleciała do Waszyngtonu. Zbieg okoliczności?

— Więc ryzykujemy — rzekł Levin.

— A co innego możemy zrobić? Moglibyśmy, a nawet powinniśmy wypytać potentatów przemysłu chemicznego, czy ostatnio ktoś im groził. Problem polega na tym, że oni otrzymują zbyt wiele gróźb i wolą sami się tym zająć, bo nie lubią rozgłosu. Jesteś przytłoczony? — Daggett rozparł się na krześle.

— Nic podobnego. W Miami były narkotyki i pieniądze. Natomiast tutaj sprawa jest bardziej złożona i można na nią patrzeć z różnych stron.

— Pamiętaj, że to wszystko są hipotezy. Może wcale nie chodzi o „Der Grund”, może nie ma drugiego celu...

— Wiem, ale ja to kupuję. Co robimy?

— Celem „Der Grund” były dotychczas firmy chemiczne, a konkretnie członkowie ich rad nadzorczych i dyrekcji. Na pokładzie 64 były chemikalia; wydaje mi się, że od tego moglibyśmy zacząć. W przeszłości wybierali sobie dyrektorów — ciągnął Daggett — więc trzeba by sprawdzić, który z nich w najbliższej przyszłości wybiera się tutaj. Na wszelki wypadek można by zapytać o ostatnie groźby. Jeżeli było coś takiego, ludzie z lingwistyki porównaliby je z groźbami „Der Grund”.

— Czy będą chcieli udzielić nam tych informacji?

— Na tym właśnie polega różnica między nami a narkotykami. Gdy wypowiadasz słowo „terrorizm”, ludzie powiedzą ci wszystko, co chcesz.

Pół godziny później na horyzoncie pojawiła się Gloria. Niosła plastikową tackę z zupą i kanapkami. Opiekowała się Daggettem troskliwiej niż Pullmanem.

— Nie wyglądasz zbyt dobrze — powiedziała, stawiając przed nim jedzenie. — Potrzebujesz kogoś, kto by się o ciebie troszczył. — Usiłowała uporządkować papiery na jego biurku, ale Daggett odsunął jej rękę, mówiąc:

— Będą mi jeszcze potrzebne.

— Ależ mój drogi, nawet ty nie potrafisz czytać sześciu akt naraz — powiedziała, układając kartki tak, żeby na biurku zmieściła się tacka. — Bądź dla mnie dobry, Cam, bo inaczej nie powiem ci, że był telefon od Duhninga.

Daggett wyciągnął rękę po różowe karteczki z najświeższymi informacjami.

— Piąta od spodu — powiedziała Gloria, wyjmując ją ze stosu i trzymając poza zasięgiem jego dłoni. — Jeżeli podałbyś swój domowy numer, niektóre panie nie musiałyby odbierać twoich telefonów.

Czytając kartkę, już sięgał po słuchawkę, ale Gloria mu na to nie pozwoliła.

— Nie, mój panie. Najpierw proszę to zjeść, tak kazał lekarz. A ja tu sobie postoję i przypilnuję.

— Ależ Glorio...

— Jedz!

Jadł, a ona porządkowała papiery na biurku i jak zwykle dogadywała. Mówiła, że „Carrie nie będzie na niego czekać całe życie” i że „nie powinien tyle pracować”.

Gdy znów sięgał po telefon, pojawił się Levin. Daggett nie chciał być niegrzeczny, więc odłożył słuchawkę i gestem poprosił go, żeby usiadł i poczęstował się kanapką.

— To chyba jedyna okazja w twoim życiu, by cieszyć się z tego, że jeden z twoich współpracowników, czyli ja, jest synem faceta mającego fioła na punkcie higieny zębów — zaczął Levin z pełnymi ustami.

Daggett spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Trafiłem na ten raport o zębie znalezionym w pokoju hotelowym — powiedział Levin i podał Daggettowi fotografię, której ten wolalby po raz drugi nie oglądać. Zwłaszcza podczas jedzenia. — Chodzi o to, że ząb jest pęknięty — wyjaśnił Levin. — Tutaj — powiedział, wskazując miejsce. — Widzisz? A tutaj jest tylko jeden korzeń. Drugi mógł zostać w szczęce. Jeżeli tak jest, to musi go bardzo boleć i facet na gwałt potrzebuje dentysty.

Daggett poczuł, jak przechodzi przez niego fala podniecenia.

— Jesteś tego pewien?

— Jeżeli nie usunie korzenia, będzie miał poważne kłopoty. Sam nigdy sobie z tym nie poradzi.

— Więc należałoby zainteresować się dentystami zarówno w Los Angeles, jak i w Waszyngtonie. Powiemy, że szukamy cudzoziemca, który ma kłopoty po usunięciu ósemki — rzekł Daggett.

— Dwie metropolie? To będzie strasznie dużo telefonów! — zmartwił się Levin.

— Można posłużyć się komputerem. Mamy tu takie urządzenia. Nagrywa się wiadomość, wyszukuje numery, pod które chcemy zadzwonić, a komputer robi za nas resztę. Dzwoni dotąd, aż ktoś podniesie słuchawkę. Pogadaj z ludźmi z serwisu technicznego. Nie odmówią.

Levin zabrał fotografię zęba i wyszedł.

Daggett zadzwonił do Duhninga. Rozmawiał z panią Fedorko.

— Drogi panie Daggett, mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że porozmawia pan z doktorem Barnesem dopiero jutro.

— Jutro?

— Doktor jest w tej chwili w drodze do Waszyngtonu. Mam umówić pana lub któregoś z pana współpracowników na spotkanie. Rozumiem, że sprawa jest pilna. Chodzi o to, że na dysku jednego z komputerów odnaleziono zapis symulacji lotu doktora Warda. Szczegółowych informacji udzieli panu doktor Barnes.

Daggett miał wrażenie, że kolejne dwanaście godzin mijają niezwykle powoli.

Spotkanie z Barnesem, w którym brał także udział Brad Levin, zaczęło się o trzeciej po południu. Za zgodą Barnes'a całą rozmowę nagrano na taśmę.

Barnes miał pociągłą twarz, wąsy i długie włosy. Przypominał Daggettowi typowego profesora z lat sześćdziesiątych. Znał się na symulatorach i komputerach, ale miał trudności z przekazaniem swojej wiedzy. Mówił z obcym akcentem; Daggett nie wiedział czy niemieckim, czy szwedzkim. Za każdym razem gdy wypowiadał jakąś myśl, Daggett powtarzał ją, chcąc mieć pewność, że zrozumiał. Zajmowało to sporo czasu. Gdy po pierwszych dwóch godzinach zbliżała się przerwa, koszula Daggetta była całkiem mokra. Nie chciał, żeby ktoś to zauważył i dlatego przez cały czas miał na sobie kurtkę z college'u.

— Nie wszystko jest dla mnie jasne — wyznał w pewnej chwili.

— Proszę pytać — zachęcił go Barnes.

— Powiedział pan, że cechą wspólną wszystkich symulacji był brak udziału pilota w prowadzeniu samolotu?

— Tak. Doktor Ward przeprowadził symulacje puszczenia sterów na różnych wysokościach; samolot zawsze leciał nisko, a puszczenie sterów następowało tuż po starcie.

— I twierdzi pan, że to się zgadza z tym, co wiemy o katastrofie AmAirXpress?

— Dokładnie. Brak kontroli nad sterami ze strony pilota tłumaczyłby

przebieg katastrofy lotu 64. Potrzebne nam będą rozmowy pilotów zarejestrowane przez magnetofon wbudowany w kokpit.

— Wciąż nie mamy tych taśm? — Daggett zwrócił się do Levina.

— Nie chcą ich przysłać, zanim nie dokonają pełnej rekonstrukcji nagrania.

— Myślałem, że te taśmy są niezniszczalne... — zauważył Daggett.

— Nic nie jest niezniszczalne — rzekł Barnes. — Ale może te taśmy nie będą potrzebne. Mamy nagranie rozmowy pilotów z wieżą kontroli lotów. Jest tam mowa o pożarze w kabinie pilotów, o czym panowie z pewnością wiecie.

Daggett był zakłopotany. Nie miał pojęcia o taśmach kontroli lotów, ale nie chciał, żeby Barnes się o tym dowiedział.

— Czego by to dowodziło?

— To mogłoby wyjaśnić, dlaczego pilot nie mógł sterować samolotem. Być może pożar spowodował wydzielanie się trujących gazów.

Daggett zanotował tę informację. Ślad takich gazów można by znaleźć, przeprowadzając sekcję zwłok obydwu pilotów.

— Dlaczego nie włączono autopilota?

— Obawiam się, że zaszło pewne nieporozumienie. Autopilot, a właściwie automatyczny ciąg w czasie startu, jest bardzo rzadko używany, bo włączając go, pilot traci kontrolę nad samolotem. Wyłączenie automatyki trwa nawet do kilku sekund, co podczas startu samolotu wydaje się wiecznością. Autopilot jest używany dopiero wtedy, gdy samolot wzniesie się na wysokość około sześciu kilometrów, czyli kilkanaście minut po starcie.

— Autopilota można użyć przy starcie, ale raczej się tego nie praktykuje?

— Jak pan zapewne wie, większość katastrof ma miejsce podczas startów. Dziewięćdziesiąt procent wszystkich pilotów woli wtedy mieć pełną kontrolę nad tym, co dzieje się z samolotem...

— Więc mówi pan... to znaczy, według pańskiej teorii, że nikogo nie było przy sterach? Nikt nie pilotował tego samolotu?

— Teorii? — Barnes wydawał się zdziwiony — ależ panowie, to czysta fizyka. — Poprosił Daggetta, żeby w swoim notatniku odszukał szkic trajektorii lotu samolotu przed katastrofą. — W tym miejscu 64 opuścił

pas startowy, a tu się rozbił — mówił Barnes, wskazując na park Hollywood. — Jak już panu mówiłem, ta sama sytuacja była przedmiotem symulacji. — Rozwinął mapę, która z pewnością była wydrukiem z komputera. — Gdy w czterdziestej siódmej sekundzie puści się stery, 959 rozbije się tutaj — powiedział, wskazując punkt na mapie. — Jeżeli nałożymy tę mapę na plan Los Angeles okaże się, że miejscem katastrofy jest park Hollywood.

Zaległa cisza. Po dłuższej chwili odezwał się Daggett:

— A wiatr? A temperatura powietrza i tak dalej? Przecież miejsca katastrofy nie można dokładnie przewidzieć?

— Istotnie, byłyby z tym kłopot w przypadku mniejszego samolotu. Ale w tym wypadku ważna jest tylko siła ciągu, ciężenie, szybkość samolotu oraz ustawienie klap i sterów. Wszystko można przewidzieć. Awiacja jest nauką, to właśnie staram się panu wytłumaczyć. Jeżeli jesteśmy w stanie umieścić raketę bez załogi na niewidocznej dla nas półkuli Marsa — z czego dumny jest cały Dunning — to chyba powinniśmy być w stanie przewidzieć trajektorię lotu pasażerskiego samolotu w minutę po starcie!

— Ale po co? — jęknął Daggett. Zastanawiał się, jak to wszystko powtórzyć Pullmanowi i, co gorsza, Mumfordowi. Takie rzeczy trzeba zatrzymać dla siebie, zanim się ich do końca nie zrozumie. — A co z Wardem? Wiem, że pracował przy symulatorach. Gdy w grę wchodził nowy samolot, taki jak Dunning 959, ktoś musiał zajmować się szkoleniem pilotów, prawda? Przynajmniej to jest dla mnie jasne.

— Tak. Piloci, zanim zaczną latać nowymi maszynami, muszą zostać przeszkoleni.

— A jeżeli uczy ich ten sam człowiek, wówczas, powiedzmy, podczas startów będą postępować mniej więcej podobnie?

— To by było logiczne, tak.

— A Ward? Wiem, że z wykształcenia był inżynierem, ale, sądząc ze zdjęć na ścianach w jego biurze, był także pilotem, prawda?

— Wielu z nas to piloci.

— Ale on latał odrzutowcami.

— To również nie jest niezwykle. Dunning produkuje wyłącznie odrzutowce.

— Chodzi mi o coś innego: w szkoleniu wzięło udział dwudziestu,

może dwudziestu pięciu pilotów, wyczytałem to w jednym z raportów. Nie sprzedaliście wielu samolotów...

— Dotychczas sprzedaliśmy dwadzieścia siedem — wtrącił Barnes — i mogę pana zapewnić, że to dużo.

Daggett puścił jego słowa mimo uszu.

— Kto uczył ludzi, którzy później zajmowali się szkoleniem pilotów? To był inżynier, prawda? Ktoś, komu nowy samolot jest dobrze znany. Ktoś taki jak Roger Ward. To Ward był ekspertem Duhninga od samolotów 959, prawda? — wypalił Daggett.

Barnes poprawił okulary i przerzucił kilka kartek. Czytał. W chwilę później podniósł wzrok i ze zdziwieniem pokręcił głową. Był zbity z tropu i po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Skąd pan to wie, panie Gadżet?

10

Monique zredukowała bieg i skręciła na Beltway, najbezpieczniejsze miejsce na spotkanie. Samochód zawieszony był tak miękko, że Kortowi palącemu właśnie papierosa bez filtra wydawało się, że wcale się nie poruszają. Dziewczyna miała na sobie różowy kostium. Oprócz szminki na wargach Kort nie dostrzegł innych śladów makijażu. Była pewna siebie. Pragnął jej. Tu i teraz.

Zgasił papierosa, odpiął pas i dotknął jej bluzki.

Zamruczała jak kot i wyciągnęła do niego rękę. Dotykał jej piersi. Przesunął rękę niżej i jego dłoń znalazła się między jej udami. Wiedział, że ona to lubi. Rozsunęła nogi. Palce Korta dotarły do jedwabnych majtek.

— Potem — powiedziała, zsuwając uda, choć Kort wiedział, że dziewczyna robi tak po to, żeby go bardziej podniecić.

Cofnął rękę i zajął się kolejnym papierosem.

— Co z Grekiem? Dowiedziałś się czegoś? — spytał.

Jego wysiłki okazałyby się daremne gdyby nie Grek, człowiek, którego w ogóle nie znał. Oficjalnie Grek był właścicielem restauracji i firmy kateringowej, co stanowiło doskonałą przykrywkę dla jego prawdziwego zajęcia: szpiegostwa przemysłowego. Miał wielu informatorów; niektórych szantażował, do innych, jak miało to miejsce w przypadku jego samego, przemawiały względy finansowe. Za odpowiednią sumę był w stanie zdobyć plany najnowszych mikroprocesorów Intela lub liczbę

zakładów, które General Motors zamierza zamknąć w czwartym kwartale. Wiedział, kto z grubych ryb na Wall Street jest uzależniony od narkotyków; mógł też dostarczyć wiarygodnych danych o tym, jak głoszą poszczególni członkowie rad nadzorczych. To Grek dostarczył Kortowi informacji o Rogerze Wardzie i Kevinie Doughertym. Teraz Kort liczył, że tą samą drogą dowie się o czasie i miejscu „tajnego” spotkania. Nie był zadowolony, że korzysta z usług człowieka, któremu nie ufał, ale nie miał innego wyjścia.

Monique pośredniczyła w zdobywaniu informacji na wypadek, gdyby Grek postanowił wydać Korta władzom. Poza tym dziewczyna komunikowała się z nim za pomocą poczty elektronicznej, a Kort zupełnie się na tych sprawach nie znał.

Wciąż miał wątpliwości: czy obława na „Der Grund” to przypadek, czy też Grek postanowił podwoić swoje dochody?

Czuł, że dziewczyna zwleka z powiedzeniem tego, co miała mu przekazać, i zaczęło go to złościć.

— No?

Monique dodała gazu. — Grek zostawił wiadomość. Nie wie, kiedy odbędzie się to spotkanie. Weźmie w nim udział człowiek, o którego pytałeś, ale Grek nie potrafi ustalić daty. Zmieniono ją i nie jest w stanie dotrzeć do tej informacji.

— To niemożliwe! — krzyknął Kort.

— Powtarzam ci tylko wiadomość od Greka.

— To niemożliwe! — powtórzył. — Zapłaciliśmy mu! Data spotkania jest niezbędna! Muszę z nim porozmawiać. Jak najszybciej. Zorganizujesz nasze spotkanie — polecił, ale już po chwili zmienił zdanie. — Nie, tak nie można. On nie może wiedzieć... Mógłby mnie komuś sprzedać...

Nie potrafił zebrać myśli. Otworzył okno i poczuł na twarzy orzeźwiający powiew wiatru.

Mijały minuty. Kort wypalił kilka papierosów.

— Mam pomysł — powiedziała dziewczyna.

Ale jego nie interesowały jej pomysły, musiał się zastanowić, co dalej. Spojrzał na nią; w jej oczach widać było podniecenie. Nie zrozumiał jej. Sądził, że będzie mówiła o seksie i był zły, że nie myślała o tym, co było naprawdę ważne.

— W przyszłym tygodniu odbędzie się spotkanie lobby linii lotniczych — zaczęła prawie szeptem. — Będą świętować wprowadzenie nowych zabezpieczeń. Wiem, że akurat ty nie masz się z czego cieszyć, ale jako wiceprezydent In Flite jestem zaproszona. Wszystkie grube ryby tam będą. I jeżeli zechcesz, Grek też tam będzie. Mogę to zaaranżować.

Patrzył na nią z zaciekawieniem.

— To spotkanie organizuje jeden z moich przyjaciół. Będzie dobra kuchnia, potrawy narodowe. Grek nie tylko jest właścicielem restauracji: nie zapominaj, że dostarcza także jedzenie liniom lotniczym.

Kort skinął głową. Pomyślał, że to ryzykowne. Ale może warto spróbować?

— Mogę zatroszczyć się o to, żeby podczas przyjęcia Grek był odpowiedzialny za gastronomię. Pójdziemy tam razem, będziesz moim gościem. Spotkacie się na neutralnym gruncie. Co o tym myślisz? Zgadzasz się? — Jej twarz promieniała. Zapach perfum mieszał się z zapachem tytoniu. Nie docenił tej dziewczyny.

— Uwielbiam grecką kuchnię — powiedział Kort.

11

Gdzie jest Carrie? — Duncan spytał ojca, podjeżdżając wózkiem do kuchennego stołu. To pytanie wyrwało Daggetta z zadumy. W tej chwili nie myślał o Carrie.

Martwiło go, że w epoce rakiet kosmicznych i komputerów tak niewiele jest miejsc dostępnych dla ludzi poruszających się na wózkach inwalidzkich.

Nie lubił tego domu. Układ pomieszczeń był idiotyczny. „Ze względu na ogrzewanie”, jak wyjaśniła mu Carrie, gdy wynajmowała dla niego ten dom. Pokoje były za małe, a całość przypominała mu szcurzy labirynt. Dawniej mieszkało tu małżeństwo w podeszłym wieku. Kobieta była przykuta do łóżka, a poza tym najwidoczniej nie było ich stać na ogrzanie całego domu i dlatego pokoiki były tak małe. Ale włączniki światła były na odpowiedniej wysokości i wszystkie przejścia były na tyle szerokie, żeby zmieścił się w nich wózek. Były także podjazdy ułatwiające Duncanowi manewrowanie wózkiem.

Z zewnątrz dom pokryty był białymi aluminiowymi płytami. Miał też okiennice, których nie można było zamknąć. Z bliska widać było, że są wykonane bardzo tandetnie. Irytowała go także imitacja kominka.

Ale Carrie w zasadzie miała rację: dom jest taki, jak mieszkający w nim ludzie. Charaktery mieszkańców określają charakter domu.

— Wyjechała — odpowiedział Daggett.

— Czemu?

— Naprawdę chcesz wiedzieć? Uważała, że za dużo pracuję, że obiecuję różne rzeczy, a potem się z tego wycofuję, że zostawiam cię samego.

— Jak mama... — powiedział syn.

Dla Duncana było to tylko stwierdzenie faktu, ale Daggett zwinął się w środku z bólu.

Miał świadomość, że pomimo dobrych intencji wciąż powtarza te same błędy.

— Jej zdaniem, zbyt dużo czasu spędzasz z panią Kiyak, a za mało ze mną. A właściwie odwrotnie: to ja nie poświęcam dość czasu tobie.

— Ale czasem jesteś... — rzekł Duncan, co tylko potwierdziło gorzką prawdę: Carrie miała rację. To zabolalo jeszcze bardziej. — Pani Kiyak jest w porządku — powiedział Duncan bez przekonania. — Tylko czasem dziwnie pachnie. Chyba zawsze tak jest ze starszymi ludźmi...

— Lubisz ją, prawda? — spytał Daggett takim tonem, aby Duncan musiał mu przytaknąć. Tego samego chwytu używał w stosunku do Carrie, ale w jej przypadku odnosił gorsze wyniki. Znów myślał o Lynn. Zastanawiał się, na ile wyjazd Carrie był jej udziałem. Usiłował dociec, dlaczego tak go absorbuje. Czy śledztwo stanowiło wystarczający pretekst, żeby do niej zadzwonić? Czy może się przyznać do tego, że wciąż ma ją przed oczami, że słyszy jej głos?

— Za kilka dni zaczyna się szkoła — zmienił temat Duncan.

Po śniadaniu cofnął wózek. Daggett zrozumiał, że ma otworzyć tylne drzwi. Ruszyli w stronę drabinki.

— Wystarczyłoby, gdybyś podpisał ten formularz. Czy nie możesz choć raz skłamać?

— Nie, Duncan. Poza tym nie muszę. Robisz postępy.

Duncan zacisnął dłonie na drążku. Dwukrotnie podciągnął się na rękach, ale już za trzecim razem ramiona zaczęły mu drżeć z wysiłku. Żeby uczestniczyć w wyprawie kajakowej musiał podciągnąć się pięć razy. Daggett chciał wziąć go pod ramiona i pomóc, ale czekał na zgodę syna — taką mieli umowę. Po kilku długich sekundach Duncan powiedział:

— Chodź.

Daggett pomógł mu i chłopiec znów podciągnął się w górę.

Ostatnia wyprawa zaplanowana była na jesień i miała się odbyć już za trzy tygodnie. Do tej pory Duncan musi pięć razy samodzielnie podciągnąć się na rękach. Czasu na ćwiczenia było mało. Daggett dałby wszystko, żeby Duncan sprostał wyzwaniu.

— Nieźle — pochwalił syna.

Duncan opadł na wózek i uśmiechnął się do niego. Daggett miał ochotę go objąć.

— Ciężarki i pompki też byłyby dobre.

— Uda mi się, tato. Wiem, że mi się uda.

— Oczywiście.

— Napij się kawy, a ja jeszcze poćwiczę.

— Coraz lepiej ci to idzie — powiedział Daggett i poszedł do domku. Znów siądzie przy oknie i będzie się modlił o cud. Codziennie to samo.

Tuż przed lunchem Daggett i Bradley Levin mikrobusem FBI pojechali do gmachu Hoovera. Technik z laboratorium poinformował ich o śladach znalezionych w mikrobusie wypożyczonym przez Maryanne Lyttle w dniu katastrofy w Los Angeles. Jak to czasem bywało, wyników badań nie przesłano Daggettowi do Buzzard Point, tylko do gmachu Hoovera. Tym razem jednak omyłka okazała się pomocna, bo do wyników badań dołączono ekspertyzę. Mikrobus nie został porządnie wyczyszczony w środku, dzięki czemu ekipa FBI znalazła w nim sporo śladów.

— Grasz w tenisa, Ohio? — spytał Daggett, gdy czekali na mikrobus, który miał ich zabrać z powrotem do Buzzard Point.

— Gram.

— A co robisz w czasie lunchu?

— Dam ci w skórę.

Dwadzieścia minut później byli na korcie. Daggett wsadził swoją walizkę do schowka na rzeczy i zamknął go na klucz.

— Śpisz z tą walizką, prawda, Michigan? — spytał Levin.

— Backman miał zwyczaj przeglądać papiery swoich podwładnych.

Widocznie wyrobił mi się odruch warunkowy — wyjaśnił Daggett.

Ściana kortu wychodząca na widownię zrobiona była z przezroczystego plastiku. Dzięki temu mogli być pewni, że nikt nie podsłucha ich rozmowy.

Krew zaczęła szybciej krążyć i Daggett poczuł, że jego mózg coraz lepiej pracuje. Posiedzenia i narady działały na niego usypiająco.

Levin dobrze grał. Jego strzały były mocne i celne. Właśnie serwował, gdy Daggett odezwał się, mając nadzieję, że wybije go z rytmu.

— Zakładamy, że zabójca Warda pojechał z Portland do Los Angeles pociągiem. Czy to coś o nim mówi?

Levin zaserwował, zdobył punkt i dopiero wtedy odpowiedział:

— Pewnie ma przy sobie broń albo nawet cały arsenał. Gdy przewozi się broń, pociągi są bezpieczniejsze.

Daggett miotał się po całym korcie, aż udało mu się zdobyć punkt.

— Nie w tym rzecz. Nie wiem, jak jest z tobą, Ohio, ale ja... Nie obchodzi mnie, jaką facet ma broń. Chodzi mi o to, co myśli, rozumiesz? Ten gość zażądał obcęgi i w pokoju hotelowym sam wyrwał sobie ząb. Dzięki temu dużo wiem. Wiem, jaką ma grupę krwi, co może się przydać. Ale nie grupa krwi jest istotna. Rozumiesz?

Levin nie odpowiedział. Daggett serwował. Świetnie, Levin nie dosięgnął piłki... Daggett ponownie zaserwował i po długiej wymianie Levin zdobył punkt. Trudno...

— Może nie lubi latać samolotem — rzekł Levin i po chwili zaliczył następny punkt. — Może dlatego zwymiotował w symulatorze.

— Dobrze! — krzyknął Daggett. — Właśnie o to mi chodziło!

— Gdybym robił to, co on, pewnie też bałbym się latać.

— Jeszcze coś? — zachęcił go Daggett.

Levin zdobył kolejne punkty. Był trochę za dobry...

— Jest cierpliwy — rzekł Levin pomiędzy serwami. Daggett nawet nie ruszył się z miejsca do piłki. — Tak cierpliwy, że aż trudno w to uwierzyć.

— Jechał pociągiem, wiedząc, że ciało najprawdopodobniej zostało

już odnalezione. Ja bym od tego zwariował, możesz mi wierzyć. Gdybym wiedział, że ktoś może mnie ścigać, pociąg byłby ostatnim miejscem, gdzie chciałbym się znajdować — powiedział Daggett.

— A jeśli nie miał wyboru, jeśli z powodu agorafobii w ogóle nie może latać?

Levin wciąż wygrywał. Wreszcie Daggettowi udało się przełamać złą passę i poprawił swoją punktację.

— A co wynika z zebranych przez nas dowodów poszlakowych?

— Co z nich wynika? — powtórzył Levin, czekając na jakieś wskazówki.

— Właśnie — przytaknął Daggett.

— Brązowy włos na oparciu kierowcy należał do zdrowej kobiety. Jego badanie wykazało, że osoba ta powinna mieć dużo włosów, co by się zgadzało z panną Lyttle, która jest brunetką. Rude włosy na tylnym siedzeniu pochodziły z peruki. Prawdopodobnie z jego peruki. Dougherty twierdził, że mężczyzna, który go obezwładnił był rudy. Sprytni przestępcy rzadko sami prowadzą samochód, więc ona siedziała za kierownicą, a facet z tyłu. Znaleźliśmy na tylnym siedzeniu popiół z papierosa. Skład popiołu był taki sam jak niedopałków znalezionych przez ciebie na parkingu. Pullman chce dowodów... Chyba je mamy. Czyżbym wygrał?

— Jest jeszcze Anbesol — przypomniał Daggett.

— Potwierdza moją hipotezę, że nie usunął zęba całkowicie, i że czekają go kłopoty.

— Zgoda. Punkt dla ciebie.

Znów wrócili do gry. Levin miał znaczną przewagę.

— Jeszcze jeden punkt dla stanu Ohio — mruknął.

Daggett sprężył się i udało mu się wygrać jeden gem. Niestety, następny znów przegrał.

— Zagramy jeszcze raz? — spytał Daggett.

— Jeżeli tego chcesz... Nie rozumiem, co się dzieje z wami, z ludźmi z Michigan. Nie wiecie, kiedy przestać?

Zadziorny, czupurny, niezależny i lojalny zarazem: w sam raz. Daggett podał Levinowi piłkę i stanął w rozkroku. Trzy kolejne gemy wygrał do zera.

W poniedziałek w południe miał się stawić w biurze Mumforda.

— Za czym ty się tak uganiaasz, Michigan? Może mógłbym ci pomóc?

Było to dość niezwykle powitanie, zwłaszcza że padło z ust Richarda Mumforda, przełożonego agentów operacyjnych na obszarze Waszyngtonu. Mumford sprawował kontrolę nad sześciuset czterdziestoma ludźmi i jedynie Nowy Jork miał ich więcej. Daggett uważał go za swego najpotężniejszego zwierzchnika. Możliwe, że było to związane z jego pewnością siebie. Poza tym Mumford był wielki.

Miał tubalny głos, gęstą czuprynę, a swoim rozmówcom wpatrywał się głęboko w oczy. Przywodził na myśl boksera. Był opalony, jak przystało na mężczyznę grywającego w golfa. Nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt kilka lat.

— Szukam detonatorów Bernarda, sir — powiedział Daggett służbiście. — Tym się właśnie zajmuję.

Okna olbrzymiego biura Mumforda wychodziły na rzekę Anacostia. Rozpierały się w nim dwie kanapy, stół i olbrzymie, stare biurko. Na ścianach wisiały obrazy i zdjęcia. Wnętrze nie pasowało do innych pomieszczeń w Buzzard Point, ale pasowało do Mumforda. Dobrze się tu czuł. Miał w sobie coś z jowialnego wuja. Daggett wiedział, że większość historii, które o nim słyszał, jest prawdziwa, choć opowiadających je ludzi często ponosiła wyobraźnia. Najważniejsza dla Daggetta była pewność, że Mumford przed nikim się nie ugnie, jeżeli będzie przekonany o słuszności sprawy. Nawet jeżeli czasem się bał, nigdy tego nie okazywał. Plotka głosiła, że zawsze był taki sam: czy z podwładnymi, czy w komisji senackiej. Kiedyś powiedział prezydentowi, który miał rozpięty rozpokre: — Sir, traci pan głosy wyborców.

Mumford mógł ułatwić mu wykonanie zadania lub odwołać w jednej chwili. I ta świadomość trapiła teraz Daggetta.

— Ten nowy facet, Levin, dużo rozmawia przez telefon — stwierdził Mumford. — On z tobą pracuje, prawda? Co właściwie chcecie znaleźć?

— Szukamy powiązań z katastrofą rejsu 64. To wszystko.

— Sprawa AmAirXpress nie jest jeszcze zamknięta, a śledztwo w ogóle do nas nie należy, bo to działka komisji bezpieczeństwa. Poza tym nie powinienes zajmować się sprawą 64; ona nie ma żadnego związku

z „Der Grund”. Katastrofa w Los Angeles to robota dla naszego biura terenowego w Los Angeles. Nie rób mi koło pióra, Michigan. Wiem, że fax na dziesiątym piętrze przez całe popołudnie drukował terminarze podróży dyrektorów. Co ty robisz? Muszę wiedzieć, co się tu dzieje. Pytałem Pullmana. On też nic nie wie, więc teraz pytam ciebie.

— Potencjalny związek tej sprawy z „Der Grund” i szczątkowe dowody świadczą, że celem kolejnego ataku może być jakiś zakład chemiczny w Waszyngtonie.

— Ale nie macie pewności, że chodzi o „Der Grund”, prawda?

— Chwilowo dowody są szczątkowe — przyznał Daggett. — Ale jest ich coraz więcej i wszystkie jednoznacznie wskazują na Waszyngton. W związku z tym wydawało mi się logiczne, żeby sprawdzić, którzy szefowie koncernów chemicznych wybierają się w najbliższym czasie do Waszyngtonu.

Zaległa cisza. Mumford w zamyśleniu wstał, podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyciągnął do połowy opróżnioną torebkę ziemniaczanych chipsów. Nie poczęstował Daggetta. Ciężko opadł na kanapę, zanurzając w torbie rękę.

— Problem w tym, Michigan, że siedząc tu, w Waszyngtonie, niejednokrotnie otwieramy puszkę Pandory należącą do innych terenowych biur. I gdy dzieje się coś takiego, przeważnie wystarcza kilka telefonów, aby to naprawić — rzekł Mumford, powoli chrupiąc chipsy. — Ale jeżeli w grę wchodzi bezpieczeństwo o charakterze ogólnopanstwowym, nie robi się tego.

— Czy tak jest w tym wypadku? — spytał Daggett.

— W Waszyngtonie odbędzie się spotkanie. Same grube ryby. Mieliśmy o tym nie wiedzieć. Ale z terminarzy podróży, które wydrukowałeś można się zorientować, że coś się szykuje. Ci ludzie nie chcą, żeby wiadano o ich spotkaniu, więc zmienili datę. Przez ciebie.

— Ale przecież my tylko...

— Nie zdając sobie z tego sprawy, uświadomiliście im istnienie słabych punktów. Przestraszyli się, że ktoś inny także mógł wpaść na ten pomysł i wcale im się to nie spodobało. Ich zjazd ma być, a raczej miał być, utrzymany w tajemnicy — powiedział, zgniatając pustą torebkę i rzucając ją w kierunku kosza na śmieci. Był najwyraźniej niezadowolony z tego, że nie trafił. — A teraz, przez twoje wścibstwo, sprawa należy

do nas, rozumiesz? Nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności za bezpieczeństwo tych facetów, a ponieważ zajmujemy się antyterroryzmem, zgadnij, kto dostał to zadanie? Przyjeżdża ich sześciu. Przyjeżdża i odjeżdża. Niektórzy prywatnymi samolotami, inni rejsowymi, pasażerskimi. A my nie możemy doliczyć się jednego detonatora.

Daggett spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Tak, wiem o detonatorze, nie patrz tak na mnie. Zwykłem czytać notatki moich agentów. Zapewnienie bezpieczeństwa to najgorszy z koszmarów. Dzięki tobie stał się naszym udziałem. I ty się tym zajmiesz. Jesteśmy odpowiedzialni za wszystkich dyrektorów od chwili, gdy znajdą się w drodze. Będiesz ich aniołem stróżem. Częściowo dlatego, że potrzebna jest ścisła dyskrecja, a poza tym podejrzewam, że rzeczywiście wiąże się to z detonatorem Bernarda. Teoretycznie rzecz biorąc, to problem wewnętrzpaństwowy, czyli robota dla wydziału C-1, ale ja daję ją właśnie tobie, czyli C-3. Ty otworzyłeś puszkę Pandory i teraz masz okazję ponieść konsekwencje tego, co zrobiłeś... Michigan, jesteś najlepszym agentem, jakiego kiedykolwiek miałem. Nie żartuję. I dlatego nie zwracam uwagi na twoją idiotyczną kurtkę i łamanie innych przepisów. Odkrycie powiązań Bernarda z „Der Grund” wymagało nie lada wysiłku i powinieneś dostać za to medal. Pozwoliłem ci zajmować się tą sprawą i zostawiłem wolną rękę, bo masz do tego nosa. Myślisz, że nie wiedziałem, że Backman ukradł ci akta?

Daggett był tak zdziwiony, że nie mógł wykrztusić ani słowa.

— To prawda, że Backmann powinien był siedzieć za biurkiem. Nam wszystkim było lepiej, gdy nie mieszał się w cudze sprawy. Dałem mu awans i powiedziałem, że ma ci nie przeszkadzać, i Bob zostawił cię w spokoju. Moi przełożeni wyrazili życzenie, żebym na kilka tygodni usadził cię na miejscu. Oczekiwali raportu i wyjaśnień, jak Bob, otworzywszy walizkę Bernarda, za jednym zamachem załatwił siebie i naszego głównego podejrzanego. Ale ja chciałem, żebyś pozostał w terenie. Tym razem jednak nie mam szczęścia. Ty nie masz szczęścia — ostrzegł. — Bezpieczeństwo tych biznesmenów jest sprawą priorytetową. Absolutnie priorytetową — podkreślił. — Żeby potem nie było żadnych nieporozumień.

— Tak, sir.

— Zapomnij o Bernardzie, katastrofie 64 i o trupie w Seattle: masz

ważniejsze sprawy na głowie. Ludzie, o których mówię, na ogół nie informują nas o swoich poczynaniach. Choć ich spotkanie jest ściśle tajne, poproszono mnie, żebyśmy się tym zajęli. Zgadnij, dlaczego... — spojrzał na Daggetta. — Oni się boją, Michigan. To jedyne wytłumaczenie. A teraz, jeżeli stracą choć jednego człowieka, będzie to nasza wina. Sprowadziłeś na nas to nieszczęście, drukując terminarze ich podróży. Tu chodzi także o moją głowę i naprawdę mi się to nie podoba. Od tej chwili bezpieczeństwo dyrektorów jest sprawą najważniejszą.

Mumford odprowadził Daggetta do drzwi; wręczył mu czerwoną teczkę i poczekał, aż Daggett potwierdzi jej odbiór.

— I na miłość Boską, nigdy się z tym nie rozstawaj — powiedział. — To są nowe terminarze podróży: kto, kiedy i czym przyjeżdża, jak wraca. Dopóki ich samoloty będą na pasie startowym lub w powietrzu, ty za nich odpowiadasz. Nie będziesz działać sam; weźmiesz sobie do pomocy tego nowego agenta od narkotyków, a ja zajmę się papierami. To — wskazał na teczkę — jest jedyny egzemplarz, jaki dostaliśmy. Nie wolno go skopiować. Nikt oprócz ciebie nie może tego zobaczyć. Jasne?

Daggett skinął głową.

Mumford zamknął za nim drzwi i Daggett znalazł się twarzą w twarz z jedną z jego trzech sekretarek. Miał wrażenie, że pozbawiła go prywatności i pomyślał, że pewnie tak speszzone są kobiety, gdy on rozbiera je wzrokiem. Uśmiechnęła się sztucznie i powróciła do swojej pracy. Nie była brzydka i Daggett zdał sobie sprawę, że nigdy przedtem jej nie zauważył.

Z czerwoną teczką pod pachą czuł się jak nagi. Ruszył do swojego biurka i włożył ją do walizeczki: tam było jej miejsce.

12

Ostatnie osiemnaście godzin Kort przeżył w strasznym bólu. Pomoc stomatologa była niezbędna.

Gabinet dentystyczny, którego adres wyszukał w książce telefonicznej, znajdował się na drugim piętrze w nowym budynku przy N Street. Kort przedstawił się jako Albert Kotch. Wskazał na spuchnięte dziąsło, jednocześnie przeprasząc, że wcześniej nie zadzwonił. Powiedział także, że gotów jest czekać nawet cały dzień, byle tylko przyjął go doktor Rosen. Poproszono go, aby usiadł w poczekalni. Kort wziął do ręki magazyn „People” i z zadowoleniem przejrzał reportaż o katastrofie 64. Jak mógłby sobie odmówić tej przyjemności?

Zatytułowano go „Wśród szczątków”. Główną postacią była Lynn Greene, piękna kobieta występująca z ramienia komisji bezpieczeństwa. I choć przeciętny czytelnik z pewnością właśnie na niej skoncentrowałby swoją uwagę, Kort postąpił inaczej. Przyjrzał się dokładnie tytułowemu szczątkom: drutom, powyginanym blachom. W tle widać było samochody straży pożarnej i karetki pogotowia.

Reportaż nie wzniosł się na wyżyny gatunku; zbyt dużo uwagi poświęcono tej kobiecie, zbyt mało samej katastrofie. Podczas długiej podróży pociągiem Kort przeczytał już wiele podobnych artykułów z tym, że zdjęć było w nich mało, a tekstu dużo. Tym razem było odwrotnie. Jedna z twarzy wydała mu się znajoma. Widział ją w godzinnym

programie telewizyjnym, poświęconym porównaniu katastrofy Lockerbie z 1023. Michael Sharpe zwrócił mu wówczas uwagę na tego człowieka. Był to Cameron Daggett, agent FBI do zadań specjalnych. Michael poznał go osobiście w czasie śledztwa w sprawie rejsu 1023. A teraz Kort znów zobaczył tę samą twarz. Wprawdzie Daggetta ujęto bokiem, ale nie mogło być mowy o pomyłce.

Kort poczuł złość. Więc Daggett także bierze udział w śledztwie? Czy znaczy to, że doszukał się związku katastrofy z detonatorem Bernarda? Zrobiło mu się gorąco. Zadali sobie wiele trudu, aby zdobyć urządzenie, które miało zmylić służby śledcze. Czyżby im się to nie udało?

— Pan Kotch?

Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, że chodzi o niego. Dawno nie używał tego nazwiska.

— Nie dosłyszałem, co pani powiedziała — tłumaczył się Kort. — Widocznie infekcja przerzuciła się na ucho — dodał, uśmiechając się grzecznie.

— Jeden z pacjentów odwołał swoją wizytę. Doktor prosi pana — powiedziała kobieta i również się uśmiechnęła.

Rosen był siwiejącym mężczyzną. Miał na sobie nieskazitelnie białe fartuch, spod którego wystawały spodnie. Mówił konfidencjonalnym szeptem.

Na suficie przyklejony był plakat przedstawiający jezioro Chesapeake zimą. Z głośnika nad oknem płynęła cicha muzyka.

W gabinecie stały trzy fotele. Przy dwóch pierwszych pracowały pomoce dentystryczne, a przy trzecim doktor Rosen, któremu asystowała Chinka.

Kort vel Kotch usiadł na fotelu i podziękował doktorowi, że zechciał go przyjąć.

— Kilka dni temu ułamał mi się ząb i mam wrażenie, że jakiś kawałek został w szczęce — powiedział.

Rosen założył rękawiczki ochronne i przyjrzał się uważnie zębowi.

— To ząb mądrości, panie Kotch.

Chinka z głośnym hukiem upuściła na ziemię pudełko z próbnikami

dentystycznymi. — Li, zrób, co do ciebie należy, a ja zajmę się panem, żeby nie musiał długo czekać — powiedział ostro Rosen. — Czy ma pan jakąś „swoją” aptekę, panie Kotch?

Kort rozkaszał się w odpowiedzi, więc Rosen zaproponował:

— Na 23 Ulicy jest dość przyjemna apteka, często z niej korzystamy. To tylko kilka kroków stąd.

Kort skinął głową. Asystentka była czerwona ze wstydu i, nie ruszając się z miejsca, patrzyła na podłogę przypominającą pobojuwisko.

— Li! Natychmiast posprzątaj, a potem zadzwoń — Rosen rzekł do niej tak ostro, że dziewczyna od razu wzięła się do roboty.

Dentysta uśmiechnął się krzywo:

— To naprawdę źle wygląda. — Obrócił się w lewo i z jednej z szuflad wyjął zawinięty w plastik aparat do narkozy.

Kort zaprotestował:

— Nie, doktorze, obejdzie się bez narkozy. Wytrzymam.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Najpierw będę musiał naciąć dziąsło, a potem założę kilka szwów.

— No to proszę o novokainę. Nie zgadzam się na narkozę — powiedział stanowczo Kort.

— W takim razie nie mogę panu niczego obiecać. Narkoza byłaby lepsza.

— Wiem, i dziękuję panu, doktorze. Ale novokaina wystarczy.

Doktor był zdenerwowany. Początkowo Kort myślał, że Rosen obawiał się operacji dziąsła bez narkozy, ale w pewnym momencie oczy Rosena i asystentki spotkały się, i Kort zeszytniał.

Zaczął drobiazgowo analizować ostatnie minuty. Rosen, zwracając się do asystentki, znacząco podkreślił, że chodzi o ósemkę. Powiedział, żeby dziewczyna „zrobiła co do niej należy”, a potem polecił, żeby „zadzwoń-ła”. Z drugiej strony, ponieważ dentystę wybrał przypadkowo, nikt nie powinien być uprzedzony o jego wizycie. Już prawie doszedł do wniosku, że nie ma podstaw do obaw, gdy jego wzrok padł na aparat Rentgena. Po co usypiać pacjenta przed zrobieniem zdjęcia?!

— Proszę otworzyć usta — powiedział Rosen, stojąc nad Kortem ze strzykawką.

Chinka wróciła. Była zdenerwowana i wpatrywała się w Rosena, który jednak nie chciał spojrzeć w jej stronę.

— Proszę oprzeć głowę i otworzyć usta — powtórzył Rosen.

Kort rzucał nerwowe spojrzenia to na lekarza, to na asystentkę. I nagle zobaczył to, czego tak się obawiał: Rosen spojrział na nią z niemą wymówką w oczach. Kort zrozumiał.

Zachował się tak, jak gdyby ćwiczył to już sto razy. Złapał Chinkę za rękę, z dłoni doktora wyrwał strzykawkę i całą jej zawartość wstrzyknął dziewczynie w ramię. Wyzwolila się z jego uchwytu, zrobiła trzy kroki w tył i zemdlala ze strachu. Natomiast dentysta wpadł w panikę.

Kort gwałtownie podniósł się z fotela; odepchnął Rosena, który usiłował go przytrzymać, i przydusił swoim rutynowym chwytem. Zza parawanu wynurzyła się pomoc dentystyczna, Kort wziął ją na muszkę. Kobieta zamarła z przerażenia. W kilka sekund później Rosen przestał się szarpać, stracił przytomność. Kort pozwolił, by upadł na podłogę. W poczekalni nie było nikogo. Zielona ze strachu recepcjonistka ruszyła w kierunku telefonu. Kort podbiegł za nią i gestem rozkazał, aby odłożyła słuchawkę. Drzwi do poczekalni zamknął na klucz i pociągnął kobietę za sobą tam, gdzie na podłodze leżała nieprzytomna asystentka. Popchnął recepcjonistkę do przodu. Chcąc nie chcąc kobieta musiała przejść nad nieprzytomną Chinką.

Kort zakładał, że asystentka Rosena zadzwoniła po policję lub, co gorsza, FBI. Minęło już zbyt wiele czasu. Z budynku mógł wydostać się tylko w przebraniu. Pomocnica dentysty była rosłą kobietą...

Rozejrzał się uważnie. Jego spojrzenie spoczęło na aparacie do narkozy, którym Rosen chciał go uśpić.

— Daj jej narkozę — warknął do pomocy dentystycznej, wskazując pistoletem na recepcjonistkę. — Szybko!

— Bogu dzięki — jęknęła recepcjonistka.

Pomoc dentystyczna trzęsącymi się ze strachu rękami przyłożyła jej maskę do twarzy.

— A teraz ty. Ściągaj ubranie.

— Mam pieniądze! Oddam panu wszystko! — pisnęła histerycznie kobieta.

— Szybciej! — warknął Kort.

Kobieta zaczęła się rozbierać.

— Proszę, nie... — mamrotała przez lzy.

— Zdejmij wszystko! Majtki, biustonosz, rajstopy! — rzekł Kort i sam zaczął się rozbierać.

Mógł najpierw ją uspić, ale rozbieranie nieprzytomnej kobiety zajęłoby zbyt wiele czasu. Dzięki temu, że była przerażona, rozbierała się bardzo szybko.

Nie protestowała już. Szlochała. Zdjęła stanik i ze strachu szczękała zębami. Zasłoniła rękami piersi i zwiesiła głowę.

— Narkoza. Szybko! — zażądał Kort.

Kobieta posłusznie wykonywała jego polecenia, wciąż starając się zasłaniać piersi.

— Niech mi pan nie robi krzywdy... — poprosiła, gdy Kort przykładał jej do twarzy maskę. W kilka sekund później straciła przytomność.

Bradley Levin biegł korytarzem najszybciej, jak potrafił. Złapał Daggetta za ramię i pociągnął go do kąta, aby nikt nie mógł ich słyszeć.

— Dzwonili z gabinetu na N Street.. Ząb mądrości, ósemka. Facet siedzi teraz w fotelu.

Nie było czasu, żeby zawiadomić Pullmana.

— Będziemy potrzebowali posiłków — rzucił Daggett, gdy biegli już w kierunku windy. Levin zdążył wsunąć rękę pomiędzy zamykające się drzwi. — Zadzwońmy po nie z samochodu.

Daggett prowadził. Levin włączył „koguta” i poprosił przez radio o pomoc. Budynek Buzzard Point zniknął w oddali.

— Przyślą nam dwa samochody. Jeden dla nas, drugi do apteki.

— Do apteki?

— Dziewczyna, która zostawiła wiadomość, podała nazwę apteki na 23 Ulicy.

— Zadzwoń do dentysty. Sprawdź, czy on jeszcze tam jest. — powiedział Daggett.

— Co się stało? — spytał, widząc, że Levin jest zakłopotany.

— Nie mam numeru. Facet nazywa się Rosen. Doktor Rosen...

Levin dzwonił do informacji, a Daggett mełł pod nosem

przekleństwa. Wyłowił z kieszeni tabletkę przeciw nadkwasocie i zaczął ją żuć.

— Nikt się nie zgłasza — powiedział Levin.

Daggett przestał żuć. Przejechał przez czerwone światło. Zygzakami wyprzedzał inne samochody, nie przejmując się specjalnie zasadami ruchu.

— Sygnał jest, ale nikt nie podnosi słuchawki — wydusił Levin przez zaciśnięte gardło.

Gdy zadzwonił telefon, Anthony Kort swoimi brudnymi skarpetkami wypychał właśnie biustonosz.

Starał się opanować. Wydostanie się stąd tylko wtedy, gdy zachowa zimną krew. Szerokie ramiona nie mieściły się w sukience. Kort narzucił na siebie fartuch pielęgniarki, na głowie zawiązał chustkę, założył ciemne okulary, a na ramieniu zawiesił torebkę. Mogli tu już być, mogli obserwować budynek. Możliwe, że zatrzymywali już wszystkich mężczyzn. Ale kobiety?

Własne ubranie włożył do torby na zakupy, wziął głęboki oddech i wyszedł na pusty korytarz. Ruszył do schodów, ale zmienił zdanie i wsiadł do windy. Po co chodzić po schodach w taki upał? Winda przyjechała pusta i Kort odetchnął z ulgą. Z bliska przebranie raczej nie wytrzymywało próby.

Gdy jej drzwi się zamknęły, instynktownie dotknął broni schowanej w torbie.

Hol był zatłoczony, Daggett gestem kazał Levinowi sprawdzić schodki przeciwpożarowe, a sam ruszył w kierunku wind. Obawiał się, że przyjechali za późno. Istniały dwa proste wytłumaczenia, dlaczego nikt nie odebrał telefonu: albo podejrzany go wyłączył i uciekł, albo wszystkich zabił. Szansa, by ten człowiek w dalszym ciągu przebywał na górze, była nikła.

W budynku mieściły się instytucje o profilu medycznym. Do wind ustawiła się kolejka. Prawie wszystkie przyjechały w tym samym momencie. Daggett wpatrywał się w wychodzących ludzi, starając się skoncentrować na czterdziestoletnich mężczyznach, którzy mogli mieć rude włosy i spuchniętą szczękę...

Grupa niecierpliwych zaczęła się pchać do przodu. Wychodzących było zbyt wielu: ten lisy, ten za niski,,.

Ktoś go potrącił; gruba kobieta usiłowała utorować sobie drogę. Daggett stracił równowagę i zderzył się z wychodzącą z windy pielęgniarką.

To Daggett!!! — pomyślał Kort. Kilka minut temu widział w gazecie jego zdjęcie, a teraz miał go przed sobą, żywego! Głowa w dół. I nie ogłądać się za siebie! Agenci FBI byli jak karaluchy: gdy widziało się jednego, znaczyło, że są ich tysiące. Starał się delikatnie kołysać biodrami. Był zlany potem.

Bez trudu domyślił się, kim jest zdenerwowany młody człowiek przy schodkach przeciwpożarowych. Idąc do drzwi, rzucał w jego kierunku ukradkowe spojrzenia. Jeżeli będzie miał kłopoty, to właśnie ze strony tego człowieka. Czy jest tu jeszcze ktoś? Czy na zewnątrz stały jakieś podejrzane samochody? Kort dołączył do głośnej grupy lekarzy i razem z nimi wyszedł na ulicę. Mówili o pogodzie. Jeden z nich przytrzymał drzwi i, widząc pielęgniarkę, powiedział z brytyjskim akcentem:

— Chyba się jeszcze nie znamy? Czy pani także jedzie do.. — urwał, zdając sobie sprawę, że rozmawia z transwestytą.

— Przepraszam.. — bąknął i zostawił Anthony'ego Korta w spokoju.

Kort dotarł do rogu ulicy i skręcił w prawo. Nikt go nie śledził.

Aby nie zatrzeć śladów, Daggett otworzył drzwi, trzymając klamkę przez chusteczkę do nosa. Prawa ręka tkwiła w kieszeni kurtki, gotowa w każdej chwili użyć broni.

Zamknięte na klucz!

Spróbował jeszcze raz, znów bezskutecznie.

Przeszedł go zimny dreszcz. Czy nie posunął się za daleko, wciągając w tę sprawę dentystów? Czy nie ryzykowali przy tym życiem? Pragnął, aby ktoś inny otworzył drzwi i odnalazł zwłoki.

W dziesięć minut później zrobił to dozorca. Z bronią w dłoni Daggett wszedł do środka. W nozdrza uderzył go zapach typowy dla gabinetów

dentystycznych, który nieodmiennie kojarzył mu się z bólem.

W recepcji nie było nikogo i Daggett ruszył dalej. Zobaczył ciała trzech kobiet. Jedna z nich była naga. Po prawej stronie leżał lekarz... Oczy zaczęły go szczypać i miał ochotę zwymiotować.

Za parawanami nikt się nie ukrywał. Nikogo nie było także w łazience, w archiwum, w pokoju z aktami... Dopiero po dłuższej chwili Daggett odważył się ponownie spojrzeć na ciała. Z ulgą stwierdził, że jedna z kobiet oddycha. Czyżby wszyscy żyli?

Dopiero później zastanawiał się, dlaczego śmierć tych ludzi wydała mu się czymś tak oczywistym...

Zbliżył się do leżących i kolejno zbadał im puls. Żyli wszyscy. Tylko dentysta odniósł widoczne obrażenia, ale niewielkie.

Odprężył się nieco i nagle zrozumiał, co oznacza nagość jednej z kobiet. Wybiegł na korytarz. Nie czekał na windę, tylko rzucił się do schodków przeciwpożarowych. Gdy zbiegł na dół, Levin trzymał go na muszce.

— Szukamy kobiety! — powiedział zbyt głośno Daggett. — Kobiety!

— Jak my wszyscy... — usłyszeli głos człowieka, który nie opodal zamiatał chodnik.

Daggett chciał sprowadzić pogotowie, ale przypomniał sobie, że w Waszyngtonie trzeba na nie bardzo długo czekać. Zatelefonował więc do FBI.

Powiedziano mu, że pogotowie i tak przyjedzie. Ludzie w kitlach pojawili się, gdy kobiety już odzyskiwały przytomność. Były w szoku. Pomimo sierpniowego upału owinięto je w koce i zaniecono do karetki. Nadal nieprzytomna była tylko Li, asystentka Rosena.

Policja dostała rozkaz, aby patrole zwróciły szczególną uwagę na pielęgniarki, choć Daggett był przekonany, że to nic nie da.

Niecierpliwie oczekiwał przesłuchania pracownic Rosena. Robiło się coraz później.

Zadzwoił do Carrie, ale nie zastał jej w domu. Zostawił więc wiadomość. Pani Kiyak obiecała zająć się Duncanem do chwili powrotu Daggetta, który lojalnie uprzedził, że może to nastąpić nawet w nocy. Załatwiwszy sprawy osobiste, poszedł z Levinem do baru, gdzie zjedli po hamburgerze i napili się piwa. Prawie nie rozmawiali. Około siódmej wrócili do Buzzard Point. Wszystkie asystentki Rosena czuły się już dobrze. Jedyne Li była w szpitalu, choć i jej nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo.

Ku niezadowoleniu Daggetta pracownicy Rosena pojawiły się w towarzystwie mężów i w asyście prawników. Miały zamiar zaskarżyć Rosena o odszkodowanie. W związku z tym także i Daggett musiał postarać się o prawnika z ramienia FBI. Była to kobieta w średnim wieku, którą sprowadzono aż z Alexandra — co przedłużyło sprawę jeszcze o kilka godzin, a zeznania świadków rozplynęły się w potokach słów wypowiedzianych przez prawników.

Daggett wrócił do domu o pierwszej w nocy. Nie wiedział więcej niż przed przesłuchaniem. Był wściekły.

Wysłał panią Kiyak do domu, zrobił sobie mocnego drinka i wychylił go do dna. Alkohol wprawił go w jeszcze gorszy nastrój. Oprócz kilku gwiazd, na niebie widać było wyłącznie światła samolotów. Wypił kolejnego drinka i włączył CNN. Żuł naraz dwie tabletki na nadkwasotę, gdy jednocześnie zapiszczał jego pager i zadzwonił telefon.

— Tato? — usłyszał zaspany głos syna.

— Już odbieram — powiedział Daggett. Przymknął oczy, prosząc Boga, żeby to była pomyłka.

Ale to nie była pomyłka.

— Miałeś męczący dzień, Michigan, i mógłbym dać to komuś innemu. Ale pomyślałem, że chciałbyś się tym zająć — usłyszał w słuchawce zmęczony głos Pullmana.

— Paul? — nagle Daggett poczuł wypity alkohol. Nie był zachwycony tym, co usłyszał. To był naprawdę długi dzień.

— Obudzili mnie, Michigan, ale to twoja sprawa. Ten dentysta,

doktor Rosen... Facet nie wrócił do domu, Michigan. Jego żona jest przerażona. Pomyślałem, że to my powinniśmy go poszukać, zamiast oddawać sprawę miejskiej policji...

Doktor John Rosen złożył już zeznania i jako pierwszy opuszcza siedzibę FBI. Wciąż jest przerażony i roztrzęsiony. Przesłuchanie trwało kilka godzin. Ma ochotę na drinka, na kolację. Chciałby się wyspać.

Przez całe popołudnie myślał o żonie i dzieciach. Po czymś takim człowiek zdaje sobie sprawę z tego, co jest naprawdę ważne w życiu. Gdyby nie obowiązki wobec pacjentów, poleciałby do Flagstaff, aby spędzić weekend z rodziną w pobliskim Cottonwood, pić gin z tonikiem, kochać się tyle razy, ile byłby w stanie...

Czuje się już stary...

Mija kolejną przecnicę i zatrzymuje taksówkę. W środku pachnie papierosami. Z radia dobiegają wiadomości o Bliskim Wschodzie. Jeszcze wczoraj mogłoby go to zainteresować, ale nie dziś. Chce ją mieć przy sobie. Chce wrócić do domu i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha.

— Tutaj? — pyta kierowca.

— Tak — odpowiada Rosen i płaci mu o wiele za dużo.

Wrócił po samochód. Może do niego dojść albo wchodząc przez główne wejście i zjeżdżając windą, albo od tyłu. Decyduje się iść od tyłu.

Na dobrze oświetlonym parkingu stoi tylko kilka samochodów. Podchodząc do swojego auta, przy samochodzie zaparkowanym tuż obok zauważa dziewczynę. W oponie nie ma powietrza. Dziewczyna szarpie za felgę, myśląc że to kołpak.

— Rękami tego pani nie zrobi — zwraca się do niej. — Potrzebny jest specjalny klucz — mówi, wyjmując z kieszeni kluczyki do swojego samochodu. — Mam w samochodzie telefon komórkowy. Zadzwońię po pomoc drogową.

Dziewczyna patrzy na niego. Ma śliczną twarz, długie kasztanowe włosy i uśmiechnięte czerwone wargi.

— Naprawdę? Jest pan taki uprzejmy!

Otrzeźwia go jej francuski akcent: jest zbyt ładna, jest zbyt późno w nocy. Z widzenia zna tu prawie wszystkich, a jej nigdy przedtem nie widział. Usiłuje dociec, co to może znaczyć. Nagle tuż za nim staje jakiś mężczyzna.

Zanim zdąży pomyśleć, co robić, usłyszy znajomy głos:

— Witam, doktorze.

Nogi zaczynają mu dygotać w kolanach, z trudnością zachowuje równowagę. Czuje się tak, jak gdyby na oczy zakładano mu czarną opaskę. Zaczyna się dusić.

— On zaraz zemdleje — mówi kobieta.

— Nic mu nie będzie — odpowiada mężczyzna. Ręka w rękawicze łapie go za kark.

Jazda windą trwa wieczność. Zrywa policyjną pieczęć, wprowadza kod otwierający drzwi.

— Skończysz to, co zacząłeś — mówi „zab mądrości.” — A ona przypilnuje, żebyś nie zrobił nic więcej.

— A jak schrzanisz — dodaje, klepiąc go protekcjonalnie po ramieniu — to ona cię rozwali.

Dziewczyna uśmiecha się do niego promiennie. Nie wygląda na morderczynię, ale on wierzy mu na słowo. Jego serce nie biło tak szybko od szkolnego biegu na sto metrów w 1966 roku.

— Tym razem zastosujesz novokaine. I bez żadnych sztuczek!

— Dlaczego?

— Bo boli mnie ząb — wyjaśnia potwór.

— Ale dlaczego wybraliście właśnie mnie?

— Jakie jest ostatnie miejsce na świecie, gdzie dziś mógłbym być? W twoim fotelu dentystycznym — wyjaśnia mężczyzna i uśmiecha się. Ten uśmiech jest straszny, najgorsze są oczy. Złe. Niebieskie. Patrzą zimnym, lodowatym spojrzeniem. Rosen zdaje sobie sprawę, że mężczyzna ma szklą kontaktowe. Nogi znów odmawiają mu posłuszeństwa.

Kobieta zasłania okna i wyjmuje broń. Jej pistolet wydaje mu się przesadnie duży.

— Nie mogę pracować, gdy wycelowane jest we mnie coś takiego — protestuje.

— Dam ci dobrą radę: naucz się.

Praca bez asystentki idzie mu opornie. Zdaje sobie sprawę, że się od niej uzależnił. Myśli o tych wszystkich latach, które przepracował w swoim gabinecie. Kilkakrotnie traci koncentrację. Rozprasza ją go wspomnienia, niekiedy bolesne. Zdaje sobie sprawę, że to ostatnia operacja, jaką przeprowadza. Ma tego świadomość i, logicznie rzecz biorąc, mógłby tego nie robić. A co by było, gdyby skalpelem wykłuł temu człowiekowi oczy?

Nie ma dość odwagi na takie rzeczy. Jest dentystą, i to bardzo dobrym dentystą. Ma zamiar udowodnić to swoją pracą.

Skończył — a robota rzeczywiście jest świetna — i robi krok w tył, dając mężczyźnie znak, że może wstać.

— Będę potrzebował antybiotyków i środków przeciwbólowych.

— Nie mam nic takiego — kłamie nieudolnie.

— Ależ oczywiście, że masz. Masz ogromną ilość bezpłatnych próbek. Za pomyłki trzeba czasem drogo zapłacić, doktorze. Siadaj — mówi, wskazując na fotel.

Mężczyzna gwałtownie popycha go i Rosen znów czuje prawie namacalną gwałtowność i złość tego człowieka.

Zagryza zęby, żeby nie szczękały. Jest mu zimno i boi się bardziej niż kiedykolwiek.

— Mów, gdzie trzymasz próbki!

Nie może odpowiedzieć. Nie może wydobyć z siebie głosu. Mężczyzna robi się jeszcze bardziej zły. Rosen ruchem ręki wskazuje na biuro.

Kobieta podaje mężczyźnie broń. Pistolet nie wydaje mu się już tak duży. Kobieta wychodzi i po chwili wraca, trzymając próbki amoksycyliny.

— Dobrze — mówi człowiek ze szwem na dziąśle. Biorąc pod uwagę okoliczności, to naprawdę dobra robota.

Ręce przywiązują mu do oparcia fotela i przez chwilę jest szczęśliwy, że na tym się skończy. Po coś mieliby go przywiązywać, gdyby chcieli go zabić? Czyżby dane mu było przeżyć? Zamyka oczy.

Otwiera je, słysząc, że ktoś wyjmuje z opakowania strzykawkę. Dobrze zna ten dźwięk. Człowiek o niebieskich oczach wypełnia ją rtęcią z karafki stojącej w przeszklonej szafce.

Kiedy go zakneblowali? Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że przed

chwilą zemdlał. Żałuje, że tyle lat spędził, dłubiąc ludziom w zębach i nie był w stanie przekazać żonie tych wszystkich uczuć, jakie do niej żywi. Żonie i dzieciom. Słyszy, jak kropla rtęci spada na podłogę. Twarz tego człowieka jest straszna i nieludzka, jak maska.

Czuje ukłucie igły. Słyszy cichy jęk kobiety. Odwraca do niej głowę, żeby poprosić ją o litość, ale nic nie widzi. Ma łzy w oczach. Czuje straszliwy ból w sercu i traci świadomość.

Levina wyciągnięto z łóżka. Panią Kiyak także; powrót do Duncana zajął jej bardzo dużo czasu. Mruczała coś na temat tego, że jest środek nocy, ale jak zwykle położyła się spać w łóżku Daggetta.

Levin skontaktował się z dozorcą budynku, w którym znajdował się gabinet Rosena. Spotkali się z nim przy wejściu. W kilka minut później dotarli do drzwi gabinetu. Czerwone policyjne pieczęcie były zerwane, co znaczyło, że drzwi otwarto bezprawnie. Daggett już wiedział, co zobaczy w środku. Był na siebie wściekły. To jego wina. Nie przemyślał do końca tego, co się stało: za pierwszym razem zabójca nie zdążył skorzystać z fachowości Rosena.

Nie lubił zapachu gabinetów dentystycznych. Przeszedł przez recepcję, zauważając w kącie zabawki i stertę starych czasopism.

Nigdy nie był tak blisko trupa. Widział setki, może tysiące fotografii. Widział ciała po katastrofie 1023, ale z dużej odległości. Widział swoją babkę przed pogrzebem. I — stwierdził to ze zdziwieniem — po tylu latach pracy w FBI były to jego pierwsze zwłoki. Wpatrywał się w nieruchome oczy doktora Johna Rosena. Dawniej myślał, że po tylu latach pracy nie pozostało w nim ani trochę wrażliwości. Tymczasem odkrycie ciała na fotelu będzie jedną z tych chwil, których nigdy nie zapomni.

Mężczyzna nie oddychał. Miał wytrzeszczone oczy. Daggett poczuł woń ekskrementów. Gdzie patrzył tymi oczami? O czym myślał w chwili śmierci? O czym będzie myślał Daggett, gdy przyjdzie jego kolej?

Usłyszał, że Levin otwiera drzwi. Jeżeli kiedykolwiek miał to zrobić, należało to zrobić teraz. To było dziecinne i makabryczne zarazem. Nigdy przedtem nie miał ochoty na coś podobnego. Ale teraz pokusa okazała się zbyt wielka. Później zastanawiał się, dlaczego to zrobił.

Wyciągnął rękę i dotknął skóry tego człowieka. Jak chłopiec, który po raz pierwszy dotyka konia.

Szybko cofnął dłoń. Bał się, że może go ktoś zobaczyć, a poza tym skóra była dziwnie zimna.

Znał to uczucie, tylko nie mógł sobie przypomnieć, skąd...

13

Pod oknem sypialni rosły rododendrony. Poruszał nimi wiatr. Dzięki Bogu! Może wreszcie skończą się te upały, które zniszczyły w ogrodzie wszystkie kwiaty. Carrie tak lubiła swój ogród...

Leżała na łóżku, czując delikatny powiew wiatru. Miała ochotę podziękować za to Bogu. Obróciła się na bok i napawała zapachem ogrodu zmieszonym z perfumami. Wszystko znów będzie dobrze.

Prawie dobrze.

Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do siostry.

— Tak, słucham? — w tle krzyczały dzieci.

— To ja, Carrie.

Dzieci ucichły. Carrie wyobraziła sobie, jak jej siostra, trzymając przy uchu telefon, wchodzi do pracowni z fotelami z czerwonej skóry i rzędami alfabetycznie ułożonych książek. Jej mąż był człowiekiem lubiącym takie rzeczy. Na przykład miał spis wszystkich osób, którym należało na święta wysłać kartki. Były tam także imiona dzieci oraz daty ich ostatnich wspólnych spotkań.

— Późno dzwonisz.

— To taki leniwy ranek. Nie mam na nic sił.

— Widzisz więc, że wczoraj miałam rację — powiedziała siostra.

Carrie zastanawiała się, czy codziennie będzie odbywać tego rodzaju rozmowy. Wiedziała już, na co się zanosi.

— Mówię ci: jeżeli naprawdę znalazłabyś sobie kogoś innego, to na pewno chciałoby ci się rano wstawać, Zaczęłabyś się inaczej ubierać...

— Ależ on ma osiemnaście lat! Eryk ma...

— Ma dwadzieścia jeden. I nie mów nic, bo ja jestem z tego bardzo zadowolona. Czuję, że znowu żyję. Kocham Eryka. Kocham dzieci...

— Kochasz tego... jak mu tam...

— Czy kocham? Tu nie chodzi o miłość. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy mnie dotyka, czasem wystarczy samo brzmienie jego głosu.

— A poczucie winy?

— Nie wiem nawet, co to jest.

— A może jednak?

— To namiętność, orgazmy... Kiedy ostatni raz kochałaś się z Camem?

— Zostaw Cama w spokoju.

— Dawno, prawda? Słyszę to w twoim głosie. Mówię ci, nie ma nic wspanialszego niż to, kiedy Eryk i ja... Chodzi o odwrócenie uwagi. Cieszysz się z tego, co masz, nie myślisz o tym, co straciłaś.

— To brzmi jak jakaś terapia.

— Bo to jest terapia.

— To znaczy, że tego... jak mu tam... traktujesz instrumentalnie.

— Nie mów tak o nim. Bardzo dobrze wiesz, jak ma na imię. Jesteś po prostu zazdrosna. To także słyszę w twoim głosie. Jestem od ciebie młodsza, ale nadszedł czas, abyś zaczęła mnie słuchać. Mam w tych sprawach doświadczenie. Cam cię olewa. Obie o tym wiemy. Gdyby nie jego syn, zostawiłabyś go...

— To nie o to chodzi...

— Nie przerywaj mi. Przyznaj, że bardziej jesteś zakochana w synu niż w ojcu. Myślisz, że to coś nowego? To dlatego, że byłabyś świetną matką. Nie wszystkim to wychodzi tak dobrze jak tobie. Może powinnaś wziąć sobie Eryka i dzieci, a ja znów będę sama? Lubię być sama. Lubię, gdy mężczyźni interesują się tym, co mam na sobie i czym pachnę. Co ty na to?

Carrie chciała zaprzeczyć, ale jak zaprzeczyć prawdzie?

— Posłuchaj: nawet jeżeli nic nie zrobisz i ktoś będzie się tobą

interesował, poczujesz się znacznie lepiej — powiedziała Anna. — Wiem, że to brzmi przewrotnie, ale tak jest. Kilka dwuznaczności i od razu byś się przekonała, jak stoją sprawy z Camem.

— Nienawidzę rozmów z tobą.

— To dlaczego codziennie rano do mnie dzwonicz?

— Bo to lubię.

— Tak właśnie myślałam.

— Cholera, jutro też pewnie zadzwonię.

— Nie musisz, ja zadzwonię. To moja kolej.

— Myślałam, że Eryka martwią rachunki za telefon.

— Owszem, martwi go wszystko. Ale ja się cieszę. A jak ja się cieszę, to wszystko układa się dobrze i Eryk jest zadowolony. A jak jest zadowolony, to nie mówi o rachunkach, kwaśniejącym mleku czy szkolnych przedstawieniach. Mówię ci: bądź szczęśliwa! To jest zaraźliwe.

— Zadzwonisz jutro?

— Na pewno. Poza tym chciałabym zobaczyć twoją suknię.

— Przyjęcie! Całkiem o tym zapomniałam!

— Nie mogłaś zapomnieć, bo szukanie sukni zajęło ci cały tydzień.

— Jesteś moim sumieniem?

— Staram się być. Dałabym milion dolarów, żeby cię w niej zobaczyć. I nie zapomnij włożyć szpilek. Wpadnij przedtem do mnie. Musisz wszystko zaplanować. Masz pas do pończoch? Ładny i frywolny? To zawsze skutkuje.

— Jesteś szczęśliwa? — przerwała Carrie. — Naprawdę szczęśliwa?

— Nie krytykuj rzeczy, których sama nie wypróbowałaś.

— Mówisz jak mama.

— No właśnie. Myślisz pewnie, że ona żyje jak zakonnica. Nie mów, że wierzysz w tego brydza w czwartki po południu...

— Jesteś okropna! Jak możesz! To nieprawda!

Anna roześmiała się. Tylko ona potrafi tak się śmiać. Coja bym zrobiła bez tych telefonów, pomyślała Carrie.

— Nie zajdź w ciążę — ostrzegła surowo Anna. — Pa, kochanie — dodała, śmiejąc się jeszcze głośniej, i odłożyła słuchawkę.

Carrie patrzyła na promienie słońca padające na jej ciało. Od

miesiący nie usłyszała od Cama żadnego komplementu. Oczy zasły jej łzami. Anna miała odpowiedź na wszystko. Ale co ona ma zrobić? Jak się z tego wyplątać? Ukryła twarz w poduszce i zaczęła szlochać.

Na biurku Daggetta leżała sterta różowych karteczek z informacjami. Na najświeższej widniało nazwisko Lynn Greene i jej waszyngtoński adres. Nawet nie spojrzął na inne. Miał nadzieję, że to ona zadzwoni pierwsza, ale nigdy się nie spodziewał, że dziewczyna przyjedzie do Waszyngtonu. Wykręcił numer. Serce zabiło mu szybciej. Po kilku sekundach usłyszał jej głos.

— Lynn?
— Tak, słucham.
— To ja. Gdzie jesteś, bo...
— Musimy porozmawiać — przerwała mu. — Na osobności. Możesz przyjechać do centrum?

Zaintrygował go jej pośpiech. Wszystko w niej było intrygujące.

— Gdzie i kiedy? — spytał.
— Znasz kawiarnię w National Gallery?
— Myślałem, że chciałaś się spotkać na osobności.
— Za godzinę?
— Dobrze, będę za godzinę.

Daggett siedział przy stoliku w kawiarni w National Gallery. Wpatrywał się w wodospad tryskający z wysokiej ściany. Woda z głośnym pluskiem wpadała do basenu nie większego niż duża doniczka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że trochę lepiej słyszy.

Sufit był przeszklony, co tłumaczyło dlaczego w kawiarni rośło tak wiele roślin. Wyciągnął notes, chcąc zapisać w nim kilka rzeczy i ze zdumieniem stwierdził, że od śmierci Backmana i Bernarda minęły już cztery tygodnie. Zamknął notes. Pojutrze mijał termin dostarczenia Mumfordowi i Pullmanowi ostatecznych dowodów. W przeciwnym razie nie będzie mógł dłużej zajmować się tą sprawą.

Napił się mrożonej herbaty i przyglądał się turystom. Dziewczyna miała rację: było tu tyle ludzi, że ich spotkanie rzeczywiście odbędzie się na osobności. Niezłe wybrała miejsce.

Zobaczył ją: nogi, spódnicę, bawełnianą bluzkę. Pomachała do niego i stanęła w kolejce po napoje. Gdy w chwilę później zbliżyła się do stolika, chciał wstać, ale dała mu ręką znak, żeby tego nie robił. Już nie mógł pocałować jej na powitanie, odebrała mu tę możliwość. Siadła naprzeciwko.

— Wyglądasz na zmartwionego — powiedziała.

— Raczej na zaskoczonego.

— Moim pobytom w Waszyngtonie? — stwierdziła. Taka już była: wiedziała o czym myślał, zanim zdążył się odezwać.

— Ładnie wyglądasz.

— Nie zmieniaj tematu.

— A co jest tematem?

— Rejs 64 AmAirXpress.

— Co robisz w Waszyngtonie?

— To też nie jest tematem naszej rozmowy.

— Dla mnie jest.

— Myślisz, że gonię za tobą?

— Tylko w najśmielszych marzeniach — wyznał.

Popatrzyła na niego dziwnie.

— Przyjechałam jako chłopiec na posyłki. Dziewczyna na posyłki — poprawiła się. — Myślę, iż kazano mi tu przyjechać dlatego, że to moja twarz pojawiła się w magazynie „People”, a nie twarze moich zwierzchników. Odbyłam już przemiłą rozmowę z szefem i dowiedziałam się, że to ja nadałam tej sprawie rozgłos.

— A o co chodzi?

— Znaleźliśmy coś w tym, co przesiewaliśmy.

— Co przesiewaliście?

— Popiół z parku Hollywood.

Nie mógł skoncentrować się na jej słowach. Zastanowiło go jej poważne spojrzenie. Przesiewała popiół, kawałek po kawałku zbierała szczątki samolotu. W tej kobiecie tkwiły ogromne pokłady energii. Praca była dla niej wszystkim. Daggett przypomniał sobie, że i on kiedyś miał podobny stosunek do tego, co robił. Ale teraz było inaczej. Potrzebował

wyników. Szukał człowieka, który uczynił z jego syna kalekę. Czy był nim Kort? Prawda, jeżeli miała wyjść na jaw, będzie „produktem ubocznym” w drodze do celu. Prawda i sprawiedliwość są luksusem, na który mogą sobie pozwolić tylko ludzie osobiście niezaangażowani...

— Popiół... — powtórzył jak echo.

— Przesiewaliśmy wszystko, ziarnko po ziarnku. Między innymi dlatego tak długo trwa badanie przyczyn katastrofy. Na twoje szczęście zaczęliśmy od dziobu samolotu, który zajmuje teraz powierzchnię jednego hektara. Wiesz, ile to centymetrów kwadratowych? Wiesz, jak długo to trwa?

Daggett milczał.

— Masz szczęście, że zaczęli przy kokpicie. Wczoraj znaleziono kawałeczki szkła. Dla osoby nieznaającej się na tym wygląda to jak rozbita bombka choinkowa.

— A dla osoby znającej się na tym? — spytał Daggett. Ani razu nie spuścił wzroku z jej twarzy. Jej oczy mówiły, że nigdy nie działa pochopnie.

— To zależy od tego, kogo spytasz. Moim zdaniem mogą to być szczątki rtęciowego włącznika — powiedziała.

Daggett wciąż wpatrywał się w jej twarz.

— Włącznik rtęciowy oznacza sabotaż — dodała licząc na to, że Daggett coś powie.

Ale on milczał. Był już na etapie zastanawiania się, czy powinni spędzić razem noc i czy pokój hotelowy będzie najlepszym wyjściem.

— Dowiedziawszy się o tym, pomyślałam, że należy natychmiast zawiadomić ciebie, to znaczy FBI. Ale napotkałam na opór.

Mówili: „jeszcze nie”, „poczekajmy na wyniki badań” i tak dalej. A ja nie chciałam czekać.

On także nie miał takiego zamiaru, teraz wydało mu się to oczywiste. Powinni byli zdecydować się wtedy, na plaży. Oboje mieli ochotę, ale udawali, że nic się nie dzieje. Należało to jak najszybciej nadrobić.

Lynn mówiła tonem, jakim zwykle mówi się o interesach i Daggett pragnął, żeby ta kobieta zniknęła. Chciał powrotu dawnej Lynn, tej w płaszczu kąpielowym i ciemnych okularach.

— Nie mamy żadnych dowodów, że na pokładzie 64 była bomba. Nic, co wskazywałoby na sabotaż. Nie wskazują na to ani zeznania świadków katastrofy, ani wyniki z laboratorium... — przerwała, czekając aż Daggett coś powie. — Komisja bezpieczeństwa transportu dotąd będzie prowadzić śledztwo, aż pojawią się niezbite dowody sabotażu. Moi ludzie bardzo niechętnie oddadzą zebrane przez siebie dowody. Im więcej organizacji się tym zajmuje, tym więcej papierkowej roboty, spotkań, konferencji i tak dalej. Ale od czasu, gdy powiedziałeś mi o tym facecie, którego zamordowano u Duhninga...

Daggett powoli wracał do rzeczywistości.

— Jest gorzej, niż myślisz — powiedział. — Wiemy, że zrobiono dwa detonatory. Wszystko wskazuje na to, że drugi cel znajduje się w Waszyngtonie.

— Mówiąc to, stawiasz mnie w okropnej sytuacji, wiesz?

— Dlatego to robię. To wyścig z czasem — rzekł Daggett, spoglądając na zegarek. — Za dwa dni o tej samej porze odbiorą mi tę sprawę. Chyba że uda mi się zdobyć jakieś wiarygodne dowody... Powiedz mi coś o tym rtęciowym włączniku. Na ile to jest pewne?

— To zależy, kto jest pewny: ja czy moi zwierzchnicy. Nie jest to dowód, który pozwoliliby oddać wam śledztwo. Stałoby się tak, gdybyśmy wiedzieli, co to jest. Wszystko było w drodze do laboratorium... Powiem ci, jak stoją sprawy: dotychczas laboratorium otrzymało do zbadania sto dwadzieścia jeden przedmiotów. Między innymi dlatego tak długo to trwa. Prosiłam, żeby zbadali to szkło na samym początku, ale się nie zgodzili. Są na mnie źli z powodu artykułu w „People”.

— Było w drodze? — spytał Daggett. — Powiedziałaś, że wszystko było w drodze do laboratorium?

— Zaraz do tego dojdziemy — odparła, rozglądając się dookoła.

— Powiedz mi, co wiesz o tych włącznikach. Może mam jakieś braki w edukacji na ich temat?

— Wątpię. Przechyłasz rurkę, rtęć się przelewa i zwiera styki. To bardzo proste urządzenie.

— Tak, ale mówimy o starcie samolotu. Przód samolotu idzie w górę i... bum!

- Dokładnie.
- Ale nie było śladu eksplozji. Tak przecież powiedziałaś.
- Zgadza się. Wybuchu nie było.
- Więc to było coś innego?
- Możliwe. Najpierw chciałabym się dowiedzieć, czy to rzeczywiście był włącznik rtęciowy.
- A jeżeli był?
- Są inne sposoby, żeby spowodować katastrofę samolotu.
- Na przykład?
- Gaz.
- Zia? — spytał Daggett.
- Tak.
- O, Boże...

Siedemnastego sierpnia 1988 roku prezydent Pakistanu Muhammad Zia Ul-Haq, wysocy dostojnicy państwowi, amerykański ambasador Arnold L. Raphael oraz generał Herbert M. Wassom zginęli w katastrofie samolotu transportowego typu Hercules C-130, należącego do Zii. Ze względu na listę pasażerów do śledztwa nie dopuszczono ani Daggetta, ani wydziału antyterrorystycznego. Z góry założono, że w grę nie mógł wchodzić sabotaż.

Zgodnie z prawem islamskim, pogrzeb odbył się przed upływem dwudziestu czterech godzin od chwili śmierci; inne ciała zostały poddane kremacji już w kilka godzin po odnalezieniu samolotu i sekcja zwłok była niemożliwa. Bez sekcji nic nie można było udowodnić. Po osiemnastu miesiącach śledztwa najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem katastrofy był sabotaż: wewnątrz samolotu ukryto zbiornik z gazem, który zatrzał pasażerów i pilotów; pozbawiona kontroli maszyna runęła na ziemię. W raporcie o przyczynach katastrofy napisano, że „sabotaż nie jest wykluczony”.

- Gaz? Powinna to wykazać autopsja.
- Powinna? Nie znam się na tym i nie należy to do moich obowiązków.
- Powinna. Widziałem raport z sekcji zwłok. Nie było tam ani

słowa o toksycznych substancjach w płucach czy we krwi. Ale dookoła płonęły szyby z ropą... Niewiele z tych pilotów zostało... Zaczynam się zastanawiać, na ile należy ufać takim raportom...

— Na to pytanie także nie umiem odpowiedzieć — powiedziała Lynn.
— Dowiemy się więcej, gdy wysłuchamy taśm.

— Masz ze sobą taśmy?

— Właśnie dlatego przyjechałam i dlatego mówię, że jestem dziewczyną na posyłki. Taśmy są w naszym laboratorium i wysłuchamy ich albo dziś wieczorem, albo jutro. To zależy od tego, jakie mamy plany...

— A ja?

— Czuj się zaproszony. Słuchałeś już czegoś takiego?

— Nie — przyznał niechętnie.

— W grę wchodzi emocje. Niełatwo to znieść...

— Wierzę.

— Nie... wątpię, czy potrafisz to sobie wyobrazić... — powiedziała cicho i Daggett niemal poczuł ten ból. To było to samo uczucie jak wtedy, kiedy opowiadał o kalectwie Duncana.

— Nie, nie potrafię — szepnął.

Po chwili uzmysłowił sobie, że wieczorem ma się widzieć z Mumfordem.

— Jestem umówiony dziś wieczorem. Jeżeli to będzie w nocy, musisz mnie stamtąd wyciągnąć. Dosłownie wyciągnąć, bo mój szef inaczej się nie zgodzi.

— Mówisz o przyjęciu? — spytała. — Ja też tam będę. Poza tym zawsze mam włączony pager.

— Gdybyś się czegoś dowiedziała...

— Wyratuję cię — obiecała.

Daggett skinął głową. Pomyślał, że w tym, co powiedziała, było więcej prawdy, niżby chciała tego sama Lynn. Zamierzał jej to uświadomić, ale zauważył w jej twarzy zmianę i przyszło mu do głowy, że już to zrobił.

Rozejrzała się nerwowo na boki, bawiąc się torebką.

— Nie wstawaj — szepnęła, podnosząc się z krzesła. Daggett zachowywał się naturalnie, ale bacznie rozglądał się na boki.

Czyżby kogoś zobaczyła? Wskazywałoby na to jej zachowanie...

Lynn pochyliła się nad nim i, całując go w policzek, wcisnęła mu

w dłoń jakiś plastikowy przedmiot. Czyżby film? Nie chciał się temu od razu przyglądać.

— Wasi chłopcy szybciej się z tym uporają niż nasi. Muszę to mieć z powrotem. Do zobaczenia wieczorem — powiedziała i odeszła.

Daggett rozwarł pod stołem dłoń. Zobaczył przezroczysty pojemnik z napisem: „Dowód Rzeczowy Federal Aviation Administration”. W środku znajdowała się szklana, ułamana rurka.

14

Przyjęcie w reprezentacyjnej sali zakładów przemysłu lotniczego zaczęło się o pół do ósmej.

Sala mieściła się w dziewiętnastowiecznym budynku, wzniesionym przez bogatą wdowę z Missouri. Budynek zbudowano na wzór kolonialnego pałacu, ponieważ jego właścicielka chciała uchodzić za arystokratkę, a nie za córkę farmera, którą była w rzeczywistości.

Carrie pojawiła się dokładnie o ósmej. Lada chwila spodziewała się nadejścia Cama. Przez frontowe drzwi wciąż napływali nowi goście. Byli wytwornie ubrani i rozmawiali głównie o pogodzie, czyli o nieznośnych upałach.

Dziesięć po ósmej Carrie wmieszała się w tłum gości, obawiając się, że bez zaproszenia mogą jej nie wpuścić do środka.

Członkowie kongresu i senatorowie zajmowali się witaniem gości.

Carrie przeszła przez wykrywacz metalu i bez kłopotów dostała się do sali.

Przyjęcie już się rozpoczęło, gości częstowano alkoholem.

Sufit sali balowej był ozdobiony freskami. Na ścianach wisiały duże, lecz nieciekawe osiemnastowieczne pejzaże, oprawione w złoczone ramy. Przeszklone drzwi prowadziły do ogrodu, kuchni i innych pomieszczeń. Pomiędzy dwoma barami trzyosobowy zespół złożony z basisty, pianisty i perkusisty grał utwory Ray Charlesa. Ludzie byli opaleni, rozbawieni

i weseli, śmiali się i gestykulowali. Carrie czuła się coraz bardziej samotna.

Gdzie jest Cam? — pomyślała.

Musiała dużo wypić, żeby znów poczuć się dobrze. Atrakcyjna kobieta w pięknej kreacji zwracała na siebie powszechną uwagę. Panowie lgnęli do niej jak pszczoły do miodu; pytali, czy ma męża. Po trzecim drinku straciła kontrolę nad tym, ile naprawdę wypila.

A po co mi Cam? — pomyślała.

Komplementy mieszały się z kolejnymi drinkami. Potem pojawiły się przekąski. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego samotne kobiety tak bardzo lubią Waszyngton. W towarzystwie Cama kilkakrotnie brała udział w przyjęciach, które były straszliwie nudne. A teraz? Teraz bawiła się znakomicie! Miała cichą nadzieję, że Cam zapomniał o przyjęciu, albo że zepsuł mu się samochód.

Kilka starszych par zaczęło tańczyć w takt „In the Mood”. Przystojny młody człowiek, który przedtem przebąkiwał coś o National Gallery, chyba czytał w jej myślach, bo poprosił ją do tańca. Odstawiła drinka i już po chwili oboje wirowali na parkiecie. Carrie zdawało się, że ma do czynienia z tancerzem, który ustępował jedynie Fredowi Astaire. Sama starała się wcielić w Ginger Rogers.

Przestali tańczyć. Nieco później w toalecie znalazła paczkę Marlboro i nie mogła się oprzeć.

Cam dwukrotnie pomógł jej rzucić palenie. Ich pierwsze rozstanie było związane z jego zarzutem, że Carrie jest „słaba psychicznie” i nie potrafi rzucić nałogu. Ale to były papierosy Marlboro! Dawno nie bawiła się tak dobrze!

W kilka minut później zauważyła Cama wchodzącego do sali. Najpierw była na niego zła, że się spóźnił. Jednak złość szybko minęła, bo pomyślała, że mają przed sobą całą noc. Poza tym czuła się winna z powodu tego papierosa.

Była szczęśliwa: miała na sobie nową suknię, wypila kilka drinków i nareszcie pojawił się jej kochanek. Ale szczęście trwało krótko. Tuż za Camem szła piękna, opalona Lynn Greene. Cam podniósł do góry palec, jakby mówił do niej: poczekaj tu na mnie. To, że dziewczyna się zatrzymała, dowodziło, że przybyli razem.

Jej złość potęgowała się jak burza. Carrie czuła, jak płoną jej policzki.

Jednym haustem wypić zawartość kieliszka, złapała swojego partnera od National Gallery i zaciągnęła go na parkiet. Muzycy grali właśnie romantyczną balladę. Przytuliła się do jego ramienia, choć on nie wydawał się z tego specjalnie zadowolony. Nastrój prysł, bo mężczyzna zaczął do kogoś machać ręką. Była to jakaś niezwykle piękna brunetka we wspaniałej sukni.

— Psyjaciółka? — mimowolnie zasepleniła Carrie.

— Nie, to moja żona, Sylwia — wyjaśnił mężczyzna.

Nagle zrozumiała: ten mężczyzna był w stosunku do niej bardzo grzeczny i wcale jej nie podrywał. To dlatego czuła się z nim tak bezpieczna. Był żonaty! W tym momencie spostrzegł ją Cam i uśmiechnął się szeroko. Najwidoczniej jej taniec z nieznanym wcale mu nie przeszkadzał. Przepchnął się do baru, zamówił drinka i patrzył, jak Carrie tańczy. Wreszcie utwór się skończył. Partner Carrie podziękował jej, przepraszając, że musi odejść. Ruszył w stronę żony. Odeszli po chwili, a jego żona obejrzała się, żeby sprawdzić, czy Carrie nie idzie za nimi.

— Hej — powiedział Cam znad szklanki z sokiem porzeczkowym. Prawie nigdy nie pił podczas przyjęć; uważał, że to jego praca. Chciał ją pocałować, ale Carrie przestraszyła się, że Cam poczuje od niej papierosy i nadstawiła policzek.

— Przepraszam, że się spóźniłem. Naprawdę mi przykro. Mógłbym ci powiedzieć, że sprawa jest niezwykle ważna, ale wiem, że to nic nie zmieni. A jest ważna. Zresztą... ja chyba zawsze mówię to samo?

Skinęła głową. Czuła, że jest trochę za bardzo pijana. Za wszelką cenę starała się opanować wzbierającą w niej złość. Bieg wypadków wydawał jej się teraz oczywisty: Lynn Greene pracowała w Los Angeles i Cam pojechał do Los Angeles; pogodzili się; teraz Lynn Greene przyjechała. Żeby być tutaj, musiała przejechać trzy tysiące mil... Wszystko to oczywiście można było wytłumaczyć pracą, ale Carrie wydawało się to mało prawdopodobne. Co nie znaczyło, że nie chciała Camowi wierzyć. Chciała. Miała na sobie nową suknię. Muzycy nieźle grali, było jeszcze wcześniej... Gdyby tylko wiedziała, co powiedzieć...

— Nie będziesz ze mną rozmawiać? — spytał.

Carrie nie chciała powiedzieć niczego, czego później mogłaby żałować, rzuciła tylko:

— Cześć, Cam. — Odruchowo otworzyła torebkę i, choć wcale nie miała takiego zamiaru, wyjęła z niej papierosa i zapaliła.

Orkiestra dość kiepsko grała piosenki Beatlesów.

— Co pijesz? — spytał Daggett, nie zwracając uwagi na jej papierosa. Tym bardziej poczuła się winna.

— Wódkę; w dużych ilościach i pod różnymi postaciami.

— Zaraz tu wrócę — rzekł Cam, znikając wśród tancerzy.

Po chwili wrócił, niosąc wódkę z tonikiem dla niej i dla siebie. Carrie w dalszym ciągu paliła, choć papieros najwyraźniej jej nie smakował. Daggett udawał, że tego nie widzi.

— Posłuchaj — rzekł wreszcie — naprawdę mi przykro, że się spóźniłem. Jakoś ci to wynagrodzę.

— Nie musisz. Nic się nie stało. Po prostu nie lubię być sama. A już jesteś, więc wszystko w porządku.

Zakrzuszyła się dymem.

— Pozwolisz, że pomogę ci się tego pozbyć? — rzekł uprzejmie Cam.

— Proszę.

Daggett wziął nadpalony papieros i niosąc go jak najdalej od siebie przecisnął się na drugą stronę parkietu, gdzie znalazł popielniczkę wypełnioną piaskiem. Tkwił w niej niedopałek papierosa ze złotym filtrem — taki sam, jaki znalazł w Seattle. Z pewnym trudem przypomniał sobie raport z laboratorium: „papieros Sobranie Black Russian, z filtrem”. Papierosy te rzadko sprowadzano do USA, a i w Europie stanowiły rarytas i były bardzo drogie.

Czy to mógł być przypadek, że ktoś z obecnych palił takie same papierosy? W sali przebywali goście z całego świata...

Ciekawość zwyciężyła. Daggett chciał się przekonać, kto pali te papierosy. Dopóki się tego nie dowie, nie będzie w stanie oderwać od nich myśli. Palący stanowili wśród gości mniejszość. Skoro papierosy są tak rzadkie, ileż czasu zajmie mu znalezienie ich właściciela czy właścicielki?

O mało co nie wpadł w panikę. Przecież przyjęcie zorganizowano, aby uczcić zwiększenie bezpieczeństwa w ruchu powietrznym. Może przyjęcie jest celem ataku?! Może Bernard nie zrobił dwóch detonatorów barometrycznych tylko jeden wysokościowy, a drugi zegarowy?

Czy na to przyjęcie dałoby się przemycić bombę? Chyba nie.

Przy wejściu zainstalowano wykrywacz metalu, stało tam także kilku policjantów. Sam charakter spotkania wymusił na organizatorach troskę o bezpieczeństwo. Ale co z samochodami zaparkowanymi przed budynkiem? I jak dokładnie ochroniarze sprawdzali wchodzących?

Niegrzecznie przepchnął się z powrotem do Carrie.

— Coś się szykuje — szepnął do niej, od razu żałując, że to powiedział. — Zostawię cię tylko na chwilę, obiecuję. Zatańczysz potem ze mną?

W jej oczach zobaczył wszystko: złość, miłość...

— Zrozum mnie — poprosił.

— Idź. Nigdzie się stąd nie ruszam.

— Tylko na kilka minut.

— Jasne.

Wiedział, ile ją kosztowały te słowa. Jej oczy zdradzały wszystko. Właśnie w takich chwilach wydawało mu się, że na nią nie zasługuje.

— Dziękuję.

— No, idź już — popchnęła go delikatnie, lecz stanowczo. — Niedługo znów zagrają coś wolnego.

Za cel obrał sobie mężczyznę z papierosem. Należało za wszelką cenę zachować spokój i nie wyciągać pochopnych wniosków. Chwilami chciał wierzyć, że w sali znajduje się człowiek podkładający bomby, ale im bardziej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to absurdalne. Zabójca Warda nie był jedynym człowiekiem na świecie palącym sobranie. A co terrorysta robiłby na bankiecie w Waszyngtonie? Zabawiałby gości miłą rozmową? Ta myśl trochę go uspokoiła, choć nie zrezygnował z przedsięwzięcia.

Muzyka przestała go interesować, skoncentrował się na gościach. Czarno-złoty papieros można łatwo zauważyć... Przepychał się pomiędzy gośćmi. Nad grupką osób unosił się dym... Kobieta... Biały papieros z białym filtrem... Tam — jeszcze jedna. Twarz za twarzą...

— Cam! — dotknęła go czyjaś dłoń. Głos zabrzmiał znajomo, ale dookoła widział zbyt wiele twarzy, by go przypasować do którejś z nich.

— Jestem tutaj! — powiedział mężczyzna stojący tuż obok.

Daggett rozpoznał Richarda Tuttle'a, który obecnie sprawował obowiązki wiceprezydenta firmy ochroniarskiej. Chciał ruszyć dalej, ale Tuttle ujął go za ramię. Tuttle był agentem do zadań specjalnych do czasu, gdy w wieku pięćdziesięciu pięciu lat posłano go na przymusową emeryturę. Obecnie był konsultantem linii lotniczych i przyjęcie urzędowo właśnie na cześć jego firmy, która wprowadziła nowe systemy zabezpieczeń. Zarabiał przynajmniej pięć razy tyle niż wcześniej jako agent. Przedstawił Daggetta swoim znajomym. Daggett przywitał się ze wszystkimi i usiłował ich wyminąć, ale Tuttle, najwidoczniej nie całkiem trzeźwy, wciąż trzymał go za ramię. Daggett nie chciał się z nim szarpać.

Tuttle przeprosił znajomych i pociągnął go w kąt sali.

— Wszystko w porządku? — spytał nienaturalnie niskim głosem.

— W porządku. Trochę się śpieszę. Właśnie pracuję.

— Rozumiem.

Nie, nie rozumiesz, pomyślał. Usiłował wyzwolić się z uchwytu Tuttle'a, ale ten przyssał się jak pijawka.

— Dzięki nowym normom bezpieczeństwa zostanę grubą rybą. I wydaje mi się, że tobie także dobrze by to zrobiło. Potrzebujemy człowieka z twoim doświadczeniem. Jestem w stanie wciągnąć cię na górę, w okolicę stanowiska wiceprezydenta. W pierwszym roku zarabiałbyś nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy, wiem o tym. Ale potem... potem zarabiałbyś przynajmniej dwa, trzy razy tyle. Może nawet trzy razy tyle, to zależy od tego, czy firma dalej będzie się rozwijać. Byłbyś członkiem rady nadzorczej i nie musiałbyś co drugi dzień latać tam i z powrotem do biura...

— Richard...

— Do cholery, przecież to nie jest oficjalna propozycja. Ale któregoś dnia powinniśmy zjeść razem lunch i pogadać o tym. Złożę ci wtedy oficjalną propozycję, a ty się nad tym zastanowisz. A jak twoje dziecko, ten twój Dirk?

— Duncan.

— Nie uwierzysz, jakie mamy ubezpieczenia, opiekę lekarską, emerytury... Bylibyśmy nawet w stanie odzyskać pieniądze, które w przeszłości wydałeś na leczenie tego Dirka... No to co, zjemy razem lunch?

Wydatki na Duncana... Tuttle proponował mu to wszystko, czego chciała Carrie: bezpieczeństwo, wysoką pensję, stałe godziny pracy, wysoką emeryturę... Pokusa ciepłej posady za biurkiem była nęcąca, zwłaszcza w chwili gdy szumiało mu w uszach i pocił się ze zdenerwowania. Czy Tuttle się pocił? Nic podobnego. Czy pracował do północy i stawił się w pracy o szóstej rano?

— Z przyjemnością... — powiedział Daggett, strząsając z ramienia ciężką łapę Tuttle'a. — Będziemy w kontakcie — dodał i uciekł.

Stracił sporo cennego czasu. Znów rozglądał się za dymem z papierosów.

Tam! Tuż przed sobą dojrzał chmurkę dymu. Palacz był przeciętnego wzrostu i wyglądał całkiem zwyczajnie. Daggett nie mógł dostrzec papierosa. Ale w pewnej chwili mężczyzna uniósł go do ust: papieros był biały, miał brązowy filtr.

Daggett ruszył dalej.

Anthony Kort znalazł się oko w oko z Cameronem Daggettem. Pozwolił, aby Monique zaciągnęła go na to przyjęcie, a teraz żałował, że postąpił tak nierozsądnie. Chciał przyjść, porozmawiać z Grekiem, i wyjść. Z drugiej strony Monique uważała, że przed spotkaniem należało choć przez chwilę pokręcić się po sali.

— Może się jeszcze czegoś napijesz? — spytał wściekły. Jego zły humor był częściowo spowodowany zmianą marki papierosów. Niecałe pięć minut temu zgasił ostatniego sobranie i palił teraz camela z filtrem, który mu wcale nie smakował. W mieście tak dużym jak Waszyngton musi być sklep, w którym sprzedają jego ulubione papierosy. Chciał, żeby zajęła się tym Monique...

— Pójdę z tobą — powiedziała, przepraszając swoich rozmówców, że musi ich opuścić.

— To był Daggett — szepnął jej do ucha. — Zróbmy to teraz.

Monique patrzyła na Daggetta, dopóki nie zniknął między gośćmi. Wzięła Korta za rękę i ruszyli do kuchni. Wskazała mu drzwi do piwnicy. Kort zszedł po schodach do pomieszczenia, w którym u sufitu dyndała na drucie żarówka.

W rogu stał kamienny zlew, a betonowe schody prowadziły do

metalowych drzwi. Kort otworzył je, aby zapewnić sobie drogę ucieczki.

Sukces operacji zależał od informacji, które miał uzyskać od Greka. Jeżeli nie potrafi ustalić daty spotkania, wszystko stracone: Bernard zginął na próżno, aresztowanie Michaela także nie było nikomu potrzebne...

Na schodach rozległy się ciężkie kroki i tłumione przekleństwa, wypowiedziane z greckim akcentem.

— Przekazałem już pani wiadomość i nie mamy o czym rozmawiać. To niedopuszczalne!

Kort cofnął się o krok i jego twarz znalazła się w cieniu. Monique stanęła w ten sposób, żeby Grek musiał zatrzymać się przy schodach.

— Miałem rozmawiać z nim. Tak się umówiliśmy.

— No to porozmawiajmy — z ciemności odezwał się Kort.

Grek rozejrzał się nerwowo na boki. Był wysokim mężczyzną, miał zapadniętą klatkę piersiową, siwe włosy, zepsute zęby i chytre oczy domokrażcy. Czerwony nos zdradzał upodobanie do alkoholu.

Monique pobiegła po schodach na górę i zamknęła drzwi do piwnicy. Umówili się, że zostanie tam na czatach.

— Już się zastanawiałem, jak to możliwe, że mnie w udziale przypadło zorganizowanie tego przyjęcia... I za tak duże pieniądze... Powinienem był się domyślić, że...

— Co ze spotkaniem? — przerwał szorstko Kort.

— Mam dla pana nazwisko mechanika: David Boote.

— Potrzebny mi jest jego adres, godziny pracy i zdjęcie — powiedział Kort i dodał: — W tej sprawie porozumiemy się jak zawsze. A co ze spotkaniem?

— Nie jestem w stanie podać terminu. Spotkanie miało się odbyć za trzy dni, czternastego, ale to już nieaktualne. Dowiedziałem się, że opóźniono je co najmniej o tydzień i to za sprawą FBI. Sprawdziliśmy daty podróży szefów firm i wszystko było gotowe. Ale potem FBI zażądało tych samych informacji i po kilku godzinach spotkanie odwołano. Nie mogę zrobić dla pana nic więcej. To po prostu niemożliwe.

— Musi być jakiś sposób — zażądał Kort. — Nie przemyślał pan tego dokładnie — powiedział, robiąc krok w stronę Greka. — Zapłaciliśmy

panu za zdobycie tej informacji i pan nam ją dostarczy. Zrozumiano?

— Więc co mam zrobić? Czy myśli pan, że nie próbowałem? Sypałem pieniędzmi na prawo i lewo, żeby się czegoś dowiedzieć. Słyszałem tylko plotki.

— Na przykład?

— Te informacje są nic niewarte.

— Chcę je usłyszeć.

— Nie mam innego źródła, żeby je potwierdzić.

— Mimo to chcę je usłyszeć.

Mężczyzną wstrząsnął dreszcz. Nerwowo pomacał się po kieszeniach. Kort podał mu papierosa i obydwaj zapalili.

— Nawet dyrektorzy i szefowie firm nie wiedzą, gdzie i kiedy odbędzie się spotkanie. Tak mi powiedziano. Począwszy od dwudziestego pierwszego, mają zarezerwować pięć dni na ewentualną podróż. Nie wiadomo, którego dnia polecą. Dla każdego z tych ludzi ustalono nowy termin podróży, ale nie jestem w stanie do nich dotrzeć.

— Nie mogę czekać do ostatniej chwili. O wszystkim muszę wiedzieć wcześniej. Terminarze są niezbędne.

— Rozumiem, ale mówiłem już panu, że to niemożliwe.

— Jeszcze coś?

— Nic pewnego.

— Słucham.

— Ale to naprawdę nic pewnego.

— Proszę mówić — warknął Kort, stając jeszcze bliżej mężczyzny.

Poczuł woń oliwy.

— Mówiono mi, że Buzzard Point... wie pan, co to jest?

— Nie.

— Waszyngtońskie biuro FBI.

— Terenowe Biuro FBI w Waszyngtonie?

— To to samo.

— Proszę mówić dalej.

— Buzzard Point przejmuje kontrolę nad bezpieczeństwem tych dyrektorów. Podobno zajmie się tym wydział antyterrorystyczny, niejaki Daggett.

— Daggett? To niemożliwe.

— Zna go pan?

— Powiedzmy. On miałby zajmować się ochroną? Wiem, że pracuje teraz nad czymś innym... — Kort uważał, aby nie powiedzieć za wiele.

— Możliwe. Zapłaciłem dużo, a dowiedziałem się tylko, że widziano szefa waszyngtońskiego FBI wręczającego Daggettowi akta z napisem: „Ściśle tajne”. W ich rozmowie padły słowa „terminarze podróży”. Z tego samego źródła wiem, że w aktach jest jedyny egzemplarz terminarzy znajdujący się poza Pentagonem. Gdyby Daggett zamknął je w swoim biurze na dziesiątym piętrze, jak powinien był to zrobić, to, wydawszy sporo gotówki, dawałbym panu teraz kopię tych akt.

— Ale on nie zostawił ich w biurze — powiedział Kort.

— Właśnie.

— W przypadku tak delikatnej sprawy nie zostawia się akt w biurze, nawet jeżeli jest nim biuro FBI — rozważał Kort — tylko nosi się je przy sobie.

— Sądzi pan, że trzyma je w domu? Mogę zorganizować włamanie, to nie będzie trudne.

— Nie trzeba — rzekł Kort, myśląc: tobie nie pozwolę tego zrobić. Nie podobał mu się ten człowiek. Gdyby włamanie zostało spartaczone, znów zmieniono by terminarze i Kort musiałby wszystko zacząć od początku.

— A może ma je przy sobie? — zastanawiał się Grek, przejawiając zbyt dużo inwencji. — Mógłbym zorganizować kradzież jego teczki.

— Niech pan nic nie robi — rzekł Kort, wydmuchując dym. Zastanawiał się nad różnymi możliwościami. Ten człowiek miał syna: mógł dobrać się do niego od tej strony...

— To zły pomysł. Kradzież teczki wzbudziłaby podejrzenia — Grek odstąpił od pomysłu. — Po prostu przełożyliby spotkanie na inny dzień.

— Twierdzi pan, że nie wierzy w tę informację. Na ile może być wiarygodna? — spytał Kort. Podobał mu się własny głos. Pogłos w piwnicy sprawiał, że brzmiał groźnie. Myślał: walizeczka Daggetta? Daggett jest samotnym mężczyzną. Może Monique mogłaby go trochę rozerwać, a on zobaczyłby, co jest w środku...

— Mówię panu, niełatwo jest wsadzić swoich ludzi do FBI, nawet do pracy w biurze. Człowiek, od którego mam tę wiadomość, jest moim

przyjacielem. Wielokrotnie robiliśmy ze sobą interesy. Mimo to nie daję gwarancji. Nie mając innego źródła, nie może pan polegać na tej informacji. Musi pan mieć potwierdzenie. Możliwe, że mamy do czynienia z celowym rozpowszechnianiem fałszywych wiadomości. Niestety, nic więcej nie jestem w stanie panu powiedzieć...

Kortowi zaczęło się to układać w spójną całość. Przez ostatnie dwa lata Daggett zajmował się Bernardem. Kort użył jego detonatora do zniszczenia samolotu AmAirXpress, numer rejsu 64. Czy to możliwe, żeby FBI już o tym wiedziało? Złapali Bernarda w Waszyngtonie. Czy dostrzegli jakiś związek między tymi sprawami? Ile wiedzieli o jego planach? Przejrzenie zawartości walizeczki Daggetta wydało mu się teraz niezbędne. Poznaj swoich wrogów. Monique mogłaby okazać się pomocna, ale to może trwać zbyt długo. Lepiej zrobić samemu. Kort nie lubił polegać na innych.

— Co pan wie o Daggetcie?

— Nie jestem Jamesem Bondem! Zajmuję się firmami konsultacyjnymi i jeżeli interesuje pana rozmiar gaci Donalda Trumpa, jestem w stanie zdobyć tę informację w kilka minut. Ale agenci FBI? Nic o nich nie wiem.

Kort minął go i ruszył po schodach na górę.

— Zaraz, zaraz, czy to już wszystko? Mam ciasto w piecu!

Kort przystanął.

— Będziemy w kontakcie. Potrzebujemy szczegółowych informacji o tym mechaniku. I jeszcze coś... Potrzebna mi jest lista cargo wszystkich lotów linii Quick-Link z National Airport w ciągu najbliższych czterech tygodni.

— To mogę załatwić — powiedział Grek. — Żaden problem.

— Doskonale.

— A co z Daggettem? — spytał Grek.

Kort nie odpowiedział. Im mniej wiedział ten człowiek, tym lepiej.

— Masz listę gości? — Kort spytał Monique, gdy byli już na górze w kuchni.

— Na dzisiejsze przyjęcie?

— Tak.

— Na pewno jest przy drzwiach wejściowych. Myślę, że mogę do niej zerknąć.

— Zrób to.

— O jakie nazwisko ci chodzi? — spytała, wyraźnie niezadowolona z tonu jego głosu.

— Daggett.

— Ale przecież wiemy, że tu jest, więc po co?

— Nie chodzi o niego, tylko o kobietę, z którą przyszedł. Każdy tu kogoś przyprowadza, nawet agent FBI, to przecież bankiet. Powinni figurować razem, prawda? Więc zdobądź dla mnie jej imię i nazwisko.

— Co zamierzasz?

— Rób, co mówię — uciał. — Będę czekał przy barze.

Zanim dziewczyna wróciła, Kort wyszukał Daggetta wśród gości i śledził go wzrokiem dotąd, póki tamten nie przyłączył się do kobiety w balowej sukni. Było coś szczególnego w rozmowie kochanków; miał pewność, że byli kochankami. Kort był dumny ze swoich zdolności obserwacyjnych. Dawały mu pewne poczucie bezpieczeństwa. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Daggett i kobieta przeżywają obecnie głęboki kryzys swojego związku.

— Jak się nazywa? — Kort spytał Monique, czując, że jest na dobrym tropie.

— Caroline Stevenson. To ona?

— Nie patrz na nią! — syknął ze złością.

Kolejna uwaga pod jej adresem sprawiła, że Monique straciła cierpliwość.

— Więc wiesz już, jak się nazywa. A teraz chodźmy. Mówiłeś, że powinniśmy jak najszybciej stąd wyjść.

— Nigdzie nie idziemy.

— Jak to?

— Weź sobie drinka i rozluźnij się, pogadaj z ludźmi. Dopiero co przyszedliśmy.

Była zbita z tropu i zła.

Nie mogłoby być lepiej: Daggett odszedł od Caroline, a ona sięgnęła do torebki i natychmiast wyjęła stamtąd papierosa. W torebce z pewnością były także klucze. Jeden z nich pozwolił mu wejść do domu Daggetta... Kort wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wetknął ją dziewczynie w dłoń.

— Weź to — powiedział. — Muszę zapalić.

Spojrzała na to, co trzyma w dłoni.

— Nic nie rozumiem.

— Rozumiesz, nie rozumiesz, rozumiesz... — pogłaskał ją po policzku i ruszył przed siebie, przeciskając się pomiędzy tańczącymi parami.

— Właśnie pomyślałem, że może zechce mnie pani poczęstować papierosem — powiedział, zwracając się do tej kobiety.

Podniosła oczy i popatrzyła na niego nieobecnym wzrokiem. Była albo pijana, albo zdenerwowana, albo jedno i drugie. Uśmiechnęła się sztucznie, włożyła rękę do torebki i wyłowiła z niej papierosy. Przez chwilę nie mogła sobie poradzić z zapalniczką. Kort wziął jej drżącą rękę w swoją, zapalił papierosa i przytrzymał jej dłoń nieco dłużej, niż było to konieczne. Kobieta zarumieniła się.

— Muszę się przyznać — skłamał — że od pewnego czasu obserwo-
wałem panią i chciałem się przedstawić.

Odwróciła wzrok. Czy nie przesadził? Jego oczy spoczęły na torebce. Gdyby tylko udało się sprawić, żeby ją upuściła i wysypała zawartość na podłogę...

— Pan jest Anglikiem? — spytała. — Jak na Anglika mówi pan z dziwnym akcentem.

— Jest pani wyjątkowo spostrzegawcza — odparł. — Chodziłem do szkoły w Anglii, ale obecnie mieszkam w Belgii. Mam na imię Carl.

— Caroline — powiedziała i popatrzyła na niego.

Jego serce zabiło szybciej. Caroline było imieniem, które pragnął usłyszeć.

— Mieszka pan w Waszyngtonie, czy przyjechał pan na wakacje? — spytała.

— Jestem tu po to, żeby wykraść od was jak najwięcej informacji o tym, jak prowadzi się firmę cateringową. Pracuję w przemyśle spożywczym.

— Aa, jest pan szpiegiem?! — ucieszyła się.

— Tak — odparł, uśmiechając się. Spodobała mu się groteskowość tej rozmowy. — Jestem szpiegiem.

Zaciągnęła się papierosem, przymknęła oczy i o mało co się nie przewróciła. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo była pijana. Odebranie jej torebki nie powinno być trudniejsze niż odebranie dziecku

cukierka. Torebka nie była nawet zamknięta. Gdyby ją odpowiednio uderzyć, wysypałaby się jej cała zawartość...

Wystarczy sprawić, żeby ją upuściła... Kiedy wróci Daggett? Rozejrzał się dookoła, nigdzie go nie widział...

Ale Monique wciąż ich obserwowała. Skarcił ją wzrokiem i dziewczyna odwróciła głowę.

— Przyjaciółka? — spytała Carrie z nutą żalu w głosie.

— Koleżanka z firmy — Kort przysunął się do niej tak, że torebka znalazła się w zasięgu jego ręki. — Jest okropnie nudna.

Carrie wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem, strącając popiół z papierosa na suknię.

— Wiem, o czym pan mówi, doskonale pana rozumiem — mówiła, próbując strzepnąć popiół z sukni.

Daggett szukał w popielniczce niedopałków sobranie.

— Michigan, do cholery, co ty robisz — przywitał go Mumford, szef waszyngtońskiego biura FBI.

Tłumaczenie się w tej chwili Daggett uznał za zbyt skomplikowane.

— Przyłapał mnie pan — odparł.

Na szczęście szybkim krokiem zbliżała się do nich Lynn Greene. Mumford także ją zauważył.

— Cam, czy mogę z tobą pomówić? — powiedziała szybko.

Daggett przedstawił ją Mumfordowi, a Lynn zniżyła głos i powiedziała, że komisja bezpieczeństwa ma zamiar wieczorem wysłuchać taśmy. Właśnie ją zawiadomiono i musi natychmiast opuścić przyjęcie.

— O tym nikt nie może się dowiedzieć — ostrzegł Mumford. — Tu wszędzie są dziennikarze. Najpierw zastanówmy się, co robić. — Wy dwoje — zwrócił się do Daggetta — powinniście niepostrzeżenie zniknąć. Jakoś was z tego wytłumaczę. Gdy już będziesz wiedział coś pewnego, przekaz to Paulowi.

— Czy mogę pana o coś poprosić?

— Mianowicie?

— Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś zajął się ochroną tego... — rzekł Daggett, rozglądając się po sali.

- Masz jakieś podejrzenia?
- To może być zbieg okoliczności...

Mumford skinął głową.

- Przekażę to, komu trzeba — powiedział.

W chwilę później Daggett dotarł do Carrie, która rozmawiała z jakimś nieznajomym. Oboje palili; usłyszał jej śmiech i skreśliło go z zazdrości.

Skinął głową jej towarzyszowi.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale muszę iść. Mam spotkanie... — powiedział skruszony. Szukał w jej oczach zrozumienia, ale dojrzał tylko ból.

— Jasne— powiedziała, starając się zachować spokój. — Takie rzeczy w końcu się zdarzają, prawda?

W jej głosie nie usłyszał smutku, ale oczy zdradzały wszystko. Wiedział, że ją straci, jeżeli teraz odejdzie.

- A co z Duncanem? — spytała. — Mam się nim zająć?

Nie pomyślał o tym. Spotkanie mogło trwać nawet kilka godzin.

- Mogłabyś zadzwonić do pani Kiyak. Byłoby miło, gdybyś to dla mnie zrobiła...

- Sama się nim zajmę. Wszystko w porządku.

Ale Daggett wiedział, że nie było w porządku. Zdawał sobie sprawę, że Carrie miała silny charakter i potrafiła niejedno przetrzymać. Spojrzał na nią. Pomyślał, że jego zachowanie, polegające na łamaniu dawanych obietnic, graniczyło z psychiczną torturą. Miał w tym dużą wprawę: swoją żonę, matkę Duncana, wpędził w ten sposób w alkoholizm...

- Masz samochód? — spytała, przeszukując torebkę. — Mogę ci dać mój.

- Nie śmiałybym...

— Nie ma o czym mówić. Crenshawowie są tutaj i mogę się z nimi zabrać — powiedziała, podając mu kluczyki.

- Jesteś pewna? — spytał, biorąc je do ręki.

- Oczywiście.

Daggett czuł, że Lynn czeka na niego i obejrzał się przez ramię. Gdy znów spojrzał na Carrie, zrozumiał, że kobiety siłowały się wzrokiem.

- Czy to z nią chcesz się spotkać? — spytała Carrie nie odwracając wzroku od Lynn.

— Ona też tam będzie. — Nie chciał, żeby w jego głosie pojawiła się nutka winy, ale tak się stało.

Popatrzyła na niego z takim smutkiem, że wydało mu się, iż się rozpłaczę. Co się stało z tymi szczęśliwymi chwilami, które razem przeżyli? Zrozumiał, że na widok Lynn Carrie się poddaje, staje się zimna i obca. Czyżby to miał być koniec?

Zacisnął w dłoni kluczyki i pocałował ją w policzek.

— Dziękuję — powiedział nieśmiało. Carrie uśmiechnęła się ni to sztucznie, ni ironicznie.

Gdy stojąc w drzwiach obejrzał się za siebie, ona wciąż patrzyła na niego z tym samym wyrazem twarzy.

Kort zacisnął szczękę na widok Daggetta. Ten człowiek nie powinien istnieć. Pojawienie się Daggetta umocniło Korta w przekonaniu, że musi przejrzeć zawartość jego walizeczki. Czyż fakt, że operacja powiedzie się dzięki największemu wrogowi, nie był prawdziwą ironią losu?

Należało działać szybko.

— To pani mąż? — spytał Caroline, dobrze wiedząc, że nie byli małżeństwem.

— Nie, to... — kobieta zawahała się — to tylko znajomy...

15

Martwisz się czymś? — spytała Lynn, stukając w drzwi, żeby wartownik wpuścił ich do środka. Umundurowany mężczyzna wstał z krzesła i powoli ruszył w ich stronę. Pomimo olbrzymiego brzucha i potężnych ramion, w ogromnym holu gmachu Federal Aviation Administration wydawał się mały jak krasnoludek.

Daggett przyjrzał się sobie i Lynn w szybie; stanowili całkiem niezłą parę.

— Jestem zdenerwowany, to wszystko. Jeżeli 64 był wypadkiem, to traci związek ze sprawami Bernarda i Warda. Natomiast jeżeli 64 to sabotaż — a myślę, że tak jest — to muszę wiedzieć, jak to zostało zrobione, zanim Kort będzie miał okazję powtórzyć swój sukces. Chodzi o to, że te taśmy to moja nadzieja...

Strażnik zbliżył się do nich. Przez szybę pokazali mu swoje identyfikatory.

— Zrobię, co tylko będzie możliwe, Cam — powiedziała Lynn.

— Wiem.

Ucisnęła jego mały palec. Przez moment trzymali się za ręce. Gdy szli korytarzem i strażnik już nie mógł ich słyszeć, powiedziała:

— Jest coś, czego nie możesz mi powiedzieć, prawda?

Daggett nacisnął guzik przywołujący windę.

— Zawsze jest coś takiego... Ale taką mam pracę...

Oddzielenie życia osobistego od zawodowego wymagało stworzenia „bariery informacyjnej”, którą zdążył już znienawidzić.

Początkowo tajne informacje wydawały mu się ważne, czyniły z niego kogoś szczególnego. Ale z biegiem lat zrozumiał, jak to naprawdę wygląda: przed nikim nie mógł się zwierzyć ze wszystkiego; w domu nie mógł mówić o pracy zawodowej, w pracy nie mógł dzielić się swoimi prywatnymi troskami i kłopotami. Jego walizeczka, pełna tajnych akt, była jak kajdany. Czuł się jak więzień. Był przykuty do spraw, które z normalnego człowieka przekształciły go w chodzącą tajemnicę. Nikt go naprawdę nie znał. Ani Carrie, ani Duncan. Nie był nawet pewien, czy sam siebie zna. Jego życie emocjonalne także stało się tajne.

Właśnie wtedy, gdy zamykały się drzwi do windy, uzmysłowił sobie, że Carrie miała racje: Duncan potrzebował jego towarzystwa. I Daggett sam dla siebie potrzebował więcej czasu...

Przedtem chciał złapać ludzi odpowiedzialnych za katastrofę 1023. Teraz, mając taką szansę, czuł ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności.

— Chciałbym cię przeprosić za zachowanie Carrie — powiedział.

— Obawiam się, że bez względu na to, co zrobimy, zostaliśmy już osądzeni. I to mnie martwi... Jeżeli za niepopelnioną zbrodnię i tak masz zostać powieszony, nie ma powodu, żeby jej nie popełnić...

Wysiedli z windy.

Lynn objęła go i pocałowała. On również ją pocałował, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. Gdzieś zaskrzypiały drzwi. Lynn odsunęła się. Na korytarz wyszedł jakiś mały człowieczek.

— Jesteśmy tutaj! — krzyknął. Był prawie całkiem łysy. Gdy zbliżyli się do niego podał Daggettowi rękę, jak do potrzymania. Lynn przedstawiła ich sobie. Mężczyzna nazywał się George Hammett.

Ruszyli za nim do laboratorium, w którym znajdowało się mnóstwo elektronicznych urządzeń. Lynn usiadła, Daggett stał. Kobietę w średnim wieku, z notatnikiem do stenografowania, przedstawiono Daggettowi jako panią Blake. Inżynier Mickey Tompkins przypominał typowego nauczyciela matematyki; był roztargniony, ale pełen energii. Howard Cole reprezentował zakłady Duhninga; ubrany był w drogi garnitur. Ostatni mężczyzna, Don Smith, mówiący z południowym akcentem, przybył z ramienia AmAirXpress. Wszyscy usiedli.

— Don pomoże nam zidentyfikować, co kto mówi, jeżeli mikrofon złapał coś, czego nie było na innych kanałach — zaczął Hammett. — Mickey, może nam wyjaśnisz, czego właściwie będziemy słuchać?

Mickey Tompkins zaczął mówić, zwracając się właściwie do Daggetta:

— Urządzenie działa w ten sposób: pętla ma trzydzieści minut długości, nagrywanie następuje na czterech ścieżkach jednocześnie — powiedział, wskazując na cztery wskaźniki nagrania, wyskalowane w decybelach. — Na pierwszym kanale mamy głos pilota, na drugim — drugiego pilota, trzeci to mikrofon zainstalowany w kokpicie, a czwarty — sygnały radiowe odbierane przez samolot. Wysłuchamy zwykłej procedury startowej: kontroli ogólnej, testu silników itd. Potem drugi pilot poprosi ziemię o zgodę na kołowanie na start, kapitan poprowadzi samolot na właściwy pas, a drugi pilot połączy się z wieżą kontrolną. Dostaną zgodę na start i dokonają ostatnich testów, drugi pilot przekaże kapitanowi zgodę na start. To ważne, zwrócę państwu uwagę na te słowa. Potem usłyszymy, jak drugi pilot mówi: „Szybkość... dziewięćdziesiąt węzłów... V—1... dziób w górę”. Na to właśnie czekamy: znaczy to, że przód samolotu ma się unieść do góry o dziesięć stopni. Potem usłyszymy, że samolot jest już w powietrzu. A potem... Wszyscy wiemy, że na pokładzie wybuchł pożar. Wszyscy słyszeliśmy rozmowę z wieżą kontrolną. Chodzi o to, czy mikrofon kokpitowy lub jakaś inna ścieżka jest w stanie powiedzieć nam, co naprawdę miało miejsce po tym, jak zauważono ogień. Taśma z wieży urywa się w chwili, gdy drugi pilot dostrzega ogień. Miejmy nadzieję, że teraz dowiemy się więcej... Tutaj — ciągnął Tompkins, wskazując na inne urządzenie — jest DFDR, czyli tak zwana czarna skrzynka. Jej nagranie dla porównania zostało zsynchronizowane z magnetofonem. DFDR to urządzenie cyfrowe, które nagrywa przez 24 godziny, po czym informacja jest kasowana i nagrywanie następuje od początku. Czarna skrzynka rejestruje stan silników, przyspieszenie, szybkość, kierunek lotu, wysokość, informacje o podwoziu, położeniu sterów... właściwie wszystko, co może nam być potrzebne... — spojrzał na Hammetta, który skinął głową, że można zaczynać.

— Za pierwszym razem po prostu wysłuchamy taśmy — rzekł Hammett. — Potem porozmawiamy i przesłuchamy nagranie ponownie, ale

już z komentarzem. Zaczynamy.

Tompkins uruchomił magnetofon. Daggett z podziwem myślał o technice, która pozwalała odtworzyć najdrobniejsze szczegóły lotu. Spokojne głosy pilotów świadczyły o ich rutynie. Smith poinformował, który głos należy do drugiego pilota, dzięki czemu wiadomo było, kto co mówi.

Daggett miał wrażenie, że pierwszy i drugi pilot siedzą obok niego. Zdał sobie sprawę, że z powodu katastrofy taśmy na zawsze zostaną w archiwach Federal Aviation Administration. Ostatnie kilka sekund życia dało tym ludziom nieśmiertelność.

Daggett zamknął oczy, starając się skoncentrować.

Człowiek za sterem jest zły, ale drugi pilot nie zwraca na to uwagi, odczytując swoją listę. Pilot, chcąc nie chcąc, odpowiada. Naciskają jakieś przełączniki. W ich głosach słychać nudę. Nad lotniskiem, podobnie jak nad całym Los Angeles, unosi się smog. Pilot podprowadza samolot do kilkunastu innych, czekających w kolejce na start. Mówi do swojego towarzysza, że niedługo znów będzie trzeba powiększyć lotnisko. Drugi pilot przełącza się na wieżę kontrolną i przedstawia się jako 64 Bravo.

Bravo... To nie pasuje do tego, co stanie się w ciągu kolejnych dziewięćdziesięciu sekund...

Kolejka czekających samolotów powoli przesuwa się i AmAirXpress 64 Bravo otrzymuje zgodę na start.

Silniki wyją, Daggett niemal czuje, jak cały samolot zaczyna wibrować.

Drugi pilot: Dziewięćdziesiąt węzłów... V—1... dziób w górę...

Kapitan: Chowaj podwozie. Kłapy na dziesięć.

Wieża: Lecicie. Przechodźcie na odloty.

Drugi pilot: Zrozumiałem. Bill, masz szybkość, kłapy.

Kapitan: Kłapy do góry.

Mężczyźni kontynuowali sprawdzanie przyrządów. Nagranie było tak dobre, że słychać było trzaskanie przełączników. Każdy z nich coś ozna-
czał: Tompkins wskazywał na wykres z DFDR.

RADIO: Sześćdziesiąt cztery Bravo, skręć w lewo na trzy-pięć-dwa. Idź w górę aż do 1-6000.

Drugi pilot: Zrozumiałem, trzy-pięć-dwa, 1-6000.

Słychać jakby cichy kaszel.

Kapitan: Mamy pożar na pokładzie. Pete , pod twoim fotelem.

Drugi pilot: Gaśnica. Rany bo...

Kapitan: Proś o zgodę na awaryjne lądowanie...

Cisza. Słychać tylko ryk silników i głośne syczenie.

Wycie silników narasta, samolot pozbawiony kontroli pilota jest coraz bliżej ziemi.

Daggett patrzył na wydruk informacji zapisanych przez czarną skrzynkę. Dwie linie w pewnym momencie zaczęły się zmieniać skokowo: wysokość i szybkość. W chwilę później wszystkie linie stały się równoległe. W tej samej chwili taśma odtworzyła straszliwy grzmot spowodowany zderzeniem z ziemią.

Zapadła cisza.

Samolot się rozbił, dwóch ludzi zginęło. Cargo zostało rozrzucone na przestrzeni kilku hektarów, wszystko się pali. Tyle Daggett pamięta: TWARDE LĄDOWANIE; wiadomość, którą odczytał na swoim page-rze...

Wszyscy milczeli. Na twarzach nie było widać żadnych emocji, ale Daggett chciał krzyżeć. Lynn Greene i Don Smith wyglądali na poruszonych. Pani Blake przestała stenografować. Z uwagą przyglądała się końcówce długopisu i usunęła z niej włos.

Hammett wstał i wskazał na wykres DFDR.

— Proponuję — powiedział, przerywając ciszę — żebyśmy wysłuchali jeszcze raz.

Tompkins przygotował sprzęt i uruchomił magnetofon. Za trzecim razem Hammett powiedział:

— W porządku, Mickey, zatrzymajmy to na chwilę. No? — spytał, rozwalając się na krześle.

— Nic nowego w porównaniu z tym, co usłyszeliśmy z wieży kontrolnej — powiedział Don Smith, człowiek z AmAirXpress.

— Mickey, czy mógłbyś odegrać samą ścieżkę mikrofonu kokpitowego? — wtrąciła Lynn. — Tylko ostatnie kilka sekund. Zaraz po tym, jak zauważają ogień.

Tompkins spojrzał na Hammetta, który przyzwalając skinął głową. Tompkins wybrał żądaną ścieżkę. Teraz głosy brzmiały inaczej, przytłumiał je bas silników. Kaszel — czy stukniecie? — słychać było wyraźniej.

— Może ktoś potrafi wyjaśnić, co to za dźwięk? — zwróciła się do zebranych Lynn.

— Wiesz, co to jest, Mickey? — spytał Hammett.

— Nie. Myślę, że zapaliło się coś na kokpicie.

— To możliwe.

— Ale żadna z informacji z DFDR tego nie potwierdza — zauważył Tompkins, patrząc na wydruk z czarnej skrzynki. — Wszystkie przyrządy zachowują się normalnie.

— Jeżeli wszystkie przyrządy były w porządku, to znaczy, że dźwięk pochodzi spoza wskaźników na kokpicie, tak? Było to coś w jego pobliżu, ale nic bezpośrednio związanego z samolotem i DFDR, czy tak? — spytała Lynn.

— Powiedziałbym, że to więcej niż prawdopodobne — odparł Tompkins.

Twarz Hammetta stężała. Spojrzał na reprezentanta Duhninga:

— A pan, panie Cole? Czy rozpoznaje pan ten dźwięk?

— Nie. Nie chciałbym zgadywać, ale możliwe, że w ładowni coś eksplodowało. Coś z tyłu — wysapał jak astmatyk.

— Nie, ten dźwięk pochodzi z niewielkiej odległości, inaczej nie byłby tak dobrze uchwycony przez mikrofon kokpitowy. Czymkolwiek było źródło tego dźwięku, znajdowało się nie więcej niż o półtora metra od mikrofonu.

— Posłuchajmy jeszcze raz — zaproponował Hammett. — Od początku. Zdanie po zdaniu, jeżeli nie macie państwo nic przeciwko temu. Będziemy wdzięczni za wszelkie uwagi.

Tompkins ponownie uruchomił magnetofon, zatrzymując go po każdym zdaniu.

RADIO: Sześć-cztery Bravo: możesz kołować.

Drugi pilot: Zrozumiałem. Dzięki.

— To rozmowa kapitana z pilotem. Dostali pozwolenie na kołowanie na start, a po drodze przeprowadzają kontrolę sprawności przyrządów — rzekł Cole, przedstawiciel Duhninga.

— Głos należy do Petera, drugiego pilota — wtrącił Smith swoim południowym akcentem.

— Czy mamy wysłuchać kontroli sprawności? — spytał Hammett.

— Nie trzeba. Sprawdzaliśmy to trzykrotnie. Wszystko było w porządku — odparł Cole.

Tompkins przesunął taśmę do przodu.

Drugi pilot: Wieża, tu sześć-cztery Bravo. Panowie, jesteśmy gotowi do startu.

RADIO: Zrozumiałem, sześć-cztery Bravo. Start z pasa 1-6, masz zgodę na start.

Drugi pilot: Jeden-sześć?

RADIO: Potwierdzam, jeden-sześć.

Drugi pilot: Zrozumiałem.

Cole wyjaśnił, o czym mówili kapitan i drugi pilot. Słysząc było trzaskanie przełączników.

— Proszę przewinąć do końca i puścić od momentu, gdy samolot zaczyna się rozpędzać.

Drugi pilot: Mamy zgodę na start.

Drugi pilot: Dziewięćdziesiąt węzłów... V-1...

— Mogą iść w górę, mają dostateczną prędkość — rzekł Hammett.

Daggett niemal czuł, jak samolot trzęsie się i dygoce, coraz szybciej mknąc po pasie startowym. Drugi pilot: Dziób w górę...

— To decyzja o oderwaniu od ziemi. W tym momencie kapitan podrywa przód samolotu.

Dochodzący z głośników dźwięk uległ zmianie, a Daggett wyobrażał sobie koła odrywające się od pasa. Samolot był już w powietrzu: czuł to w żołądku.

Drugi pilot: Dodatnie wznoszenie.

— To znaczy, że idą w górę. Wszystko odbywa się tak, jak powinno. Samolot wznosi się pod kątem 10 stopni.

— Teraz będzie mówił Bill Dunlop, pierwszy pilot — wtrącił Smith.

Kapitan: Chowaj podwozie, klapy na dziesięć.

— Teraz wieża każe im się przełączyć na kontrolę odlotów.

RADIO: Lecicie. Przechodźcie na odloty.

— Chciałbym podkreślić, że samolot jest już w powietrzu i że wszystko jest w porządku — rzekł Cole.

Drugi pilot: Zrozumiałem. Bill, masz szybkość, klapy.

Kapitan: Klapy do góry.

Mickey Tompkins, który najwidoczniej słuchał już setki podobnych taśm, powiedział:

— Przewinę kawalek, bo aż do końca wszystko jest w porządku.

Cole skinął głową.

Drugi pilot: Zrozumiałem, trzy-pięć-dwa, 1-6000.

Daggett był pod wrażeniem spokoju i opanowania pilotów. Sto ton stali i aluminium wznosiło się z szybkością dwustu mil na godzinę. Aby maszyna poszła w górę, trzeba było ustawić właściwie setki przełączników, a oni rozmawiali ze sobą tak, jak gdyby mieli na kolanach instrukcję obsługi.

Tompkins zatrzymał taśmę.

— Tu zaczynają się kłopoty. Musicie słuchać uważnie — powiedział.

Daggett usłyszał stuknięcie. W tej samej chwili dobiegł go spokojny głos człowieka, który w tym momencie nie mógł nie odczuwać panicznego strachu. Ale jeżeli się bał, głos go nie zdradził.

Kapitan: Mamy pożar na pokładzie. Pete, pod twoim fotelem.

Daggett usiłował sobie wyobrazić, o co chodziło.

— Czy ogień był pod fotelem? — spytał. — Czy to chciał powiedzieć?

— Wątpię — odparł Cole. — Gaśnica w kabine pilotów znajduje się pod siedzeniem drugiego pilota. Myślę, że Bill Dunlop przypomniał w ten sposób drugiemu pilotowi, że gaszenie ognia należy do jego obowiązków. Czy ktoś z państwa chce zabrać głos?

— Być może, ale mam wrażenie, że to, co się pali — o ile tak jest — znajduje się bliżej pilota niż kapitana — wtrącił Tompkins. — Dźwięk dużo lepiej słyhać przez mikrofon drugiego pilota i sądzę, że pan Daggett może mieć rację.

— Dalej, Mickey — rozkazał Hammett.

Drugi pilot: Gaśnica, rany bo...

Kapitan: Proś o zgodę na awaryjne lądowanie...

W pokoju znów zapadła cisza. Nawet kilkakrotne wysłuchanie taśmy nie zatarło wrażenia, że nagranie kończy się niespodziewanie.

— Jak wytłumaczymy ton głosu drugiego pilota? Czy on mówi, że nie może dosięgnąć gaśnicy? — spytała Lynn Greene.

— Tak mi się wydaje — zgodził się Daggett.

— W jego głosie z pewnością słyhać panikę.

— To mało prawdopodobne, panno Greene — Cole spojrział na Lynn.
— Pod siedzeniem pilota nie ma niczego, co mogłoby być źródłem pożaru. Coś wewnątrz kokpitu, ale nie pod siedzeniem pilota.

Gdybym zatrzymał Bernarda w Los Angeles, nie byłoby tej rozmowy — pomyślał Daggett.

Po wysłuchaniu taśmy postanowił przemówić jako pierwszy, zanim inni zaczną formułować błędne wnioski.

— Wszyscy państwo jesteście ekspertami, a ja jedynie obserwatorem waszego spotkania. Ale czy nie jest możliwe, że ten krótki „kaszel” powodujący pożar jest wynikiem małego wybuchu?

— Wybuchu? — przerwał Hammett. — Rozmawiajmy tylko o tym, co słyszymy, panie Daggett. Jest tam mowa o pożarze, a nie o wybuchu. O pożarze!

— Ale pożar musiał być czymś spowodowany — Daggett nie dawał za wygraną.

— Przyczyną powstania pożaru zajmiemy się w ciągu najbliższych miesięcy. Wyjaśnienie jego źródła jest dla nas niezwykle istotne.

— Nie mogę czekać tak długo... — rzekł Daggett.

— To oczywiste, że piloci w dalszym ciągu kontrolują lot — rzekł Cole, drapiąc się po głowie. — Równie oczywiste wydaje mi się, że ani ogień, ani nawet wybuch, o którym mówił pan Daggett, nie mogły tak szybko doprowadzić do katastrofy — wskazał na wydruk z czarnej skrzynki. — Widzimy, że stery i wszystkie przyrządy pilota działają poprawnie. Przez kolejnych kilka sekund pilot w dalszym ciągu prowadzi samolot. Bardziej prawdopodobne wydaje się to, że piloci zostali zatruci toksycznymi gazami powstałymi w wyniku pożaru. Istnieje szeroka dokumentacja dotycząca podobnych przypadków. Plasterki są łatwopalne, a ich gazy są wyjątkowo trujące. Wydaje mi się, że to właśnie słyszeliśmy na taśmie.

— Zgadzam się z panem — rzekł Hammett. — Jeżeli logicznie przeanalizujemy kolejność wypadków, to mamy: oderwanie maszyny od ziemi, zmianę kursu, ogień, utratę przytomności lub śmierć załogi i uderzenie o ziemię.

— Jeżeli piloci zostali zatruci w wyniku pożaru, wówczas powinna to wykazać sekcja zwłok — wtrącił Daggett — a nic takiego nie znalazło

potwierdzenia. Teoria pana Cole'a jest może i dobra, ale nie przystaje do faktów!

Patrzyli na niego wszyscy, włącznie z Lynn. Uświadomił sobie, że wstał z krzesła i krzyczy. Zawstydzony, usiadł z powrotem.

— Pan Daggett zwrócił uwagę na interesującą rzecz — Lynn chciała mu pomóc. — Autopsje nie wykazały żadnych trujących gazów. W najlepszym razie możemy powiedzieć, że z przesłuchania taśmy nie można wyciągnąć żadnych ostatecznych wniosków. Musi być przeanalizowana przez takich ekspertów jak pan Tompkins, abyśmy dokładnie znali źródło każdego utrwalonego dźwięku. Czy można coś jeszcze zrobić?

Tompkins potaknął głową.

— Oczywiście. Można taśmę rozebrać na kawałki, decybel po decybelu. Gdybyśmy mieli dość czasu — tu Tompkins spojrzął na Daggetta — moglibyśmy zidentyfikować każdy dźwięk...

— Co oznacza, że wiedzielibyśmy, czy pożar zaczął się od któregoś z urządzeń pokładowych, czy też mamy do czynienia z sabotażem?

— Nie ulegałbym emocjom, panno Greene — przerwał jej Cole. — Powtarzam, że nagranie DFDR dowodzi, że wszystkie urządzenia pokładowe aż do chwili uderzenia o ziemię działały poprawnie. Z posiadanych przez nas informacji wynika, że sabotaż jest mało prawdopodobny, chyba że przyjmujemy, iż ktoś wywołał na pokładzie pożar, licząc na to, że toksyczne spaliny zatrują załogę. Taka interpretacja wydaje mi się naciąganiem faktów. A może mówicie o bombie, która zamiast wybuchnąć, zapaliła się. Ale, o ile dobrze wiem, nie znaleziono na to żadnych dowodów — powiedział, patrząc na Daggetta. — Nie wydaje mi się, żeby sugerowanie podłożenia bomby było dobrym pomysłem.

— Sabotażem mógł być ogień — powiedziała Lynn. — Nie zawsze celem sabotażu jest zabijanie. Czasem to wynik zemsty mechanika...

— Ależ co też pani mówi! To by znaczyło, że ktoś przemycił na pokład jakieś urządzenie skonstruowane specjalnie w tym celu!

— Właśnie — potwierdził Hammett. — Muszę się zgodzić z panem Cole. Nie mamy żadnych dowodów...

— Szklana rurka, którą znaleźliśmy, może być rtęciowym włącznikiem... — przerwała Lynn.

— Znowu pani zaczyna? — Hammett był wyraźnie zły.

Zapadła cisza. Po chwili przerwał ją Don Smith. Mówił powoli:

— Zginęło dwóch ludzi. Firmy AmAirXpress i Dunning straciły samolot. Na taśmie nie ma śladu krztuszenia się, kaszlu. Nikt nie wzywa pomocy. Więc co słyszymy? Słyszymy odgłos, jakby ktoś otwierał butelkę. Słyszymy, że w kabinie jest ogień. Słyszymy, że drugi pilot chce go ugasić. Słyszymy, że uruchamia gaśnicę. Proszę mi wierzyć, że to naprawdę jest dla mnie przykre. Ci ludzie byli moimi przyjaciółmi. Nie jestem ekspertem. Ale, o ile rozumiem, ostatnią rzeczą, o której się mówi, jest gaśnica — spojrzał na Daggetta, Lynn Greene i wreszcie na Hammetta. — Czy ktoś badał tę gaśnicę? Czy ktoś sprawdzał jej zawartość?

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Cole — zakłada pan, że ktoś specjalnie wywołał na pokładzie ogień po to, aby ugaszono go gaśnicą wypełnioną jakimś trującym gazem? Ależ to absurd! Po cóż ktoś miałby się tak wysilać! Jeżeli mógł przemyścić na pokład bombę, to po co wzniesłby pożar? Bomba byłaby przecież pewniejsza.

— Po to, żebyśmy nie uwierzyli w sabotaż, jak to właśnie ma miejsce — rzekł Daggett. — Zgadzam się z panem Cole, że to pomysł „absurdalny”. Mamy właśnie dojść do takiego wniosku. Wydaje mi się, że pan Smith zwrócił uwagę na coś istotnego. Czy ktoś kontrolował tę gaśnicę? Czy wiemy chociaż, gdzie ona jest?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie — powiedziała Lynn Greene. Spojrzała na Hammetta, który wstał i sztywno wyszedł z pokoju. Minęło sporo czasu. Tompkins założył sobie na głowę słuchawki i jeszcze raz przesłuchał taśmy, pozostawiając zebranych w ciszy, która już po chwili stała się uciążliwa.

Pani Blake ucięła sobie drzemkę. Cole przeglądał dokumenty wyjęte z teczeki.

Wreszcie otworzyły się drzwi. Hammett miał w ręce kartkę papieru.

— Gaśnicę znaleziono — powiedział. — Nasza ekipa zniosła ją do hangaru, w którym zbieramy szczątki samolotu. — Spojrzał na zegarek. — Dzięki różnicy czasu niedługo będę mógł tam kogoś posłać. Każę ją natychmiast oddać do analizy.

— Mam przed sobą potwierdzenie, że dzień przed wypadkiem gaśnica została sprawdzona.

— J a k a ś gaśnica została sprawdzona — poprawił go Daggett. — Ale nie wiemy, czy ta.

— Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie — sprzeciwił się Cole. — Po cóż wymyślać tak skomplikowany plan? Dlaczego po prostu nie wysadzić samolotu? Po co to wszystko?

Daggett zawahał się. Wszyscy patrzyli na niego. Wszyscy, z wyjątkiem Lynn, która z zainteresowaniem przyglądała się czubkom swoich butów.

— On chce, żebyśmy wykluczyli sabotaż. W ciągu najbliższego tygodnia znów spróbuje to zrobić.

16

W środę rano Daggett obudził się sam.

Pościelił łóżko i pomyślał o Carrie. Pochodziła z robotniczej rodziny i zawsze starała się udowodnić, że było ją stać na awans. Chciała, żeby ich dzieci, których nawet jeszcze nie mieli, studiowały w Yale czy Princeton. A Daggett? Daggett sam nie wiedział, czego chce. Bał się przyszłości.

Podczas parzenia kawy obiecał sobie, że nie będzie o tym myślał. Ale podejrzewał, że znów nie dotrzyma słowa.

Zawołał Duncana.

- Jestem tutaj, tato. Nigdzie się nie wybieram.
- Chciałem się tylko upewnić, że już nie śpisz.
- To był żart, tato. To, że nigdzie się nie wybieram... Rozumiesz?

Rozumiał aż za dobrze.

Po prysznicu nalał wody do wanny i poszedł do pokoju syna. Na ścianach wisały czarno-białe fotografie komentatorów sportowych: Dicka Engberga, Ala Michaela... Przy łóżku leżał magazyn „Sports Illustrated” i książka o footballu. Na półkach rzędem stały biografie słynnych sportowców. Jego syn czytał całymi dniami. Cóż innego mógł robić?

Zaniósł Duncana do wanny.

- Nie jesteś ani trochę lżejszy — powiedział.
- A ty ani trochę silniejszy — odparł Duncan.

- To znaczy? — spytał ojciec, sadzając go w wannie.
- Jeżeli nie będziesz ćwiczyć w sali gimnastycznej, będziesz tak wyglądać — rzekł syn, wskazując na swoje chude, bezwładne nogi.

Daggett umył zęby i zaczął się golić, a Duncan się kąpał. Codziennie to samo.

- Przydałoby ci się więcej pólek, co?
- W soboty mógłbym chodzić do biblioteki.
- Mogę ci w tym pomóc — rzekł Daggett.
- Nie trzeba. Sam chcę to zrobić.
- Kiedy?
- Chcę to zrobić sam.

Daggett odwrócił się i spojrział na syna. Duncan patrzył na niego płonącymi oczami. Zaciśnął dłoń tak mocno, że mydło wyskoczyło mu z ręki. Chciał pomóc mu je złapać, ale chłopiec zatrzymał go wzrokiem. Daggett wrócił do golenia i obserwował syna w lustrze. Duncan w końcu złapał mydło, choć nie mógł go przytrzymać bezwładnymi nogami. Zaczął się nim bawić, wypuszczając je z rąk i ponownie łapiąc.

Daggett zaciął się w policzek.

— No to kiedy idziemy do biblioteki? — spytał Duncan, wciąż bawiąc się mydłem.

— Słyszę, co mówisz — odparł Daggett, co oznaczało koniec dyskusji. Zranił tym chłopca, który wyraźnie posmutniał. Zastanawiał się, jak to możliwe, że ostatnio wszystkim sprawia przykrość.

— Jeżeli ci coś obiecuję, Dunc, to możliwe, że później mógłbym tego nie dotrzymać.

— Nietrzymana obietnica jest lepsza niż żadna. Miło byłoby mieć coś, na co się czeka.

Duncan musiał rozmawiać z panią Kiyak, to nie były jego słowa.

— I nie mów, że to wina pani Kiyak — dodał Duncan.

— Użalasz się nad sobą?

— Nie — odparł gniewnie Duncan.

Widział, że chłopiec już się wykąpał i chciał go wyciągnąć z wanny. Ale Duncan go powstrzymał.

— Sam sobie poradzę.

— Ależ Dunc... — poprosił Daggett. Duncan jeszcze nigdy nie zrobił tego sam.

Nad wanną wisiał trapez, zainstalowany przez poprzednich właścicieli domu. Daggett z przestrachem, ale i z satysfakcją patrzył, jak chłopiec usiłuje podciągnąć się na rękach. Albo było to wynikiem ćwiczeń, albo determinacji, w każdym razie Duncan podciągnął się do góry, odepchnął od ściany i usiadł na krawędzi wanny. Daggett był z niego dumny. Zaszło mu w gardle. Chciał klaskać, ale zrozumiał, że to jeszcze nie koniec. Chłopiec sięgnął po ręcznik i zaczął się wycierać. Daggett bił mu brawo, ale jakoś nie tak, jak trzeba. Odgłosy z ulicy zmieszały się ze szczekaniem psa z sąsiedztwa. Daggetta zapiekły oczy. Duncan uśmiechał się do niego, choć wyglądał na przestraszonego. Daggett zaczął płakać. Sięgnął po ręcznik, żeby ukryć w nim twarz.

Levin wszedł do biura. Był zmęczony. Na ekranie telewizora jakaś ładna kobieta o wyjątkowo jasnych włosach czytała raport z nowojorskiej giełdy.

Daggett otworzył swoją walizeczkę i wyjął z niej plik papierów. Robiąc to, zauważył akta, które otrzymał od Mumforda. Ich widok przypomniał mu, że całą odpowiedzialnością obarczył Levina.

— No i jak? — spytał.

— Mosner, Sandhurst i Grady przylatują prywatnymi maszynami. Uważają, że sami za siebie ponoszą odpowiedzialność i nie chcą naszej pomocy. Nie udało mi się ich przekonać.

— To bzdura. Ich samoloty będą prześwietlone na czwartą stronę zanim odlecą, nie obchodzi mnie, co sobie myślą. I zrobimy to tuż przed startem. Na moment przed planowanym odlotem. Nie pozwolimy, żeby w ostatniej chwili ktoś wśliznął się na pokład. Nie zapominaj, że Kort — jeżeli to był on — przebrał się w Los Angeles za mechanika. Gdy samolot zostanie sprawdzony, ma od razu kołować na start. Nie będziemy się wdawać z tymi facetami w żadne rozmowy.

— Już im to powiedziałem, ale oni nie chcieli mnie słuchać. Powieździeli, że zrobią to sami.

— Niech to nam dadzą na piśmie.

— Mam to na piśmie. Mam listy od szefów ochrony trzech firm. Jesteśmy czyści.

— Głupcy.

- Przynajmniej nie musimy się nimi zajmować.
- Zostają więc samoloty pasażerskie...
- Fitzmaurice, Savile i Goldenbaum przylatują trzema różnymi rejsowymi samolotami. Linie lotnicze godzą się na twoje warunki.

Warunki Daggetta były proste: należy zastosować rygorystyczne środki bezpieczeństwa w stosunku do wszystkich trzech samolotów, a w ostatniej chwili je zamienić. Na dwie minuty przed wejściem pasażerów na pokład samolot rejsowy ma być zaciągnięty do hangaru, a przed dopuszczeniem do dalszej eksploatacji musi przeszukać go brygada antyterrorystyczna. W tym czasie należy podstawić inny samolot, przeładować bagaże i wprowadzić na pokład pasażerów.

— Więc jesteście czyści?

— W zasadzie tak, ale zorganizowanie brygad antyterrorystycznych może się przyśnić w nocy... Wszystkie prywatne samoloty i jeden rejsowy lądują na lotnisku National. Dwa inne w Dulles. Sandhurst wraca zaraz po spotkaniu, reszta zostaje dzień dłużej. Bernard zrobił dwie identyczne bomby z wysokościami detonatorami. Jego celem musi być samolot.

Levin skinął głową.

— Już to przerabialiśmy, Michigan. Nie uda mu się sabotaż żadnego z tych samolotów.

— Żaden z nich nie jest Duhningiem 959... — powiedział Daggett, właściwie tylko po to, żeby usłyszeć swoje myśli. — Cholera, to musi mieć jakiś związek z 959!

Levin milczał.

— Może celem nie jest spotkanie? Może to zbieg okoliczności? — Daggett był zły i mówił podniesionym głosem. — Jak mamy go zatrzymać, jeżeli nie, wiemy, co chce zrobić? — Zauważył, że obserwuje go Gloria. Levin chciał coś powiedzieć, ale zagryzł tylko wargi. Dobrze mieć za towarzysza kogoś kto wie, kiedy się zamknąć — pomyślał Daggett. — Myślę — zniżył głos — że powinniśmy go zatrzymać, zanim zrobi to, co zamierza. I to jest kolejny punkt: wykorzystam twój pomysł.

Levin wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego. Daggett obawiał się, że tym razem przesadził.

— Widzisz, pomimo to, że Mumford rozkazał nam zająć się bezpieczeństwem tych facetów, nie odebrał mi śledztwa w sprawie Bernarda.

To ważne, bo dzięki temu mam szersze pole manewru. Chciałbym wykorzystać jeden z pomysłów Pullmana. Ale jeżeli Pullman dojdzie do wniosku, że przeciągam strunę, odbierze mi sprawę, którą ja nazywam sprawą Bernarda, a która w rzeczywistości jest katastrofą AmAirXpress i zabójstwem w Seattle. Wczoraj, przesłuchując taśmy, dowiedzieliśmy się kilku naprawdę interesujących rzeczy. Mam nadzieję, że po załatwieniu sprawy bezpieczeństwa tych facetów Mumford pozwoli mi wrócić do śledztwa.

— Jeżeli chcesz się tym wszystkim zająć, to do czego jestem ci potrzebny?

— Muszę to przedstawić jako twój pomysł. Levin pokręcił głową.

— O co ci właściwie chodzi?

— Laboratorium ustaliło grupę krwi na podstawie śliny na niedopałkach, które znalazłem na przyjęciu — powiedział ostrożnie Daggett i zawiesił głos. Ale Levin nie wydawał się szczególnie poruszony jego słowami. — Ta sama grupa krwi była na niedopałkach z Seattle.

Levin w dalszym ciągu nie wykazywał entuzjazmu.

— To kretyństwo, Michigan. Ślina? To nie jest żaden dowód!

— Chodzi o markę papierosów, do cholery, nie o ślinę! Chodzi o połączenie marki papierosów z grupą krwi!

— Chcesz powiedzieć, że zabójca Warda był na przyjęciu? — zadrwił Levin.

— Owszem. A przynajmniej dopuszczam taką możliwość. A teraz zrobimy tak: te papierosy można kupić tylko w kilku sklepach. Już się tym trochę interesowałem. Cztery sklepy wmieście sprzedają Sobranie Black Russian. Paczka kosztuje pięć dolarów. W każdym z tych sklepów zainstalujemy naszego człowieka i będziemy czekać. Akurat w tym jesteśmy dobrzy!

Ostatnie słowa Daggett prawie wykrzyczał. Bud Togue, zwany Buldogiem, z niesmakiem uniósł wzrok znad biurka. Chciał coś powiedzieć, ale spojrzawszy na Daggetta, najwidoczniej zmienił zamiar.

— Gdy ktoś będzie chciał kupić sobranie, naszemu człowiekowi „zepsuje się kasa” i powie, że za papierosy można płacić tylko kartą kredytową.

— I w ten sposób trafimy na jego ślad? — przerwał Levin.

— Sprytny jesteś.
— A co zrobimy potem? Będziemy śledzić wszystkich, którzy je kupią?

— To zależy, ilu ludzi dostaniemy od Pullmana. Ale jeżeli ten mężczyzna lub kobieta będzie odpowiadać naszemu rysopisowi — Daggett wskazał na powiększenie kobiecej twarzy leżące na biurku — to facet za ladą zawiadomi nas i pójdzie za nim piechotą.

Levin zastanawiał się przez chwilę. — To niezły pomysł, Michigan. Podkreślam: pomysł. To sprytne, że chcemy go śledzić, używając do tego celu jego przyzwyczajień. To mi się podoba — zawahał się. — Ale nigdy nie uda ci się namówić na to Pullmana.

Daggett uśmiechnął się promiennie.

— Oczywiście, że nie. Ty go przekonasz — wyjaśnił.

Firma nazywała się Elite Estates. Atrakcyjne Posiadłości — głosił napis umieszczony przed wiktoriańskim domem. Mosiężna tabliczka nad portalem informowała, że budynek jest zabytkowy. W oknach wisiały firanki i nie można było zajrzeć do wewnątrz.

Kort wszedł do środka i minął recepcję, widząc, że recepcjonistka gdzieś wyszła.

— Puk, puk — powiedział.

Carrie podniosła wzrok znad biurka i odruchowo się uśmiechnęła. Na widok Korta jej mechaniczny uśmiech zastąpił wyraz intensywnego myślenia: skąd zna tego człowieka?

— W recepcji nie było nikogo — powiedział Kort z przesadną grzecznością. — Zobaczyłem na drzwiach pani nazwisko i...

Nie chciał jej niczego ułatwiać, chodziło o to, żeby ją nieco zdezorientować i zaintrygować. Gdy się zaczerwieniła, wiedział już, że go rozpoznała.

— Wczorajsze przyjęcie! — powiedziała.

— Oczywiście — uśmiechnął się. Miał ładny uśmiech. Gdyby go nie poznała, ich rozmowa nie przebiegłaby tak łatwo.

— Przepraszam, ale nie pamiętam...

— Carl Anthony.

— Jak udało się panu mnie znaleźć?

— Spytałem pani znajomych — skłamał. W rzeczywistości po

przyjęciu razem z Monique śledzili ją do domu, a dzisiejszego dnia — do pracy.

Popatrzył na nią uważnie. Miała dużo wdzięku. Nie porażała seksem jak Monique, wyglądała o wiele poważniej. Ubrana była w niebiesko-białą męską koszulę, na szyi migotał złoty łańcuszek. Szminka poszerzała jej usta. Wyraz oczu świadczył o inteligencji i zaciętości. Musiała być bardzo ambitna.

Wystrój biura podkreślał jej kobiecość. Na ścianach wisiały pastelowe pejzaże, a w całym pomieszczeniu unosił się zapach lawendy. A może to ona tak pachniała? Ten zapach go rozluźnił. Przez okno padały promienie słońca i Kort pomyślał, że gdyby wybudował dla siebie dom, to właśnie tak by go urządził. Przy porannej kawie czytałby gazety i należałoby do niego właśnie taka istota: czytająca kobiece pisma, nucąca pod nosem i uroczo chichocząca.

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedziała nieco zawstydzona. — Czym mogę panu służyć?

— Szukam domu — wyjaśnił — i pomyślałem sobie: dlaczego miała-by zajmować się tym osoba, której wcale nie znam? Zdecydowałem się połączyć przyjemne z pożytecznym.

— To miło z pana strony — odparła. Uśmiechnęła się, ale zauważył, że uśmiech nie był szczery. — Chce pan coś kupić, wynająć?

— Wczoraj wieczorem było bardzo miło... — rzekł, siadając w fotelu. — Rzadko bywam na przyjęciach.

— Pan wybaczy, nie pamiętam, czym się pan zajmuje... Ja., ja chyba wczoraj troszkę za dużo wypiałam...

— Dostarczam jedzenie do samolotów — uśmiechnął się. — Te obrzydliwe kanapki, które dostaje pani w samolocie. Moja firma chce robić lepsze i wejść na wasz rynek.

— Ach, oczywiście, już sobie przypomniałam. Pan jest szpiegiem. To go otrzeźwiło.

— Właśnie.

— I doradza pan jakiejś waszyngtońskiej firmie, tak?

— Tak, ma pani znakomitą pamięć! Właściwie jest na odwrót. To oni nam doradzają.

— I jest pan z...

— Z Europy — odparł wykrętnie. — W 1992 roku tak odpowiadam na to pytanie.

Miał wrażenie, że podoba jej się ta rozmowa.

— W Europie nastąpiły ciekawe czasy.

— Z pewnością.

— Więc co mogę dla pana zrobić?

Miała na myśli wynajęcie dla niego domu lub mieszkania. Kort wiedział o tym, ale jego myśli zaczęły biec w innym kierunku. Ten pokój był zbyt przytulny, żeby mówić w nim o interesach. Rozluźnił się; ta kobieta może okazać się pomocna na wiele sposobów... Najważniejsze były klucze do domu Daggetta, ale teraz przyszedł mu do głowy i inne możliwości. Kobieta cierpliwie czekała na jego odpowiedź.

— Chciałbym wynająć dom na pół roku, a może nawet na dłużej. Czy mogłaby mi pani pomóc? — spytał. Powiedział „pół roku”, aby uznała go za dobrego klienta. — Najchętniej gdzieś tutaj, w Wirginii. Blisko lotniska National, ale na tyle daleko, żeby nie było słychać samochodów ani samolotów. Muszę panią ostrzec, że jestem pedantem, a może nawet nieszkodliwym wariatem. Mam szczególne wymagania, dotyczące nie tylko domu, ale i ogrodu. Szukam domu z ogrodem. Strzyżenie trawy nie należy do moich ulubionych zajęć, ale uwielbiam ogrody! Kwiaty, drzewa, warzywa... wszystko. Oczywiście pod warunkiem, że sam mogę się tym zajmować...

Grał na zwłokę, wciąż nie wiedząc, jak dobrać się do jej torebki. Data spotkania była w terminarzu w walizeczce Daggetta i musiał jak najprędzej zdobyć tę informację. Miał przed sobą trudne zadanie. Celem ataku pozostawał Mosner i firma Eisher-Works.

Zaśmiała się. Spodobał mu się jej śmiech i pragnął znów go usłyszeć.

— Widzę, że mamy ze sobą dużo wspólnego — powiedziała. — Ja także uwielbiam ogrody i chyba wiem, czego pan szuka. Co nie znaczy, że to nam ułatwi znalezienie domu... — Zaczęła przerzucać kartki. — Będziemy musieli wyruszyć na polowanie... — Podniosła wzrok znad notesu. — Jesteśmy znani z tego, że nasi klienci zawsze są zadowoleni.

— Z pewnością tak jest. Mam dużo czasu — powiedział. — Nie ma żadnego pośpiechu.

Kłamstwa, jedno po drugim... Tak się do nich przyzwyczaił, że nie zwracał już na nie uwagi.

Kobieta znów się zaśmiała. Gdyby mógł nagrać ten śmiech...

— Niech się pan nie martwi. To nie potrwa bardzo długo...

— Wcale się nie martwię — zapewnił z uśmiechem.

Miała czerwonego forda taurusa. Wnętrze wykończono pluszem, i wyposażono we wszystkie możliwe dodatki. Samochód przypomniał mu Rogera Warda.

To tym samochodem Daggett jechał poprzedniego dnia. Do Korta dotarło, że znajduje się na terytorium wroga i że porusza się po niepewnym gruncie, choć wcale nie miał takiego wrażenia. W towarzystwie tej kobiety czuł się dobrze i bezpiecznie. Przyjrzał się jej jeszcze raz. Męska koszula włożona była w spódniczkę w kolorze khaki. Miała nieopalone uda i nosiła brązowe buty. Zdał sobie sprawę, że kobiety w samochodach to jego fetysz. Chciał dotknąć jej ud, wsunąć dłoń pod spódnicę... A może należało najpierw rozpiąć bluzkę?

Czy pociągała go jej bezradność? Uległość? A gdyby związał ją na łóżku, naga? Tak, aby w każdej chwili mogła się wyswobodzić, ale żeby udawała bezbronną?

— O czym pan myśli? — spytała. Od dziesięciu czy piętnastu minut jechali przez niewielkie laski pomiędzy osiedlami. Stanęli przed żółtobiałym domkiem, którego komin obrośnięty był dzikim winem. Przypominał domki na południu Francji. Kort miał ochotę tam wejść i już nigdy nie wychodzić.

— Chętnie zobaczyłbym, jak wygląda w środku — powiedział, obawiając się, że wewnątrz mu się spodoba. — Ale wydaje mi się, że ogród jest zbyt mały. Uroczy, to prawda, ale... Zajrzyjmy do środka, nie chciałbym podejmować pochopnej decyzji...

Kobieta ruszyła pierwsza. Spodziewał się, że w tak małym domku będzie mniej pokoi. Zerkał na jej torebkę, wciąż nie mogąc dobrać się do kluczy. Poprosił, żeby obejrzeliby jakiś inny dom.

Przy trzecim domu kobieta nie była już spięta i chętnie z nim rozmawiała.

Dom miał czarne okiennice, duże okna i piękny ogród z ogródkiem skalnym. Oglądali właśnie sypialnię, on wyglądał przez okno, a ona z notesu odczytywała informacje o wyposażeniu domu.

Nagle Kortowi zamarło serce. Ten dom nie różnił się specjalnie od tego, w którym mieszkał z żoną. Powróci ból i poczucie samotności. Gdyby nie EisherWorks Chemicals nadal mieszkaliby tam razem z dzieckiem... Przypomniał sobie, jak do drzwi zapukał inspektor Michael Sharpe i odmienił jego życie...

To był dom, prawdziwy dom. A może należało zamknąć w nim Caroline i spędzić tu resztę życia, Kochając się z nią i pracując w ogrodzie?

Caroline podeszła do wazonu z kwiatami i ułożyła je według kolorów. Mówiła coś, ale on nie rozumiał słów. Była kobietą jego wroga: czy to nie stanowiło dodatkowej podniety? Stali teraz przy łóżku i Kort słyszał jej oddech. Czy nie był to najlepszy sposób, żeby zdobyć klucz? Gdyby sam go wziął, powiedziałaby o tym Daggettowi, a on zmieniłby zamek. Ale gdyby ona sama dała mu ten klucz?

— No i co pan myśli? — spytała.

— Pięknie — odparł. — Umie pani pięknie układać kwiaty.

— Chodzi mi o dom.

— Aa, dom. Jest śliczny. Ale o wiele za duży jak dla samotnego mężczyzny, prawda? Może obejrzymy ogród?

Wyszli na zewnątrz. Przyglądała mu się bacznie, zwłaszcza wtedy gdy schylał się, by odłamać jakąś uschniętą gałązkę czy łodygę.

— Grządkami zajmujemy się raz na dwa tygodnie — wyjaśniła. — Wyglądałyby lepiej, gdyby ktoś doglądał ich częściej. Właściwie wszystkie rośliny wymagają troskliwej opieki i częstszego podlewania. Potrzebują pana...

— Obawiam się, że przeze mnie traci pani cenny czas — powiedział ze szczerą troską w głosie. Niczego nie pragnął. Chciał tylko oglądać domy w jej towarzystwie, chodzić po ogrodach i wyobrażać sobie, jak by to było, gdyby się kochali.

— O nie, nie tracę. Nie powinien pan tak mówić, panie Anthony...
— Carl.
— Znalezienie odpowiedniego domu to moja praca. Nie żartowałam, mówiąc o zadowolonych klientach...

Doszli do skalnego ogródka. Był piękny, najpiękniejszy ze wszystkich, jakie Kort do tej pory widział.

— Brakuje mi spokoju takich ogrodów... — westchnął.
Caroline obserwowała, jak mężczyzna wpatruje się w grządki.

— Był pan... Byłeś żonaty?

Skinął głową ze smutkiem.

— Masz dzieci?

— Jedno.

— Gdzie ono teraz jest?

Mężczyzna schylił się, podniósł grudkę ziemi i upuścił ją z powrotem. Zaczęły go szczypać oczy i zrobiło mu się wstyd. Już od dawna za nimi nie tęsknił. Zapadła długa cisza.

— Nie miałam prawa pytać — szepnęła.

— Oczywiście, że miałaś... — odparł. — Ale nie mam ani psa, ani kota — powiedział opryskliwie, żeby zmienić temat.

— Ależ ja nie powiedziałam tego w związku z wynajęciem domu.

— A może obejrzymy jeszcze jakiś? Ten mi się bardzo podoba, ale jest zbyt duży, choć jest najładniejszy z tych, które dotychczas widzieliśmy.

— To prawda, dom jest zbyt duży jak na jedną osobę. Idziemy?

Wskazał na ławeczkę w cieniu, wyjął paczkę cameli i poczęstował ją. Monique obiecała kupić sobranie i nie mógł się tego doczekać. Caroline odmówiła, ale pokusa była zbyt silna i już po chwili wyjęła z torebki własne papierosy,

— To okropny zwyczaj — powiedziała, przerywając ciszę.

— To prawda.

— Ale ja to lubię.

— Ja też.

Zachichotała.

— Obiecałam sobie, że to ostatnia paczka. Potem znów rzucam palenie.

— Jesteś silniejsza ode mnie.

— Wątpię. W tej chwili czuję się dziwnie słabo... — powiedziała cicho.

Mogę ją teraz pocałować, pomyślał. Wydawało mu się, że ona też tego chce, ale bał się, że wszystko popsuje. Nie tylko swoje plany, ale także spokój tej chwili. Bo ta chwila, spędzona pośród kwiatów i drzew, w towarzystwie pięknej kobiety, znaczyła dla niego tak wiele...

18

Monique zaparkowała samochód przy K Street, trzy przecznice za sklepem tytoniowym. W poprzednim nie udało jej się kupić papierosów sobranie, ale sprzedawca polecił jej sklep przy K Street.

Oferowano tu zarówno wyroby tytoniowe, jak i wina. W środku unosił się przyjemny zapach drzewa sandałowego, nasycony tytoniem z cygar i papierosów.

Sprzedawca zupełnie nie pasował do wystroju wnętrza. Monique spodziewała się starszego, siwiejącego pana w okularach, a za ladą stał trzydziestoletni, bardzo dobrze zbudowany mężczyzna, który nie wyglądał na palacza. Może był studentem, dorabiającym sobie pracą w sklepie?

— Poproszę karton papierosów sobranie.

— Karton? Sprzedajemy je tylko na paczki — zdziwił się sprzedawca.

— W takim razie poproszę dziesięć paczek — powiedziała zła. — Na pewno ma pan te papierosy, Sobranie Black Russian?

— Oczywiście. — Mężczyzna schylił się, otworzył niewidoczną dla Monique szufladę i wyjął z niej dziesięć paczek papierosów.

Nabazgrał coś na kawałku papieru i wyciągnął kalkulator. — Pięćdziesiąt cztery dolary.

— Niestety, nie mam żadnych drobnych — dodał widząc, że kobieta podaje mu trzy banknoty dwudziestodolarowe. — Kasa się zepsuła i nie mogę jej otworzyć. Jeżeli to pani nie sprawi różnicy, może pani zapłacić kartą kredytową.

Monique schowała pieniądze do torebki i wyjęła kartę kredytową.

— Poproszę jeszcze o numer pani telefonu — rzekł po chwili mężczyzna, zwracając jej kartę.

Monique podpisała rachunek. Miała wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Mężczyzna podał jej niezdarne oddartą dolną część rachunku i uśmiechając się włożył papierosy do torby.

Nie waż się tego mówić, pomyślała Monique, ale on widocznie nie umiał czytać w myślach.

— Przyjemnego dnia — powiedział.

— Nawzajem — burknęła Monique, wychodząc ze sklepu.

Światło było czerwone, ale Daggett rozejrzał się na boki i przejechał skrzyżowanie.

— Jesteś pewien? — spytał Levina, któremu najwyraźniej nie odpowiadał styl jazdy Daggetta.

— Wiemy już, że karta kredytowa należy do Maryanne Lyttle. Gdyby tę kobietę ubrać w szal i ciemne okulary, mogłaby wyglądać jak dziewczyna z twojego portretu. Wiemy także, że kupiła papierosy sobranie. Nasz człowiek zaczął ją śledzić, bo poszła na piechotę.

Minęli kolejne dwie przecznice. Levin, który bacznie przyglądał się przechodniom, krzyknął:

— Stój, to on! — i wyskoczył z samochodu.

Daggett przez szybę obserwował krótką rozmowę Levina z mężczyzną. Po chwili Levin znów był w samochodzie.

— Straciliśmy jakieś dwie, trzy minuty. Czerwone BMW sępi 300, z waszyngtońskim numerem rejestracyjnym AJ-trzy-dwa- i coś tam jeszcze. Nie udało mu się odczytać całego numeru, bo zgubił ją w ruchu ulicznym.

— Cholera jasna, dwie, trzy minuty, co? — Daggett dodał gazu. Przez kilka minut prowadził tak, jak gdyby zamierzał popełnić samobójstwo, przejeżdżając skrzyżowania na czerwonym świetle i wyprzedzając wszystkich z lewej i z prawej. Gdy cudem uniknęli śmierci pod kołami olbrzymiej ciężarówki, Daggett zaczął tracić nadzieję.

— Spieprzyłem tę robotę, plan był źle przemyślany. Powinniśmy byli dać do sklepów co najmniej po dwie osoby.

— W takim razie to moja wina, bo Pullman nie chciał mi dać tylu ludzi — powiedział Levin.

Daggett zatrzymał się na czerwonym świetle i przymknął oczy, próbując się uspokoić.

— Mamy numer telefonu i kawałek numeru rejestracyjnego drogiego i rzadko spotykanego samochodu.

— Jeżeli myślisz, że to naprowadzi nas na jej ślad, to znaczy, że zwaśniowałeś.

— Nie bądź tego taki pewien, Michigan. Pamiętasz kolczyki? Ona może być amatorem.

W papierach Petera Drake'a panował idealny ład. Taki porządek na biurkach to cecha chłopców z kontrwywiadu. Do CI-3 przychodzili ludzie po najlepszych uniwersytetach. Mówili prawie nie poruszając wargami, nosili białe koszule, szkolne krawaty i szelki. Pili czarną kawę i scotcha. W soboty grywali w tenisa lub żeglowali łodziami niegdyś należącymi do ich rodziców. Mieli ładne, inteligentne, dobrze ubrane żony.

Drake był wysokim brunetem. Władał dziewięcioma językami i miał trzy fakultety. Wstał z krzesła, podał Daggettowi rękę i usiadł z powrotem.

— Wydaje mi się, że dzięki aktom znalezionym w siedzibie „Der Grund” potrafimy zidentyfikować tę tajemniczą kobietę.

— Tak?

— Wygląda na to, że mamy do czynienia z osobą, która nazywała się Monique de Margerie.

— Co o niej wiemy?

— Wszystko. Ten Michael Sharpe trzymał akta wszystkich swoich ludzi, choć był na tyle ostrożny, że nie ma w nich nic, co pozwalałoby na jednoznaczną identyfikację. Dlatego, choć to bardzo prawdopodobne, nie mogę być w stu procentach pewien, że to o nią chodzi. Nie miała przyjemnego dzieciństwa. Wychowała się w bogatej, francuskiej rodzinie; jej ojciec był wydawcą. Kilkakrotnie uciekała z domu. Była prostytutką, narkomanką, a później kurierem króla narkotyków. Kursowała

regularnie pomiędzy Szwajcarią a większością europejskich stolic.

— De Margerie została „aresztowana” przez Sharpe'a, przywódcę „Der Grund”, gdy ten pracował jeszcze w policji. Dopiero teraz cała historia wyszła na jaw; Sharpe dokonał wielu „aresztowań”, o których jego przełożeni nic nie wiedzieli. „Nawrócił” tę dziewczynę. Stała się jego kurierem. Wielu ludzi łożyło pieniądze na „Der Grund”, niektórzy dobrowolnie, inni byli szantażowani. De Margerie dostarczała te pieniądze do Szwajcarii i Niemiec. Trudno powiedzieć, jakie sumy wchodziły w grę, ale wstępnie można je oszacować na wiele milionów dolarów.

— Dwa lata temu De Margerie wyjechała z Niemiec do USA, używając paszportu na nazwisko Cheysson — ciągnął Drake. — Najwidoczniej Sharpe miał zamiar „uśpić” ją w USA jako swojego agenta; dziewczyna zaczęła pracować w firmie cateringowej In-Flite Foods, dostarczającej jedzenie różnym liniom lotniczym — Drake zastanawiał się przez chwilę, czy powiedział już wszystko.

— Coś jeszcze?

— Niestety, reszta to same zagadki. Wielu rzeczy moglibyśmy się dowiedzieć z dokumentów zebranych podczas obławy, ale rozumiem, że zależy panu na pośpiechu.

— Owszem.

— Ta kobieta poleciała do Frankfurtu dwa dni przed zamachem na 1023.

Daggett wstrzymał oddech i zamarł w fotelu.

— Czy to ona jest Kortem?

Drake przecząco pokręcił głową.

— Właśnie dlatego powiedziałem, że mamy tu same zagadki. Z akt można się dopatrzeć istnienia grubej ryby, czyli najprawdopodobniej Korta, a ona jest tylko płótką. Kimś pomiędzy kierowcą a kurierem.

— Czy dostarczyła coś do Los Angeles?

— Możliwe.

— Detonator Bernarda?

— Niewykluczone.

— Ale to, zdaje się, pana nie interesuje? — zauważył Daggett.

— Oczywiście, że interesuje, ale uważam za ważniejszy fakt, że we

Frankfurcie była płotką, a tutaj najprawdopodobniej jest kierowcą Korta — Drake przerwał, dając mu czas na zastanowienie.

Myśli Daggetta tak goniły, że nie potrafił sklecić ani jednego zdania.

— Oni pracują zespołowo. Kobieta przebywała tu od dwóch lat czekając na rozkazy. Nie jest wykluczone, że brała udział w zamachu na AmAirXpress 64. Niemcy złapali wszystkich członków „Der Grund”, z wyjątkiem Korta. Więc, gdyby pracował pan w wywiadzie, jakie wyciągnąłby pan wnioski? Powiem panu, co myślę. Myślę, że człowiekiem, którego pan szuka jest...

— Anthony Kort — wyrzucił Daggett jednym tchem.

Teraz był już pewien, że jego serce przestało bić.

Przez kilka godzin jeździł po mieście bez celu, nie wiedząc, dlaczego to robi. Anthony Kort. To nazwisko sprawiało, że odczuwał jednocześnie strach i podniecenie. Bał się, że Kort zrealizuje swój plan, a on zostanie z pustymi rękami. Bał się także, że — gdy będzie miał ku temu okazję — zastrzeli Korta, zamiast go aresztować.

Jeździł od baru do baru, a gdy postanowił wracać do domu, był już pijany. Z trudem zauważył znak drogowy wskazujący zjazd z mostu i chciał tam pojechać, ale jego ramiona same skreśliły kierownicę w drugą stronę.

Po chwili zorientował się, gdzie jest: był to dom, w którym mieszkała i pracowała Carrie. Duży, osiemnastowieczny pałacyk z ogrodem pełnym rododendronów. Rosły tu także drzewa owocowe: wiśnie, jabłka i brzoskwinie. W świetle księżyca budynek wydawał się większy niż za dnia. Daggett siedział za kierownicą i wpatrywał się w księżycową poświatę...

Carrie była kobietą, która już tyle razy go uratowała... Umiała słuchać, wiedziała, jak wyciągać z niego to, o czym bał się rozmawiać. Była jego spowiednikiem, sumieniem, terapeutą...

Ale ostatnio była jego wrogiem, przypominał sobie z trudem, bo wypity alkohol utrudniał koncentrację.

A co by było, gdyby nie chciała z nim rozmawiać? Gdyby akurat nie była w nastroju do wybaczenia? Gdyby chciała się z nim kłócić?

Potrzebował jej. Widział z samochodu żółtawe światło w łazience.

Czuł zapach jej perfum, jej snu. Słyszał, jak spokojnie oddycha. Pragnął tego wszystkiego. Ale za jaką cenę?

Włączył bieg i odjechał. Bez celu. Przy wąskich uliczkach stały siedziby warte miliony dolarów. Świat jest tak niesprawiedliwy...

Dotarł do Beltway i jechał dalej. Włączył radio; nie słuchał wiadomości WDCN, nastawił odbiornik na muzykę klasyczną. Chciało mu się płakać...

Długo pukał do drzwi.

Lynn Greene była ubrana w sięgającą do kolan koszulkę T-shirt. Powitała go nieskończenie przyjaznym spojrzeniem i skinęła głową. Daggett wszedł do środka. Był zdenerwowany i wystraszony. Lynn zarygłowała drzwi i objęła go. Na karku poczuł jej lzy, lzy szczęścia.

— Tak się cieszę, że wreszcie przyszedłeś... — szepnęła.

19

W poniedziałek Kort pojawił się w biurze Caroline. Bał się tego spotkania. Weekend spędził odpoczywając, myśląc i bacznie śledząc wiadomości podawane przez CNN. Grek powiedział, że data spotkania została ustalona, po czym przesunięto ją co najmniej o tydzień naprzód. Znaczyło to, że spotkanie nie mogło się odbyć aż do piątku, czyli do 21 września. Kort potrzebował informacji ukrytych w teczce Daggetta, musiał znać dokładną datę. Chodziło o głowę Hansa Mosnera.

W ciągu ostatnich dwóch dni zupełnie zmienił zdanie o Monique. Zachowywała się jak duże dziecko, a nie dorosła kobieta; zależało jej tylko na seksie. Nie miała w sobie głębi. Kwiat był dla niej jedynie narzędziem w rękach mężczyzny usidlającego kobietę. Caroline była tak inna: delikatna, subtelna... Wiedziała, jak łączyć kolory i zapachy. Jeszcze kilka dni temu jej twarz nie zaprzętała jego uwagi. Teraz widział ją bez przerw.

Wchodził na górę po schodach, chowając za sobą dwa tuziny irysów. Poprosił recepcjonistkę, która na widok bukietu wydała cichy jęk, żeby nie zawiadamiała Caroline o jego przyjeździe i wiedział już, że Caroline będzie zachwycona.

Rzeczywiście była.

Drugi dom, który pokazała mu tego dnia, znajdował się w pobliżu jej własnego domu.

Był wprawdzie malutki, a kuchnia mogła przyprawić człowieka o klaustrofobię, ale Caroline pomyślała, że przyjemnie byłoby mieć takiego sąsiada. Nie wspomniała, że mieszka tuż obok, choć starała się podkreślić zalety domku.

— Podoba mi się to — rzekł Kort, wskazując na sufit — że alarm przeciwpożarowy połączony jest ze strażą pożarną. Poza tym jest tu telewizja satelitarna, ponad czterysta kanałów.

Dokładnie przyjrzał się domkowi, ale w końcu powiedział grzecznie, że jednak nie.

Do trzeciego domu dotarli o pół do drugiej. Kort namówił ją na lunch w chińskiej restauracji. Jedzenie kazali sobie zapakować na wynos i rozsiedli się na trawniku przed białym domkiem w stylu kolonialnym. Po drugim kieliszku wina Kort prawie całkiem zapomniał o kluczach, o tym, że szuka domu, o Mosnerze i spotkaniu.

— Opowiedz mi o swojej żonie — poprosiła. — Mówiłeś, że masz dziecko, prawda?

Powinien był wymyślić byle jaką historię, która nie miałaby żadnego związku z rzeczywistością. Ale Kort milczał i tylko dolał wina do kieliszków.

Po chwili zaczął mówić. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiał, toteż jej pytania pozwalały mu inaczej spojrzeć na swoje życie. Chętnie poddawał się takiemu osądowi, jednocześnie zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Ale chwile spędzone z tą kobietą były tego warte...

Carrie zastanawiała się, jak w tak krótkim czasie mogła zainteresować się zupełnie obcym mężczyzną. Nie czuła się tak już od wielu lat: gdy Carl na nią patrzył, przechodziły ją fale gorąca i serce zaczynało bić szybciej. W głowie leżały jakieś fantazje o miłości, o seksie. Było tak, jak mówiła Anna. Czyżby pociągała ją jego pewność siebie? Obcy akcent? Zagadkowe spojrzenia? Czy uwaga, jaką poświęcał jej gestom i słowom? Kwiaty? Śmiech? A może pociągały ją te tajemnicze oczy?

Gdy zaczął mówić o żonie, jego głos stał się bardziej gardłowy. Była młodą studentką; ładną, inteligentną i żądną wiedzy. Carrie nie chciała mu przerywać. Mówił, jakby był w transie, który i jej się udzielił.

Wyobrażała sobie, jak tulą się do siebie, jak się kochają... Czy on także tego chciał?

Nagle urwał i zapanowała cisza.

— Nasze dziecko... — zaczął, ale nie mógł skończyć. Zapalił papierosa. Zrozumiała, że chciał powiedzieć coś innego. Była tego pewna.

— ... urodziło się martwe. Ona... nie wytrzymała tego...

Kłamał, ale dlaczego? Postanowiła przyjąć to wyzwanie. Prawda była ukryta w nim gdzieś głęboko; należało mu pomóc wyzwolić się z tego, co go dręczyło. Wiedziała już, że zostaną kochankami. Przy czwartym domu zdobyła się na odwagę.

— Nie mam nic przeciwko temu — zaczęła — to nawet bardzo przyjemne. Ale czy ty naprawdę chcesz wynająć dom, czy też chodzi ci o coś innego?

Przyglądała mu się uważnie. Byli w kuchni. Ten dom zrobił na nim największe wrażenie ze wszystkich, jakie dotychczas widzieli.

— Zjesz ze mną kolację dziś wieczorem? — spytał. — Proszę!

Caroline zawahała się, a on dodał:

— Porozmawiamy o warunkach wynajmu domu.

— Domu...? Którego domu?

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

— Nie.

— „Nie, nie odpowiedziałam” czy „Nie, nie chcę z tobą zjeść kolacji”? — spytał.

— Nie, nie odpowiedziałam.

— Więc zjesz ze mną kolację?

— Nie. Ja... to znaczy...

Stał zbyt blisko. Jej serce biło tak mocno... bała się, że on to usłyszy.

— Niezbyt dobrze się czuję po tym winie...

Miała nadzieję, że obróci to w żart, jak to czasem robił, ale on milczał. Najwidoczniej nie miał zamiaru się odezwać, dopóki Caroline nie odpowie na jego pytanie.

— Jestem z kimś, Anthony... — wyznała z determinacją i od razu pożałowała, że to powiedziała. Ale była z siebie dumna, że przynajmniej się na to zdobyła.

— Ten facet z przyjęcia? — spytał Carl. — Jak on się nazywa? Dader?

- Daggett. Tak, to on.
- I on z tobą pracuje?
- Nie — zaprzeczyła. Czują, że Carl nie da za wygraną.
- Zaprosiłem cię na kolację, Caroline. Na spotkanie, którego celem będzie ustalenie warunków wynajmu domu. Przecież wszyscy musimy jeść, prawda? Czy ten Daggett nie chce, żebyś jadła?

Zaczerwieniła się, nie wiedziała, co powiedzieć. Czyżby go nie zrozumiała?

Wymienił nazwę restauracji i godzinę.

- Najpierw będę musiała sprawdzić...
- Będę czekał o ósmej. O ósmej — powtórzył. — Świetnie, no to jesteśmy umówieni. A teraz — powiedział, biorąc ją pod ramię i patrząc jej prosto w oczy — pokażesz mi sypialnię, dobrze?

20

Francuska restauracja znajdowała się przy K Street, w pobliżu skrzyżowania z Connecticut Street. Jej wnętrze było bezpretensjonalne, ale z pewnością można było tu spędzić romantyczny wieczór przy świecach, z nastrojową muzyką w tle.

Carrie spóźniła się, ale Kortowi najwidoczniej to nie przeszkadzało.

Zastanawiał się, co zamówić.

Stała nad nim i chrząknęła. Podniósł wzrok. Moja Caroline, pomyślał. Zerwał się z krzesła, o mało co nie przewracając szklanki z wodą.

— *Enchanté* — powiedział, ujmując jej chłodną dłoń i muskając jej policzek ustami. — Jesteś niezwykle piękna.

Caroline była ubrana w granatową bluzkę i kremowe spodnie z szerokim czarnym pasem. Pod jedwabiem bluzki widać było zarys jej piersi.

Carl odprawił kelnera i sam podsunął jej krzesło, schylając się przy tym tak, aby poczuć jej perfumy. Owiał go świeży zapach gardenii.

— Dobry wieczór, Carl — zarumieniła się. — Zdaje się, że ci przeszkodziłam. Myślałeś.

— Nie, ale skąd — skłamał, sadowiąc się na krześle. — Nic nie jest tak ważne jak spotkanie z tobą — dodał i tym razem była to prawda.

— Wyglądałeś bardzo poważnie — powiedziała i Anthony vel Carl nie był pewien, czy Caroline mówi to serio.

— Bałem się, że nie przyjdiesz — odparł. — To przecież poważna sprawa.

Uśmiechnęła się do niego. Kort ponownie odprawił kelnera, który tym razem usiłował podać Carrie menu.

— Czy jest coś, czego nie lubisz jeść? — zostawił jej kilka chwil do namysłu. — Mów szczerze, bo w przeciwnym razie kolacja nie będzie ci smakować.

— Chcesz zamówić za mnie?

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu...

— Oczywiście, że nie.

— Nie powiedziałaś jeszcze, czego nie lubisz...

— Nie lubię egzotycznych mięs. Krewetek nie jadam z zasady bo wiem, jak podstępnie się je łowi. Nie jadam także cielęciny, bo również na ten temat słyszałam okropne historie. Poza tym powinnam cię od razu ostrzec, że dość łatwo daję się przekonać do różnych rzeczy...

— Ja też. Zwłaszcza gdy chodzi o ciebie... Napijesz się czegoś? Może wina?

— A ty czego się napijesz?

— Mówimy o tobie.

— Może być wino.

— Czerwone czy białe?

— Ty zamawiasz kolację, więc wybór należy do ciebie.

Carl zdecydował się na wino kalifornijskie Silver Oak Cabernet, rocznik 1985. Zamówił też olbrzymią sałatkę i pieczeń baranią.

W połowie kolacji Carrie znów spróbowała skierować rozmowę na temat przeszłości Carla. Ale on nie chciał o tym mówić.

— Sądzę, że wynajmę dom, który ostatnio oglądaliśmy — zmienił temat. — Przedtem jednak chciałbym, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, jeszcze raz wstąpić do tego biało-żółtego domku, który oglądaliśmy pierwszego dnia. Wtedy podejmę decyzję. Masz jutro czas?

Caroline sięgnęła do torebki i wyjęła kalendarzyk. Kort nie był

pewien, czy posmutniała dlatego, że zaczęli mówić o interesach. Umówili się na następny dzień.

— Nielatwo robi się z tobą interesy — zauważyła.

— Ostrzegalem cię, że jestem dziwakiem.

Z widelca kapnęła kropelka sosu i wylądowała na bluzce Carrie. Kort spostrzegł to pierwszy. Pochylił się do przodu, powoli wysuwając palec. Dawał jej czas, żeby sama wytarła bluzkę.

— Sos — powiedział, dotykając jej piersi dłużej niż było to konieczne, po czym rozparł się na krześle i oblizał palec.

Carrie poczuła przechodzącą od piersi aż po czubki palców falę gorąca. Jej sutki stwardniały i pomyślała z ulgą, jak to dobrze, że ma na sobie stanik. Ten człowiek zachował się niegrzecznie. Nieprzyzwoicie!

Ale chciała, żeby zrobił to jeszcze raz...

Uśmiechał się do niej. Miał taką minę, jakby czytał w jej myślach. Przeżona, usiłowała wstać z krzesła.

— Czy mogę cię przeprosić? — spytał.

— Carl... Chyba muszę już iść... — usłyszała swój głos.

Nigdzie nie chciała iść. Czua się tak, jak gdyby ktoś zmuszał ją do czytania podsunętego pod nos tekstu.

— Caroline, proszę cię, zostań.

— Carl...

— Proszę cię, usiądź. Będę się zachowywał jak gentleman. Nie chciała tego powiedzieć, ale usłyszała, jak wypowiada te słowa:

— Nie chcę, żebyś był gentelmanem.

Zrozumiała, że nie ma wyboru. Obróciła się na pięcie i wybiegła z restauracji. Co się ze mną dzieje? — myślała.

Nie oglądała się za siebie. Gdy wychodziła, kelner nisko się jej ukłonił. Czua, że Carl podąża za nią. Idź sobie! — pomyślała.

Wyszła na ulicę. Na szczęście jej samochód nie stał daleko. Ruszyła w jego stronę, szła coraz szybciej.

Na jej ramieniu spoczęła dłoń Carla.

— Co robisz? — usłyszała.

Carl pocałował ją w usta. Nie broniła się, nie chciała się bronić. Pocałowała go.

Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że to nie było w porządku, ale nie

chciała mu przyznać racji. Była niełojalna wobec Cama? Cam na me innego me zasłużył!

— Nie możemy tego zrobić — powiedziała niepewnie, robiąc krok w tył.

— Nie możemy? Spójrz na siebie — rzekł, trzymając ją za ramiona. — Spójrz na nas! Czy chodzi o interesy? Czy to jest przyjaźń? Jesteśmy sobie potrzebni, Caroline. Udawanie niczego nie zmieni i...

— Nie! — przerwała mu ostro, robiąc jeszcze jeden krok w tył. Był jej klientem, nikim więcej. Takie zasady obowiązywały w jej firmie. A może nie był nawet klientem? Przecież nie podpisał czeku... Kim on właściwie był? Jak mogła tak szybko zadurzyć się w nieznanym? To trwało przecież tylko kilka dni... Nienawidziła się za to.

— Nie zatrzymuj mnie, Carl — zażądała, otwierając drzwi samochodu, ale w duszy pragnęła, żeby ją zawołał. Nie chciała, żeby ich rozstanie wyglądało w ten sposób...

— Będę tam jutro — powiedziała czując, że Carl stoi tuż za nią.

— Nie przeproszę cię, jeżeli tego nie chcesz...

— Nie, nie chcę — przyznała i dodała w myślach: dobrze wiesz, czego chcę...

Milczał. Carrie czuła frustrację. Powiedzieć coś tak głupiego! Miał nad nią przewagę. To ją przerażało i podniecało zarazem.

— No, to do jutra.

Usłyszała, że odchodzi.

— Dziękuję za kolację — powiedziała nieswoim głosem. Chciała się odwrócić i błagać, żeby jej tak nie zostawiał. Ale gdy wreszcie się na to zdobyła, jego już nie było.

To w ogóle nie było racjonalne. Carl wzbudził w niej pożądanie, któremu nie mogła się oprzeć. Była zła na Cama. Czy miał wyrzuty sumienia, czy nie, należało go ukarać.

Zapukała do drzwi, po czym wyjęła klucz i otworzyła je. Cam, ze słuchawkami na uszach, leżał na kanapie; na stole stała szklanka z resztką scotcha. Miał zamknięte oczy i Carrie bez trudu wyobraziła sobie, że jeszcze przed chwilą był zatopiony w VII symfonii Beethovena. Słyszała muzykę dochodzącą ze słuchawek.

Wydawał się zdziwiony jej obecnością. Czyżby nie widzieli się już tak długo? Nie mogła sobie przypomnieć... Zsunął słuchawki.

— Gdzie jest Duncan? — spytała Carrie.

— Leży w łóżku — Cam sięgnął po scotcha.

— To dobrze — rzekła Carrie, odpinając guziki bluzki, zdejmując pasek i kierując się do sypialni.

— Carrie? — powiedział niepewnie Cam, ruszając za nią, zupełnie jak Carl. Wszedł do sypialni, zamknął drzwi i zgasił światło. Carrie słyszała, jak się rozbierał. Nie chciała, żeby ten mężczyzna był Camem. Chciała, żeby wszystko poszło możliwie szybko, ale tak, żeby miała z tego jak najwięcej rozkoszy.

Wciągnęła go do łóżka.

— Carrie? — powtórzył zdziwiony i zdezorientowany. To dobrze, taki właśnie powinien być.

Nie, nie jestem już Carrie, myślała. Nie była pewna, kim jest. Usiadła na nim i nie pozwoliła mu się ruszać.

Wyobrażała sobie, że leży pod nią Carl.

Skończył o wiele wcześniej. Ale ona nie chciała go wypuścić: chodziło o jej orgazm.

— Carrie? — szepnął po chwili. — To było wspaniałe!

Oddychała szybko, ale wciąż nie była usatysfakcjonowana.

Przesunęła się wyżej.

— Skończ to, co zacząłeś! — powiedziała nieswoim głosem.

Cam zrobił wszystko, co mu kazała.

Potem wstała z łóżka i, obróciwszy się do niego tyłem, zaczęła się ubierać. Nie chciała na niego patrzeć.

— Zostań, proszę.

— Muszę iść.

— Dlaczego?

— Nie wiem, ale czuję, że muszę.

— I... to wszystko?

— Jeszcze ci mało? — spytała. Skąd wziął się w jej głosie ten nowy ton? Była okrutna i sama nie wiedziała dlaczego. Gdy zapinała bluzkę, jej palce natrafiły na lepką plamę po sosie. Tylko tyle zostało po spotkaniu z Carlem.

— Nigdy się tak nie zachowałeś...

— Nigdy.

— Wykorzystałaś mnie! — powiedział zdziwiony.

Carrie szukała drugiego buta. Odwróciła się do niego tyłem, żeby nie widział jej twarzy. Wiedziała, że nawet w półmroku mógł z niej wyczytać wszystko.

Nie mogła zaprzeczyć.

— Tak, wykorzystałam.

Milczał, a ona rozkoszowała się swoją władzą. Wyszła, zostawiając go samego.

21

Czerwone BMW było zarejestrowane na nazwisko Monique Paine. To samo nazwisko pojawiała się w bazie danych lotniska LAX; dzięki Szczapie-Ramirez, która zbadła taśmy video, ustalono, że Monique Paine odleciała do Waszyngtonu. Jej adres uzyskano na podstawie dowodu rejestracyjnego. Obserwacja domu, włącznie z założeniem podsłuchów, rozpoczęła się poprzedniego dnia. Za akcję odpowiadał Bradley Levin. Pomimo że dziewczyna zmieniła nazwisko, dla ludzi z FBI nie nazywała się Monique Paine, lecz Monique Cheysson. Paul Pullman i Richard Mumford uważali, że „dziewczyna jest dobra”, ale to im nie wystarczało. Daggett liczył na cud, liczył, że znajdzie dowody na związek detonatorów Bernarda z katastrofą 64. W przeciwnym razie jego rola w śledztwie miała się zakończyć o piątej po południu, a on miał usiąść za biurkiem i pisać raport o śmierci Bernarda i Backmana.

Czuł się źle, nie tylko z powodu kłopotów w pracy, ale także za sprawą Carrie. Nic nie szło tak, jak powinno.

Cud jednak nastąpił, był nim telefon.

— Mówi Chaz. Nie powinienes ludziom grozić, zwłaszcza wtedy gdy pracują w laboratorium ze środkami wybuchowymi. To był głupi pomysł — usłyszał w słuchawce.

— Nie miałem innego wyjścia. Tylko to może mnie uratować przed odebraniem śledztwa. Jutro byłoby już za późno. Musi być dzisiaj!

— No i jest dzisiaj. Wskakuj w autobusik i przyjeżdżaj tu zaraz. Mam dla ciebie coś ciekawego.

Niebieski mikrobus pojawił się przed gmachem Buzzard Point dwadzieścia minut po czwartej. Wsiadło z niego sześciu ludzi. Zieloną, metalową skrzynkę zaniesiono do wejścia, gdzie zajęli się nią ochroniarze. Daggett i jeszcze trzech innych ludzi czekało na powrót do głównej kwatery FBI.

Meecham Chaz siedział za biurkiem i czekał na Daggetta.

— Moglibyśmy to załatwić przez telefon — zaczął — ale ja nienawidzę telefonów.

— Ja też.

Meecham wskazał na leżącą przed nim teczkę.

— Oto raport o tej szklanej rurce. — Wstał, zamknął drzwi i usiadł bokiem na fotelu. Otworzył szufladę, wyjął z niej plastikową torebkę z odłamkami szkła i podał ją Daggetowi. — Jeżeli była w tym kiedyś rtęć, Michigan, to już od dawna jej nie ma. Najprawdopodobniej wyparowała... Dobrze się czujesz? — dodał po chwili.

— Wszystko w porządku, jestem tylko trochę rozczarowany...

— Jezu! Poczekaj, aż powiem wszystko. Nie jest źle! W raporcie napisano, że nie można z całą pewnością stwierdzić, iż w rurce była rtęć. Nie ma się czemu dziwić, to ciężki metal. Gdy rurka pękła, już po chwili po rtęci nie było śladu, a szkło zostało poddane zbyt wysokiej temperaturze, żebyśmy podczas badania mogli coś znaleźć. Ale to nie szkodzi — ciągnął. — Ogień zniszczył rtęć, ale w zamian pozostawił coś lepszego, coś, co przyłgnęło do tej rurki. Udało nam się to zidentyfikować: stopiony silikon. Taki sam, jaki znaleźliśmy w pokoju Bernarda. Na dodatek, silikon na rurce ma identyczny skład, jak ten Bernarda. Masz to na trzeciej i czwartej stronie raportu.

Daggett nie otworzył teczki.

— Co to znaczy?

— To jest tak: budujesz detonator i pomiędzy źródło prądu — czyli baterię — a środki wybuchowe wsadzasz włączniki. Im więcej z nich jest włączonych, tym bliżej do wybuchu. Zaraz ci pokażę, jak to wygląda — powiedział i wyszedł z pokoju.

Gdy wrócił położył Daggettowi na dłoni ciężką kostkę.

— My to nazywamy „kostką lodu”, domyślasz się dlaczego.

Daggett patrzył na niewielki kawałek jakiegoś materiału, z którego wystawały cztery druty. Kostka była przezroczysta jak lód. Dwa druty podłączono do złącza na dziewięciowoltową baterię. Dwa inne miały końcówki pokryte cyną.

— To, co zrobił Bernard, mogło wyglądać trochę inaczej. Wydaje mi się, że on wszystko wpakował do wysokościomierza, bo inaczej po co by ciał plastik? Trudno powiedzieć... Chodzi o to, że ten cały elektroniczny kram wsadza się do takiej „kostki lodu”, aby podkładający bombę nie mógł niczego spieprzyć. Można mu zostawić jakiś sposób na nastawienie zegara, czy czegoś w tym rodzaju, ale w zasadzie „osobom niepowołanym” uniemożliwia się dłubanie przy bombie. Bernard zrobił swoją kostkę z silikonu, wiemy to na podstawie dowodów znalezionych w jego pokoju.

— Dlaczego wybrał silikon?

— Jeżeli chodzi o robienie bomb, to wszystko ma uzasadnienie, możesz mi wierzyć. Silikon schnie bardzo szybko i łatwiej się nim posługiwać. Można go wyginać, co może mieć też jakiś związek z dokładnością wysokościomierza... Kto wie? — Meecham spojrzał na Daggetta. — On był dobry, Michigan, naprawdę dobry.

Daggett czuł napięcie, którego brakowało mu wcześniej. Tak, jak gdyby pomiędzy Meechamem a Bernardem istniało jakieś współzawodnictwo. Czyżby Meecham na podstawie kilku okruchów znalezionych w dywanie i pośród szczątków samolotu potrafił udowodnić, jakiego rodzaju detonatora użył Bernard i co zamierzał przez to osiągnąć?

— Taką mam pracę, Michigan — odparł Meecham i do Daggetta dotarło, że głośno wypowiedział swoje myśli. — Najprostszym przykładem detonatora z włącznikiem jest bomba zegarowa, pojedynczy włącznik. Nastawiasz zegar na odpowiednią godzinę i... bum! Ale z samolotami nie jest tak łatwo. Nie jest, jeżeli zależy ci na tym, żeby samolot eksplodował w powietrzu, możliwie daleko od miejsca, z którego wystartował. Więc używasz szeregu włączników: ciśnieniowych, temperaturowych, wysokościowych... Każdy z nich bada inny czynnik, który powinien występować w czasie lotu: wysokość, czas, temperaturę. To może być dowolna ilość parametrów.

— Powiedziałeś, że tam były dwa wysokościomierze.

Meecham zdecydowanie nie lubił, gdy mu przerywano.

— Zanim samolot wystartuje, drugi pilot napełnia zbiorniki z powietrzem i ustala ciśnienie w kabinie. Jeżeli robi to źle, zatykają ci się uszy, wiesz o czym mówię? Jeżeli jesteś Bernardem, to chcesz się upewnić, że samolot będzie w powietrzu i używasz do tego celu włącznika wysokościowego. W ten sposób upewniasz się, że inne nie zostaną uruchomione do czasu, gdy kabina będzie pod ciśnieniem. Jeżeli bomba wybuchła w powietrzu, efekt jest nieporównanie lepszy i o wiele trudniej zebrać jakieś dowody. Weź katastrofę nad Lockerbie: samolot miał eksplodować nad wodą... Ale mniejsza z tym; w każdym razie najpierw mamy włącznik barometryczny. Gdybym to ja budował detonator, zastosowałbym włącznik zegarowy, żeby się upewnić, że samolot przebywa już w powietrzu...

— Zegarki casio? Jesteśmy prawie pewni, że kupił dwa zegarki!

— Widziałem to w raporcie. Możliwe, że Bernard zrobił z nich włączniki. Trzeba się trochę znać na elektronice, żeby wypruć z nich flaki i przerobić je na włączniki. Ale to możliwe. Powtarzam więc: najpierw zbiorniki z powietrzem i ciśnienie w kabinie: otwiera się pierwszy włącznik, wysokościowy, który uruchamia zegar. I tak to wygląda w większości przypadków. Ale Bernard zrobił coś innego. Ta szklana rurka zmienia wszystko. Oznacza, że Bernard zainstalował jeszcze trzeci włącznik. Tylko w ten sposób mogą to sobie wytłumaczyć.

— To znaczy?

Meecham przygotował się do tej rozmowy. Sięgnął ręką do szuflady i wydobyl z niej szklaną rurkę z dwoma drutami i mały zegarek. Ułożył je przed sobą na biurku.

— Powiem ci, co o tym myślę. Bernard zrobił trzy włączniki, Michigan. Jeden z nich włączał się, gdy zwiększano ciśnienie w kabinie. Drugim jest włącznik rtęciowy — wskazał palcem na rurkę. — Dziób samolotu podnosi się, co uruchamia drugi włącznik. Bernard zastosował dwie zasady: podwyższone ciśnienie w kabinie i wznoszenie się samolotu.

— A casio?

— Casio jest ostatnim włącznikiem. Gdy ciśnienie w kabinie jest wyższe i gdy przód samolotu idzie w górę, wtedy włącza się zegar.

— Dlaczego tak cię to dziwi? — spytał Daggett.

— Widzisz, taki facet jak Bernard nie robi tak skomplikowanego systemu zabezpieczeń, jeżeli nie musi. Więc dlaczego?

— Chce się upewnić, że samolot będzie w powietrzu, zanim bomba wybuchnie.

Meecham pokręcił głową.

— To zbyt skomplikowane. Wystarczyłoby ustawić zegar na kilka godzin naprzód i nawet gdyby samolot wystartował z opóźnieniem, wybuch nastąpiłby w powietrzu. Tu chodzi o coś innego. Powiem ci, na czym polega problem, Michigan — rzekł Meecham biorąc do ręki szklaną rurkę częściowo wypełnioną rtęcią. Ustawił ją tak, że rtęć znajdowała się na jej końcu, tam gdzie nie było elektrod. — Teraz obwód jest otwarty, pomiędzy stykami nie ma rtęci i prąd nie płynie, zegar stoi. Ale podczas startu dziób samolotu idzie w górę, rtęć przepływa do styków i prąd zaczyna płynąć. Pierwszy i drugi włącznik są już otwarte, co uruchamia zegar. Ale jest w tym hak... — Meecham z powrotem przechylił rurkę i rtęć przestała zwierać przewody. — Gdy tylko samolot przestaje iść w górę, rtęć otwiera obwód, co zatrzymuje zegar i bomba nie wybuchą.

— Więc ustawiłeś włączniki w złym porządku — rzekł Daggett po chwili namysłu.

— Właśnie w tym sęk, że nie. Nie da się ich inaczej ustawić, Michigan. A przynajmniej nic na to nie wskazuje, skoro wiemy, jak przebiegła katastrofa 64. Samolot przeleciał niecałe dwie mile i rozwalił się o ziemię. To coś znaczy! Jeżeli Bernard zrobił to urządzenie po to, żeby wysadzić samolot w określonym czasie, to chodziło mu o tę fazę lotu, kiedy samolot nabiera wysokości. Tylko tak można to wytłumaczyć. A teraz odpowiedz mi na jedno pytanie: dlaczego?

Daggett przypomniał sobie rozmowę z doktorem Barnesem z zakładów Duhninga, symulator i Warda, który wielokrotnie powtarzał manewr startu, sprawdzając, jak zachowa się samolot, gdy tuż po nim puści się stery. Barnes również wtedy spytał: dlaczego?

— Po co on to zrobił? Nie mamy żadnych dowodów eksplozji. Żadnego śladu środków wybuchowych. Gówno mamy!

— Ostatnim razem mówiłeś o miniaturowych detonatorach. Mówiłeś, że są „gorące”. Czy to znaczy, że mogą wywołać pożar?

— Pożar? — zdziwił się Meecham. — Zwariowałeś? One mogą stopić metal!

Nareszcie stało się jasne, po co Ward przeprowadził tak wiele startów i wszystko zaczęło układać się w jakiś spójny obraz. Nareszcie będzie miał coś do przekazania Mumfordowi. Daggett wstał, podszedł do Meechama i pocałował go w usta.

- Oszalałeś?! — krzyknął Chaz Meecham wycierając rękawem usta. Daggett przytaknął i włożył teczkę pod pachę.
- Powtórzysz to Mumfordowi, jeżeli cię poproszę?
- Ale obiecuj, że nigdy więcej nie będziesz mnie całować!
- Obiecuję.

22

Zaprowadził ją do sypialni.

Chciał wynająć umeblowany dom i użył tego jako wymówki, żeby poprosić ją na górę. Ale ona i tak wiedziała, o co mu chodzi. Pożądali siebie tak bardzo, że nie musieli już ze sobą rozmawiać. Wchodząc po schodach czuła, jak uginają się pod nią kolana.

Carl otworzył okno. Promienie słońca wpadły do pokoju i usłyszeli śpiew ptaków. Zaprowadził ją do łóżka i pogłaskał po głowie. Carrie zamknęła oczy.

— Tak mi dobrze ... — szepnęła, a on pocałował ją w usta.

Wziął ją na ręce i delikatnie położył na łóżku. Rozpiął jej bluzkę i położył się na niej. Zaczęła płakać.

— Mam przestać? — spytał Carl szeptem tak cichym, że Carrie ledwo go usłyszała. Pokręciła głową, że nie.

Rozebrał ją i siebie, po czym usiadł obok. Dotykał i pieścił każdy centymetr jej ciała. Wiatr odsunął firankę i śpiew ptaków stał się wyraźniejszy. Na parapecie usiadł wróbel i przyglądał im się z zainteresowaniem.

Carl nie chciał, żeby to trwało krótko. Wszystkie doznania rozciągał w czasie tak, że stawały się dla niej wyzwaniem. Dwukrotnie prosiła go, żeby w nią wszedł, a on już po raz drugi szepnął: „nie”.

A może właśnie tego chciała? Może należało się poddać, podporządkować? Ten człowiek już od kilku minut był jej panem.

Rysował na jej skórze niewidoczne wzory, dopóki nie zaprosiły go jej rozchylone uda. Całował ją i pieścił...

— Boże... — Carrie usłyszała swój szept.

Jego cierpliwość nie miała końca. Wreszcie na chwilę w nią wszedł.

— Nie — szepnęła. Bawił się nią. Otworzyła oczy, starając się patrzeć mu w twarz, ale nie mogła wyostrzyć wzroku. Carl się uśmiechał, tyle wiedziała. Czowała to. — Proszę... — szepnęła, mimowolnie się uśmiechając.

Wszedł w nią, bardzo powoli, coraz głębiej. Delikatnie. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie przeżyła. Doświadczała niezwyklej jedności; jego rozkosz była jej rozkoszą. Doprowadził ją do takiego uniesienia, że przestała cokolwiek widzieć i słyszeć. Razem osiągnęli orgazm. Musiała krzyknąć, bo ptaszek na oknie przestraszył się i odleciał...

Kort stał przy oknie, całkiem nagi, i palił papierosa. Potrzebne mu były klucze. Musiał z powrotem zająć się ważnymi sprawami. Ona w półśnie leżała na łóżku pod kocem. Czuł, że na niego patrzy. Wyjrzał przez okno na ogród.

— Mógłbym tu mieszkać... — powiedział. Co się z nim stało? Miał przed sobą tyle pracy, a nie potrafił się skoncentrować.

— Mógłbyś? — spytała.

— Będę — sprostował, nienawidząc się za bezustanne kłamstwa. Czy miał jej powiedzieć? Zaryzykować i powiedzieć prawdę? Ale jaką prawdę? — Zawsze będę w ten sposób myślał o tym pokoju. Od czasu, który tu razem spędziliśmy.

— Jesteś smutny.

— Jestem bardzo szczęśliwy, zapewniam cię. Chciałbym zamknąć nas tu w środku... na zawsze... Czy nie byłoby nam jak w niebie?

— A nie możesz?

— Mogę.

— Nie wydaje mi się, abyś w to wierzył.

— Masz swoje życie, swoje sprawy... Jak więc w to wierzyć?

— Myślę, że powinieneś. — Odrzuciła koc. Spojrzał na nią: nie była już młoda, ale naprawdę ładna. Nie chciałby teraz patrzeć na żadną inną kobietę.

— Zapomniałam o prysznicu. Sprowadzono go specjalnie z Europy. Mogę ci go pokazać? — spytała, wstając z łóżka.

Ona jest cudowna, pomyślał. Wyrzucił przez okno niedopałek papierosa i przyglądał się Carrie, która była coraz bliżej.

— A może usiądziemy sobie na krześle? — spytała.

— Świetnie — powiedział, wchodząc w nią.

— No widzisz... — uśmiechnęła się, pomagając mu.

Potem wziął ją na ręce i znów zaniósł do łóżka. Przyglądał się jej twarzy, żeby przekonać się, które pieszczoty lubi najbardziej.

Po krótkiej drzemce i nieudanym prysznicu — ciepła woda była wyłączona — niechętnie się ubrali.

Kort postanowił zrobić to, co musiał.

— Daj mi klucze. Wezmę twój samochód i postaram się dla nas o jakieś dobre jedzenie.

— Pojadę z tobą.

— To nie jest dobry pomysł. To by zepsuło niespodziankę...

— Wiesz, Carl, jesteś nieprawdopodobnie romantyczny...

— Staram się.

— Nie wydaje mi się. To ci jakoś samo przychodzi. Dlatego jesteś taki interesujący.

Samo przychodzi? — pomyślał. Nazwij mnie oszustem i pod żadnym pozorem nie dawaj mi tych kluczy!

Carrie otworzyła torebkę i rzuciła mu klucze. Kort złapał je tak, jak żabi język łapie muchę.

Istniało co najmniej dziesięć innych sposobów, aby zdobyć klucze, a jednak zdecydował się na ten wariant. Dlaczego?

— Carl? Czy coś się stało?

— Nie, nic. Zamyśliłem się.

— Umieram z głodu. Przestań myśleć i zdobądź coś do jedzenia! — powiedziała z uśmiechem.

— Już się robi.

Dorobienie kluczy nie sprawiło mu żadnych trudności. Potem kupił kanapki, sałatkę i wrócił do samochodu. Zastanawiając się, gdzie to wszystko położyć, nieoczekiwanie znalazł kopertę zaadresowaną do pana Camerona Daggetta. Nie musiał więc śledzić Carrie czy Daggetta, żeby

zdobyć jego adres, i przez jakiś czas był w nieco lepszym humorze. Ale gdy wrócił do Carrie, znów posmutniał.

Zaparkował samochód przed garażem i przez kilka minut nie wysiadał, zastanawiając się, jakby to było, gdyby spotkali się w innych okolicznościach. Był przygnębiony. Uczucia, które od wielu lat ukrywał, wychodziły teraz na wierzch jak bąbelki powietrza. Zgwałcił ją fizycznie i psychicznie, a teraz zamierzał oszukać i okraść. Nienawidził się za to.

Z wściekłością zatrzęsnął drzwiami samochodu i ruszył do domu.

Aa, prawda, przypomniał sobie: osiągnął swój cel. Zdobył klucze.

Ale za jaką cenę?

23

W pokoju Mumforda zmieścili się wszyscy i zostało jeszcze dość miejsca na drużynę koszykarzy. Chaz Meecham z laboratorium, doktor Ben-David i Lynn Greene usiedli na kanapie. Ben-David był niskim mężczyzną o ciemnych włosach i oczach wąskich jak szparki. Meecham wyglądał jak zwykle, czyli na nieco mniej niż swoje czterdzieści parę lat.

Daggett usiadł na fotelu, zostawiając dla Pullmana miejsce na drugiej kanapie. Mumford rozsiadł się za swoim biurkiem.

Daggett nie mógł dłużej działać sam. Bez błogosławieństwa Mumforda nie był w stanie zgromadzić dostatecznej ilości ludzi, żeby zatrzymać Kortę, zanim ten zrealizuje swój plan. To spotkanie było wynikiem dwóch lat śledztwa. Gdyby Daggett nie mógł przekonać Mumforda, że katastrofa 64 nie była wypadkiem lecz sabotażem, musiałby zabrać się do sporządzania raportu o Backmanie. Do spotkania pozostawały trzy dni i Daggett wierzył, że tym właśnie interesuje się Kort. Miał poczucie, że dobrze się przygotował. Z każdą z osób rozmawiał uprzednio przez telefon, aby dokładnie wiedziały, czego od nich oczekuje. Jak prawdziwy dyrygent końcem ołówka zastukał w krawędź grubej teczki, leżącej przed nim na stoliku. Miał nadzieję, że jego zespołowi uda się przedstawić wiarygodne wyjaśnienie katastrofy AmAirXpress 64.

Wyjął z teczki konspekt i zaczął dość głośno, mając nadzieję, że jego głos brzmi pewnie. Nie był dobrym mówcą.

— Najpierw chciałbym zadać państwu kilka pytań, co pomoże nam zorientować się w sytuacji. — Rozejrzał się, szukając szklanki z wodą, ale żadnej nie zobaczył, więc ciągnął dalej. — Moje pierwsze pytanie chciałbym skierować do doktora Ben-Dawida, który przeglądał raporty z autopsji i rozmawiał z lekarzami dokonującymi sekcji zwłok. Najważniejszą sprawą jest zawartość toksycznych substancji we krwi. Panie doktorze, czy istnieje możliwość stwierdzenia, że człowiek przed śmiercią był przytomny?

Ben-David miał wysoki głos.

— To ciekawe pytanie... Po raz pierwszy zostało postawione jakieś cztery lata temu... Tak, tak... Jeżeli chodzi o katastrofę... Drugi pilot mógł stracić przytomność na kilka sekund przed uderzeniem samolotu o ziemię. Staraliśmy się ustalić, czy pilot do ostatniej chwili był przytomny. Istnieje teoria, według której pomiar poziomu kwasu mlekowego we krwi pozwala ustalić poziom stresu tuż przed lub w chwili śmierci. Wysoki poziom kwasu oznaczałby, że pilot usiłował odzyskać kontrolę nad samolotem. Natomiast niski poziom kwasu świadczyłby o tym, że pilot zginął przed katastrofą. Ale wyniki testów nie były jednoznaczne. Inaczej mówiąc, nie jesteśmy pewni, czy... w każdym razie jeszcze nie.

Mumford wyglądał na zainteresowanego jego wypowiedzią. To dobrze, pomyślał Daggett.

— Jaka była przyczyna śmierci pilotów samolotu AmAirXpress 64? W aktach zapisano, że przyczyną śmierci było „uszkodzenie ciała z powodu uderzenia o ziemię”. Czy pan się z tym zgadza?

— Nie, i nie zgadzają się z tym również autorzy tego raportu. Zapis z sekcji zwłok został zmieniony.

— Czy to prawda? — nie wytrzymał Mumford.

— Tak — potwierdził doktor Ben-David.

— Boże, dlaczego mnie o tym nie powiadomiono? — Mumford dyssał jak astmatyk. — Więc co było przyczyną śmierci, doktorze?

Ben-David spojrzął na Daggetta.

— Nie musi pan mieć zgody Daggetta, żeby mówić, tylko moją. To jest mój gabinet, do cholery. To jest moje biuro terenowe!

— Pan Daggett, agent do zadań specjalnych, zwrócił moją uwagę na poziom tlenu we krwi. Poprosiłem moich kolegów, żeby to zbadali. Według ich raportu... — Ben-David zawiesił głos, najwidoczniej szukając słów, które będą zrozumiałe dla słuchaczy. — Wiemy, że na

pokładzie był pożar — spojrział na Lynn Greene, która skinęła głową. — Jednym z lepszych dowodów na istnienie pożaru na pokładzie samolotu jest tlenek węgla we krwi, który przeważnie jest przyczyną zgonu. Moi koledzy pierwotnie byli zdania, że członkowie załogi zostali zatruci tlenkiem węgla i zginęli w chwili, gdy samolot uderzył o ziemię. Problem polega na tym, że toksykologom trudno jest badać uszkodzone zwłoki, które wydobyto z płonących szczątków samolotu. Agent Daggett zwrócił moją uwagę na wysoką zawartość tlenu węgla we krwi oraz brak jakichkolwiek innych toksycznych substancji. Palący się plastik przemienia się w parę, która przez płuca dostaje się do krwi. W sytuacji pożaru, sadza osiada w tchawicy. Ale w przypadku rejsu 64 w tchawicy żadnego z pilotów nie natrafiono na jej choćby śladowe ilości. Próbkę tkanki płucnej przebadano również w kalifornijskich laboratoriach w Sacramento. Stwierdzono nie tylko wysoką zawartość tlenu węgla, ale i obecność białego fosforu. Przed chwilą rozmawialiśmy z Duhningiem: na pokładach samolotów 959-600 nie znajduje się nic, co zawierałoby biały fosfor. Również cargo tego samolotu nie zawierało białego fosforu...

— Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem — rzekł Mumford. — Więc co było przyczyną śmierci?

— Jeżeli wolno — przerwał Daggett — właśnie do tego zmierzamy.

To nie spodobało się Mumfordowi.

— Chaz, czy mógłbyś nam powiedzieć coś o tym miniaturowym detonatorze? — rzekł Daggett.

— Oczywiście, Michigan. Mówiąc krótko, mam niezłe dowody na to, że na pokładzie 64 znajdował się bardzo skomplikowany detonator. Facet zamierzał wysadzić samolot tuż po starcie. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale konstrukcja detonatora wyklucza inne możliwości jego zastosowania. Poza tym nie mamy żadnych dowodów na obecność środków wybuchowych na pokładzie. Absolutnie nic. Więc po co facet zadawałby sobie tyle trudu i zakładał detonator? Żeby nic nie wyleciało w powietrze?

— Chaz, miałeś mówić o miniaturowych detonatorach — wtrącił Daggett.

— Właśnie to robię. Dowody zgromadzone w pokoju hotelowym Bernarda pozwalają podejrzewać, że budował miniaturowy detonator.

To skomplikowane urządzenie, ale nie dla takiego faceta jak Bernard. Te detonatory są gorące. Tak gorące, że mogą stopić nawet metal i na pewno w zupełności wystarczają, żeby wzniecić pożar w kabinie pilotów. Badając szczątki samolotu, natrafiliśmy na biały fosfor, co dowodzi, że w grę wchodził miniaturowy detonator. On — Meecham wskazał palcem na Ben-Davida — zdaje się, też to znalazł. — Spojrzał na Daggetta i zamilkł.

— A teraz panna Lynn z Federal Aviation Administration — rzekł Daggett.

— Zanim samolot się rozbił, magnetofon kokpitowy zarejestrował dwa dźwięki. Jednym z nich jest odgłos, jakby korek wystrzelił z butelki. Drugim wyraźne syczenie. W ciągu dwóch sekund piloci stracili przytomność, co wiemy stąd, że na taśmie został zarejestrowany stuk, uderzenie bezwładnych ciał o kokpit. Potwierdza to nagranie czarnej skrzynki. Nagle, w sposób chaotyczny, włączono wiele przełączników, co mogło być spowodowane jedynie upadkiem ciała na kokpit, o tak — powiedziała Lynn, demonstrując, jak to mogło wyglądać. — Syczenie słychać nadal. Ponieważ drugi pilot wspomina o gaśnicy, postanowiliśmy ją zbadać. Dziś rano otrzymaliśmy raport dotyczący gaśnicy znalezionej w szczątkach samolotu. Była poddana niezwykle wysokiej temperaturze. Jest możliwe, a nawet wysoce prawdopodobne, że detonator znajdował się wewnątrz. Znalezione także ślady białego fosforu, o którym wspomniał pan Meecham. Myślę, że detonator nie tylko był przyczyną pożaru, ale także roztopił dołączony do gaśnicy ciśnieniomierz, co uwolniło znajdujący się w niej gaz. Badanie gaśnicy wykazało ponadto, że nie była ona wypełniona substancjami gaśniczymi, lecz tlenkiem węgla pod bardzo wysokim ciśnieniem. Nawet niewielka dawka może być śmiertelna.

Daggett spojrzał przyzwalająco na doktora Ben-Davida, który powiedział:

— Czysty tlenek węgla wypuszczony z tak niewielkiej odległości całkowicie potwierdzałby wyniki sekcji zwłok.

— A zawartość białego fosforu wyjaśniałaby brak środków wybuchowych — dodał Chaz Meecham. — Na pokładzie nie było żadnych środków wybuchowych. Ten facet chciał jedynie, żeby jego detonator całkowicie wyparował, uwalniając jednocześnie zawartość gaśnicy. W ten sposób zniszczył wszystkie dowody sabotażu, a resztę zrobił gaz.

Mumfordowi opadła szczęka. Już od dłuższej chwili siedział z otwartymi ustami. Daggett pomyślał, że gdyby trafił, mógłby mu do ust wrzucić spinacz.

— Załóżmy, że wierzę — powiedział Mumford, gdy już doszedł do siebie. — Powiedzmy, że 64 to był sabotaż. Powiedzmy nawet, że sabotażu dokonano detonatorem Bernarda. I przypuścimy, że zrobił to Anthony Kort z „Der Grund”. Ale po co? Jeżeli chciał rozwalić ten samolot, to po co zadał sobie tyle trudu?

Zapadła długa cisza, którą przerwał Daggett.

— Kort nie chciał, żebyśmy wiedzieli, że to był sabotaż. Mielśmy uwierzyć w wypadek. Dlaczego? Myślę, że znów do tego dąży. Tu, w Waszyngtonie, chce rozwalić jeszcze jednego Duhninga 959. To dlatego Bernard zrobił dwa detonatory, i drugi z nich znajduje się w Waszyngtonie.

— Tego nie wiemy! — zaprotestował Mumford.

— Cokolwiek Kort planuje, musi mieć to jakiś związek z testami, które Ward przeprowadzał w symulatorze. Gdy wszystko razem złożyć do kupy, dalej nie wiemy, po co był mu ten symulator. Po co dziesiątki razy powtarzać ten sam manewr, minimalnie zmieniając parametry?

— Znasz odpowiedź na to pytanie? — spytał Mumford.

— Nie, sir. Jeszcze nie. Ale wiedząc to, co wiem, jestem coraz bliżej celu. Myślę, że już najwyższy czas, żebyśmy poznali zamierzenia Korta.

Daggett czekał, podczas gdy Mumford niespokojnie przyglądał się wszystkim zgromadzonym. Na ich twarzach widać było jednocześnie zdezorientowanie i nadzieję. Wydawało się, że Mumford zaraz wybuchnie. Spojrzał na Daggetta.

— No to, do cholery, nie siedź tutaj! Zajmij się tym!

24

Gdy Kort podniósł słuchawkę, na czarnym pudełeczku zapaliła się czerwona dioda. Telefon Monique był na podsłuchu.

Oblał go zimny pot: dziewczyna była spalona, pod żadnym pozorem nie wolno było się z nią kontaktować.

— To ja — powiedziała.

— Proszę? — spytał. — To chyba pomyłka.

Zapadła długa cisza, podczas której Monique zastanawiała się, co zrobić. Kort mógł wyobrazić sobie jej panikę. Nie było czasu do stracenia. FBI — czy ktokolwiek to był — natychmiast zidentyfikuje jego numer telefonu. Ich samochody już mogły być w drodze... Gdyby tylko rozumiała...

— Czy to Dallas? — wydusiła.

— Ależ nie, dodzwoniła się pani do Waszyngtonu. To na pewno pomyłka — powiedział i odłożył słuchawkę. Koniec, wszystko skończone. Cała operacja legła w gruzach.

Musiał wyprzedzać ich co najmniej o jeden krok, nie mógł ani na chwilę się zatrzymać. Otworzył książkę telefoniczną i wyszukał numer radiotaxi. Wykręcił go, cały czas wpatrując się w czarne pudełeczko. Zamówił taksówkę dla Carla Anthony'ego, która miała przyjechać za dwadzieścia minut. Serce waliło mu jak młot.

Jakimś cudem czerwona dioda nie zapaliła się. Już miał odetchnąć, gdy rozbłysła na nowo.

Nogi ugięły się pod nim.

Za wszelką cenę musiał powstrzymać ogarniającą go panikę. Wyłączył czarne pudełeczko, sprawdził, czy ma naładowaną broń i schował ją do kabury. Dwa dodatkowe magazynki włożył do lewej kieszeni spodni: mógł oddać dodatkowo dwadzieścia siedem strzałów. Nie było to dużo, gdyby przyszło mu stawić czoło armii agentów FBI.

Ilu ludzi wyślą? Ile czasu mu zostało? Spojrzał na zegarek. Minęło trzydzieści sekund.

Włożył do torby trochę ubrań i jednym ruchem ręki zgarnął z półki kosmetyki. Włożył do kieszeni klucze do mieszkania Daggetta i rozejrzał się dookoła.

Nie ma już na nic czasu... Dobrze, że był ostrożny i nigdzie nie zostawił odcisków palców...

Zbiegł po schodach do pustej kuchni i tylnymi drzwiami wydostał się na zewnątrz. Szedł szybkim krokiem. Dziesięć minut później dotarł do stacji metra Farragut.

Usiadł na miejscu, nad którym znajdował się napis: „Hamulec bezpieczeństwa. Kara za nieuzasadnione użycie — 100\$”.

Największy problem stanowiła teraz Monique. Kort zastanawiał się, ile jej właściwie powiedział. Zbyt wiele. Dziewczyna wiedziała o wiele za dużo. Nie powinien być taki gadatliwy.

W idealnym świecie byłaby już „zbędna” — tak to nazywał Michael — i zrobiono by z nią to, co trzeba. Michael przynajmniej dwukrotnie pozbywał się ludzi, miał do tego swoich katów. Kiedyś Kort pracował z nimi; służył za przynętę, aby katom łatwiej było zidentyfikować cel. Dobrze zapamiętał ich twarze, rozpoznałby ich natychmiast. Nigdy nie było się poza zasięgiem ręki Michaela.

Ale co należało zrobić z Monique? Wiedziała za dużo, a na dodatek była istotnym elementem całej operacji. Chodziło przecież o to, żeby Kort jako gość In-Flite Foods dostał się na teren lotniska, tak jak zrobił to w Los Angeles. Musiał przecież zamienić gaśnice, a Monique była niezbędną do przeprowadzenia tej operacji.

Wysiadł na trzecim przystanku, przy Judiciary Square. Kątem oka

sprawdził, czy nie jest śledzony. Nikogo nie zauważył, więc wsiadł do czerwonej linii metra i pojechał w stronę Union Station.

Sztuczki. Znał ich tysiące. Ale nie znaczyło to, że czuł się przez to bezpieczniej.

A co by było, gdyby zabił Monique? Czy oni brali to pod uwagę? Czy użyliby jej jako przynęty?

Monique jeszcze nigdy nie była tak zdenerwowana.

Podeszła do barku, nalała do szklanki wódki i od razu ją wypila. Po chwili wypila jeszcze jedną. Pomyłka! Nie czuła działania alkoholu. Nie czuła nic, tylko strach. Myśl! – rozkazała sobie. Myśl!

Co Anthony zamierza zrobić? Zostawi ją? Zabije? A może ją obroni?

Pomyłka! To słowo wciąż dzwoniło jej uszach. To na pewno Grek! Grek wydał ją policji! Skurwiel!

Wypila trzecią wódkę.

Chciała wyrzucić przez okno. Czy już po nią przyszli? Nie miała pojęcia, ile o niej wiedzą. Musi pozostać tą samą kobietą, którą była jeszcze wczoraj. Musi być pewna siebie, flirtować i szukać nowych rynków dla firmy In-Flite Foods. Musi być aktorką, ale czy potrafi? Nie miała wyboru.

Wrzuciła do szklanki kostkę lodu i włączyła telewizor. Powinna zachowywać się normalnie. Co to znaczy normalnie? Dużo jeść i pić wódkę. W gorące wieczory przechadzać się w samej bieliźnie, masturbować pod prysznicem... Boże, czy to możliwe, żeby w jej pokoju były mikrofony? Może nawet kamery? Czy znali jej intymne sekrety? Czy wiedzieli, co teraz robi? Obserwowali ją?

Czy to prawda, że takie mikrofony potrafią wychwycić bicie serca? A jeżeli tak, to co oni sobie teraz myślą?

Na stacji Union Station Kort zostawił w przechowalni swoją torbę i na nazwisko Carl Anthony w firmie AVIS wynajął toyotę, której nie zamierzał zwrócić. Po raz ostatni zapłacił kartą kredytową Carla Anthony'ego. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce FBI przesłucha właściciela hoteliku, w którym mieszkał. Ten poda im jego pseudonim, co pozwoli FBI dotrzeć do numeru karty kredytowej.

Dysponował jeszcze jedną kartą kredytową, na inne nazwisko. Miała umożliwić mu ucieczkę.

Jazda trwała nie dłużej niż trzydzieści minut, ale Kort miał wrażenie, że minęły godziny. Dwukrotnie się zgubił i stawał, żeby rzucić okiem na mapę. Wreszcie minął domek, którego adres przepisał z koperty znalezionej w samochodzie Caroline.

Domek był najzupełniej zwyczajny, mały, z brzydkim ogrodem. Kort pomyślał, że w podobnych, niczym niewyróżniających się domkach, ukrywał się przez ostatnie lata.

Ogrodzenie z desek było idealne: żaden z sąsiadów nie mógł go dostrzec.

Kilkakrotnie przejechał ulicą, aby się upewnić, że sąsiedzi już śpią. Wszystkie okna były ciemne.

Wrócił do głównej drogi, co zajęło mu niecałe dziesięć minuta i zatrzymał się w niewielkim motelu. Zjadł kolację w towarzystwie dwóch policjantów i byłego alkoholika, przysłuchując się, jak kelnerka opowiada o nowym, znakomitym środku odchudzającym.

Położył przed sobą „USA Today” i przeczytał gazetę od deski do deski: od finansowej polityki Kremla, po najnowszy film Madonny. Zjadł dwa rogaliki z dżemem i wypił kawę. Kilka minut po pierwszej policjanci wrócili do samochodu. O drugiej Kort był już jedynym gościem, choć od czasu do czasu kierowcy ciężarówek wpadali na piwo. Kort poszedł do toalety, po czym wrócił do toyoty. Po raz kolejny analizował swój plan. O drugiej piętnaście miał go zrealizować. W idealnym świecie trwałoby to zaledwie kilka minut.

Przed garażem stał mikrobus. Czyżby nie zauważył go za pierwszym razem? Boże, czego jeszcze nie zauważył? Zatrzymał toyotę przy krawężniku i czekał. Musiał mieć pewność, że w sąsiednich oknach nie zapali się światło.

Po dłuższej chwili wysiadł z samochodu. W dłoni trzymał klucze. Ruszył do frontowych drzwi. Lampa uliczna rzucała mdłe błyski. Wydawało mu się, że ukrywając się w cieniu pozostanie niewidzialny. Dorobił cztery różne klucze i nie wiedział, którym otworzyć drzwi. Musiał to zrobić szybko i cicho. Ale w ciemnościach nie było to łatwe. Pierwszy klucz nie pasował. Kort otarł pot z czoła. Drugi wszedł w zamek, ale nie dawał się obrócić. Przy wyjmowaniu przeraźliwie zazgrzytał.

Dopiero trzecim kluczem otworzył drzwi.

Wszedł do środka.

Prawie bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Nie był włamywaczem i nie miał w tym żadnej wprawy. Wyjął z kieszeni niewielką latarkę i ruszył przed siebie.

Znalazł się w małym, ciasnym pokoju. Zauważył brzydkie, tanie meble i telewizor; na półce rzędem stały książki w miękkiej oprawie. Dom przypominał labirynt.

Usiłował zorientować się w jego rozkładzie i zdecydował, że kuchnia jest na końcu korytarza, a sypialnia i łazienka po lewej stronie.

Ruszył w prawo, drzwi były otwarte. Kolejny pokój, jeszcze mniejszy od poprzedniego.

Światło latarki padło na stół. Leżały na nim otwarte koperty, znaczki, spinacze do papieru i żółty notes, taki, jakie mają agenci FBI.

Ale walizeczki nie było.

Kort ruszył dalej, w stronę biurka. Gdzie jest walizka? Przecież Daggett nie mógł jej zabrać ze sobą do sypialni! Czy był aż tak ostrożny?

Skierował snop światła na podłogę. Po plecach spływały mu strumyczki potu. Nie przewidział, że będzie aż tak zdenerwowany.

Walizeczka stała przy krześle. Była zamknięta.

Kort miał nadzieję, że zastanie ją otwartą.

Delikatnie ją podniósł i położył na stole. Była ciężka. Przyjrzał się szfrowym zamkom.

Miały sprężyny. Jeżeli nie będzie ostrożny, otworzą się z trzaskiem.

Jaką ustawić kombinację? Światło latarki padło na zamek i Kort zamarł: 102003.

Dziesięć — dwadzieścia — trzy. Ta liczba była tak samo ważna dla Anthony'ego Korta jak dla Cama Daggetta.

Był pewien, że to jest ta kombinacja.

Kciukami przytrzymał zamki i otworzył. Wziął latarkę w zęby i zaczął czytać.

Zawartość walizeczki była kopalnią złota! Znalazł adres swojego hotelu, w pośpiechu zapisany na kartce. Powinien być na to przygotowany, ale nie był. Kropla potu spadła na teczkę. Natychmiast ją wytarł, nie

miał zamiaru zostawiać swojej wizytówki. W pliku akt z napisem „Rosen” znalazł policyjny szkic swojej twarzy: zadziwiająco dobry i dokładny. Była tam też ziarnista fotografia Monique, w szaliku i w okularach. Dziesiątki raportów, notatek, informacji...

Otworzył czerwoną teczkę. Na kopercie widniała adnotacja: „Nie kopiować!”

Teczka została wydana przez Richarda Mumforda, na pierwszej stronie widniało nazwisko Daggetta, a pod spodem jego podpis.

Kort delikatnie otworzył kopertę i wyjął jej zawartość. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, były terminarze! Znał wszystkie nazwiska: Mosner, Goldenbaum, Sandhurst, Grady, Fitzmaurice, Savile. Nie interesowały go numery rejsów i samoloty, którymi przylecą. Szukał tylko dat przyjazdu i wyjazdu. Na czterech terminarzach widniała data: 21 września. To odkrycie dało mu poczucie ogromnej władzy. Choć nie przyjeżdżali tego samego dnia, dwóch z nich wyjeżdżało dwudziestego pierwszego wieczorem. Więc spotkanie musiało być zaplanowane na dwudziestego pierwszego.

Za dwa dni zabije Mosnera.

Szybko przejrzał pozostałe papiery i nagle zwątpił. Im dłużej czytał, tym bardziej cała operacja wydawała się niemożliwa. Przestał zwracać uwagę na czas. Daggett wiedział wszystko! Jedna z notatek mówiła o możliwości istnienia środków wybuchowych na pokładzie 64. Na innej znajdowały się wyniki testów, przeprowadzone na symulatorach Duhninga. Było tam też zdjęcie Monique, a nawet rysunki detonatorów Bernarda. Wynik analizy zawartości gaśnicy zaparł mu dech w piersiach: tlenek węgla. Wiedzieli wszystko! Ale czy na pewno? Czy znali jego cel? Prawdziwy cel? Jeżeli tak, był skończony i wszystkie przygotowania były daremne. Nie będzie mógł zrobić tego, co zamierzał. Równie dobrze mógłby już nie żyć...

W sąsiednim pokoju zapaliło się światło. Kort natychmiast zgasił lartarkę i cicho zamknął walizeczkę, zostawiając ją na stole. Zrobił dwa kroki w stronę światła, zajrzał do pokoju i, nie widząc nikogo, ukrył się za drzwiami.

Rzucił okiem za siebie i od razu spostrzegł wystający róg czerwonej teczki. Widać było, że walizkę zamknięto w pośpiechu.

Zanim zobaczył chłopca, usłyszał skrzypienie wózka. Miał nadzieję, że usłyszy dźwięk włączanego telewizora. Liczył na to, że chłopiec cierpi

na bezsenność i dźwięki z telewizora zagłuszą ucieczkę Korta. Ale cień na ścianie robił się coraz większy i Kort zrozumiał, że chłopiec, kierując się w stronę kuchni, minie go o centymetry.

Wózek dotarł już do przedpokoju. Kort zmienił swój plan: gdy chłopiec będzie w kuchni, postawi walizkę z powrotem na podłodze.

Chłopiec zatrzymał się.

Spojrzał w prawo, w stronę walizki. Wciągnął w nos powietrze.

Carrie? — spytał cicho.

Papierosy! W motelu Kort wypalił pół paczki!

Chłopiec powoli obrócił się w prawo. W chwili gdy ich oczy się spotkały, Kort uderzył go pięścią w twarz. Głowa chłopca bezwładnie opadła w tył.

Kort rzucił się do pokoju, otworzył walizkę, uporządkował zawartość i postawił ją na podłodze. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że pojawienie się chłopca było wybawieniem. Ruszył w jego stronę.

Był cięższy, niż Kort przypuszczał, ale z doświadczenia wiedział, że zwłoki zawsze są ciężkie.

25

Daggett zbudził się wcześniej niż zwykle. Po zwycięstwie nad Mumfordem był naładowany energią, choć zarazem czuł ciężar odpowiedzialności. Postanowił pobiegać. Celem Korta był jeden lub kilku szefów firm. Kogo i jak zamierzał zabić, pozostawało jedynie w sferze domysłów. Odpowiedź na to pytanie Daggett musiał znaleźć w ciągu niecałych siedemdziesięciu dwóch godzin.

Nie zwrócił szczególnej uwagi na piękny wschód słońca, któremu towarzyszył śpiew ptaków. Przebrał się w dres, przeszedł obok pokoju Duncana na palcach i wyszedł na zewnątrz. Było kilka minut po szóstej i na ulicy, oprócz innych biegaczy, nie było innych ludzi. Przebiegł cztery mile, zastanawiając się, od czego zacząć.

Po raz pierwszy zaniepokoił się, gdy Duncan nie wyłączył swojego budzika. Daggett był już ubrany i właśnie wiązał krawat. Gdy zobaczył, że pokój syna jest pusty, sam wyłączył budzik.

— Duncan?

Czyżby był w łazience? Ale drzwi do łazienki były otwarte... Daggett zawsze martwił się, że podczas ewolucji w łazience Duncan uderzy się w głowę...

Łazienka była pusta.

Więc Duncan jest na zewnątrz, przy drabince.

— Duncan? — zawołał. Biegiem ruszył do drzwi. Za rogiem wpadł na pusty wózek i przewrócił się o niego. Jego troska przemieniła się w gniew. Nie pierwszy raz Duncan zostawiał wózek w takim miejscu.

Daggett usiadł na podłodze, usiłując się spod niego wydostać.

Później nie mógł sobie przypomnieć, co nastąpiło w ciągu kilku następnych minut. Biegał po domu, szukając miejsca, w którym mógłby znajdować się syn.

Potem znów był sobą, agentem FBI. Na wózku były ślady krwi. Zajrzał do kuchni, myśląc: chłopiec w nocy zgłodniał, chciał coś zjeść i zaciął się nożem... Ale na wierzchu ani śladu żadnego noża, ani w ogóle niczego, co świadczyłoby, że był tutaj Duncan.

Leżał w łóżku; zaczął mu krwawić nos; nie chciał mnie budzić, więc wziął z lodówki lód...

Dopiero kiedy podniósł wózek — ile czasu minęło: pięć, dziesięć, dwadzieścia minut? — zobaczył kartkę:

„Mam go. NIC nie rób. Zupełnie nic.
Anthony Kort”

Nie mógł myśleć. Jego mózg po prostu odmówił posłuszeństwa. Dopiero po długiej chwili zdobył się na pierwszą myśl: kim jest człowiek, który nie zawahał się przed podpisaniem tej kartki?

Mam go. NIC nie rób. Zupełnie nic.

Spojrzał na zegarek. Czy od razu zadzwonić do Mumforda? Natychmiast wybił to sobie z głowy. Może zadzwonić do Carrie? Tak, ale po co? Przez godzinę chodził po domu. Nie mógł usiąść, nie mógł myśleć, nie mógł podnieść słuchawki. Wpadał na meble, których nie widział przez łyzy. Dwukrotnie zobaczył w lustrze swoją twarz i dwukrotnie musiał odwrócić wzrok. Wyglądał okropnie. Jedno z lusterek leżało teraz na podłodze, potłuczone.

Znów spojrzał na zegarek: czas płynął nieubłaganie. Kort z pewnością już działał. A Duncan... Czy mógł pozwolić sobie na zatrzymanie śledztwa? Zadzwoni i powie, że jest chory. Doszedł do wniosku, że nie. Koledzy znali go zbyt dobrze. Nieobecność w pracy byłaby bardzo podejrzana. Już lepiej iść i tylko udawać, że coś robi...

Gdyby zatrzymał śledztwo, Kort osiągnąłby cel, a Duncan byłby ocalony. Ale czy na pewno? Kontynuując śledztwo, mógłby doprowadzić do schwytania Korta i ocaliłby w ten sposób życie wielu ludzi. Nie mógł zapomnieć widoku sali gimnastycznej pełnej bagaży znalezionych po katastrofie 1023. Nie mógł zapomnieć o katastrofie 64.

Doszedł do wniosku, że taki człowiek jak Kort nie oszczędzi nikogo, nawet małego chłopca.

Podjął decyzję i sięgnął po słuchawkę. Zadzwoił do pani Kiyak i powiedział, żeby na razie nie przychodziła. Jazda do Buzzard Point jeszcze nigdy nie trwała tak długo.

26

Przez kilka godzin Kort bez celu jeździł toyotą tam i z powrotem po Beltway. Z tyłu leżał związany, zakneblowany chłopiec.

Skreślił w stronę osiedla, które kilka dni temu pokazała mu Caroline. Po dłuższym namyśle zdecydował, że takie rozwiązanie będzie najlepsze. Jeden z domów, które oglądał, z pewnością będzie bezpieczną kryjówką. Nie miał już czasu, żeby zacząć poszukiwanie domu w innej agencji, zwłaszcza że na karku miał związanego chłopca i armię agentów FBI. Policjanci z pewnością przeszukali jego hotelowy pokój i spodziewali się, że Kort będzie szukał innego schronienia. Możliwe, że jego rysopis rozesłano już do hoteli i moteli, może nawet do firm wynajmujących nieruchomości. Nie miał wyboru: musiał zostawić gdzieś chłopca i wrócić do swoich spraw. Musiał improwizować.

Był jeszcze wczesny ranek. Najlepsza pora, żeby przenieść chłopca do domu, nie wzbudzając przy tym zainteresowania sąsiadów...

„Ten dom rzadko pokazujemy naszym klientom” — przypomniał sobie słowa Caroline. Odszukanie domku zajęło mu prawie czterdzieści minut. Skreślił w boczną uliczkę i po chwili znalazł się przed ogrodem, w którym rosły bzy, azalie i rododendrony.

W ogrodzie było też sporo drzew. Domek był malutki; była to właściwie chatka składająca się z dwóch pokoi. Chatka zbyt mała dla przeciętnej rodziny, a młode małżeństwa uważały z pewnością, że chatka jest za bardzo oddalona od „cywilizacji”. Na dachu ktoś zainstalował antenę satelitarną. Kort był niemal pewien, że w ciągu najbliższych dni Caroline nie przyprowadzi tu żadnych swoich klientów. A przynajmniej chciał w to wierzyć, gdy zgasiwszy silnik, przez długą chwilę siedział w samochodzie i wpatrywał się w domek. Liczył się tylko czas.

Jak się z nią skontaktować?

Jej telefon był na podsłuchu, BMW z pewnością było pod stałą obserwacją. To samo z jej biurem. Należało wybrać chwilę, gdy nikt nie będzie jej obserwował. Do głowy przyszło mu kilka pomysłów.

Po pierwsze: winda. Z mieszkania do garażu zjeżdżała windą i było mało prawdopodobne, żeby agenci FBI założyli w niej podsłuch. W mieszkaniu byli w stanie inwigilować każdy jej ruch. Potem śledzili jej samochód. Ale czy obserwowali ją, zanim do niego wsiadła?

FBI mogło ją obserwować tylko z pewnej odległości także między BMW a biurem.

Z pewnością kontrolowano ją, gdy wchodziła i wychodziła z pracy. Ale dopóki jeden z agentów nie zaglądał jej przez ramię, nie mogli mieć na nią oka wszędzie. Kortowi wydawało się nieprawdopodobne, żeby śledzili ją także w toalecie.

Należało wybrać wyjście optymalne, minimalizujące ryzyko.

Najprościej byłoby ją zabić.

Ale miała przy sobie jedyny klucz do skrytki z gaśnicą Bernarda. Była mu potrzebna.

Musiał wymyślić coś innego.

W agencji modelek Bernstein and Wright pojawił się pięć minut przed umówionym spotkaniem. Spędził je przeglądając dziesiątki fotografii, z których wybrał trzy. Wszystkie trzy dziewczyny były podobne do Monique. Jak się po chwili okazało, jedna z nich była w ciąży; gorąco go za to przepraszano.

— Powinniśmy byli usunąć ją z katalogu już kilka miesięcy temu.

Kort przedstawił się jako niezależny fotograf mody.

Cindy Axtell pojawiła się dwadzieścia minut później. Twarz miała w sam raz, piersi trochę za małe, włosy nieco za krótkie, ale z tym wszystkim można było sobie jakoś poradzić. Na jego prośbę dziewczyna została zaproszona do pomieszczenia, gdzie w cztery oczy mieli omówić warunki kontraktu.

Kort zamknął drzwi.

— Panno Axtell, wybrałem panią dlatego, ponieważ w swoim życiorysie wspomniała pani, że grała na scenie. Nie mam wiele czasu, więc powiem wprost, o co chodzi. Nie jestem fotografem. Nie, nie, zapewniam panią, nie ma się czego obawiać. Nie jestem człowiekiem, za którego mnie pani uważa. Chodzi o zadanie, które wymaga zdolności aktorskich. Dobrze pani zapłacę. Mogę mieć jedynie nadzieję, że ma pani w sercu zrozumienie dla romantycznych historii, bo jeżeli nie, wątpię, czy się pani na to zgodzi.

Dziewczyna założyła nogę na nogę.

— Słucham pana, ale obawiam się, że nic z tego nie będzie.

— To nie ma żadnego związku z seksem. Poza tym przez cały dzień będzie miała pani okazję jeździć po mieście nowym BMW. Zanim wta- jemniczę panią w szczegóły, chcę z góry wiedzieć, czy rzeczywiście jest pani zainteresowana moją propozycją. Jak już powiedziałem, nie mam wiele czasu. Zgadza się pani, czy nie?

— Ale na co?

— Na grę. Przez jedno popołudnie. Nie ma to nic wspólnego z seksem. Będzie pani całkiem sama, oferuję pani podwójną stawkę, przynajmniej za cztery godziny. Płatne z góry, gotówką.

Dziewczyna była bardzo zdziwiona.

— Gotówką?

Kort skinął głową.

— Podwójna stawka?

— Tak.

— To jakieś podejrzone interesy, prawda? Narkotyki czy coś takiego? Nie, dziękuję — już wyciągała rękę po torebkę.

— Narkotyki? — zaśmiał się Kort. — Jeżeli nie spodoba się pani samochód, może go pani zostawić, gdzie tylko pani chce. Może pani nawet wyrzucić kluczyki, nic mnie to nie obchodzi.

Dziewczyna była zdezorientowana. Tylko tak dalej, pomyślał Kort.

— Jestem zakochany w pewnej kobiecie. Ona także mnie kocha. Ale jej zazdrosny mąż wynajął detektywa, który ją bezustannie śledzi. Ten facet jest bardzo bogaty i nie chce przyjąć do wiadomości, że żona wystąpiła do sądu o rozwód. Może zna pani ten typ mężczyzny...

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale Kort dostrzegł w jej oczach przychyłość.

Monique usiłowała nie ulec ogarniającej ją panice.

Musiała udawać, że wszystko jest w porządku. Wszystko należało robić tak jak zwykle, jak gdyby nic się nie stało. Ale skąd miała wiedzieć, czy śmieciarz nie był agentem FBI? A może był nim człowiek w samochodzie? A mężczyzna naprawiający w biurze kserokopiarkę? Wszyscy byli podejrzeni...

Już trzecia osoba zapytała ją, czy dobrze się czuje, więc najwidoczniej nie umiała ukryć swojego zdenerwowania.

Dochodziła piąta. Złapała torebkę i już miała wyjść z pracy, gdy dogoniła ją jedna z sekretarek.

— Przyszedł do ciebie fax. Pilny — powiedziała kobieta, podając jej kartkę papieru.

Monique usiadła w recepcji na jednym z krzeseł. Fax napisany był odręcznie. Dziewczyna spojrzała na adres nadawcy i zaczęło jej walić serce: DALLAS, TEXAS.

Od niego. Fax przysłała Priscilla Russell. Miała już dwie litery — P i R — które, gdy znajdowały się na początku słowa, zaznaczały miejsce, gdzie kończyła się zaszyfrowana wiadomość. Nie było łatwo odczytać ją od razu. Przeczytała tekst, szukając liter PR i znalazła je w słowie „przez”. Należało teraz z każdego słowa aż do słowa „przez” odczytać drugą literę.

Monique

Kierujemy administracyjnie dziewięciu odpowiedzialnych, solidnych związkowców, oczekiwanych przez wasz wydział, celem uzgodnienia z dyrekcją wspólnego stanowiska dotyczącego wynagradzania pracowników zatrudnionych w poszerzonym wymiarze godzin.

Priscilla

Nie mogła zrobić tego w myślach. Wzięła z recepcji ołówek i napisała: i-d-z-d-o-w-c.

Zrozumiała: „Idź do WC”.

Zwinęła kartkę i chciała ją wyrzucić, ale pomyślała, że lepiej tego nie robić.

— Do widzenia — powiedziała do recepcjonistki.

— Do jutra.

To ją otrzeźwiło. Wiedziała, że jeżeli z boską pomocą wszystko pójdzie dobrze, nigdy już tu nie wróci. Rozejrzała się dookoła. Polubiła to biuro...

Idąc do toalety, czuła, jak serce wali jej w piersiach.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Przy umywalce stała jakaś blondynka. Miała na sobie krótką, skórzaną, czerwoną mini i czarną skórzaną kurtkę. Czyżby była z FBI? A jeżeli on nie mógł się z nią skontaktować...

— Usiądź na środkowej muszli i zamknij kabinę — powiedziała blondynka, gdy zamknęły się drzwi toalety. — Jesteśmy same.

Monique zawahała się.

— Szybko! Rozbierz się do bielizny i podaj mi swoje ubranie; usiądę na muszli obok. Tu masz torbę, ubierz się w to, co jest w środku.

Modelka wytarła ręce i zamknęła się w klozecie.

— Jeżeli ktoś tu wejdzie, usiądź na muszli.

Monique posłusznie robiła to, co kazała jej dziewczyna. Rozebrała się w ciągu kilku sekund i pod ścianką udzielającą kabiny podała jej swoje ubranie. W torbie znalazła czerwoną spódniczkę, półprzezroczystą bluzkę i skórzaną kurtkę. Na samym dnie znajdowała się peruka z jasnymi włosami, wielkie okulary przeciwsłoneczne i nożyczki. Patrzyła na nie, ale tylko przez chwilę. Dobrze wiedziała, co ma zrobić. Obcięła sobie

włosy i wrzuciła je do muszli. Były zbyt długie, żeby zmieścić się pod peruką.

On zawsze potrafił wszystko przewidzieć...

— Tak pani dziękuję... — szepnęła Monique. Znow zaczęła płakać. Nienawidziła się za to.

— Musi go pani bardzo kochać — usłyszała głos zza ścianki.

Obcięcie włosów oznaczało definitywny koniec z jej dotychczasowym życiem. Miała tego pełną świadomość.

— Daj mi kluczyki od samochodu i powiedz, gdzie go zostawiłaś.

Dopiero teraz Monique w pełni zrozumiała plan Korta.

— Auto stoi na parkingu dla pracowników — powiedziała Monique.

Nie miała już nic do roboty. Wszystko zrobiono za nią.

Ktoś otworzył drzwi. Monique usiadła na muszli i zamarła. Kobieta, która weszła do toalety, zajęła trzecią kabinę. Po chwili spuściła wodę, umyła ręce i wyszła.

Pod ścianką działową pojawiła się szminka i niewielki zestaw do makijażu. Jeszcze dwa cięcia nożyczkami i po jej długich włosach nie było śladu. Pływały teraz po powierzchni wody.

Peruka była obrzydliwa. Poprawiła ją, przyglądając się sobie w lusterku znajdującym się w pudełeczku z cieniami do powiek. Czerwona szminka była okropna, ale zdecydowanie zmieniała jej wygląd. Reszty dokonały wielkie okulary.

Była teraz kimś zupełnie innym. Głupią, łatwą cizią.

Kobieta podała jej swoje ubranie.

— Włóż do torby. Wyniesiesz to, bo ja z tym przyszedłam — szepnęła.

Monique włożyła do torby ubranie, szminkę i cienie do powiek, po czym otworzyła drzwi, żeby przyjrzeć się sobie w dużym lustrze.

Jęknęła. Ta kobieta, w jej ubraniu i z jej makijażem, w peruce przypominającej włosy, które przed chwilą odpłynęły rurami kanalizacyjnymi, była do niej ludzaco podobna.

— Chyba nam się uda — szepnęła.

Cindy Axtell skinęła głową i uśmiechnęła się do niej.

— Tak, myślę, że się uda. Daj mi dwie minuty.

Wzięła torebkę Monique i przesyłała jej zawartość do pustej torebki, którą przyniosła ze sobą. Potem zamieniły się torebkami, a Monique wręczyła jej kluczyki do BMW.

— Zejdź na dół po schodach. W ten sposób nie natkniesz się na ludzi z biura i nie będziesz musiała się tłumaczyć, co tu robisz. Jak już będziesz na parterze, od razu wyjdź na ulicę. Popracuj nad swoim chodem, żeby był naprawdę seksy. Masz — to jego pomysł — zwracać na siebie uwagę, a wtedy nikt cię nie zobaczy. Rozumiesz? Tak podobno myślą mężczyźni. Gdy znajdziesz się na ulicy, skręć w lewo i idź przed siebie. Wejdź do hotelowego baru za następną przecznicą. Usiądź i zamów sobie drinka. Nie pij alkoholu i z nikim nie rozmawiaj. Tam się spotkacie. Ale bądź cierpliwa, to może potrwać. Musiałam mu obiecać, że na pewno ci to wszystko powtórzę.

Monique jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

— Masz szczęście, że znalazłaś sobie takiego mężczyznę. Jest naprawdę wspaniały.

— To prawda... — szepnęła Monique. W tej chwili rzeczywiście tak uważała.

— Powiedział, żebym odjechała i zaparkowała samochód gdziekolwiek. Wiem, że uciekacie przed detektywem, ale... jak mam się potem z wami skontaktować, żeby powiedzieć, gdzie zostawiłam BMW?

— Nie przejmuj się tym — powiedziała Monique, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco. Nie wiedziała, jaką historię opowiedział jej Kort i mogła najwyżej zgadywać.

Monique bardzo lubiła swój samochód. Cały jej świat rozpadł się w ciągu kilku chwil...

Cindy Axtell wrzuciła kluczyki do pustej torebki i wyszła z toalety.

Monique spojrzała na zegarek i zaczęła odliczać dwie minuty...

28

Kort doszedł do wniosku, że jego myśli mają wiele wspólnego z roślinami. Są jak ziarna, z których powoli wyrastają pomysły. W jego głowie nie było miejsca na myśli spontaniczne, wszystko miało swój porządek. Najpierw zapłodnienie, potem troskliwe podlewanie i w końcu, gdy już pomysł dojrzał, należało go wcielić w życie. Wczoraj wieczorem zobaczył na stacji metra policjanta przeszukującego jakichś pijaczków. Starał się wczuć w psychiczny stan Daggetta, który wprawdzie wiedział, że operacja Korta miała nikłe szanse powodzenia, ale z drugiej strony Kort miał teraz zakładnika — jego syna.

Owoce tych rozmyślań były zakupy: szare spodnie, biały golf, brązowa kurtka i buty na gumowej podeszwie. Za wszystko zapłacił gotówką. Do jego wrogów należeli nie tylko Daggett i Lynn Greene, nie tylko połączone siły wszystkich agentów FBI, ale także jego własne ciało. Kort był już zmęczony...

Pozostało jeszcze dużo do zrobienia. Przejrzawszy zawartość teczek Daggetta, Kort doszedł do jednego, pewnego wniosku: musi zginąć. Dopóki żyje, FBI będzie go śledzić.

Oderwał metki i włożył nowe ubranie do torby.

Sztuka polegała na tym, żeby znaleźć wyjście przeciwpożarowe czerwonej linii metra pomiędzy stacjami DuPont Circle i Farragut North.

Kort ułatwił sobie to zadanie, przeglądając plany kolejki, znajdujące się w Bibliotece Kongresu, do której udał się natychmiast po zaangażowaniu Cindy Axtell. Ale czym innym było przejście w bibliotecę mikrofilmów, a czym innym znalezienie prawdziwego wyjścia przeciwpożarowego. Wreszcie jakiś kloszard bezwiednie zaprowadził go do niewielkich stalowych drzwi z napisem: „Nie Parkować. Wyjście Awaryjne”.

Ruszył za kloszardem. Drzwi, jak można się było tego spodziewać, zablokowano zardzewiałą puszką po piwie. Kort odczekał chwilę, aby nie przestraszyć tego człowieka.

Nigdy nie należy straszyć ludzi, których ma się zamiar wykorzystać.

Za stalowymi drzwiami znajdowały się nieprawdopodobnie długie, źle oświetlone schody. Ich długość dowodziła, że żyjący tu bezdomni powinni zaliczać się do najbardziej wysportowanych ludzi w mieście.

Kort nie liczył stopni, ale doszedł do wniosku, że było ich około sześciuset. Klatka schodowa miała około dwudziestu pięter wysokości, czyli jakieś sześćdziesiąt metrów w pionie. Zastanawiał się, czy dziś wieczorem będzie w stanie wbiec po nich na górę. Schodził coraz niżej; powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne, zmuszając Korta do zastanowienia się nad desperacją ludzi, którzy zdecydowali się żyć w takich warunkach. Było nieznośnie duszno i gorąco, czuł woń stali, nadpalonych przewodów elektrycznych i gumy.

W tunelu panowały ciemności, jedynie co kilkaset metrów, wysoko nad linią elektryczną i nad rurami biegnącymi wzdłuż betonowych ścian, majaczyło słabe światło. Pod butami chrząścił żużel, który przyczyniał się do zaduchu panującego w podziemiach. Kort przystanął, wsłuchując się w kroki idącego przed nim człowieka. Zapadła cisza. Znaczyło to, że albo zbliżała się kolejka i człowiek schronił się za wyłomem muru, albo że usiadł i zamierzał wypić wódkę z niesionej przez siebie butelki. W każdym razie Kort miał się na baczności. Wymacał w kieszeni latarkę. .

Poczuł woń potu tego człowieka, jeszcze zanim się do niego zbliżył. Zatrzymał się. Był od niego nie dalej niż trzy metry. Stał na tyle blisko, że słyszał jak tamten oddycha. Doszedł go także dźwięk odkręcanej nakrętki. Po chwili usłyszał, że mężczyzna pije.

Odgłos zbliżającej się kolejki stawał się coraz wyraźniejszy.

Dopiero w tym momencie Kort zrobił krok do przodu i snop światła latarki skierował na tego biednego człowieka, który odruchowo zasłonił łokciem swój najcenniejszy skarb — butelkę z wódką. Kłozard podniósł wzrok; nie mógł dostrzec, że mężczyzna oświetlający go latarką wyjął z kieszeni strzykawkę.

— Idź sobie — wybełkotał, przyciskając butelkę do piersi. Kort zrobił kolejny krok w jego stronę.

Ryk zbliżającego się pociągu narastał, stukrotnie wzmocniony pogłosem betonowych ścian. Kort ogłuchł, schował latarkę między nogi, aby ukryć jej światło i przycisnął się do ściany, żeby nie dać się zabić jednookiemu wężowi, który z ogromną szybkością przemknął tuż obok.

Uniósł do góry strzykawkę i z całej siły wbił igłę w kark kłozarda. Po chwili mężczyzna bezwładnie upadł na ziemię, rozbijając przy tym butelkę z wódką. Już spał.

Kort był prawie gotów. Po chwili opuścił smród tunelu i już bez torby dzielnie wspiał się na górę po czterystu osiemdziesięciu sześciu stopniach.

W Georgetown poszedł do filii sklepu, w którym poprzedniego dnia kupił ubranie. Poprosił o takie same spodnie, biały golf, brązową kurtkę i buty. Potem z bolącą głową ruszył do telefonu.

29

Na parterze starego budynku pocztowego są telefony. Bądź tam za dziesięć minut.

Daggett usłyszał sygnał i dopiero wtedy dotarło do niego, że człowiek, z którym rozmawiał, mówił z obcym akcentem. Po dwóch latach śledztwa spotka Anthony'ego Korta.

Stary budynek poczty przerobiono na restaurację, która wchodziła w skład kompleksu handlowego. O trzeciej po południu prawie wszystkie stoliki były puste, choć kobieta stojąca nie opodal zarabiała całkiem nieźle, sprzedając lody i baloniki.

Daggett dotarł do trzech aparatów telefonicznych i, nie zwracając uwagi na obsceniczną twórczość, niecierpliwie czekał, aż któryś z nich zadzwoni. Pomyślał, że Kort czerpie swoje pomysły z filmu „Bрудny Harry” z Clintem Eastwoodem: zmuszał policjanta do biegania od telefonu do telefonu dopóty, dopóki nie nabrał pewności, że glina był sam, a telefony nie mają podsłuchu. Daggett miał nadzieję, że ta zabawa nie potrwa zbyt długo.

— Wymień mnie za niego — powiedział Daggett. — W miejscu, które sam wybierzesz.

— Niemożliwe. Dalszy ciąg rozmowy piętro wyżej. Za minutę. — Daggett znów usłyszał sygnał.

— Cholera — zaklął głośno, zwracając na siebie uwagę przechodniów. Pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, ale musiał

przystanąć, by spytać, gdzie są telefony. Gdy do nich dotarł, jeden już dzwonił.

— Więcej się w to nie bawię — zaczął. — Żaden telefon nie jest na podsłuchu.

— Przyjdź na przystanek DuPont Circle, na północny peron. Dziś wieczorem, o dziewiątej. Przynies terminarze. Zrozumiałeś?

— Proponowałem ci układ: wymień mnie za chłopca.

— Północny peron, dziewiąta wieczór. Masz być sam. Chodzi o życie twojego syna.

— Jaką mam pewność, że on jeszcze żyje?

— Nie masz żadnej — Kort przerwał połączenie.

Daggett słabym krokiem ruszył do toalety. Zwymiotował. Spojrzał w przekrwione oczy człowieka w lustrze, który przez ostatnie godziny postarzał się o kilka lat.

Nie było już odwrotu.

Z drugiej strony, gdzieś w głębi serca chciał, żeby to właśnie tak wyglądało. Żeby spotkali się sami. Żeby mógł zmierzyć się z człowiekiem, który był odpowiedzialny za śmierć jego rodziców i kalectwo syna. Bez nakazów aresztowania, bez ekstradycji, sądów i więziennych cel. Bez jakichkolwiek reguł.

Wydawało mu się, że tak właśnie powinno być.

30

Cheysson zniknęła — szepnął Levin, pochylając się nad biurkiem Daggetta.

Daggett nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

Może właśnie na tym polegał plan Korta? Czyżby chodziło o odwrócenie jego uwagi?

— Wyszła z biura o piątej. Nie było w tym nic niezwykłego. Nasi ludzie poszli za nią do sklepu przy Beltway — ciągnął Levin.

— Do sklepu? Powinni byli ją zatrzymać...

— Wiem, wiem...

— To najstarsza sztuczka, jaką znam.

— Słuchaj, obstawili wszystkie wyjścia, ale szukali ubrania, a nie twarzy. Ona stamtąd nie wyszła. Wciąż tam jest. Proszą, żebyśmy im dali więcej ludzi...

— Już dawno jej tam nie ma, jestem tego pewien — Daggett nie mógł zebrać myśli. Miał wrażenie, że jego sytuacja pogarsza się z każdą chwilą. Zbyt długo już nic nie robił; zaniedbał syna, źle poprowadził śledztwo... — Zwołaj spotkanie — powiedział.

— Spotkanie? A co do cholery mam zrobić z tą Cheysson?

— Przecież ją zgubiliśmy — rzekł wściekły. — Nic nie możemy zrobić, nie potrzebujemy jej. Zwołaj spotkanie, poproś Glorię, żeby to zrobiła. Potrzebuję Pullmana, ludzi z obserwacji i serwisu technicznego. Mają przyjść wszyscy.

— Nie potrzebujemy jej?! — wrzasnął Levin.

- Nie krzycz na mnie, Bradley. To nie jest wiadomość dla ogółu.
- Odbiło ci.
- Może. Ale za to znalazłem Anthony'ego Korta. Więc z łaski swojej zwołaj to spotkanie, zanim odbije mi jeszcze bardziej i zmienię zdanie...

31

Monique była wolna.

Plan Korta udał się wspaniale. Wyszła z biura bez żadnych kłopotów i już po godzinie, siedząc w hotelowym barze, otrzymała od niego wiadomość. Przez następne dwie godziny poruszała się po mieście zgodnie ze wskazówkami Korta, który najwidoczniej sprawdzał, czy nikt jej nie śledzi. Chodziło jej się wyjątkowo lekko; cieszyła ją nie tylko wolność, ale także to, że uwolnił ją właśnie on. Wiedziała, że teraz będą razem. Uratował jej życie. Nie było nic, czego nie dałaby mu w zamian.

Kilka minut po ósmej siedziała już na przednim siedzeniu toyoty.

— Uratowałeś mi życie — powiedziała. — Nie wiem, jak ci się odwdzięczę...

— Rozbieraj się. — Kort wskazał na torbę z ubraniami, leżącą na tylnym siedzeniu.

— Tutaj? — zdziwiła się.

— Natychmiast. Nie mamy czasu.

Nie protestowała. Rozpięła czerwoną mini i zsunęła ją na podłogę.

— Potrzebny mi jest klucz do schowka z gaśnicą — powiedział zimno Kort. Bynajmniej nie był w sentymentalnym nastroju.

Monique skinęła głową.

— Jesteś na mnie zły? — spytała. — Czy to moja wina, że mnie namierzyli?

- Nie chcę o tym mówić — odparł chłodno.
 - To Grek mnie wydał. To nie moja wina... — wyjęła z torebki klucze. — Jak możesz nosić rękawiczki w taki upał?
 - Zawsze noszę rękawiczki.
 - To prywatna skrytka. Napisać ci adres?
 - Znam adres. Potrzebny mi tylko klucz.
 - Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mi pomogłeś? — spytała, nie chcąc, żeby odpowiedział.
 - Potrzebuję twojej pomocy.
 - Nieprawda.
 - Prawda.
- Zapaliło się zielone światło i ruszyli dalej.
- Nadal chcesz to zrobić?
 - Oczywiście. Jesteśmy tu po to, żeby zrobić to, co do nas należy.
 - Jesteś szalony. — Miała ochotę otworzyć drzwi i uciec od niego.
- Uśmiechnął się i skinął głową.
- To prawda.
 - W czym mam ci pomóc?
 - Zostaniesz nianią. Umiesz gotować, prawda?

32

Przyszedł, żeby powiedzieć jej o Duncanie. I o decyzji, którą podjął. Musiał tu przyjść, bo nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Nie wiedział, co przyniosą kolejne godziny. Carrie zasługiwała na to, żeby jej o wszystkim powiedzieć.

To ona wносиła spokój w jego życie. Potrzebował jej pomimo to, że ostatnio ich stosunki nie były najlepsze.

Nie wspomniał o Duncanie. Nie mógł się na to zdobyć. Jej oczy powiedziały mu, że podjął złą decyzję. Ale nie było już odwrotu.

— Byłem u niej tamtej nocy.

Nie musiał mówić nic więcej. Wyjęła z torebki papierosa i zapaliła.

— Przyjechałem do ciebie w nocy. Stałem na parkingu i nie mogłem zdobyć się na to, żeby wejść.

Carrie milczała.

— Pomyślałem, że doszłoby do kłótni. To jedyne, co ostatnio robimy.

— No i jak było? — pogardliwie spytała Carrie. — Fajnie? Tak jak sobie wymarzyłeś? Wiem przecież, że wciąż o niej myślisz — dodała gorzko. — Mówiłeś o niej przez sen.

— To nie było tak, jak sądzisz. Chciałem pójść z nią do łóżka, ale ona się nie zgodziła.

— Wie, jak cię wodzić za nos.

— Może.

— Poznałam kogoś — powiedziała, podnosząc do góry głowę i wydmuchując dym. Wiedziała, że Cam nienawidzi papierosów.

Daggett poczuł się tak, jakby dostał w twarz. Zastanawiał się, czy tego dnia może zdarzyć się coś jeszcze gorszego. Był zazdrosny, wściekły i chciało mu się płakać.

— Tak sobie właśnie myślałem. Wczoraj wieczór?

Skinęła głową.

— Tak, wczoraj też.

— Znam go?

Carrie zaśmiała się nerwowo, wydmuchując dym.

— Trudno nawet powiedzieć, że ja go znam. Spotkaliśmy się dopiero kilka dni temu.

— No i jak było? Tak jak to sobie wymarzyłaś?

Carrie zrobiło się przykro. Daggett odczuł satysfakcję, przecież nie przespał się z Lynn... Ale było mu żal Carrie, nie chciał jej utracić. Niepotrzebnie to powiedział...

Lynn także nie chciał stracić, ale przecież jeszcze jej nie miał...

Milczeli.

— Wydawało mi się, że się zakochałam — Carrie przerwała ciszę.

— Mówisz to w czasie przeszłym?

— Bo ja wiem...

— Czy to jest odpowiedź?

— Jest. Wciąż bawimy się w różne gry słów. I nie tylko słów. Bawimy się naszymi uczuciami, sobą...

— Dlaczego mi to powiedziałaś?

— Tak sobie. — Usiłowała się złośliwie uśmiechnąć. — Nie miałam takiego zamiaru. Nie wiem, dlaczego ci powiedziałam. Może dlatego, że ty powiedziałaś o niej. Boję się jej. Jest wszystkim tym, czym ja nie jestem.

— Jest przyjacielem i tyle.

— Gówno prawda.

— No to dlaczego jestem teraz tutaj?

— Nie wiem. Ale wiem, że nie było cię tu od miesięcy. Wszystko zawsze odbywa się u ciebie i na twoich warunkach. Zawsze tylko: ty, ty, ty. Wiesz, czym to dla mnie jest?

— Porwali Duncana. — Wreszcie to powiedział. Była to jedyna rzecz,

która mogła obronić go przed prawdą. — Wczoraj w nocy — dodał.

Uzyskał to, czego pragnął. Jej złość zniknęła, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Carrie była przerażona, w jej oczach czał się strach. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Dziś wieczorem mam się z nim spotkać.

— Z kim? O czym ty mówisz — wyszeptwała ze łzami w oczach.

Ale jego oczy pozostały zimne i nieczułe. Gdy wyrzucił z siebie prawdę o Duncanie, poczuł ulgę. Uzmysłował sobie, jak bardzo jest zmęczony.

Musiał powiedzieć jej o ostatnich kilku godzinach, o tym przez co przeszedł, co myślał... To była prawdziwa spowiedź. Po to przyszedł: żeby się wypowiadać.

— To śmieszne... Przez całe życie wydaje ci się, że moralnie stoisz wyżej od ludzi, których ścigasz. Ale gdy staje się coś takiego, okazuje się, że nie ma nic, czego byśmy nie zrobili. Wszyscy jesteśmy tacy sami. A jeżeli tak jest, to co za różnica, kogo wpakuje się do więzienia, a kogo wypuści na wolność?

— O czym ty mówisz?

— On myśli, że może mnie szantażować. Chce wymieć Duncana na jakieś terminarze.

— Nie rozumiem — jej głos się załamał.

— Nie zgodziłem się na to.

— Cam?

— Czy zrobiłem źle?

— Co?

— Zrobiłem źle?

— Nie rozumiem...

— Na każdej stacji metra mamy swojego człowieka. Dwóch na południowym peronie, ale na północnym będę tylko ja. Tak, jak powiedział.

— Kto?

— Przecież ci mówiłem. Ten, kto go porwał.

— Oszukałeś go?

— Kocham Duncana. Wiedziałem, że chociaż ty mnie zrozumiesz. Rozumiesz mnie, prawda? Nie mogę zgodzić się na jego warunki. Oni zabijają zakładników. Oni zawsze zabijają zakładników.

Płakała. Dopiero teraz Daggett zrozumiał. W oczach stanęły mu łzy. Oszukał i zdradził własnego syna. Nienawidził się za to, co zrobił. Nie mógł sobie tego wybaczyć. Nikt nie mógł dać mu rozgrzeszenia: ani Carrie, ani Bóg. Będzie żył i umrze z tą świadomością.

Długo płakali. Przeraziła go myśl, że przedwcześnie oplakują śmierć jego jedyne dziecko.

— Dziękuję ci — szepnęła i uścisnęła jej dłoń.

Carrie podniosła wzrok. Wiedział już, co myślała: zgrzeszył. Wstał, chciał ją pocałować w policzek, ale nie zrobił tego.

— Zadzwoń do ciebie — powiedział, choć sam w to nie wierzył.

Był już w drodze do drzwi, gdy usłyszał jej pytanie:

— Jak to się mogło stać?

— Nie wiem — rzekł Daggett, naciskając klamkę. Czy wrócę tu jeszcze kiedyś? — pomyślał. — Na zamku nie było śladu, który wskazywałby, że ktoś otworzył go wytrychem. Może Duncan go wpuścił? Ale wątpię, żeby to zrobił, zwłaszcza w środku nocy... Jakoś musiał się dostać do środka...

Chciała wstać z krzesła, ale zmieniła zamiar. Był jej za to wdzięczny, chciał jak najszybciej odejść.

— Będę się za ciebie modlić — szepnęła. — Za was obu.

33

Daggett zaparkował samochód pięć przecznic od Du-Pont Circle i czekał. Nie mógł dostrzec twarzy mężczyzny siedzącego na tylnym siedzeniu samochodu po przeciwnej stronie ulicy. Zadzwoił radiotelefon, w słuchawce usłyszał głos Pullmana...

W ciągu niecałych trzech godzin Pullman i Mumford do wykonania tej operacji wysłali sześćdziesięciu agentów. Obawiano się, że odbiór komunikatów radiowych w metrze może być utrudniony z powodu zakłóceń i dlatego wysłano w miasto kilka wozów retransmisyjnych, wzmacniających sygnały krótkofalówek. Miasto należało teraz do agentów. Byli dumni, że w ciągu kilku godzin obstawili cały Waszyngton.

— Mamy zielone światło — powiedział Pullman.

— Poczekajmy, czy przyjdzie z chłopcem — przypomniał Daggett. FBI było znane z udanych akcji, ale pomiędzy każdymi dwoma sukcesami nagłościonymi przez prasę było przynajmniej dwadzieścia nieudanych operacji. Daggett zastanawiał się, czy należy pokładać w FBI tyle nadziei. Modlił się, aby przez resztę życia nie musiał żałować swojej decyzji.

— Jesteśmy z tobą, Michigan. To, co zrobiłeś, wymagało wielkiej odwagi.

— Albo kretynizmu — powiedział Daggett, przerywając połączenie i zapalając silnik. Pullman powiedział najgłupszą rzecz na świecie. Po raz ostatni spojrzął w prawo. Mężczyzna za szybą przybliżył do niej dłoń

z kciukiem wysuniętym do góry. Boże, ten facet zachowywał się jak John Wayne. Daggettem znów wstrząsnął dreszcz strachu i z pewnością zwymiotowałby, gdyby jeszcze miał czym.

Zjeżdża w dół windą. Terminarze są w kieszeni kurtki. Zapachy z szybu mówią mu, że jest coraz niżej. Robi się coraz bardziej gorąco, odruchowo myśli o piekle. To kara za jego porażkę.

Jest dziewiąta. Wpatruje się w twarze w tłumie. W jakim tłumie? Przecież o tej godzinie nie ma tu prawie nikogo. Ludzie jedzą teraz kolację, oglądają telewizję albo poszli do swoich klubów. To właśnie ich ma strzec. Ale najwidoczniej nie robi tego zbyt dobrze; Cheysson uciekła; Kort jest na wolności.

Kort stoi na końcu peronu niecałe dziesięć metrów od niego. Patrzy mu prosto w oczy i uśmiecha się.

W pierwszej chwili Daggett nie może uwierzyć własnym oczom. Myśli jak glina, nic nie może na to poradzić. Szkic policyjny nie był dokładny: broda nie jest tak szpiczasta, uszy nieco bardziej odstają na boki. Przełyka ślinę i chrząka. Jego mikrofon przekaże ten dźwięk, gdzie trzeba, a tam będą już wiedzieli, że zobaczył Korta. Może sobie jedynie wyobrazić, co dzieje się na ulicy nad nimi. Ci ludzie z techniki są naprawdę dobrzy; za to ich lubi.

Podchodzi kilka kroków w stronę Korta, ale ten unosi rękę, żeby go zatrzymać. Wie, co robi. Z tej odległości trudno trafić, a gdy cel jest ruchomy to praktycznie niemożliwe.

Rząd świateł wmontowany w betonowe ściany zaczyna mrugać. Zaraz przyjedzie kolejka.

Kolejka!

Twarz Korta tężeje. Robi to, czego Daggett się nie spodziewał. Gestem wskazuje, żeby Daggett się do niego zbliżył.

Jego oczy śledzą pusty peron i Daggett niemal czuje, jak tamten oblicza sobie właściwy moment.

W kolejce nie ma żadnych agentów. Wszyscy jednogłośnie doszli do „wniosku, że stanowiłoby to zbyt duże zagrożenie dla pasażerów. Dlatego tyle uwagi poświęcili samym stacjom.

Daggett modli się, żeby Duncan był w tej kolejce i żeby jego twarz pojawiła się w oknie.

Stoją oddaleni od siebie nie więcej niż o trzy metry. Żaden z nich nie przeżyłby strzału z tej odległości.

— Terminarze — mówi Kort.

Daggett wyjmuje je z kieszeni, ale mu nie podaje.

— Duncan.

Kolejka wjeżdża na stację. Kort nerwowo spogląda to na kolejkę, to na terminarze. Pociąg zwalnia.

— Terminarze — powtarza. Daggett potrząsa głową.

— Duncan.

Dopiero w tym momencie Daggett zdaje sobie sprawę, że coś jest nie tak. Zauważa mężczyznę w średnim wieku, w starych dżinsach i scho-dzonych sportowych butach. Jego ręką znika pod kurtką. Wygląda jak tajniak albo emerytowany glina, który lubi wtrącać się w nie swoje sprawy.

— Co, chłopcy, szukacie guza? — pyta, dumnie pokazując swoją od-znakę.

Ani Kort, ani Daggett nie wykonują żadnego ruchu. Drzwi kolejki otwierają się.

— Hej, mówię do ciebie — ręka sięga do niewidocznej kabury.

— Nieźleś to sobie wymyślił — mówi Kort do Daggetta.

— FBI! — krzyczy Daggett i sięga po legitymację.

Ale tamten najwidoczniej nie rozumie i wyciąga broń. Daggett pada na ziemię.

Kort zabija glinę dwoma strzałami w klatkę piersiową. Strzały odbija-ją się głośnym echem od betonowych ścian.

Później Daggett przypomniał sobie, że gdy wstał, w oknach kolejki nie zobaczył ani jednej twarzy; na dźwięk strzałów wszyscy pasażerowie padli na ziemię. Bo Daggett najpierw spojrział na kolejkę. Dopiero w ułamek sekundy później dostrzegł Korta zeskakującego z peronu i znikają-cego w ciemnościach tunelu.

Przecież to samobójstwo! Tego nie wziął pod uwagę! Tunel! — krzy-czy, aby ludzie na górze wiedzieli, co się dzieje.

Opuszcza względnie bezpieczny peron i skacze za Kortem w ciem-ność.

Jest cholernie gorąco. Nic nie widzi. Jest tak ciemno, że musi zwolnić. Wszystko jest jednakowo szare, a z każdym metrem staje się coraz ciem-niej. Robi jeszcze kilka kroków. Kilkadziesiąt metrów dalej słyszy

szybkie kroki. Rusza; tunel zakręca łagodnym łukiem. Jest ciemno jak w studni, na wysokości jego kolan zapala się zapalka. Daggett z krzykiem rzuca się na ziemię. Palec dotyka spustu.

To jakiś pieprzony, półnagi kloszard, który zapala sobie papierosa.

W głębi korytarza słyszy kroki.

Wkłada broń do kabury i wstaje. O mało co nie zabił bezdomnego człowieka.

Musi przyspieszyć, bo zgubi Korta.

Mija miejsce, skąd dochodzi go smród ekskrementów. Biegnie dalej, przed sobą wciąż słyszy kroki.

Gdy się zatrzymuje, jest już cicho.

A właściwie nie całkiem cicho: nadjeżdża kolejka. Z przodu? Z tyłu? Nie jest tego pewien. Ale nie słyszy już kroków. Powoli porusza się do przodu, oburącz trzymając broń. Świat znów jest szary, wzrok zdążył przyzwyczaić się do ciemności. Ale nie widzi żadnego źródła światła, tylko mozaikę najdziwniejszych kształtów. Ziemia pod stopami zaczyna delikatnie wibrować, dźwięk kolejki jest coraz wyraźniejszy.

Jakaś postać wyskakuje zza załomu muru, przewracając go na ziemię. Daggett niechcący pociąga za cyngiel. Żółty, jasny błysk uświadamia mu, że tamten do niego strzela. Zmienia pozycję tak, żeby leżeć pomiędzy szynami. Wie, że trzecia szyna jest pod napięciem, które w kilka sekund zamieniłoby go w pył. Słyszy jeszcze dwa strzały.

Ziemia zaczyna się trząść. Kolejka jest coraz bliżej. Kolejka! Zrywa się na nogi i rusza przed siebie, w głąb tunelu, który w światłach kolejki staje się coraz wyraźniejszy. Tunel zakręca teraz w lewo. Daggett biegnie najszybciej, jak potrafi i w dali dostrzega sylwetkę Korta. Po chwili oślepia go białe światło, jasne jak słońce. Zgubił go? Zatrzymuje się, ciężko oddychając. Wyciąga rękę, żeby zasłonić oczy. Jest przerażony. Ryk pociągu jest coraz głośniejszy, Daggett sam ma ochotę krzyczeć.

W ostatniej sekundzie, zaledwie kilka metrów przed nim, sylwetka Korta odrywa się od ściany. Najwidoczniej chce rzucić się na ziemię po drugiej stronie toru, gdzie jest więcej miejsca, ale potyka się... Coś jest nie tak... Przewraca się... Daggett nie widzi tego dokładnie, oślepiając

światło jest coraz bliżej. Czarna sylwetka jest tuż przed białym reflektorem pociągu.

Daggett krzyczy: — Niiieeeeeeee!!!

Uderzenie następuje w ułamek sekundy później i w twarz Daggetta chlusta krew tamtego człowieka...

Gdy odzyskuje świadomość, widzi, że leży obok torów. W nozdrza uderza go smród fekaliów. Zdejmuje z siebie przesiąknięte krwią ubranie i zostaje w samych szortach. Wyciera twarz i powoli rusza w stronę, skąd słychać nadbiegających ludzi. Kort nie żyje, Daggett odniósł zwycięstwo. Ale nie wygrał. Gdzie jest Duncan? Czy kiedykolwiek uda się go odnaleźć bez pomocy Korta?

Płacze. Jego łzy są czerwone, zabarwione krwią innego człowieka.

34

Carrie Stevenson źle spała tej nocy. Nie tylko martwiła się o Cama, ale także nienawidziła go, nienawidziła siebie, nienawidziła wszystkiego... Romans z Carlem, te krótkie chwile szczęścia, musiała teraz okupić smutkiem i cierpieniem. Nie mogła zasnąć, płakała przez wiele godzin. Nienawidziła swojego ciała: pachniało nim.

Czuła się ponizona jego milczeniem. Oddała mu się całkowicie. Boże, jakie rzeczy ze sobą wyprawiali! — a potem przez cały dzień siedziała przy telefonie. Daremnie. Zniknął z jej życia, zamiast niego pojawił się Cam, którego, jak się okazało, kochała z całej duszy. Wszystko zniszczyła...

Do tego dochodziło coś, o czym przekonała się przed chwilą: klucze były ułożone w innej kolejności. Dawniej klucz Cama miał ząbki zwrócone w przeciwną stronę niż pozostałe. Teraz wszystkie były ułożone tak samo. To było niemożliwe, chyba że ktoś klucz wyjął, a potem włożył go z powrotem. Kto? Ona tego nie zrobiła. Wciąż miała w oczach jedno wspomnienie, powracające jak replay: leży naga na łóżku i, dając Carlovi klucze, prosi go, żeby kupił coś do jedzenia...

Rachunek sumienia wymagał, żeby przypomniała sobie rzeczy niezwykle bolesne. Miała świadomość, że krótkie chwile z Carlem były cudowne. Te dni, które spędzili na oglądaniu domów, przesiadywaniu

w ogrodach... Już przy trzecim domu myślała wyłącznie o nim. W ciągu ostatnich kilku dni dwukrotnie musiała zatrzymać samochód na poboczu, żeby nie spowodować wypadku, tak bardzo Carl zaprzętał jej myśli.

Obok niej leżała lista posesji, które razem oglądali. Jeździła do każdej z nich. Siadała lub chodziła po ogrodzie i myślami wracała do wspomnień sprzed kilku dni.

Spacerowała po ogrodach, siadała na tych samych krzesłach, przypominała sobie, o czym rozmawiali. Tęskniła za nim. Odmienił jej życie. Pokazał jej inny świat. To cudowny podarunek...

Kilka minut przed piątą sprawdziła, czy nikt nie zadzwonił do biura. Sheila poradziła jej, żeby poszła do domu.

Dopiero tam przypomniała sobie, że była z Carlem także w chatce. Klienci firmy nie interesowali się nią i dlatego nie figurowała w oficjalnym katalogu. Chatkę demonstrowała tylko na życzenie właścicieli. Ale, pokazując Carlowi domy, nie mogła nie zaprowadzić go do prawdziwego domku zapomnienia, który na dodatek znajdował się tak blisko jej domu...

Wjechała samochodem do garażu, podeszła do furtki, ale zmieniła zamiar. Przedzierając się przez krzaki, ruszyła zarośniętą ścieżką, która niegdyś stanowiła główną drogę.

Pod kątem prostym do ścieżki wybudowano nowy wjazd do garażu. Łosie bały się samochodów, więc obchodziły zagajnik z drugiej strony. Tak też zrobiła Carrie.

Gdy dotarła do domku, miejsce to wydało jej się jeszcze piękniejsze; w tak cudowny sposób było oddalone od cywilizacji. Gdyby nieco zainwestować w przebudowę domu, z pewnością można by go natychmiast wynająć. Ale na takie domki jak ten po prostu nie było chętnych.

W jednym z okien była wybita szyba.

Carrie przestraszyła się: czyżby ktoś włamał się do środka? Niecałe pięć dni temu byli tutaj z Carlem i okno było całe. Czy powinna wrócić do domu i sprowadzić Cama, żeby się tym zajął? Ale to byłoby dziecinne, okno z pewnością rozbiły jakieś wyrostki. Włamali się do środka, szukając alkoholu czy łóżka, w którym mogliby się przespać ze swoimi dziewczynami. W lokalnej gazecie mnóstwo było takich historii. Jako osoba odpowiedzialna za wynajmowane lokale, Carrie musiała oszacować wyrządzone szkody.

Jeszcze się wahała: zadzwonić do Cama, czy po prostu wejść do środka? Była wściekła, że ktoś odważył się w ten sposób potraktować prywatną własność. A może nie zrobili tego chuliganii?

Cicho wśliznęła się do ogrodu i ruszyła do tylnych drzwi. Bacznie wsłuchiwała się we wszystkie dźwięki, ale słyszała jedynie bicie własnego serca. Jej emocje oscyływały pomiędzy dziecinnym strachem, a wściekłością.

Nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Spodziewała się, że zobaczy potłuczone szkło. Tymczasem ktoś je posprzątał. Nigdy nie przypuszczała, że jej serce potrafi bić tak szybko. Nosem wciągnęła powietrze i poczuła zapach jedzenia. Ktoś się włamał, żeby tu mieszkać? A może to Carl? Ogarnęło ją uczucie zagrożenia. Nie rozumiała tego, co robi. Zamiast uciekać, cicho ruszyła dalej, krok po kroku.

Zamarła. Ktoś założył w drzwiach zupełnie nowy zamek. Poza sypialnią i łazienką było to jedyne pomieszczenie w domku. Nie wiedząc, dlaczego to robi, przyłgnęła do szpary w drzwiach.

— Duncan? — szepnęła cicho.

Zza drzwi odpowiedział jej podniecony, przestraszony głos chłopca. Nie wiedziała, jak to było możliwe, ale to naprawdę był on.

Złapała za klamkę i mocno popchnęła drzwi. Były zamknięte, ale przez szparę dostrzegła, że na podłodze rzeczywiście leżał Duncan. Człopał się do Carrie tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to bezwładne nogi.

W ostatniej chwili kątem oka dostrzegła kobietę wychodzącą z sypialni. Obróciła się i z całej siły zatrzaskała drzwi. Kobieta chciała uciekać, ale drzwi przytrzasnęły jej rękę. Krzyknęła z bólu.

— Carrie! Carrie! Carrie! — wołał Duncan. Ale ona była tak przerażona, że ledwo go słyszała. Jej uwaga skupiła się na drzwiach.

Pchała je z całej siły, ale tamta kobieta nie zamierzała się poddać.

Nie zastanawiając się długo, Carrie złapała wystającą zza drzwi dłoń i wygięła mały palec tak, że kobieta po drugiej stronie zawyła z bólu. Potem nogą przysunęła do siebie leżący na ziemi wieszak na ubrania i założyła go na wystającą rękę, przykuwając tym samym kobietę do drzwi. Trzymając je nogą zastanawiała się, jak wyswobodzić Duncana.

Trzęsła się ze strachu. Odsunęła się od drzwi i napała na nie całym ciałem z taką siłą, że doszedł ją chrzęst łamanych kości.

Krzesełm zatarasowała drzwi, blokując jednocześnie nadgarstek kobiety.

Czy drzwi na pewno się nie otworzą?

— Carrie! — wołał Duncan ze swojego więzienia. Przez szpary w drzwiach widać było jego palce.

— Odsuń się — powiedziała i słysząc, że kobieta usiłuje się wyswobodzić, dodała: — Pospiesz się.

Całym ciężarem napała na drzwi, za którymi był uwięziony Duncan. Śruby trzymające zamek częściowo puściły. Wzięła rozpęd i szpara powiększyła się o kilka centymetrów. Z przerażeniem obejrzała się za siebie. Czy kobieta już się wyswobodziła? Jeszcze raz! Usłyszała trzask łamanego drewna. Otarła łzy i chciała naprzec na drzwi drugim ramieniem. Wykonała pół obrotu i zamarła z przerażenia.

W kuchennych drzwiach z zaciśniętymi pięściami stał Carl.

35

Daggett obudził się o pierwszej po południu, we własnym łóżku. Nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Słońce za oknem stało wysoko, był piękny wrześnieowy dzień, nadchodziła jesień. Czuł suchość w ustach i bolała go głowa. Przypomnił sobie, że przywiózł go do domu Pullman, jego własny samochód prowadził jakiś inny agent. Lekarz z FBI przepisał mu środki, które miały mu „pomóc uporać się z szokiem”. Gdy zostawili go w spokoju, popił kilka pigułek scotchem i to najprawdopodobniej było przyczyną jego obecnego samopoczucia.

Przypomnił sobie także, że wziął prysznic, żeby zmyć z siebie krew, a potem kąpał się w wrzątku, aby wysterylizować skórę, co teraz wydało mu się śmieszne. Wyszedł z wanny, podciągając się na trapezie Dunкана, i o trzeciej nad ranem położył się do łóżka.

Włączył ekspres do kawy, wziął prysznic i ubrał się. Gdy dwa kubki kawy nie postawiły go na nogi, ugotował sobie jajka na miękko, ale zjadł tylko jedno. Czuł się tak, jakby miał kaca; wsiadł do samochodu i pojechał do pracy.

Witano go jak żeglarza wracającego z długiego rejsu. Ludzie, z którymi nie rozmawiał od miesięcy, machali do niego przyjaźnie i poklepywali go po plecach.

— Znajdziemy dzieciaka — mówili jeden przez drugiego i Daggett pomyślał, że w całym gmachu niczym innym się już nie zajmowano.

Oprócz Glorii w biurze nie było nikogo. Rozpłakała się na jego widok i Daggett nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiła; najprawdopodobniej składała mu kondolencje. Chcąc ją uspokoić po raz pierwszy w życiu objął ją ramieniem, co jedynie pogorszyło sytuację.

Tak właśnie zastał ich Pullman. Daggett tulił histerycznie płaczącą Glorię.

— Masz iść na dół i złożyć ustny raport — rzekł Pullman tonem kapitała nie lubiącego swoich podwładnych. — A ty wracaj do swojego biurka — zwrócił się do Glorii.

— Gdzie reszta? — spytał Daggett.

— W terenie; staramy się zdobyć informacje o twoim chłopcu i tej Cheysson. Cheysson jest płótką i bez Korta nic już nie działa. Zakładamy, że cokolwiek planowała „Der Grund”, tym razem to się nie uda. Dziewczyna może tylko uciekać. Przesłuchujemy wszystkich pracowników In-Flite: gdzie jadła, gdzie spędzała wakacje, z kim się spotykała. Znajdziemy twojego chłopaka.

— A moje ubranie? Moja kurtka?

— Zajęliśmy się nią. Zajęliśmy się wszystkim. A teraz idź na dół. Przygotuj się na to, że będziesz mówił, aż do ochrypnięcia. To może długo potrwać...

— A co z pierwszymi raportami z wczoraj? Chciałbym najpierw zobaczyć, co tam napisano.

Pullman spojrzał na Glorię.

— Nie Daggett, nic z tego.

W oczach Glorii wyczytał więcej, niż Pullman chciał mu powiedzieć: Daggetta wyłączono ze sprawy.

— Co tu się dzieje?

— Twoje osobiste zaangażowanie może doprowadzić do konfliktu interesów.

— Do konfliktu interesów? Ale przecież to właśnie moja sprawa!

— Po kolei. Najpierw idź na dół, potem napiszesz raport.

— Przecież to potrwa kilka dni! Odbieracie mi tę sprawę?

— Usiłujemy znaleźć Cheysson i chłopca. A ty zrób to, co do ciebie należy. Idź na dół. Natychmiast!

Kilkakrotne powtarzanie tej historii sprawiło, że jemu samemu zaczęła się wydawać coraz mniej prawdopodobna. W głowie leży się jakieś wątpliwości, jakieś dziwne myśli... Istniało tyle możliwych wytłumaczeń tego, co się stało. To, co jeszcze wczoraj było zupełnie zwyczajne, dziś wydawało się fantazją, jakimś niebywałym zbiegiem okoliczności. Po czterech godzinach był pełen niepewności, choć wszystko widział na własne oczy. Zbity z tropu, kilkakrotnie musiał zaczynać swoje zeznania od początku...

O dziesiątej wieczór był już tak zmęczony, że wypuszczono go, jednocześnie każąc mu stawić się następnego dnia na kontynuowanie zeznań. Podali sobie dłonie, wymienili uśmiechy. Nikt nie wątpił w prawdziwość Daggetta. Ale zginęło dwóch ludzi i wiele rzeczy należało wyjaśnić.

Gdy zatopiony w myślach szedł korytarzem, usłyszał za sobą czyjeś szybkie kroki. Obrócił się i zobaczył przerażoną Glorię, trzymającą w dłoni jakieś papiery.

— Tylko tyle udało mi się zdobyć — szepnęła, podając mu zwinięte kartki. — Na razie nie ma nic więcej.

Wsadził kartki do kieszeni.

— Będę cię o wszystkim informować.

— Do głowy przychodzą mi najdziwniejsze myśli...

— Potrzebujesz odpoczynku — powiedziała. — Musisz zjeść gorącą zupę i iść spać.

36

Ze spuchniętym nadgarstkiem i złamanym palcem, który unieruchomił jej Kort, Monique pojechała toyotą do domu Davida Boote'a. Był dwudziesty pierwszy września, pół do ósmej rano. Zmiana Boote'a zaczynała się dopiero o dziesiątej. Boote mieszkał kilka mil od lotniska National, za Alexandria, w dzielnicy murzyńskiej.

Kort przykręcił tłumik do pistoletu, po czym włożył go do kabury pod pachą.

— Chyba nie zamierzasz tego użyć? — spytała.

— W Los Angeles musieliśmy się starać, na wypadek, gdyby się nie udało. Chodziło o to, aby śledztwo poszło fałszywym tropem. Dougherty był do tego celu idealny. Wiadomo było, że pije, więc dostał zastrzyk alkoholu. Kto da wiarę zeznaniom alkoholika? Ale tutaj nie musimy być tacy ostrożni. To jest nasza ostatnia operacja. Dla Boote'a też. Dla wszystkich.

— Ale on jest tylko mechanikiem. Przecież on nie zrobił nic złego!

— Jedź i nie gadaj — warknął Kort.

Domek Boote'a znajdował się w podupadłej, brudnej dzielnicy. Wszędzie wałały się śmieci, a zardzewiałe płoty broniły wstępu na trawniki pozbawione trawy. W powietrzu unosiła się woń psich odchodów i zepsutego piwa.

— To samo, co wtedy — mruknął Kort.

Zbliżyli się do drzwi. Kort jeszcze raz sprawdził numer domu i zapukał. Mężczyzna, który otworzył drzwi, mógłby być bratem Dougherty'ego. Był nieogolony i przydałaby mu się czysta koszula. Najwi-
doczniej miał kaca. Grek dobrze się spał.

— Dzień dobry panu, jesteśmy z ochrony na lotnisku — Kort zaczął swoją historyjkę. — Otrzymaliśmy informację, że ktoś fałszował identyfikatory i musimy je sprawdzić. Czy mógłby pan nam pokazać swój identyfikator?

W przeciwieństwie do Dougherty'ego, ten człowiek nie miał nic przeciwko temu. Z pewnością chciał wrócić do swojej kawy, której zapach unosił się w powietrzu. Chciał, żeby nieproszeni goście poszli sobie jak najszybciej.

Kortowi również na tym zależało.

— Czy możemy na chwilę wejść do środka?

— Proszę bardzo.

— Możemy przecież poczekać tutaj — powiedziała Monique.

Kort skarcił ją wzrokiem.

— Wolelibyśmy wejść, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

David Boote nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Zniknął, żeby poszukać swojego identyfikatora.

— Zaczekaj w samochodzie — powiedział ostro do Monique.

Dziewczyna obróciła się na pięcie i odeszła.

Kort wszedł do środka i zamknął drzwi.

Boote wynurzył się z sypialni, trzymając w ręce identyfikator. Kort dwukrotnie strzelił mu w pierś. Trzeci strzał oddał w głowę, gdy mężczyzna leżał już na ziemi. Schylił się nad nim i wyrwał identyfikator z zaciśniętej dłoni. Zakręciło mu się w głowie. Następny w kolejce był Mosner i inni; zabije ich, jednocześnie zwracając uwagę świata na ich kłamstwa i oszustwa. Napawał się uczuciem zwycięstwa. Wsadził identyfikator do kieszeni, schował broń i zaciągnął trupa do szafki na ubrania. Plamy z krwi przykrył niewielkim dywanikiem. Wyszedł z domu i ruszył do samochodu. Dziewczyna zaciskała zdrową rękę na kierownicy, była biała i dygotała. W kącikach zaczerwienionych oczu dostrzegł łzy.

— Zrobiliśmy to, co było konieczne — powiedział Kort. Chciał, żeby Monique wzięła się w garść.

Dziewczyna milczała. Zapaliła silnik i ruszyli.

— Zatrzymaj się — rzekł Kort, gdy mijali wielkie hangary należące do Brown's Aviation. — Zjedź na pobocze.

Posłusznie wykonała jego polecenie.

— O co chodzi?

— Wiatr — powiedział Kort, wskazując na chorągiewkę na jednym z hangarów.

Musiał się zastanowić. Obrócił się na fotelu i po chwili wiedział już, że patrzy na wschód.

— Wiatr wieje w złą stronę — rzekł, spoglądając na zegarek.

— Nie rozumiem.

— Wiatr wieje w złą stronę! Powinni startować z pasa trzydzieści sześć: trzy-sześć. Przy tym wietrze dostaną pas numer osiemnaście... To niedobrze... — Kort studiował wyjęty z kieszeni rozkład lotów. — Będziemy musieli poczekać.

— Poczekać?

— Wrócimy i poczekamy. Miejmy nadzieję, że do popołudnia zmieni się kierunek wiatru. Po południu startuje jeszcze jeden 959. Na jego pokładzie nie będzie wprawdzie chemicznego cargo, ale nie mamy innego wyjścia. Na jednym z pasm radiowych podaje się wyłącznie informacje o pogodzie...

— Zaraz, zaraz — zdziwiła się. — Nie ma żadnych chemikaliów? Ale przecież na tym miała polegać cała operacja!

— Nie mamy wyboru, zawracaj. Jedziemy z powrotem.

— Nic nie rozumiem. Myślałam, że na tym miała polegać...

— Nie obchodzi mnie, czy rozumiesz, czy nie. Zawracaj.

— Nie powinienesz był go zabijać. Widzisz? Miałam rację! Nie trzeba było go zabijać.

— Boote nie był nikomu potrzebny. Takich ludzi są tysiące.

— Nie wierzę ci. Każdy ma kogoś, komu jest potrzebny... — urwała, licząc, że on coś powie — bo inaczej po co żyjemy?

37

Pewnie uważasz mnie za bestię — powiedział Kort, siedząc na brzegu wanny.

Jej dłonie były skrepowane białą taśmą, jaką zwykle wiąże się worki ze śmieciami. Nadgarstki miała tak wykręcone, że zdrętwiały jej ręce. Lewa kostka przywiązana była nylonową żyłką do wystającej ze ściany rury. Kort zatroszczył się o to, żeby obydwie węzły były dobrze zaciśnięte, a potem nadtopił nylon, aby nie można było ich rozwiązać. Jednak nylonowe kajdanki nie przeszkodziły jej w paleniu papierosa sobranie, którym ją poczęstował. Nie odpowiedziała mu. Nie było takich słów, żeby mogła wyrazić to, co o nim myślała.

— Nic z tego, co się stało, nie było zaplanowane. Absolutnie nic. A już najmniej to, że się w tobie zakochałem. — Spojrzał jej w oczy, ale nie znalazł w nich przebaczenia. Skinął głową. — Ależ tak, Caroline, czy myślisz, że ty i ten chłopiec żylibyście jeszcze, gdybym nie mówił prawdy? Nie chcę robić ci krzywdy. Na świecie jest już dość cierpienia...

— Jesteś szalony.

— Nie mam zamiaru kłócić się z tobą, czy to, co robię, jest słuszne, czy nie. Sam odpowiadam na takie pytania. Przed sobą i przed Nim — powiedział Kort, spoglądając na sufit. — Z Nim już się pogodziłem.

— Nie byłabym tego taka pewna.

Po raz pierwszy przekonała się, jaki jest, gdy jest zły. Ukłął przy niej na jedno kolano.

— Gównu o tym możesz wiedzieć! — krzyknął, czerwony ze złości.

Carrie odwróciła głowę.

Nie odrywając od niej wzroku, z powrotem usiadł na wannie. On naprawdę jest szalony, pomyślała Carrie.

Drżącymi rękami sięgnął do kieszeni po portfel. Wyjął z niego fotografię i pokazał jej.

— To ich robota. To było moje dziecko.

Zmusił ją, żeby spojrzała na zdjęcie.

Nie chciała podnieść wzroku ale wiedziała, że nie da jej spokoju, zanim tego nie zrobi. Spojrzała. Żołądek podszedł jej do gardła. Odwróciła głowę i gdzieś z oddali usłyszała swój krzyk. Wygrał z nią i dobrze o tym wiedział. Znów dziwacznie kiwał się na wannie, po czym, nie patrząc na zdjęcie, schował je do portfela.

— Wszyscy mamy swoje powody, że robimy to, co robimy.

— Wykorzystałeś mnie! — wykrztusiła.

— Mogłem zabrać klucze, kiedy tylko chciałem. Nie wykorzystałem cię. Nie było tak, jak myślisz.

— Więc chodziło o klucze.

— Tak.

— A teraz?

Zgasił w umywalce papierosa i spojrzał na nią z góry. Czekał, aż podniesie wzrok. Carrie myślała: jak to możliwe, żeby tak subtelny człowiek był zdolny do tego wszystkiego? Przypomniała sobie jak się kochali i wydało jej się nagle, że to było wiele lat temu. Nie mogła powstrzymać łez. Nienawidziła go, ale płakała łzami miłości.

— Są na świecie dwa rodzaje głupców. Tacy, którzy są głupi, bo nic nie robią i tacy, którzy są głupi dlatego, że robią to, co robią. Ale ja nie jestem głupcem.

Ruszył do drzwi.

— Carl! — czy jak się naprawdę nazywasz — nie rób tego! To na pewno można załatwić jakoś inaczej... Nie rób tego!

Odwrócił głowę. Nawet ona zdziwiła się troską, jaką usłyszała w swoim głosie. Uśmiechnął się do niej. Długo na nią patrzył i milczał.

— Nie jestem Carl — powiedział z uśmiechem. — Jestem Anthony Kort.

Zamknął za sobą drzwi.

Słyszała o nim od Cama. Te dwa słowa dzwoniły jej w uszach: Anthony Kort. Powoli zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, co się stało. Rozumiała już determinację Cama i miała wyrzuty sumienia, że powiedziała mu tak wiele przykrych rzeczy. A on ją miał, ten potwór!

Ty skurwielu! — krzyczała z całych sił, dopóki nie zabrakło jej tchu. Z sąsiedniego pokoju dochodziły stłumione głosy. Po chwili Carrie zdała sobie sprawę, że jej krzyki na nic się nie zdadzą.

Wyglądało na to, że odjeżdżają. Usłyszała słowo „lotnisko” i wiedziała, że coś należy zrobić. Natychmiast!

Na jej kolanach leżał papieros. Włożyła go do ust, przyciskając jego koniec do tłącącego się niedopałka.

Nie miała ochoty na papierosa. W głowie ułożyła sobie plan. I teraz, wiedząc już, kim był ten człowiek, nic nie mogło jej powstrzymać przed wcieleniem tego planu w życie.

Po chwili samochód odjechał, a Carrie zabrała się do roboty.

38

Masz je? — spytał Daggett, jeszcze zanim Lynn weszła do pokoju.

— Tak, ale...

— Połóż je tutaj. Rozmawiam przez telefon. Zaraz pogadamy.

— Tak... — rzekł do słuchawki. — Mechanicy... — Zerknął na Lynn.

Patrzyła na niego, zastanawiając się, skąd ten człowiek czerpał tyle energii. Ręką wskazał, żeby położyła papiery na stole.

— Wszyscy, którzy dziś nie przyjdą do pracy... Tak, to ważne... Tak...

Dam panu dwa numery telefonów. Jeżeli nikt nie podniesie słuchawki, proszę zadzwonić pod drugi. To niezwykle ważne. Może mieć związek z jednym z waszych samolotów... Tak...

Nie spodziewała się, że znajdzie go w takim stanie. Przypuszczała, że będzie siedział w kącie i pił.

— Wyłączyli mnie z tej sprawy — wyjaśnił, kierując się prosto do stołu. — Odstawili na boczny tor, bo jestem w to osobiście zaangażowany. Gdybym poszedł do pracy, zamknęliby mnie w pokoju na stugodzinny przesłuchaniu. A to stanie się właśnie dzisiaj — powiedział. — Dziś odbędzie się to spotkanie. Nie ma ani chwili do stracenia.

— Obawiam się, że nie rozumiem — powiedziała Lynn, kładąc na stole torebkę.

— Cały czas się tym zajmuję — wyjaśnił. Po raz trzeci od chwili, kiedy tu weszła, spojrzął na zegarek. Jej także udzielił się ten niepokój.

— Spójrz na to — powiedział patrząc na kartkę, którą zostawił mu Kort w dniu, gdy porwał Buncana.

— O co chodzi?

— On to napisał na kartce wyrwanej z mojego notesu — rzekł Daggett. — Tu, na górze, jest moje imię. Duncan dał mi ten notes w prezencie, w zeszłym roku na Boże Narodzenie.

— Nic nie rozumiem.

— Trzymam notes w walizeczce.

— Więc?

— Więc Kort schrzanił robotę.

— Cam...

— Kort kazał mi dostarczyć terminarze. Po to miało być to spotkanie w metrze: żeby dostarczyć terminarze.

— I co z tego?

— To, że ten notes był w mojej walizeczce. On wyjął go z mojej walizeczki. Terminarze widział już wcześniej. Rozumiesz?

— Nie.

— Jeżeli terminarze widział wcześniej, to po co miałem mu je dostarczyć? — zawiesił głos i sam sobie odpowiedział: — Bo musiał mieć jakiś pretekst — i to dobry pretekst — żebym uwierzył, że zależy mu na spotkaniu ze mną, twarzą w twarz. To wszystko polega na tym, że on zawsze stara się wyprzedzić bieg myśli przeciwnika, stawia się w jego położeniu. Rozumiesz?

— Więc dlaczego żądał tych terminarzy? Nic nie rozumiem!

— Bo potrzebował świadka. To nie miało nic wspólnego z terminarzami. On potrzebował mnie, człowieka, który prowadzi przeciwko niemu śledztwo, na świadka swojej śmierci. Ale pokpił sprawę. List napisał na złym papierze i zapłaci za to.

— On żyje? — Lynn złapała się stołu, bo poczuła, że traci równowagę.

— I to jak! — Daggett wziął do ręki jakieś kartki i rzucił je na papier, które przyniosła Lynn. Rozłożył na stole mapę lotniska LAX. — Skala jest zbyt duża, nawet nie widać parku Hollywood, ale uwierz mi na słowo. — Odszukał linijkę, zmierzył skalę w milach, a potem zabrał się do mierzenia drugiej mapy. Gestem poprosił, żeby podała mu solniczkę. — Tu jest park Hollywood — powiedział, stawiając solniczkę.

— Nie rozumiem, co robisz.

Daggett pochylił się nad mapą i uderzył solniczką w stół tak głośno, że Lynn aż podskoczyła.

— Tutaj rozwalili się 64. Dokładnie w tym miejscu. — Wziął linijkę i zmierzył odległość. — Widzisz, jaki duży jest park Hollywood? Jest ogromny. To Barnes mi o tym powiedział — rzekł Daggett.

Lynn rozumiała coraz mniej.

— Barnes powiedział, że symulacja lotu u Duhninga wyglądała dokładnie tak samo. Prawdziwy samolot, zanim się rozbił, przeleciał dokładnie tę samą odległość, co symulator. W obydwu przypadkach uderzenie o ziemię nastąpiło w tym samym miejscu. Gdybyś przeniosła symulację lotu na mapę, katastrofa miałaby miejsce w parku Hollywood. To on mi o tym powiedział — ciągnął Daggett — i dobrze to zapamiętałem.

— Przerażasz mnie.

— To dobrze — Daggett skinął głową. — Prawda bywa przerażająca. „To fizyka”, jak powiedziałby Barnes. Ale ja go nie słuchałem. Fizyka! Pilot puszcza stery, a samolot wali się na ziemię. Wszyscy piloci latający na maszynach 959 byli szkoleni przez Warda i podczas startów robią dokładnie to samo: na to właśnie liczył Kort. Nadal na to liczy.

Oczy zaczęły ją szczytać, chciało jej się płakać. Zrobiła krok w jego stronę; chciała, żeby ją przytulił, uspokoił. Ale Cam złapał ją za ramiona i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

Zrobił krok w tył, podniósł do góry palec i powrócił do przyniesionych przez nią map.

— Zaczekaj jeszcze trochę.

Przerzucał papiery, co wyglądało, jakby rzeczywiście był szalony. Olbrzymie białe arkusze spadały na dywan. Dopiero wtedy Lynn zauważyła w kącie wózek inwalidzki. Nie mogła już powstrzymać łez. Płakała, patrząc, jak jej ukochanego ogarnia szaleństwo.

— Trzeba odpowiedzieć na pytanie: co jest jego celem? I o które lotnisko chodzi: Dulles czy National? Samolot musi startować z jednego z nich i dlatego potrzebne mi było to — spojrzał do góry, by sprawdzić, czy Lynn go słucha. Miał minę komika, który ze zdziwieniem stwierdza, że przestał być śmieszny. — Nie słuchasz mnie?

— Wszystko skończone.

— Nieprawda.
— Kort nie żyje, Cam. Znajdziemy Duncana. Musisz wierzyć, że go znajdziemy...

— Jeżeli nie będziesz słuchać tego, co mówię, nigdy nie przekonasz innych.

— Nie rób tego! — krzyknęła, cofając się.

— Jeszcze nie zwariowałem, do cholery! Przejrzałem jego plan! — krzyknął Daggett, uderzając w stół tak mocno, że złamał blat, z którego powoli zsuwały się papiery. — Nie wierzysz mi? Wiadomość od Korta to nie wszystko — Daggett rzucił się na podłogę i przekopywał się przez stosy kartek.

— Gloria, niech Bóg ją ma w opiece, dała mi pierwsze raporty, włącznie z raportem ze szpitala, o tym, co z niego zostało; kimkolwiek był ten człowiek.

Daggett położył raport na ocalałej części stołu.

— Kierując śledztwem, musisz mieć w głowie setki szczegółów. Jedni ludzie je znajdują i mówią ci o nich, inni piszą raporty. Ale całe myślenie i tak jest twoją sprawą.

— Co to znaczy „przekonasz innych”?

— Widzisz? Jednak słuchasz tego, co mówię! To dobrze.

Zrobiła krok w jego stronę, nadal była przerażona. Ale Daggett już się trochę uspokoił.

— W końcu i tak by to zauważyli. Może dzisiaj, może jutro, a może w przyszłym tygodniu. Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu, bo raport jest ze szpitala, a my nie lubimy cudzych raportów. Wierzymy tylko FBI... Na pewno poczekaliby na wyniki własnych badań. Mogę się założyć, że nikt tego dokładnie nie czytał, a jeżeli, to pomyślał, że zaszła pomyłka. Dlaczego? Bo pomimo tego wyciskania dowodów za wszelką cenę i tak najbardziej wierzy się zeznaniom agentów. One są ważniejsze, niż wszystkie dowody razem wzięte. A jeżeli zeznaje agent prowadzący śledztwo? Przecież nikt nie będzie wątpił w to, co widziałem na własne oczy. Stwierdzą, że w raporcie coś się nie zgadza, i każą napisać inny. W innym też coś będzie nie w porządku i znów każą zbadać sprawę. Albo ją tak zostawia; tak się u nas pracuje...

— Co się nie zgadza?

— Powiem ci jeszcze coś: opowiadałem tę historię tyle razy, że po prostu przestało mi się podobać to, co mówiłem. Była w tym jakaś

falszywa nuta. Taki facet jak Kort miałby strzelać do mnie z kilku metrów i nie trafić? Kort? Niemożliwe, Więc dlaczego nie trafił? Bo miałem być świadkiem.

— Co się nie zgadza? — krzyknęła Lynn, wymachując kartką papieru, którą podał jej Daggett.

— Poziom alkoholu we krwi. W szpitalu nie ustalono grupy krwi; gdy ktoś to zrobi, też nie będzie pasować. Ale wtedy będzie już za późno. Facet, którego rozjechała kolejka, był pijany jak bela, miał we krwi 2.1 promila. Może nawet nie zauważył, że zginął... A Kort? Kort, którego ścigałem, był trzeźwiutki.

Spojrzała na wynik badania krwi. Stężenie alkoholu: 2.1 promila — przeczytała. Teraz mu wierzyła, chociaż wcale nie chciała. Daggett był już przy mapach. Wszystkie inne papiery cisnął w kąt.

— Dobrze, dobrze... Przyjrzyjmy się teraz temu... Skala jest inna... Cholera... — Daggett zmierzył pasy startowe LAX i Dulles, po czym na blacie stołu dokonał jakichś obliczeń. Przyłożywszy ołówek do linijki narysował kreskę, sześć cali, za końcem pasa startowego; sprawdził swoje obliczenia, zmierzył linijką kąt i narysował drugą kreskę. Przyjrzał się na mapie miejscu, gdzie kreski się przecinały. Wyglądał na rozczarowanego.

— Tu nic nie ma, tylko jakieś osiedla. To nie może być to...

— Gdzie nic nie ma? — spytała Lynn podniesionym głosem, starając się zwrócić na siebie uwagę.

Cam odrzucił mapę lotniska Dulles.

— Jego celem nie jest samolot. To znaczy tak, ale niezupełnie. Cel znajduje się na ziemi. Samolot jest bombą. On chce rozwalić ten samolot w jakimś konkretnym miejscu.

Spojrzała mu przez ramię, Daggett znów coś liczył. Dawno się nie mył i miał na twarzy jednodniowy zarost. Tym razem obliczenia dotyczyły lotniska National.

— Kto by w to uwierzył? On tak planuje...

Linie krzyżowały się nad Tidal Basin, na zachód od parku Potomac, w pobliżu pomnika Jeffersona. Daggett dwukrotnie sprawdził swoje wyniki. Pokręcił głową.

— Coś jest nie tak... — mrucał. — To niemożliwe. Ale wiem, że mam rację. Są na to dowody.

Lynn znów spojrzała mu przez ramię. Odsunął się, żeby mogła lepiej widzieć.

— Pasa trzydzieści sześć używa się częściej — powiedziała. — To zależy od kierunku wiatru.

Wzięła linijkę i na pasie numer trzydzieści sześć powtórzyła geometryczną konstrukcję Daggetta. Zmierzyła kąt i przymierzała się do narysowania ostatniej kreski. W miejscu, w którym krzyżowały się linie, miał upaść samolot. Jej ręka zawahała się. Podniosła głowę z niedowierzaniem. Cam także wpatrywał się w jej rysunek. Był równie przerażony. Koniec ołówka wskazywał Pentagon.

— Spotkanie — wykrztusił Daggett przez zaciśnięte gardło. — Tam ma być to spotkanie!

Zadzwoił telefon. Daggett obejrzał się za siebie i patrzył na dzwoniący telefon. — Rozwali samolot na Pentagonie.

— Cam?

— Boże, on ich wszystkich zabije!

Lynn podbiegła do telefonu.

— Tak, chwileczkę — powiedziała do słuchawki. — To do ciebie. Quick Link Courier czy coś takiego.

— Daggett, słucham — powiedział do słuchawki. Szukał kartki i ołówka.

— A ten Boote... Dzwoniliście do niego?... I nic?... Czy może mi pan podać jego adres? — Daggett zapisał adres w Alexandria — Czy wasza linia używa Duhningów 959?... Boże... — jęknął. — Czy możecie go zatrzymać... Jak to „osobiście”? — Spojrzał na zegarek. — Nie ma już czasu. Musicie zatrzymać ten samolot... Przecież mówię, że jestem z FBI!... Nie, nie możecie zadzwonić do mnie do FBI, jestem teraz w domu... Dobrze, dobrze.... Już jadę. Kiedy startuje samolot?... Co?... Cholera jasna! Radzę panu dobrze, niech pan go zatrzyma, bo straci pan pracę... Musi pan... Kurwa mać! — krzyknął Daggett, rzucając słuchawkę. — Facet przerwał połączenie! Chciał zadzwonić do mnie, żeby się upewnić, że to nie jakiś żart...

— Mają Duhninga 959?

— Startuje za pół godziny. Weź te papiery do Buzzard Point i idź do Pullmana, Mumforda... do kogo uda ci się dotrzeć. Powiedz, że wiemy, że spotkanie odbywa się w Pentagonie. To powinno wystarczyć. Wyłumacz wszystko najlepiej, jak potrafisz, a przede wszystkim zrób coś, żeby ten samolot nie wystartował.

Lynn spojrzała na zegarek.

— Zrobisz to szybciej niż ja. I pospiesz się. — Daggett był już w drzwiach. — I niech ktoś sprawdzi Davida Boote. Tu masz adres. Powiedz im, że Kort postąpi dokładnie tak, jak w Los Angeles. Powiedz im, że w Los Angeles to była tylko próba. Teraz gramy naprawdę. I powiedz im, że przydałoby mi się kilku ludzi.

Mówił coś jeszcze, ale Lynn nie dosłyszała jego słów. Krzyczał do niej jeszcze wtedy, gdy cofając swój mikrobus, przewrócił skrzynkę pocztową i z piskiem opon odjechał w stronę lotniska.

39

Carrie Stevenson wiedziała, co należało zrobić. Nie była pewna, czy kobieta pojechała razem z Kortem, więc bała się głośno zawołać Duncana. Przeszukała szafkę z kosmetykami. Znalazła w niej konturówkę, którą Francuzka robiła rano makijaż. Na papierze toaletowym napisała: Alarm Przeciwpożarowy.

Choć była przywiązana do rury w ścianie, udało się jej dosięgnąć szpary pod drzwiami, dość okazałej z powodu leżącego po drugiej stronie dywanu. Zaskrobała w drzwi. Usłyszała, że Duncan czołga się do niej. Przepchnęła papier i z ulgą zauważyła, że Duncan ciągnie go do siebie. Potem w ten sam sposób podała mu papieros, który również zniknął.

Oparła się o ścianę i modliła się. W domku zainstalowano alarm przeciwpożarowy, który był bezpośrednio połączony ze strażą pożarną. W łazience nie było alarmu, a nawet gdyby był, z przywiązaną nogą nie dosięgnęłaby wykrywacza dymu na suficie. Duncan nie został przywiązany, najprawdopodobniej dlatego, że był kaleką. Pamiętała, że gdy kilka dni temu pokazywała ten dom Carlowi, przy ścianach stały regały na książki. Teraz wszystko zależało od Duncana.

Duncan przeczytał wiadomość od Carrie. Leżał na podłodze. Z tej perspektywy dotarcie do małego, białego krążka na suficie wydawało się zupełnie niemożliwe. Gdy podała mu papieros i Duncan stwierdził,

że papieros jest zapalony, pojął, czego od niego oczekuje.

Leżał na ziemi i miał poczucie, że Carrie żąda od niego rzeczy niemożliwych. Z papierosa spadło nieco popiołu i Duncan zrozumiał: zostało mu tylko kilka minut, papieros był już w połowie wypalony.

Gdy trzymał go w dłoni, nie mógł odpychać się od ziemi. Włożył go więc do ust i, starając się nie wdychać dymu, poczołgał się w stronę regału.

Kaszłał i szczypały go oczy. Złapał za jedną z półek i podciągnął się do góry, żeby usiąść.

Nie od razu przyszło mu do głowy, że zadanie, jakie przed nim stało, polegało na wielokrotnym podciąganiu się na rękach. Myślał wyłącznie o tym, co stanowiło jego cel. Wyjął papierosa z ust, odetchnął świeżym powietrzem i ruszył w górę. Nogi bezwładnie objęły się o regał. Duncan nie pomyślał o tym, że gdy dotarł do Hemingwaya, już dwukrotnie podciągnął się na rękach. Do alarmu pozostały jeszcze dwie półki i Duncan zdał sobie sprawę, że brakuje mu już sił. Drżały mu ramiona. Musiał dalej piąć się w górę, ale nie mógł. Świadomość, że chodzi o podciąganie się na rękach, tylko pogorszyła sytuację. Przecież ostatnie miesiące dowodziły, że to było niemożliwe...

Ale — zadał sobie pytanie — jeżeli było niemożliwe, to jak znalazł się aż tak wysoko? Spojrzał w dół. Wciągnął powietrze ustami i zakrztusił się dymem. Jeżeli potrafił dwukrotnie podnieść się na rękach, to dlaczego nie miałby tego powtórzyć? Wydawało mu się, że słyszy głos ojca: „Nigdy się nie poddawaj”. Należało skoncentrować się na wykrywaczu dymu i nie myśleć o tym, że jest słaby. Gorący popiół z papierosa spadł mu na szyję. Duncan zdecydował wspiąć się jeszcze wyżej. Ramiona drżały, jakby były z gumy. Podciągnął się w górę o jedną półkę. Od zwycięstwa dzieliła go jeszcze jedna. Nic nie mogło go już zatrzymać. Dotarł do sufitu.

Zawisł, jedną ręką trzymając się regału. Ręką, w której trzymał papierosa, usiłował dosięgnąć wykrywacza dymu. Ale papieros nie dymił... Duncan zaciągnął się nim i dmuchnął; rozkaszłał się, ale osiągnął swój cel: do wykrywacza dotarł szary obłoczek.

Ręce straciły oparcie i Duncan runął w dół.

Kilkusekundowy upadek zdawał nie trwać bardzo długo. Nie miał sprawnych nóg, które umożliwiłyby mu bezpieczne lądowanie. Wręcz przeciwnie, nogi były jedynie ciężarem powodującym, że spadał coraz szybciej. Ale on nie zwracał uwagi na zbliżającą się podłogę. Wpatrywał się w sufit.

Nagle włączył się alarm, oznajmiający zwycięstwo. Duncan twardo wylądował na podłodze. Zbyt twardo: najpierw głową...

Po chwili uświadomił sobie, że musiał stracić przytomność. Oprócz alarmu słyszał także syreny wozów strażackich. Bolał go kark, ale co z tego, sygnał alarmu był najwspanialszą nagrodą.

— Duncan! Duncan! — zza drzwi doszedł go stłumiony głos Carrie.
— Udało ci się!

40

Gdy Daggett skręcił na George Washington Memorial Parkway, zrozumiał, że nie tylko Lynn Greene utknie w korku spowodowanym robotami drogowymi, ale że i on będzie się poruszać z szybkością piechura. Samochody przesuwały się metr za metrem. Daggett przypomniał sobie podobny dzień w sierpniu, kiedy zginął Bob Backman.

Teraz jechał prywatnym samochodem, nie mógł więc połączyć się z FBI, nie mógł nawet włączyć policyjnej syreny, choć ta ostatnia najprawdopodobniej na nic by się nie zdała. Trąbili wszyscy, z przodu i z tyłu.

Po chwili wszystkie samochody stanęły.

Wielokolorowy naszyjnik, w którym jego mikrobus był tylko jednym z wielu kamyków, leżał na rozgrzanym asfalcie. Poprzednim razem długo namyślał się przed podjęciem decyzji, ale teraz podjął ją błyskawicznie. Zjechał na pobocze i wysiadł z mikrobusu.

Z trzydziestu minut, które przeznaczył na dojazd na lotnisko, zostało dwanaście. Nie biegał od dwóch dni, czyli od czasu, gdy porwano Duncana. Ale teraz gnał szybciej niż kiedykolwiek. Przeskakiwał przez bariery dzielące pasy. Przed nim rozciągało się zaplecze lotniska. Zobaczył tablicę Federal Express i znaki firm AVIS i HERTZ. Nie zwalniając biegu przeskoczył przez stalowy płot, uderzył pięścią w maskę samochodu, który go o mało co nie przejechał, i pobiegł dalej. Kilkaset metrów przed nim znajdował się znak drogowy, wskazujący zjazd do terminalu Quick-Link Courier.

Kort przyglądał się chorągiewce na hangarze. Tym razem wiatr wiał we właściwym kierunku. Monique, jako wiceprezydent firmy In-Flite, miała mu umożliwić przedostanie się na teren lotniska. Ponieważ interesowało się nią FBI, Kort wiedział, że gdy tylko pojawią się na lotnisku, władze będą chciały ją zatrzymać. Stałoby się tak, gdyby wjechali przez wjazd In-Flite. Ale teraz skierowali się do linii lotniczej National. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby FBI zawiadomiło wszystkie firmy ochroniarskie. Zwłaszcza że poprzedniego dnia Kort „zginął” w zderzeniu z kolejką. Ponieważ jednak nie wszystko mogło pójść jak z płatka, Kort trzymał w ręce pistolet.

— Cześć, Charlie — powiedziała Monique, opuszczając szybę. Kort odpiął pas na wypadek, gdyby musiał użyć broni. Monique uspokajająco położyła mu rękę na kolanie.

— Nowy samochód, panno Cheysson?

— Mój jest w warsztacie.

— Ale ten samochód nie ma odpowiedniej naklejki. Nie mogę pani wpuścić.

Monique podała wartownikowi identyfikator Korta. Mężczyzna, nie dbale spojrzawszy na identyfikator i zwrócił go Kortowi.

— W porządku. Ale nie wiem, co zrobić z samochodem — powiedział. — Powinna pani mieć naklejkę.

— No to co mam zrobić? Nie ma pan uprawnień, żeby się tym zająć i będę musiała jechać do Airport Police, tak?

Kort uśmiechnął się pod nosem. Monique sprytnie wykorzystała niechęć agencji ochroniarskich do Airport Police.

— Niech pani da klucze, muszę sprawdzić, co jest w bagażniku — rzekł wartownik.

Monique mrugnęła do Korta. Wartownik otworzył bagażnik, a ona w tym czasie wyjęła z torby gaśnicę i położyła ją pomiędzy siedzeniami. Charlie zatrzaskał bagażnik i zajął do samochodu.

— A to po co? — spytał, wskazując na gaśnicę.

— Do jednej z naszych ciężarówek — wyjaśniła Monique.

Mężczyzna wyglądał na zadowolonego. Ukląkł przed samochodem i zajął pod spód. Kort pomyślał, że teraz z łatwością mogliby go przejechać.

Wartownik wstał i ruszył do swojej budki.

— I co teraz? — spytał Kort.

— Prawdopodobnie spyta swojego szefa o zgodę, ale na pewno nie dzwoni do Airport Police.

Dopiero w tym momencie Kort zdał sobie sprawę, że wartownik jest sam.

— Tak, to się czasem zdarza. Widocznie ten drugi poszedł do toalety.

— Nie podobają mi się te telefony — rzekł Kort.

— Trochę cierpliwości...

— On wcale nie rozmawia. Może gra na zwłokę?

— Zapewniam cię, że nie.

— Jest sam. Mogę go „wyłączyć”.

— Bądź cierpliwy.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki na nas patrzy.

Kort szybko rozejrzał się dookoła. Byli w rogu lotniska, najbliższe hangary znajdowały się co najmniej o ćwierć mili dalej. Kort miał cierpliwość, ale to trwało zbyt długo...

— Coś jest nie tak — powiedział. — On chce nas zatrzymać.

Wysiadł z samochodu. Monique usiłowała złapać go za rękaw, ale się jej to nie udało. Kort jeszcze raz rozejrzał się dookoła.

— Przepraszam pana... — powiedział Kort. Charlie właśnie odkładał słuchawkę.

— Widzisz? — szepnęła Monique do Korta. — Wracaj do samochodu.

— Panno Cheysson — rzekł wartownik, patrząc na Korta nieco podejrzliwie — musi pani cofnąć wóz i tam zaparkować. Nie mogę się dozwonić, linia jest zajęta. Zgodę na pani wjazd muszę otrzymać bezpośrednio od szefa.

Kort strzelił mu w głowę. Mężczyzna bezwładnie osunął się na ziemię. Monique krzyknęła i zakryła sobie usta. Kort nacisnął guzik otwierający bramę. Zwłoki wartownika zaniósł do budki i zamknął bramę. Ruszył w stronę toyoty, ale jego wzrok padł na tabliczkę z napisem: „Okaż Identyfikator Strażnikowi”. Odwrócił ją na drugą stronę, gdzie czerwone litery głosiły: „Wjazd Zamknięty”.

Wrócił do samochodu.

Monique ostro ruszyła i jechała coraz szybciej.

— Zwolnij — powiedział Kort. — Niepotrzebnie zwracasz na nas uwagę.

Monique dzwoniła zębami.

— Znajdą go.

— Ale nie od razu.

— A jak się stąd wydostaniemy, jeżeli wolno spytać? Ty masz identyfikator mechanika i wyjdiesz bez problemu, ale ja...

— Każdy może stąd wyjść. Tylko wejść jest trudno...

Kort schował gaśnicę do torby, ubrał się w kombinezon i przyczepił do niego identyfikator Boote'a w taki sposób, aby nie było widać zdjęcia.

— Zatrzymaj się przy terminalach. Masz identyfikator i możesz wyjść przez którekolwiek wyjście.

— Nie powinieneś był tego robić.

— Wszystko będzie dobrze, to potrwa pięć minut. Nie będziemy jechać samochodem. Za godzinę spotkamy się przy stacji metra Pentagon.

— Zwariowałeś?

— Chcę zobaczyć moje dzieło — powiedział, dając jej ręką znak, żeby stanęła. Kilka metrów nad nimi znajdował się olbrzymi ogon Duhninga 959 z czerwono-biało-niebieskim napisem: Quick-Link.

42

Zdyszany Daggett dotarł do wejścia Quick-Link. Spojrzał na zegarek; samolot miał startować za pięć minut. Do pracy przyszła właśnie druga zmiana. Daggett przycisnął się na początek kolejki i pokazał legitymację FBI.

— FBI — powiedział głośno, chcąc zwrócić uwagę strażnika. — To bardzo ważna sprawa. Muszę się widzieć z pańskim przełożonym.

— Ma pan przy sobie broń?

Daggett pokazał mu kaburę.

— Musi pan to u mnie zostawić.

— Ależ to absurd, broń może mi być potrzebna. Jestem przecież z FBI!

— Nic mnie to nie obchodzi, może pan być nawet prezydentem Hooverem. Broń zostaje u mnie.

— Zna pan faceta, który nazywa się Henderson? — spytał Daggett, przypominając sobie niższego z dwóch ludzi, których poznał podczas historii z Backmanem.

— Z Airport Police? — Wartownik był wściekły.

— Tak, facet nazywa się Henderson. Niech pan do niego natychmiast zadzwoni. Niech pan mu powie, że agent Daggett ma do niego sprawę.

Mężczyzna obrócił się tyłem do Daggetta i zajął się sprawdzaniem identyfikatorów.

Daggett podniósł słuchawkę i włożył ją w dłoń ochroniarza.

- Dzwon do Hendersona. Natychmiast,
- Zaraz, zaraz... — mruzczał wartownik.

Daggetta zaprowadzono do jednego z hangarów, gdzie czekał na niego człowiek w mundurze, ogolony prawie na łyso.

- Co to za gówno pan opowiada? — przywitał Daggetta.
- Proszę jedynie o to, żeby samolot nie wystartował, dopóki nie porozmawiam z pańskimi przełożonymi.

— Może to panu umożliwię.

— Może?

— Najpierw sam to muszę sprawdzić, no nie? Wie pan, ile codziennie odbieramy telefonów informujących, że w samolocie jest bomba?

— Tu nie chodzi o telefon. Pracuję w FBI. Mówię panu, że ten 959 nie może wystartować!

— Nie radzę panu rozmawiać ze mną takim tonem. Chcesz się bawić w twardziela? Dobrze, ja też potrafię być twardy. Zobaczysz... — rzekł, klepiąc Daggetta po ramieniu. — Chodźmy, najpierw porozmawiamy sobie przez telefon...

Daggett zrozumiał, że sam założył sobie stryczek na szyję. Był zbyt pewny siebie...

— A co z samolotem? Czy nie mógłby go pan najpierw zatrzymać, choćby na czas tych telefonów?

— Po kolei, przyjacielu. Po kolei. Wszystko w swoim czasie.

43

Kort nie zdawał sobie sprawy, jakiej precyzji wymagała ta operacja. Pierwotnie gaśnica miała się znaleźć w porannym samolocie. Teraz zrozumiał, że przygotowania do popołudniowego lotu przebiegały zupełnie inaczej.

W przeciwieństwie do AmAirXpress 64, kiedy to bez trudu dostał się do samolotu, tym razem dookoła kręciło się pełno ludzi. Ładowano właśnie worki pocztowe. Do kabiny pilotów prowadziły schodki. Zbiegający na dół człowiek minął Korta. Trzymał w rękach ekspres do kawy.

— Pieprzony ekspres — mrucał zły.

Zaraz wszystko naprawimy, pomyślał Kort. Wszedł do samolotu, wyjął z torby gaśnicę i ruszył do kabiny pilotów. Nie spodziewał się spotkać tam ludzi. Sprawdzali właśnie poszczególne zespoły samolotu. Kort starał się zachować spokój. Po chwili zdał sobie sprawę, że piloci nie zwracają na niego uwagi. Przykleknął na jedno kolano.

— Naprawileś ekspres do kawy? — spytał jeden z pilotów.

— Zaraz to zrobię — odparł Kort.

— W porządku... — mruknął pilot, wracając do swojej roboty.

Kort odczepił gaśnicę, wyjął ją i zamienił na tę, którą przyniósł w torbie. Zegar został uprzednio nastawiony na czterdzieści siedem sekund — optymalny czas, uzyskany dzięki symulacjom Warda. Urok detonatorów Bernarda polegał na tym, że nie trzeba było ich włączać. Pilot robił to za niego, najpierw podwyższając ciśnienie w kabinie, a potem podnosząc

dziób samolotu w górę. Wtedy włączył się zegar, z gaśnicy wydostawał się gaz i... już po wszystkim. Kort wyszedł z kabiny pilotów z poczuciem triumfu, zastanawiając się, czy schować gaśnicę do torby. Wiedział, że niezdecydowanie jest jego największym wrogiem. Musiał wyglądać pewnie. Gdy zamykał torbę, minął go mechanik, ten sam, który zbiegał po schodach z ekspresem do kawy.

— Jesteś nowy? — spytał Korta.

— Tak — mruknął Kort, starając się naśladować amerykański akcent. Spojrzał tamtemu w twarz.

— Tak myślałem. Jestem Russ Kane — mężczyzna wyciągnął do niego rękę.

Kort potrząsnął nią mocno, w głowie miał zupełną pustkę. Musiał się przedstawić... — Spojrzał na napis na samochodzie-cysternie.

— David Dunning — wypalił.

— Tak jak samolot? Na pewno zapamiętam.

— Miło było pana poznać — rzekł Kort i zbiegł na dół. Był zlany potem. Zaczął uciekać.

44

Ma pan jakieś papiery, jakieś dowody? — spytał mężczyzna wyglądający jak John Wayne, zakrywając dłonią słuchawkę.

— Papiery? Czy pan mnie w ogóle słucha? To sabotaż! Na pokładzie jest bomba!

— Zaraz do pana zadzwonię — mężczyzna odłożył słuchawkę.

Daggett wielokrotnie był już w podobnych sytuacjach i wiedział, kiedy należało zrezygnować. John Wayne po prostu nie miał zamiaru go wysłuchać.

— Nigdy pan sobie tego nie wybaczy!

— A może pogadamy z pańskimi przełożonymi, co? Niech pan powie, do kogo mam zadzwonić: numer telefonu i nazwisko.

Daggett wiedział, że jeżeli Lynn dotarła już do Buzzard Point i jeżeli nawet w tej chwili rozmawiała z Pullmanem — co było prawie niemożliwe, biorąc pod uwagę korek na drodze — Pullman nie musiał jej wierzyć. Plan Korta był zbyt dobry; skierował machinę FBI na fałszywy tor. Tego nie można naprawić jednym pociągnięciem.

Daggett cofnął się do drzwi.

— Słuchaj — rzekł John Wayne odwracając się, co spowodowało, że Daggett nie dostrzegł mechanika z torbą na ramieniu wchodzącego do hangaru. Nie zauważył także, że za oknem wytaczano już samolot. — Każda z paczek jest ubezpieczona. Jeżeli opóźnię odlot samolotu,

to za każdą z nich trzeba zapłacić pięćdziesiąt tysięcy. Nie wydaje ci się, że to może stanowić pewien problem?

— Problem polega na tym, że nie chce mnie pan słuchać.

Zabrzączał pager.

Daggett wyjął go i odczytał wiadomość. Może Lynn spisała się lepiej, niż przypuszczał? A może dawano mu pełnomocnictwo, żeby zatrzymać samolot?

duncanbezpieczny — przeczytał. Jeszcze nigdy nie doznał takiej ulgi. Obiecał Bogu, że od tej chwili wszystko będzie wyglądało inaczej.

— Wszystko w porządku? — spytał John Wayne.

— Nie może być lepiej — odparł Daggett i spojrział w okno.

Samolotu już nie było.

45

Kort odruchowo zerknął w stronę, z której doszedł go pisk pagera. Jego podejrzliwość wzbudzał każdy nienaturalny dźwięk. Równie szybko odwrócił głowę z powrotem. To był Daggett!

Pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy było: wyciągnąć broń i zabić go. Ale tuż przy nim stało dwóch ochroniarzy. Ich także należało zastrzelić. A potem? Mógłby mieć poważne kłopoty z ucieczką...

Skąd Daggett wziął się na lotnisku? Ogarnęła go panika. Czyżby wiedział, że Kort żyje? Wydała się śmierć Davida Boote, nie było innego wytłumaczenia. Daggett świadomie ryzykował życiem własnego syna.

Te myśli tak dalece zaprzętnęły jego uwagę, że o mało co nie wyszedł złym wyjściem, czym z pewnością zwróciłby na siebie uwagę.

Jeżeli Daggett był tutaj, znaczyło to, że o wszystkim wiedział. A jeżeli tak, to zatrzyma samolot i cała robota Korta pójdzie na marne. Nie wolno było do tego dopuścić.

Kort cofnął się i z pewnej odległości obserwował Daggetta, który najwidoczniej klócił się z mężczyzną podobnym do Johna Wayne. Tymczasem Duhning 959 kołował na start. A może się uda? Może świat nie jest taki zły? — pomyślał Kort, robiąc kolejny krok w tył.

Spojrzał na Daggetta, który także dostrzegł kołujący samolot. Czytał w jego myślach. Daggett zastanawiał się, jak zatrzymać samolot.

Kort mógł zostać i zapobiec temu, co zamierzał Daggett; mógł też obrócić się na piecie i zniknąć na zawsze. Zrozumiał, że nie ma odwrotu: musi walczyć.

Innym razem jego decyzja byłaby prosta: uciekłby i spróbowałby jeszcze raz. Ale z powodu aresztowania członków „Der Grand” i topniejących pieniędzy nie mógł pozwolić sobie na taki luksus.

Dni spędzone z Caroline sprawiły, że poczuł na nowo smak szczęścia. Przez ostatnie osiemnaście miesięcy jego jedynym zajęciem była ta operacja i wszystko, czego pragnął — koniec EisherWorks, śmierć Mosnera — zależało od tego samolotu. Zemści się za tragedię żony i dziecka. Ileż to potrwa? Pięć minut? Dziesięć? Będzie to najwspanialszy akt terroryzmu w historii USA, miliardy ludzi na całym świecie zobaczą go w telewizji. Gazety będą się o tym rozpisywać, spekulując na temat tajnego spotkania w Pentagonie. Z pewnością napiszą także o tajnych rządowych funduszach przeznaczonych na broń chemiczną.

Nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek, zwłaszcza Daggett, zrujnował jego misterny plan.

46

Daggett otworzył drzwi. Na twarzy poczuł gorący powiew spalin.

— Tam nie wolno wychodzić — krzyknął John Wayne. — Bez przepustki nie wolno!

Daggett dostrzegł mijający go samochód z napisem Quick-Link. Zrozumiał, że wciąż może zatrzymać samolot. Gdyby udało mu się zniszczyć podwozie...

Nie biegł, żeby zanadto nie denerwować Johna Wayne'a. Gdy usłyszał za sobą: — „Hej, wracaj!” — i zobaczył dwóch ochroniarzy, zrozumiał, że nie czas na subtelności.

Kluczyki były w stacyjce, co było niezbitym dowodem na istnienie Boga. Miał szansę zatrzymać samolot! Wystarczyłoby wyjąć gaśnicę... Było to takie proste i tak trudne zarazem... Powinien był zacząć działać wcześniej, od razu wejść do kabiny pilotów... Jeżeli samolot się rozbije, będzie to jego wina...

Dunning 959-600 był już na końcu pasa. Dzięki wizycie w symulatorach w Seattle, Daggett wiedział, jak wygląda świat z kabiny pilota. Przypomnił sobie noc w gmachu Federal Aviation Administration spędzoną na przesłuchiowaniu taśm i pomyślał, że przy kokpicie odbywała się teraz taka sama rozmowa...

Samochód miał kiepski zryw. Daggett wdepnął gaz, ale silnik zalał się i o mało co nie zgasł. Daggett dodawał więc gazu stopniowo, co samochód przyjął z ulgą i potoczył się do przodu.

Jechał coraz szybciej i odległość dzieląca go od samolotu znacznie zmalała. Trąbiono na niego, bo nie jechał po wyznaczonej trasie. Na asfalcie namalowane były drogi wyznaczone dla ruchu samochodowego, ale Daggett nie zwracał na nie uwagi. Miał przed sobą podwozie olbrzymiego 747; z pewnością zginąłby w zderzeniu z kilkumetrowym kołem, gdyby go w ostatniej chwili nie wyminął.

Stracił z oczu „swojego” Duhninga 959; usłyszał w oddali dźwięk syreny policyjnej; dobrze wiedział, kogo ścigają.

Nagle znalazł się w otoczeniu olbrzymich samolotów. Za każdym razem, gdy jeden z nich startował, kolejka przesuwała się do przodu. Dodał gazu. Fale gorąca zniekształcały obraz. Wydawało się, że zaraz dojdzie do zderzenia samolotów. Czyżby miał nastąpić cud i uderzony skrzydłem samolot nie odleci? Ale samoloty minęły się bez trudu i Daggett uzmysłowił sobie, jak duża odległość dzieli go jeszcze od 959.

Syreny policyjne wyły coraz głośniej. Na sąsiednim pasie wylądował boeing i Daggett zrozumiał, że samoloty co pięć, dziesięć sekund przesuwały się do przodu, przecinając pas przeznaczony do lądowania. Postanowił przyłączyć się do boeinga, gdy ten uzyska zgodę na przecięcie pasa.

Właśnie miał się z nim zrównać, gdy dostrzegł drugi samochód. Ale było już za późno; wiedział, że nie uniknie zderzenia. Zasłonił ręką twarz i odsunął się od kierownicy. Uprzytomnił sobie, że nie zapiął pasa.

Uderzenie było tak silne, że wyleciały wszystkie szyby. Samochód przez kilkanaście metrów sunął bokiem, wprost pod kołujące samoloty. Daggett uderzył w coś głową. Po chwili uzmysłowił sobie, że znalazł się na tylnym siedzeniu. Poczul woń benzyny i swąd palącej się gumy. Wnętrze samochodu pełne było szkła z rozbitych szyb.

Potrząsnął głową, jak pies otrzepujący się z wody; z włosów posypały się kawałki szkła. Prawa ręka była bezwładna. Dopiero teraz rozumiał, co się stało. Podniósł głowę i spojrział na kierowcę drugiego samochodu. Znalazł się twarzą w twarz z Anthonym Kortem.

Zderzenie było silniejsze, niż planował Kort. Pomimo że miał zapięty pas, uderzył głową w kierownicę i teraz krew zalewała mu lewe oko.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, gdy przed oczami przestały mu wirować niebieskie kręgi, był Daggett. Siedział na tylnym siedzeniu, zszokowany. Kort sięgnął po broń, ale kabura była pusta. Pistolet leżał na podłodze pod fotelem pasażera. Chciał go podnieść, ale nie pozwolił mu na to pas. Kort wyswobodził się i sięgnął po broń.

Drugą rzeczą, którą dostrzegł, było przednie koło samolotu, wymijające samochód Daggetta i pakujące się prosto w niego. Koło uderzyło w zderzak, obracając samochód Korta o sto osiemdziesiąt stopni. Jego strzał był zupełnie chybiony, kula poleciała gdzieś w kierunku terminali. Olbrzymie podbrzusze odrzutowca z rykiem przeszło tuż nad nim. Cudem znalazł się pomiędzy tylnymi kołami.

Wyczołgał się z samochodu i upadł na ziemię; kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Dojrzał Daggetta, który, przeczołgawszy się za kierownicę, usiłował uruchomić silnik. Kort nie przypuszczał, że po takim zderzeniu samochód będzie w stanie jechać dalej, ale najwidoczniej się przeliczył.

Kort pobiegł do samochodu.

Dobiegł do niego w chwili, gdy silnik zaskoczył. Chciał wskoczyć do środka przez wybitą tylną szybę, ale samochód ruszył i Kort wylądował na bagażniku. Dojrzał przestraszone oczy Daggetta. Wciągnął się do środka i zacisnął prawe ramię wokół jego szyi. W ciągu kilku sekund będzie po wszystkim, pomyślał.

Daggett poczuł, że Kort go dusi. W głowie słyszał głos instruktora, który jakieś piętnaście lat temu udzielał na lekcji: „W ciągu pięciu do siedmiu sekund człowiek traci przytomność”. Wdepnął w hamulec, ale uścisk ani trochę nie zelżał. Czuł, jak uchodzi z niego energia; mózg otrzymywał coraz mniej krwi. Zwąziło się pole widzenia, pas startowy i samoloty widział w ciemnopomarańczowym świetle.

Palce nie mogły dosięgnąć uchwytu odsuwającego fotel, choć Daggett wiedział, że musi tam być. Uścisk nie ustawał. Pochylił się do przodu, a uścisk na gardle stał się jeszcze silniejszy. Zaczynał tracić przytomność. W końcu dotknął uchwytu. Pociągnął go z całej siły, dodał gazu i jednocześnie odepchnął się w tył. Kort krzyknął, bo Daggett przyciął mu nogi. Uścisk na gardle nieco zelżał: Daggett złapał Korta za ramię i szarpnął, krztusząc się i wdychając powietrze pełną piersią.

Kort puścił go; samochód bez kierowcy ładował prosto w zbliżający się samolot. Decyzje Daggetta nie były oparte na logice czy treningu: były czysto instynktowne. Skulił się na fotelu, a Kort rzucił się na niego jak dzikie zwierzę. Niewielka przestrzeń w samochodzie uniemożliwiła prawdziwą walkę na pięści. Daggett był w gorszej sytuacji, bo Kort nadwątlił jego siły i teraz usiłował go złapać jedną ręką. Na tylnym siedzeniu leżały narzędzia: klucze, śrubokręty. W drugiej ręce Korta Daggett dojrzał śrubokręt...

Kort zadał mu cios między żebra.

Daggett złapał go za rękę. Śrubokręt został w ranie. Nie czuł bólu, widocznie w mózgu został uruchomiony jakiś znieczulający mechanizm. W jego dłoni był teraz klucz francuski. Skąd się tam wziął? Wyglądało na to, że sam Bóg mu go ofiarował. Zamachnął się i uderzył Korta w głowę.

Nie mógł złapać tchu. Krwawił. Na końcu pasa startowego dojrzał Duhninga 959, który najwidoczniej otrzymał zgodę na start i toczył się coraz szybciej.

49

Daggett wyszarpnął śrubokręt. Krzyk bólu został zagłuszony rykiem samolotowych silników. Rana krwawiła. Daggett wczuł się za kierownicę, zdając sobie sprawę z ograniczonej swobody ruchów. Tuż nad nim z ogłuszającym rykiem przeleciał odrzutowiec. Spojrzał w prawo i zrozumiał: samolot wystartuje.

Jego reakcja była natychmiastowa. Rozpędził samochód do maksymalnej szybkości i, nie zwracając uwagi na bezpieczeństwo, ruszył prosto w kierunku wieży kontroli lotów. Jechał pod startującymi samolotami. Cudem uniknął zderzenia z cenną, jedno z jej kół zawadziło o dach samochodu.

W głowie słyszał głosy pilotów z taśmy. Pilotów, którzy zaraz oderwą od pasa stutonowy samolot.

Zegarek odmierzał sekundy.

Gdy samolot uniósł się w powietrze, od wieży dzieliło go kilkadziesiąt metrów.

Otworzył drzwi, jeszcze zanim samochód się zatrzymał. Zrozumiał, że wycie policyjnych syren, które wziął za pościg, skoncentrowane było przy jednym z wjazdów na lotnisko. I właśnie wtedy dojrzał za sobą samochód na sygnale.

Spojrzał na zegarek: minęło dziesięć sekund, zostało jeszcze trzydzieści siedem. Przypomniawszy sobie, co Chaz Meecham mówił mu o detonatorze: gdy kabina jest pod ciśnieniem, a dziób samolotu skierowany w górę, zegar odlicza ostatnie sekundy.

— Stój! Ręce do góry! — zawołał strażnik.

— FBI! — krzyknął Daggett, nie zwalniając biegu, choć przy każdym kroku klatkę piersiową przeszywał mu ból. Sięgnął do kieszeni na piersiach, tam gdzie powinien znajdować się identyfikator. Ale nie było go. Może wypadł w czasie zderzenia i leżał w samochodzie na podłodze? Daggett zrobił kolejne dwa kroki. Nie miał czasu na żadne rozmowy. Był agentem FBI i tylko to się liczyło. Pozostało mu tylko trzydzieści siedem sekund. Miał mgliste pojęcie o tym, jak zapobiec katastrofie.

Kopnął strażnika w krocze, równocześnie robiąc unik, żeby tamten nie mógł do niego strzelić. Odepchnął go i ruszył po schodach na górę. Przy każdym ruchu czuł ból między żebrami. Zupełnie tak, jakby jego krokom towarzyszyły kolejne ciosy, zadawane przez Korta. Gdy dotarł na pierwszy poziom, pozostało mu jeszcze dwadzieścia sekund. Ktoś za nim biegł. Widocznie policjanci z patrolu.

Strzelali do niego.

Biegł dalej. Jedna z kul utkwiała w ramieniu, powyżej łokcia. Siedemnaście sekund. Jeszcze jedno piętro. Zabiją mnie, myślał. Przebyłem tak długą drogę, a oni mnie teraz rozwalą...

Zobaczył Lysego, agenta Hendersona. Tego samego, który brał udział w przesłuchaniu Bernarda zakończonym śmiercią Backmana. Henderson gestem ręki powstrzymał policjantów, którzy chcieli otworzyć do Daggetta ogień.

— Co się dzieje, do cholery? — rzekł, widząc, że tamten krwawi.

— Kto prowadzi 959 linii Quick-Link?! — krzyknął Daggett. Jego zegarek wskazywał: dwanaście sekund.

— Kontrola odlotów — powiedziała jedna z kobiet.

— Powiedźcie im, że na pokładzie jest bomba. Natychmiast! — Daggett krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Nie wiedział, jak się skontaktować z samolotem, ale zdawał sobie sprawę, że mógł to zrobić tylko z wieży. Co im powiedzieć? Co mówił Meecham?

Trzystopniowy włącznik; żeby doszło do eksplozji, każdy z nich musi zwinąć obwód. Nie mają już czasu, żeby wyrównać lot... — Niech obniżą ciśnienie w kabinie! Natychmiast!

Siedem sekund.

Jak oni mogli być tacy spokojni? Jedna z kobiet odezwała się głosem, jakim księża wygłaszają kazania:

— Mayday, alfa-jeden-pięć-dziewięć, tu wieża kontroli lotów, podaję komunikat specjalny: macie środki wybuchowe na pokładzie. Natychmiast obniżyć ciśnienie w kabinie. Powtarzam: obniżyć ciśnienie w kabinie. Mayday, Mayday.

— Pięć sekund! — krzyknął Daggett.

W pomieszczeniu zrobiło się zupełnie cicho. Słyszać było tylko ciężkie sapanie Daggetta i szum wentylatorów. Kobieta powtórzyła równie spokojnym głosem:

— Komunikat specjalny do alfa-jeden-pięć-dziewięć... czekam na potwierdzenie obniżenie ciśnienia... alfa-jeden-pięć-dziewięć...

Daggett patrzył na zegarek.

— Już — sapnęła i spojrzał w okno, ale samolot zniknął w oddali.

— ...czekam na potwierdzenie obniżenia ciśnienia... alfa-jeden-pięć-dziewięć. ..

Wszyscy wstrzymali oddech i utkwili oczy w kobiecie. Kobieta podniosła wzrok i spojrzała na Daggetta.

— Potwierdzili — powiedziała do niego.

Napięcie ustąpiło. Daggett głośno odetchnął, podobnie zrobili inni.

— Niech im pani powie, żeby wyrównali. Pod żadnym pozorem nie mogą iść dalej w górę; muszą jak najprędzej wylądować.

Kobieta przemówiła do mikrofonu tym samym beznamiętnym głosem. Daggett obejrzał się za siebie. Henderson był blady jak kreda.

— Znaleźliśmy drugi detonator — powiedział Daggett.

Henderson skinął głową.

— Domyśliłem się.

50

Spotkali się na plaży, tam gdzie rozmawiali po raz pierwszy. Był początek października, wiał silny wiatr, który wróżył burzę. Lynn Greene postawiła kołnierz płaszcza. Następnego dnia miała wrócić do Los Angeles. To miejsce wydało im się najbardziej odpowiednie na spotkanie.

Szli obok siebie, ślady ich butów zalewała woda. Na oceanie widać było statki i Daggett zastanawiał się, dokąd zmierza każdy z nich. Kiedyś chciał być kapitanem....

Ale był tym, kim był i to właśnie o wszystkim przesądziło...

— Czy to będzie w porządku, jeżeli powiem, że mi się to nie podoba, ale cię rozumiem? — spytała.

— Nic nie kończy się, dopóki trwa — odparł Daggett.

— Więc to nigdy się nie skończy?

— Chyba jednak się skończy.

— Tamtej nocy powinniśmy byli się kochać... Mam wyrzuty sumienia...

— Myślę, że i tak to robiliśmy. Nigdy cię tak nie kochałem. Wiem o tym. Poznaliśmy się lepiej, wysłuchałaś mnie... To cudownie znaleźć kogoś, kto potrafi słuchać...

— Chyba wiesz, że cię kocham.

— Tak, chyba wiem.

Pobiegła przed siebie: mewy poderwały się do lotu. Wróciła do niego i wzięła go pod rękę. W oczach miała łzy.

— To jest tak cholernie skomplikowane...
— Tak, to prawda.
— A wydaje się takie proste.
— Bo jest. Chyba wiem, co będzie. To może nastąpić jutro, może za rok... Może uda nam się to naprawić, nie wiem... Ale jestem jej to winien, musimy spróbować jeszcze raz. Gdybyś była na jej miejscu...
— Wiem, też bym tego chciała. Masz rację. Wiem, że masz rację, ale to boli.

— Boli...

Zatrzymała się. Stali w miejscu, w którym po raz pierwszy rozmawiali ze sobą.

Wyjęła dłoń z kieszeni jego kurtki i włożyła mu coś do ręki. Daggett rozwarł dłoń. Leżał na niej klucz.

— Chociaż raz — powiedziała, spoglądając w stronę domku.

Leżeli w ciemnościach; przytuleni, spleceni ze sobą, trzymając się za ręce, dygocąc z podniecenia. Eksplozja ich miłości była czymś, co — jak powiedział Daggett — mógł zrozumieć tylko ekspert od środków wybuchowych. Ale ona tymczasem zabrała się do innego śledztwa i jej propozycja „chociaż raz” straciła aktualność.

W drodze do samochodu nie rozmawiali; Lynn chichotała i przytulała się do niego.

— Rozumiem, że to ma wystarczyć już na zawsze...

— Powinno — rzekł Daggett. — Nie wiem, czy przeżyłbym coś takiego jeszcze raz.

Sześć tygodni później Anthony Kort znajdował się w hali odlotów na lotnisku Dulles. Naprzeciwko niego siedziała Monique Cheysson. Ręce i nogi mieli skute kajdankami. Widział ją po raz pierwszy od chwili, gdy rozstali się na lotnisku. Nie wyglądała dobrze. Przesłuchiwano ich oddzielnie. Jeden z wartowników powiedział mu, że złapano ją kilka dni po zamachu, gdy usiłowała wsiąść do pociągu jadącego do Nowego Jorku. Nie wiedział, czy to prawda.

Jego adwokat uzyskał dla niego zgodę na przebranie się w cywilne ubranie zamiast czarno-żółtego pasiaka, czego domagał się prokurator. Monique nosiła granatowy strój.

Korta, na mocy prawa o ekstradycji, odsyłano do Niemiec, gdzie mieli go sądzić za katastrofę 1023. Jego adwokat twierdził, że stało się tak dzięki omyłce prokuratora, który powinien był sprawę wygrać, co umożliwiłoby skazanie Korta na karę śmierci. Władzom federalnym bardzo na tym zależało. Teraz wszystko było w gestii władz niemieckich.

Byli otoczeni ochroniarzami FBI. Rozpoznał jednego z nich. Facet nazywał się Levin, był asystentem Daggetta i brał udział w wielu przesłuchaniach.

Powodem troski o ich bezpieczeństwo była niedawna ucieczka Michaela Sharpe'a z więzienia. Za pomocą helikoptera odbito czterech członków „Der Grund”. Europejska prasa spekulowała, że organizacja

Sharpe'a była niezwykle sprawnie zorganizowana i dysponowała ogromnymi funduszami. Krążyły plotki, że w szwajcarskich bankach istniał specjalny „zielony fundusz”, założony przez firmy, które działały zgodnie z wymogami ochrony środowiska. Niecałe dwa tygodnie przed ucieczką Sharpe'a w programie „60 minut” mówiono o sposobach, jakimi ten zdobywał współpracowników. Jego świetnie zorganizowana ucieczka pozwalała podejrzewać, że Sharpe wiedział, kim byli ludzie finansujący „Der Grund” i że to właśnie oni przyczynili się do jego uwolnienia.

Na pierwszych stronach gazet znalazł się także Kort. Wyrażano nadzieję, że jego proces w Niemczech pozwoli na uzyskanie brakujących informacji w śledztwie, które nabrało międzynarodowego zasięgu.

Rozpoznał twarz jednego ze stewardów. Zesztywniał: był to jeden z katów Michaela. Było jasne, że Michael nie chciał, aby Kort składał jakiegokolwiek zeznania. Spojrzał na Monique i uśmiechnął się pod nosem. Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Miał nadzieję, że posadzą ich obok siebie. Chciał umrzeć razem z nią.

— Wszystko w porządku? — spytał jeden z ochroniarzy.

Kort uśmiechnął się szeroko. Od miesięcy nie czuł takiego podniecenia.

— Nie może być lepiej — odparł.

Daggett stał w szpitalnej poczekalni, był zdenerwowany.

W tym samym czasie powinien wystartować samolot z Kortem.

Ale on już zdecydował, co jest ważniejsze. Powiedział Pullmanowi: nie. Sprawą zajmował się teraz Levin.

Za drzwiami odbywała się pierwsza operacja po tym, jak niecałe dziesięć dni temu Duncan po raz pierwszy poczuł, że ma nogi. Zdjęcia rentgenowskie potwierdziły, że coś — możliwe, że upadek, który miał miejsce dwa miesiące temu — spowodowało przesunięcie jednego z kręęgów, i że za pomocą operacji można go było w tym położeniu utrzymać. Duncan będzie chodzić!

Ruszyła w jego stronę. Pocałowali się i przytulili do siebie. Przyniosła ze sobą jedzenie z chińskiej restauracji i przysięgała, że nie oszukała przy ciasteczkach szczęścia, choć Daggett rozpoznał jej maszynę do pisania. „Za rok zagrasz z synem w baseball” — przeczytał. Łzy stanęły mu w oczach i rozlał kawę.

Zapisał pager przypięty do paska od spodni. Daggett sięgnął do niego odruchowo, ale złapał się na tym, co robi. Wyłączył go, nie czytając wiadomości. Dzisiejszy dzień nie będzie poświęcony pagerom, pomyślał. Dlatego powiedział Pullmanowi: nie. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przedtem był tak szczęśliwy. Myślał o ostatnich miesiącach, o ostatnich latach, i przyszło mu do głowy, że gdyby mógł to przeżyć jeszcze raz, niczego by nie zmienił... Ale choć przedtem był przygnębiony i smutny, teraz był pełen nadziei. Nie wszystko było idealne — świat przecież nie jest idealny — ale gdyby miał dość czasu...